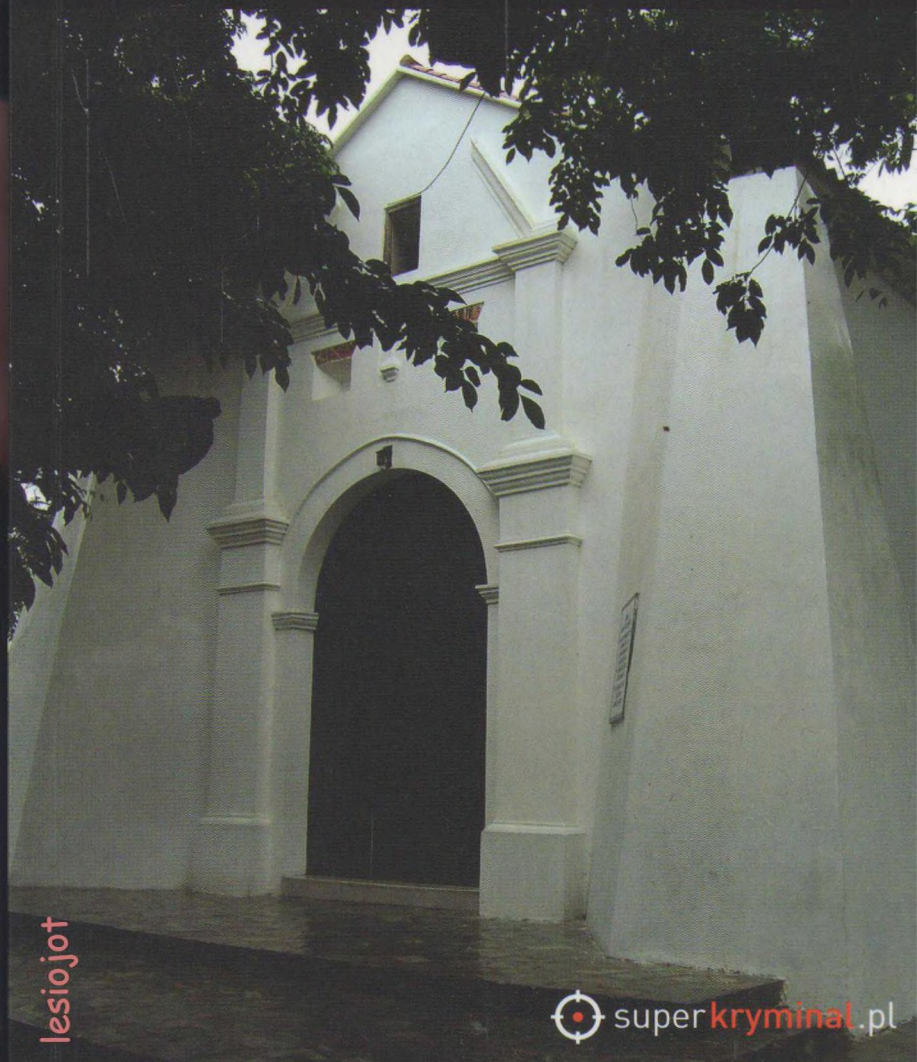


super
kryminat

ŚMIERĆ W KLASZTORZE

ADRIANNA EWA STAWSKA



lesiojot



superkryminat.pl

ŚMIERĆ W KŁASZTORZE

Adrianna Ewa Śtawska

Rozdział pierwszy

Stalowa winda mknęła bezszelestnie na ósme piętro. Jedną ze ścian wypełniało złociste lustro, przejrzała się w nim, widok pozostawiał wiele do życzenia. Sine worki pod oczami trudno było ukryć. Drobiniki tuszu, w kształcie ponurych półksiężyców, pogłębiały cienie. Napłuła na chusteczkę i spróbowała je wytrzeć, tusz ustępował opornie. Nie powinna zarywać nocy. Nie ma co się oszukiwać, dawno skończyła czterdzieści lat i najwyższy czas zacząć dbać o siebie.

Łagodny gong obwieścił dotarcie na wybrane piętro. Posłuszne drzwi otworzyły się. Jednym pociągnięciem poprawiła usta i wrzuciła szminkę do małej wieczorowej torebki.

W głowie wciąż huczał klubowy gwar, nie pamiętała już, kiedy tak dobrze się bawiła. Pożegnanie kumpla przeciągnęło się do białego rana. Kiedyś tworzyli nierozłączną paczkę. Z czterech par, dwie przetrwały do dzisiaj, pozostali wciąż zmieniali partnerów. Anka, Witek, Paweł i Monika wiecznie w pogoni za nowymi zdobyczami. Tylko ona i Marek wciąż są razem, bo Piotr i Kaśka to teraz już tylko przeszłość.

I chociaż życie rozdzieliło ich skutecznie, wciąż starali się utrzymać kontakt, przynajmniej telefoniczny i spotykać się, jeśli tylko była taka okazja.

Brakowało jej tych dawnych wypadów do kina, wspólnego odkrywania muzycznych nowych kontynentów, gorących dyskusji do rana o polityce, o miłości, o życiu. Wtedy wszystko wydawało się prostsze. Czarne lub białe, no i czerwone, wyraźne podziały i jasne sytuacje, jak w czarno-białym ślapstickowym filmie. Wierzyli wtedy gorąco, byli o tym święcie przekonani, że ich przyszłe życie nigdy nie będzie szare. A już na pewno nie takie, jak ich starych. A teraz Piotr, ten stateczny, poukładany Piotr, rozwiódł się z Kaśką i wyjeżdża do Irlandii zaczynać nowe życie. Co za ironia losu. Nie minęło nawet ćwierć wieku od tamtej gorącej atmosfery, gdy Piotr jako jedyny z ich paczki oznajmił z grobową miną, że on nigdy nie wyemigruje, bo tu jest jego miejsce.

Jednak wczorajszy wieczór nie był powrotem do wspomnień, po prostu znowu świetnie się bawili. Jeszcze przed dwudziestą porzucili zaciszny pub i pognali do Club'70, gdzie zdążyli na darmową lekcję boogie. Potem była dyskoteka w stylu filmu „Grease”. Ale zabawa na dobre rozkręciła się dopiero przy przebojach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Telefon o trzeciej nad ranem wyrwał ją z tanecznego transu. Została w ramionach narzeczonej Piotra. Na szczęście Marek nie miał już kondycji sprzed lat, a narzeczone była zbyt wychudzona jak na jego gust. O gustach swego męża wiedziała przecież wszystko. Przynajmniej tak jej się zdawało.

- Wychodzisz? - spytał kwaśno i demonstracyjnie przytulił się do kościstego ramienia tancerki.

- Przecież wiesz. - Mogła sobie darować podróż na drugi koniec miasta, miała wolny dzień i pełne zaufanie do swoich współpracowników, wiedziała, że sobie poradzą, ale nie chciała zrezygnować i nie umiała. Jeśli odniosła w życiu sukces zawodowy, to właśnie dlatego, że zawsze chciała zobaczyć miejsce zdarzeń na własne oczy i samej wyrobić sobie zdanie o tym, co tam zaszło. To nie była zwykła praca, to był jej sposób na życie, który wybrała świadomie, wiedząc, że tylko w ten sposób podąża za swoim przeznaczeniem. Jedni stworzeni są do pracy od ósmej do osiemnastej, inni do łamania prawa, a ona do węszenia. Zbieranie okruczeń i odtwarzanie zdarzeń było jej żywiołem. Gdybym nie została policjantką, pewnie byłabym dzisiaj archeolożką, myślała o sobie.

Ten weekend mieli spędzić razem, tylko ona i Marek, po raz pierwszy, chyba, od lat. Ostatnio jej praca stanowiła temat porannych kłótni, i tych nocnych też, gdy wracał do domu przed północą, a ona czekała na niego w domu. Zawsze pozostawiali sobie dużo swobody. Wystarczył fakt, że wracali do wspólnego mieszkania i łóżka. Bank, w którym Marek pracował, był równie zaborczy jak służba w policji, pochłaniał wszystkie wolne popołudnia, soboty i niedziele. Nigdy nie miała o to pretensji, uważając, że są małżeństwem prawie idealnym, wyrozumieli dla siebie nawzajem, inteligentni i ambitni, pracowici i absolutnie zaangażowani w to, co robią, nie stawiali sobie nigdy na drodze.

- Nie chcę wiedzieć - przytknął usta do cienkiej szyi partnerki i okręcając się w tańcu powirował w głąb sali.

Po dusznej od oparów alkoholu i zapachu rozgrzanych ciał atmosferze klubu rześkie powietrze wielkowiejskiej nocy wydawało się czyste i wyjątkowo dotlenione.

Samochód już na nią czekał. Cicho mknęli wyludnionymi ulicami. Uśpione miasto budziło się do życia. Krótka nocna przerwa na wielkomiejski sen dobiegła końca. Ruch się nasilał, by apogeum osiągnąć koło siódmej i trzymać miasto w kleszczach do osiemnastej. Na poboczach zalegały szare bryły lodu zgarniętego z ulic i chodników, bardziej podobnego teraz do skały niż do białego puchu jakim był jeszcze niedawno. Sól i piasek połączone brudną wodą nie ustępowały pod ostrymi promieniami wiosennego słońca, nieco zamglonego siarkowo-węglowymi wyziewami miasta.

Przed drzwiami stał policjant w mundurze. Odruchowo machnęła blachą. Wymienili zdawkowe uśmiechy. Policjant spojrział na jej szpilki i wystającą spod płaszcza kolorową falbanę spódnicy. Mrugnął porozumiewawczo i przepuścił ją, szeroko otwierając drzwi do mieszkania.

W holu kręcili się mrukliwi mężczyźni w wierzchnich okryciach. Ich szare ubrania i mundury wyglądały tu obco, nie pasowały do wyrafinowanej elegancji z jaką urządzono obszerny westybul. Bambusowa tapeta na ścianach, kamienna podłoga i pozłacany Budda na prostej konsoli z egzotycznego drewna, miały przypominać, że oto wkraczamy do zacisza domowego, miejsca wręcz świętego, schronienia dla zmęczonego cywilizacją współczesnego bohatera. Wejścia broniły czarne, zapewne specjalnie postarzone, a może rzeczywiście antyczne, chińskie lwy, które jednak dzisiaj poniosły sromotną porażkę.

Drogę przestąpił jej młody mężczyzna w cywilu.

- Kto tu panią wpuścił? Proszę wyjść, tu nie wolno wchodzić! - przyjrzał się krytycznie resztkom wieczorowego makijażu i włosom obsypanym brokatem. Zreflektował się, że może wygania właśnie ważnego świadka i spytał nerwowo:

- Kim pani jest? Proszę okazać dowód.

- Podinspektor Ewa Lewicka - klapnęły skórzane okładki legitymacji.

Policjant zbladł i wyprężył się jak struna.

- Najmocniej przepraszam. Młodszy aspirant Krystian Adamczyk melduje się na służbie.

- Spocznij. Niech się pan nie wygłupia - machnęła lekceważąco dłonią. Krwistoczerwone paznokcie miały ten sam kolor co szminka.

- Gdzie Czesio?

- W sypialni denata - młodszy aspirant Adamczyk nadal prężył pierś, nie śmiejąc nawet spojrzeć na swoją szefową.

- Prowadź - rozkazała. - I witaj w naszym zespole - podała mu dłoń

w suchym, krótkim uścisku.

Pokój na końcu korytarza rozświetlały błyskawice fleszy. Snopy światła odbite i zwielokrotnione przez lustrzane szafy porażały wzrok zgromadzonych. Wszystko, z wyjątkiem satynowej pościeli w kolorze zakrzepłej krwi, tonęło w oślepiającej bieli.

Na środku obszernego łóżka leżał nagi mężczyzna. Woskowy odcień jego skóry wyraźnie klócił się z głębokim burgundem prześcieradła. Bujnie owłosione nogi nie sięgały nawet do krawędzi materaca. Był niski i otyły. Brzuch rozlewał się na bokach miękkimi fałdami. Rozkrzyżowane ręce były unieruchomione w obszytych różowym futerkiem kajdankach. Na kostki bezwstydnie rozrzuconych nóg ktoś założył pętle z pończoch i przywiązał ich końce do szczelbli pod materacem. Sine usta nadal obejmowały różową kulkę, skórzane paski knebla wrzywały się w zwiotczale policzki. Facet został skutecznie unieruchomiony.

Można by pomyśleć, że to sam środek wartkiej akcji filmu klasy B, gdyby nie dziwna obojętność głównego bohatera. Stąd nie było widać żadnych śladów walki, jeśli nie liczyć skotłowanej i zmiętej pościeli, na której spoczywał grubasek.

- Co ty tu robisz? - potężny mężczyzna odwrócił się zaskoczony. Krótko ostrzyżone włosy srebrzyły się na skroniach. Rozwodnione alkoholem niebieskie oczka spoglądały na świat spod na wpół przymkniętych powiek, dobrotliwie i nieco sennie. Poruszał się powoli, ale zdecydowanie, jak ktoś świadomy niezwykłej siły swych mięśni. Pozornie misiowaty i niezgrabny, w chwilach zagrożenia był zaskakująco szybki.

Czesia Witułę poznała na początku swojej służby w policji, był jednym z tych facetów, którzy zawsze traktowali ją normalnie. Nie poklepywał po plecach, nie zapraszał na piwo, nie komentował krótkich spódnic. Był najlepszym wywiadowcą, z jakim miała okazję pracować, a potem najlepszym śledczym. Skrupulatny i dociekliwy, zawsze robił swoje. Gdy awansowała i kompletowała grupę dochodzeniową, Czesio był jednym z pierwszych, którzy się w niej znaleźli. Zawsze mogła na niego liczyć.

- Wydawało mi się, że masz dzień wolny. A może się mylę?

- Mam. Ale dyżurny z przyzwyczajenia zawiadomił mnie pierwszą. Wpadłam na chwilkę zobaczyć, jak sobie radzicie.

Mężczyźni, za wyjątkiem techników pochylonych nad ciałem, rozstąpili się, robiąc miejsce dla nowo przybyłej.

- Poznałaś już naszą nową siłę fachową, czyli tak zwane posiłki
- kwaśno uśmiechnął się pod nosem, wskazując brodą młodego.

- Wszyscy kiedyś zaczynaliśmy - uśmiechnęła się pogodnie do Adamczyka.

- Widzę, że pani prosto z balu, panno Lalo, a tu mamy ładny klops - potarł dłonią niedogolony podbródek. - Dziany facio w średnim wieku. Viagra na stoliku nocnym. Różowy balecik miał w planie, ale zdaje się, że serducho nie wstrzymało.

Pochyliła się nad ciałem i przyjrzała skórce denata. Tam, gdzie wypełniał ją tłuszcz, była napięta i gładka, w zgięciach sfałdowana i pomarszczona, jak dawno nieprasowany jedwab. Żadnych widocznych zmian, żadnych siniaków, żadnych otarć. Zresztą one nie interesowały Lewickiej, to była działka patologa, który powie jej na ich temat więcej, niż mogłaby sama zobaczyć. Ważniejsze było przyjrzeć się ofierze, by zrozumieć kim była i jak żyła, bo w tym mieścił się klucz do znalezienia mordercy.

Ciemne włosy pokrywające szczelnie klatkę piersiową były starannie przycięte przy linii szyi, dzięki czemu nie wystawały ponad kołnierzyk. Dłonie miał pulchne, zadbane, z krótkimi paznokciami, na serdecznym palcu nadal był ślad po szerokiej obrączce, być może po sygnecie. Stopy nie sprawiały najlepszego wrażenia, o żółte zmienione grzybicą paznokcie nikt się nie troszczył, pięty były zgrubiałe i spękane, jak zawsze u ludzi, którzy całe dni spędzają w pełnych butach i niewiele dbają o higienę.

- Więc to nie uduszenie?

- Lekarz mówi, że nie. Według niego - zjrzał do małego notatnika - przyczyną był ostry zespół wieńcowy wywołany spożyciem - podniósł pomazaną karteczkę bliżej oczu - jednej z pochodnych piperazyny, czyli viagry lub czegoś o podobnym działaniu. Facet prawdopodobnie cierpiał na niedokrwienność mięśnia sercowego. I to by się zgadzało, w łazience znaleźliśmy odpowiednie leki. Tego niebieskiego gówna na pewno nie przepisał mu żaden normalny lekarz. Laboratorium sprawdzi, czy to oryginał, czy podróbka i czy nie było w tym czegoś jeszcze. Ale w jego stanie wystarczyła jedna tabletkę, by go usztywnić na zawsze. - Zamilkł na chwilę, wsunął notatnik do tylnej kieszeni wypchanych na kolanach dzinsów i dodał obojętnie: - Aha, reszta jak zwykle po sekcji.

- Nieszczęśliwy przypadek? Jakies ślady?

- Nic. Mieszkanko wyczyszczone do cna. Nie ma butelki po winie, ale jest korek za koszem na śmieci. Kieliszki umyte i ustawione na półce. Brak portfela, dokumentów. Powinien być sprzęt grający, ale go nie ma, zostały tylko ślady kurzu. Ktoś niezbyt starannie odkurzał ten skromniutki - nie

krył ironii - przybytek rozpusty, dzięki temu wiemy, że coś takiego tu było. Powinien być obraz w salonie, ale go nie ma. Jest komputer, ale nie ma w nim twardego dysku, bebechy leżą tam jeszcze. Po laptopie została tylko torba. W domu praktycznie nie ma nic cennego, a zdaje się, że było. Nie ma też kluczyków ani samochodu, który denat zawsze trzymał na podziemnym parkingu.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Powtarzam po sąsiadce. Trochę знаła denata. To ona zawiadomiła policję. Wydawało się jej dziwne, że mieszkanie stoi otworem. Wyprowadzała koło pierwszej psa i zobaczyła światło w nieodmkniętych drzwiach. Wchodzi, kto chcesz, bierz, co chcesz. Uchyliła drzwi i zawołała sąsiada. Nie odpowiedział. Weszła dalej i dopiero wtedy go zobaczyła. Teraz jest u siebie. Nadal nie może wyjść z szoku po tym, co widziała. Według jej zeznań to był spokojny facet. Jak się tylko wprowadził, było coś w rodzaju parapetowy, ale goście wyszli przed północą. Chyba koledzy z pracy. Kobiet nigdy nie widziała. Wszyscy lokatorzy mieszkają tu od niedawna. Budynek oddano do użytku zaledwie sześć miesięcy temu. I to by było na tyle.

Przesunęli się na korytarz, by nie przeszkadzać ekipie zabierającej ciało.

- Łazienka i kuchnia już załatwiona.

- W takim razie rozejrzę się po mieszkaniu.

Łazienka wyłożona płytkami z trawertynu robiła wrażenie. Ogromne lustro nad podwójną umywalką kryło przepastną szafkę na kosmetyki. Nie było ich zbyt wiele. Dobra woda kolońska. Popularny krem do golenia. Jednorazowe nożyki. Najwięcej miejsca zajmowały buteleczki i słoiczki pełne kolorowych drażetek. Większości z nich trudno było przypisać jakieś konkretne działanie lecznicze: witaminy, wyciągi z ziół, mikroelementy, tabletki przeciwbólowe, wszystko to, co można bez trudności kupić bez recepty. Na najwyższej półce stały leki, o których mówił Czesio. Tylko te miały jakieś znaczenie. Reszta to „pacanea dla pacanów”, jak mawiał znajomy lekarz. Widać właściciel mieszkania święcie wierzył w uzdrawiającą moc pigulek.

Kuchnia była zaraz przy wejściu. Wszystko było tu drogie i na wysoki połysk. Pośrodku stała wyspa tworząca z barem stylową całość. Z tyłu świetnie zorganizowana przestrzeń do pracy pod imponujących rozmiarów stalowym wyciągiem. Wielka lodówka o podwójnych drzwiach obudowana szafkami wypełniała wnękę w głębi kuchni. W jej obszernym

wnętrzu samotnie królowały dwie butelki wina, ser pleśniowy z długim okresem przydatności do spożycia i nieco przywiedła sałata w woreczku. Wino nie było drogie, ale całkiem dobrej jakości. W supermarkecie można takie kupić za dwadzieścia kilka złotych. W zamrażarce pojemniki z kostkami lodu, steki z kangura i mrożona pizza, interesujące zestawienie.

Ciemne szafki wykładane egzotycznym fornirem kryły jedynie szkło i porcelanę. W głębokich szufladach lśniły nowiutkie rondle. Niektóre nadal miały metki. Z głuchym puknięciem zamknęła szufladę. W rogu stał ekspres do kawy z resztką burego płynu na dnie. Zajrzała do pojemnika na filtr. Albo facet usiłował dbać o swoje serce, albo był cholernym sknerą, bo fusów było tyle, co kot napłakał. No cóż, pomyślała, bogaci bogacą się siłą swej oszczędności. Na szklanym blacie lśniącym pistacją zielenią nadal leżał otwieracz do wina, jedyny dowód, że ktoś tu jednak żył i mieszkał. Takie kuchnie urząda się dla prestiżu, na wszelki wypadek, gdyby przyszło przyjąć w domowych pieleszach bardzo ważne osoby z korporacji lub branży, lub zaimponować nowym znajomym. Tutaj nikt nie gotuje, co najwyżej parzy kawę i rozmraża gotowe dania. Kuchnia z żurnala, pod zdjęciem której można przeczytać „zapewni ci wiele miłych chwil spędzonych na wspólnym gotowaniu”.

Usiadła na obitym welurem barowym stołku i rozejrzała się uważnie. Kim był denat? Nie zdążył się tu jeszcze zadomowić. Lubił otaczać się luksusem, ale miał stare przyzwyczajenia. Nie dbał specjalnie o siebie. Rano wypijał filiżankę lurowatej kawy i pędził do pracy. Pewnie dopiero tam, koło jedenastej zjadał pospieszne śniadanie, a potem jakiś „obiad domowy”, czyli dużo ziemniaków, kawałek mięsa i ociupina czegoś zielonego. Wieczorem pizza i kieliszek wina, po którym pewnie czuł się jeszcze gorzej.

Zsunęła się z wysokiego stołka i podeszła do lśniącej nowością kuchenki mikrofalowej. Na górnej listwie odznaczał się ledwie widoczny cień. Dotknęła go ostrożnie. Czyżby sadza? Tłusta czerń rozmasała się na palcu tworząc miękką smugę. Zwolnione drzwiczki płynnie się otworzyły. W środku czerniało małe pudełko. Srebrne, zaokrąglone rogi błysnęły w świetle żarówki. Po środku wieczka zionęła pustką postrzępiona dziura. Potężna eksplozja wyrwała krzemowe trzewia i rozsypała je wokół.

- Czesiu! - zawołała. - Chodź tu na chwilę.
- O kurde! - zaklął tuż za nią. - Ktoś tu miał profesjonalne zacięcie.
- To chyba dysk z jego komputera. Sprawdź to - odsunęła się, robiąc miejsce dla techników.
- Więc dlatego go zabili? - spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Myślę, że nie - zmarszczyła nos, jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiała. - Raczej zacierają ślady. Może tylko kontaktowali się z nim przez sieć.

- Oni?

- Dziewczyna na wabia i sprytny chłopak, a może nawet dwóch chłopaków. Myślę też, że to był kolejny wypadek przy pracy.

- Jak ten tłuścioch sprzed miesiąca?

- Tak. Wszystko wygląda bardzo podobnie. Ale mogę się mylić - ziewnęła rozdzierająco, mimo kolejnej dawki adrenaliny, zmęczenie zaczynało dawać się we znaki. Zresztą widziała już wszystko, co powinna zobaczyć. - Sprawdź służbowego kompa denata. Tam może być jakiś ślad.

Adamczyk stanął niepewnie w drzwiach.

- Sprawdźcie też, czy nie było zgłoszeń kradzieży. Szukajcie facetów w średnim wieku. Dzianych i na stanowiskach. Mogą być samotni lub tylko słomiani wdowcy. Zwróćcie uwagę na te zgłoszenia, które później zostały wycofane. W porywie rozpaczy mogli się zgłosić na policję, a potem przyszło otrzeźwienie, że wyjdą na głupków. Popytajcie na komisariatach w tej dzielnicy i w podobnych, tam gdzie stoją domy z ekskluzywnymi mieszkaniami.

- Słyszysz młody, to zadanie dla ciebie - zwrócił się do Adamczyka.

- Zrobimy, co się da - przytaknął Czesio. - Dokąd wyjeżdżasz?

- Nad Wigry - uśmiechnęła się blado.

- Dziko i pięknie. Znam jedną fajną knajpę. Jadłem tam najlepsze gołonki w moim życiu - oblizał pełne wargi i mlasnął z uznaniem.

- Jadę do klasztoru, więc nie wiem, czy będą tam takie smakołyki.

- No nie?! Naprawdę?! Właśnie miałem ci powiedzieć, że ta knajpa jest w tym klasztorze. Cudowne miejsce - Czesio znowu się rozmarzył.

- Podobno cicho i spokojnie, w sam raz dla zmęczonych wielkomięskim pędem mieszczuchów. - Szła już w stronę wyjścia. - Przynajmniej tak twierdzi Marek. Mamy tam odpocząć i wsłuchać się w rytm naszych serc. Do zobaczenia chłopaki we wtorek. Cześć!

Płynnemu opadaniu windy towarzyszył cichy szum silników. Wiatr objął ją chłodnym ramieniem, zadrzała, podniosła kołnierz i usiłowała ciaśniej okryć się płaszczem. Była zmęczona i głodna. Na szczęście droga do domu zajęła tylko kilkanaście minut.

Marek ubrany w garnitur, gotowy do wyjścia, siedział przy stole w kuchni. Między talerzykiem z okruchami grzanki a filiżanką z kawą leżały jakieś papiery.

- Wychodzisz? Mieliśmy przecież jechać - oparła głowę o framugę drzwi.

Spojrzał na nią znad filizanki. Miał ściągniętą twarz, jak ktoś, kto ma do zakomunikowania niezbyt przyjemną prawdę. Była zbyt zmęczona, by się domyślać o co chodzi tym razem. A może zbyt dobrze wiedziała dokąd prowadzą coraz częstsze poranne sprzeczki.

- Zostawiłaś mnie samego i jak zwykle pognałaś do swoich trupów. Zawsze one są najważniejsze - nie krył pretensji. - Ty też o czymś zapomniałaś - napastliwy ton wkraść się w ciepły baryton Marka. Nie lubiła tego dźwięku, przypominał jej zrządzenie matki, które wyganiało ojca na coraz dłuższe delegacje i zjazdy, aż któregoś dnia spakował walizkę i oświadczył, że nigdy nie -wróci. Poczula zimne uklucie w żołądku.

- Oboje coś sobie obiecaliśmy, prawda?

- Nie kłóćmy się teraz. Miałeś mieć wolny piątek, co się stało? - spytała łagodnie.

- Muszę iść do pracy, przyjechał ktoś ważny z centrali. Mamy coś w rodzaju kontroli. Dobrze by było, gdybym się pojawił na kilka godzin.

- Mścisz się? - spytała głucho.

- Nie wygłupiaj się. To tylko praca.

- Twoja praca, moje hobby. Wracamy do punktu wyjścia. - Niemiły jegomość, ukryty w jej wnętrzu, znowu przeszył żołądek długa igłą. Sprawiało mu wyraźną radość przedłużanie tej tortury.

- Możesz przecież na mnie poczekać. Weekend nam nie ucieknie

- zaczął ugodowo - jeśli tylko chcesz? - Czekał na odpowiedź. Nie zareagowała. Stała tam nadal z przymkniętymi oczami i ściśniętą bólem twarzą.

Podszedł do niej. Rozwiązał pasek płaszcza i zamknął dłonie wokół talii. Ciepło uścisku zwilżyło jej oczy.

- Potrzebujesz odpoczynku - dodał miękko. - Jedź sama, przyjadę do ciebie jak tylko będę swobodny. Dobrze?

- Dobrze - westchnęła, starając się nie wycierać resztek makijażu w granatową klapę marynarki. Niedające się powstrzymać łzy płynęły bezwiednie.

- Płaczesz? - w głosie czaiła się złość, nie lubił scen zakrapianych łzami.

- Jestem po prostu zmęczona - powiedziała szybko. - Nie będę brała samochodu. Pojadę pociągiem. I zaczekam na ciebie. Idź już, bo się spóźnisz.

Na krótką chwilę jego usta przywarły do gładkiego czoła pokrytego drobnymi kropelkami zimnego potu.

- Jutro rano zjemy wspólnie śniadanie, dobrze? - zatrzymał się jeszcze w progu.

- Oczywiście, kochanie. - Łomot rozklekotanej windy zawtórował zatrzaśniętym z rozmachem drzwiom. Wzdrygnęła się. Wszystko kiedyś mija - pomyślała - lub minąć musi. Tylko dlaczego teraz? - zapytała samą siebie.

Pod gorącym strumieniem wody ustąpiło napięcie ramion i pleców, grzanka z konfiturą ukoїła ból żołądka, jednak wciąż nie opuszczała ją dręczące poczucie, że od jakiegoś czasu w swoim małżeństwie drecze w miejscu. Wszyscy się zmieniają, to normalne, pomyślała, ale aż tak to niemożliwe. Nagła zmiana poglądów Marka na jej pracę nie dawała jej spokoju. W tym tkwiło coś, a raczej ktoś.

Usiadła przed komputerem i tępo wpatrzyła się w martwy ekran. Instynkt podpowiadał, żeby zajrzeć do poczty i potwierdzić złe przecucia. Rozsądek mówił: lepiej tego nie rób, resztką godność krzyczała: nie zniżaj się do poziomu szpiega z taniego melodramatu. Jeśli coś jest jeszcze do uratowania, lepiej nie dociekać, lepiej nie wiedzieć wszystkiego, prawda bywa zabójcza, wiedziała o tym zbyt dobrze. Ich małżeństwo wisiało na włosku, tak cienkim, że w każdej chwili mogło się zerwać na zawsze i pograć w otchłani mroku spraw byłych i przeszłych.

Wygrała jednak intuicja, która jak zwykle jej nie zawiodła.

Otworzyła szafę i zastanowiła się, co wziąć ze sobą na długi wiosenny weekend.

Rozdział drugi

Pociąg powoli wjeżdżał na stację końcową. Poskładała porzucane gazety i kolorowe magazyny, które niepotrzebnie zabrała z Warszawy. Zajęta oglądaniem zmieniających się za oknem pejzaży, nawet do nich nie zajrzała. Wiosna za miastem wyglądała całkiem inaczej.

Za małym budynkiem stacji stał busik z napisem „Klasztor” Wysoki, przyszczytany kierowca wyskoczył z samochodu i zwinnie przejął bagaż. Szybko wyjechali z Suwałk i podążyli pustą szosą przez las. Promienie popołudniowego słońca z trudem przedzierały się przez ażur świerkowych gałęzi. Śnieg stopniał, odkrywając zrudziałą ściółkę. Zwinięte, po-

kurczone jak w spazmie samospalenia dębowe liście dopiero teraz opadły i zasłaly wilgotną ziemię. Na ich tle farbkowym błękitem jaśniały nisko rozrośnięte kępy kwiatów. W ślad za drobnymi kwiatami, chwiejącymi się na cienkich łodyżkach, podążały zielone, delikatne listki. Miejscami kwietne pola ciągnęły się daleko po horyzont, tworząc fantastyczne, wijące się między czarnymi pniami drzew, gęste dywany.

- Czy to przylaszczka? - spytała kierowcę.

- Ludzie mówią u nas, że to łyzy zakochanej Wiły - potwierdził skinieniem głowy. - Wiła to piękna rusałka o skrzydłach ważki, która pomagała kiedyś ludziom. Za złe uczynki mamiła i urzekła niegodziwców, wiodąc ich wprost do zguby. Na prośbę zdradzonej dziewczyny miała ukarać niewiernego rybaka. Był piękny i młody, skradł serce Wiły, rozkochał ją w sobie do szaleństwa. Sprzeniewierzyła się woli bogów i pozostawiła go przy życiu. To był błąd. Jej także nie był wierny. Odkryła jego zdradę i zabiła go w gniewie. Od tamtej pory zawsze wiosną Wiła oplakuje go rzęsiście, snując się bez celu po lasach i łąkach, a z łąz wyrastają te właśnie kwiatki.

Wyjechali z lasu i skręcili w wąską, asfaltową drogę.

- Widać już klasztor - kierowca wskazał przed siebie.

Na tle purpurowej tarczy zachodzącego słońca pokamedulski erem wyglądał imponująco. Wysoki kopiec, górujący ponad szarą taflą jeziora, wieńczył szereg ciasno zbitych dachów pokrytych czerwoną dachówką. Strzeliste wieże dotykały nieba. Mury tej niby-twierdzy opasywały wzgórze białą wstążką. Różowe ściany kościoła, niczym pochodnie, płonęły w czerwonym świetle zapadającego zmierzchu.

- Nocą jest równie piękny. Oświetlony wygląda jak zamek z bajki - powiedział chłopak nie bez dumy w głosie.

- Rzeczywiście. Jest tak piękny, że wręcz nierealny - Lewickiej udzieliła się magia miejsca.

Objechali klasztor z prawej strony i skręcili pod ostrym kątem, samochód przejechał przez wąską, sklepioną bramę, minął okna budynek przy czajownego po drugiej stronie wielkich wrót i zaparkował przy murze okalającym klasztor.

- Recepcja jest tam - kierowca wskazał dłonią w stronę drzwi, które dopiero co minęli - w Domu Furtiana. - Czy zaczekać na panią?

Otworzyła torebkę, oczywiście, gdy trzeba, to nic w niej nie można znaleźć. Chłopak czekał cierpliwie. Pięćzłotowa moneta błysnęła w dłoni i uderzyła o drugą równie błyszczącą.

- Nie trzeba - zachnął się kierowca. - Bez tego odprowadzę panią do eremu.

Podziękowała mu uśmiechem i pobiegła w stronę recepcji. Niebo zaciągnęło się sinymi chmurami. *Wielkie* tłuste krople deszczu uderzyły o brukowany podjazd.

Recepcja robiła imponujące wrażenie. Ciemna, stylowa zabudowa przypominała najlepsze brytyjskie hotele. Za pierwsze, naprawdę duże pieniądze zarobione przez Marka, pojechali do Szkocji. Jeździli od zamku do zamku, nie omijając dworów obronnych, w prawie wszystkich recepcja witała ich mrocznym klimatem gotyckich lub neogotyckich mebli. Strzeliste wieżyczki i ostre łuki przypominały Lewickiej złożone dłonie, celujące wprost do nieba, w modlitwie dziękczynnej za bogactwa i dobrobyt jakie Los zesłał właścicielom latyfundiów i zamków.

Zatrzymywali się w pokojach z łózkami wielkości małego lotniska, bładzili krążgankami, podziwiali widoki z wież widokowych, jedli śniadania w wielkich przestronnych salach o wysoko sklepionych sufitach i spacerowali po stylowych parkach trzymając się za ręce. Wydawało im się to wtedy szalenie romantyczne, jakby znowu byli narzeczonymi. Zaciśkając palce dawali sobie znaki, czy chcą już wracać do pokoju i zanurkować w biel pościeli, czy może jednak skoczą do pubu we wsi na szklankę ciepłego piwa pozbawionego piany. To było zaledwie osiem lat temu. A może aż osiem lat temu. Dzisiaj rzadko splatali swoje dłonie.

- Nazwisko pani? - śpiewny akcent młodej kobiety za kontuarem wywrwał Lewicką z zamyślenia. Wysoki ton jej głosu przechodził momentami w przykry dla uszu falset.

- Lewicka. - Dowód osobisty nie chciał się odkleić od folii wyścielającej skórzany portfel, za rzadko go używam - pomyślała.

- Pani da dowód. - Ciemne oczy patrzyły na nią obojętnie, nie zdawała sobie sprawy, że niegrzeczny zwrot nie przystoi recepcjonistce eleganckiego hotelu. Lewicka rozbawiona bezpośredniością pannicy za kontuarem bez sprzeciwu podała dowód.

- Tak. Jest rezerwacja. Pani sama, czy z kimś, bo mam tu zapisane, że dwie osoby? - dociekała recepcjonistka.

Na tle ciemnych szaf jej okrągła płaska twarz okoloną jasnymi włosami wyglądała na jeszcze bardziej wybieloną. Mocno podkreślone tuszem oczy wydawały się czarne i przepastne niczym otchłań. Obłe ciało dziewczyny, podobne do pękatego ogórka w którym mierny rzeźbiarz dokonał kilku niedbałych wcięć, opinał sweterek i kusa spódnica odsłaniająca wal-

cowate nogi. Czarne źrenice ze znanstwem taksowały gościa. Należała do tego typu ekspedientek, urzędniczek, czy też recepcjonistek, które oceniały klientów według swej własnej hierarchii wartości, a ta uzależniona była od wyceny tego, co klient miał na sobie. Lewicka została oceniona nisko. Nie miała na sobie drogiego skórzanego płaszcza ani modnej wytłaczanej torebki na łańcuchu, jej buty nie były dość wystrzałowe, a całość nie miała tego wyzywającego szyku jakiemu hołdują prowincjonalnie modnisie.

- Druga osoba dojedzie jutro - wyjaśniła szybko Lewicka.

- Aha - przytaknęła wcielona biel za kontuarem. Nie wstając z krzesła, odepchnęła się od blatu i przejechała ze straszliwym turkotem niewielką przestrzeń dzielącą ją od szafki z kluczami, wygrzebała z niej klucz z wielką drewnianą przywieszką i ponownie odpychając się do mebli, powróciła na swoje miejsce.

- Erem szesnasty, na górnym tarasie. Pójdzie pani teraz w lewo, przez bramę pod plebanią, potem skręci w prawo, po schodkach i w lewo przez bramę, co nad nią są te dwie figury. Rozumie pani?

Lewicka skwapliwie przytaknęła. Dziewczyna nadal nie wypuszczała klucza z dłoni.

- Zgodnie z pani życzeniem, zimną kolację zostawiliśmy w pokoju. Czajnik i filiżanki są na miejscu. W eremie są dwa pokoje, pani ma ten na wprost z oknem na jezioro - wyjaśniła. - To jest klucz uniwersalny. Otwiera drzwi zewnątrz do patio, drzwi eremu, drzwi pani pokoju, ale drzwi tego drugiego pokoju tym kluczem nie da się otworzyć. Kluczem otwiera wejście do Wieży Zegarowej, to ta obok pani eremu, Wieży Ogrodowej, ale nie ma po co tam chodzić, to znaczy nie teraz na przednówku, Wieży Schodowej, gdyby chciała pani iść na Błonia i jeszcze tę furtkę tu obok przy biurze, gdyby chciała pani iść na skróty do wsi. Ten klucz otwiera także dostęp do siłowni i kawiarenki internetowej w Domu Papińskim. Tam też jest apartament Ojca Świętego, ale można go zwiedzać dopiero w niedzielę. To by było na tyle. Restauracja jest w Domu Królewskim. Jak wyjdzie pani przez tę bramę ze świątymi, to trzeba iść lewą stroną kościoła i zaraz widać Dom Królewski, a potem schodami w dół, po prawej stronie. Śniadania od ósmej do jedenastej. To by było wszystko.

Podawała klucz z rozmachem, trzaskając przywieszką o kontuar. Lewicka zacisnęła w dłoni drogocenny kawałek metalu, który miał jej otworzyć wszystkie tutejsze atrakcje. Marzyła o gorącej kąpieli i filiżance zielonej herbaty.

Wtem otworzyły się drzwi i wraz z silnym podmuchem wiatru do

recepcji wtargnął zażywny mężczyzna w średnim wieku. Otrząsał buty i zamknął drzwi z nadmierną siłą, aż szyby zadzwoniły.

- Panie Geniu, co się pan tak rozbija - zaświergotała wybielona pan-nica.

- Przepraszam, ale ten wiatr daje nam dziś do wiwatu - zdjął czapkę i strzepnął ją o kolano, krople deszczu spadły na szachownicę podłogi.

- Najważniejsze, że dach załatany - obwieścił radośnie. Na widok Lewickiej uśmiech zamarł mu na ustach, by po chwili rozjaśnić twarz na nowo.

Był krepy i jak wszyscy niewysocy ludzie trzymał się prosto. Wigoru mógł mu pozazdrościć niejeden pięćdziesięciolatek. Tylko poorana zmarszczkami twarz świadczyła o przeżytych wlotach! upadkach, o nie-latwym i pracowitym życiu mężczyzny.

- Witam pana dyrektora - Lewicka również nie kryła zdziwienia. Mi-nęło tyle lat od tamtej sprawy, która ich zetknęła, a tu nagle, teraz zaska-kujące spotkanie po latach.

- Ćśśś - zażartował - nie tak głośno. Dawne czasy - machnął lek-ceważąc ręką - teraz nie dyktuję, ale kieruję. Witam panią komisarz - mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu. Podszedł do niej i zamknął dłoń w potężnym uścisku. - Kopa lat - zaśmiał się szczerze i głośno. Spotkanie sprawiło mu autentyczną przyjemność.

- Pani tu na wypoczynek? - Nie przestawał się uśmiechać. - Koniecz-nie musimy razem napić się kawy i pogadać o starych czasach. Na week-end, czy zostanie pani dłużej?

- Na dłuższy weekend, w poniedziałek wieczorem chcę wracać do Warszawy.

- Wspaniale - nowa porcja radości zatrzęsła jej drobną dło-nią. - Co prawda wyjeżdżam na sobotę do domu, ale wracam w nie-dzielę wieczorem, więc pewnie będzie okazja pogadać. Jestem tu kierownikiem administracyjnym - puścił wreszcie jej dłoń i kreślił ramionami szerokie koła, obrazujące zakres jego panowania. - Eme-rytura to nie dla mnie. Ogrzewanie, woda, klimatyzacja, wentylacja, park maszynowy, dziurawe dachy, kapiące rynny, wieczne remonty

- wyliczał, zaginając demonstracyjnie palce - to wszystko na mojej gło-wie. Utrzymanie ruchu, że tak powiem, to jak zwykle moja domena. Zamieniłem jedynie fabrykę na hotel, ale on więcej przypomina zakład produkcyjny niż cichą przystań dla znękanego trudami życia emeryta.

- Zaśmiał się, jak z udanego dowcipu. - A co u pani? Słyszałem o awansie, słyszałem. Pani dawny szef, to teraz mój sąsiad, wybudował dom obok

mnie i tak się jakoś zgadało.

- Zawsze był pan człowiekiem energicznym. I widzę, że czas pana nie utemperował. Cieszę się, że pana spotkałam. Ale czemu tak daleko od domu?

- Ach, w domu żona, dzieci, wnuki. Wie pani, dziadkiem zostałem, i to poczwórnym - dla podkreślenia wagi tego faktu wskazujący palec wycelował w sufit. - Straszne z nich urwisy. Wszystko kotłuje się u nas, dom rozbudowaliśmy z żoną, dzieciom pomoc trzeba, dlatego jestem tutaj. A w Wigrach klimat sympatyczny, spokój, cisza, dobre łowiska. Skusili mnie, że będę mógł wędkować do woli, ale przyznam się pani - tu zniżył konfidencjonalnie głos - że jak na razie na rybach byłem tylko jeden jedyny raz, a minęło już trzy lata odkąd tu jestem.

Roześmiali się razem. Lewicka знаła Eugeniusza Sołtysika z czasów, gdy był dyrektorem technicznym w zakładach w Pile i zapamiętała go jako człowieka tryskającego energią. Gdy inni padali ze zmęczenia, on nadal był nie do zdarcia, jakby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę korzystał z najwyższego stopnia zasilania. Miał cudowny dar zjednywania sobie ludzi i radzenia sobie tam, gdzie inni ponosili klęskę.

- Znając pana wierzę, że tak jest - roześmiała się. - Ma pan tu pewnie duże pole do popisu.

- A żeby pani wiedziała.

Przysłuchująca się rozmowie recepcjonistka, podparła brodę na rękach i pochłaniała ich wzrokiem, każde słowo wsiąkało w nią jak woda w gąbkę. Nagle oderwała przyklejone dotąd do krzesła siedzenie i wyprężyła się z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem. W drzwiach stanął wysoki blondyn.

Niedbałym ruchem zaczesał do tyłu zmoczone deszczem włosy. Półdługa fryzura z postrzępioną grzywką na oczy i wąskimi baczkami, odsłaniała mocne szczęki, by spaść na kark nieregularną kaskadą. Jak na swój wiek, mężczyzna imponował ilością włosów. Miodowy odcień włosów rozjaśniały starannie tlenione pasma, w których ginęły pierwsze oznaki siwizny. Brąz welwetowej marynarki podkreślał złocistą opaleniznę. Szerokie plecy przy szczupłych i długich nogach wydawały się jeszcze szersze. Efekt psuł zaokrąglony, nieco beczułkowaty brzuch, który tylko z dużą dozą sympatii można było przypisać aktywnemu życiu wioślarza, ale Lewicka pomyślała, że jest on raczej wynikiem zbytniego folgowania przyjemnościom szklanki. Mężczyzna roztaczał wokół siebie aurę władzy i tego kociego uroku, który deprymował mężczyzn

i zniewalał kobiety. Zdawał sobie z tego sprawę i skwapliwie to wykorzystywał.

Szybko zlustrował wnętrze. Na krótką chwilę zatrzymał wzrok na recepcjonistce, biały sweterek zafalował pośpiesznie, plakietka z napisem „Kasia” uniosła się i opadła rozczarowana. Uwagę wyniosłego blondyna skupiła kobieta w czerni. Sezon jeszcze się nie zaczął, a ta „focзка” chociaż nie pierwszej młodości wyglądała całkiem smacznie, ocenił w myślach.

- Panie dyrektorze, melduję uroczystość, że dach nad bindugą zabezpieczony - z udawaną służbistością powiedział Sołtysik.

- Czy zabezpieczony oznacza zreperowany? - dyrektor nie miał dziś ochoty do żartów, nie patrzył na Sołtysika, nadal jego wzrok lepił się do nóg i bioder gościa.

- Zreperowany.

- I nie będziemy wracać więcej do tego tematu? - w męski, doskonale opanowany głos wkradł się obcy zgrzyt.

- Nie będziemy.

- W takim razie do poniedziałku, panie Sołtysik - dopiero teraz zaszczycił go swoim spojrzeniem.

- Tak, to ja się pożegnaj - kierownik jeszcze raz ujął dłoń Lewickiej i potrząsnął nią w szczerym uścisku. - Mam nadzieję, że znajdzie pani odrobinę dla starego zrzędy i trochę czasu na wspominki. Do zobaczenia.

- Państwo się znacie? - dyrektor nie spuszczał wzroku z komisarz.

- Z dawnych czasów. Pani komisarz Lewicka z Komendy Głównej w Warszawie - Sołtysik dokonał prezentacji. - Pan dyrektor Marciniak.

Zmrużył oczy i pochylił się z przesadną kurtuazją. Podała mu dłoń do powitania, a on chwycił ją obiema rękami i złożył głośny całus na jej grzbiecie, jak drapieżnik wietrzący nową zwierzynę poruszył nozdrzami.

- Policjantka i do tego piękna - grzywa blond włosów wróciła na miejsce, odsłaniając wysokie czoło przecięte gęstymi czarnymi brwiami.

- Jerzy jestem, ale proszę mi mówić Jurek. Jesteśmy, ja i mój zespół - tu wskazał na pozostałych - do pani dyspozycji przez całą dobę. Szczególnie na mnie może pani liczyć - dźwięczny baryton przeszedł w niskie rejestry.

- Dziękuję - odwzajemniła uśmiech i uprzejmie, lecz stanowczo oswobodziła dłoń nadal ściskaną przez Marciniaka. - Dobranoc państwu. Miałam długą i męczącą podróż.

Rozdział trzeci

Poranek powitał ją słońcem i radosnym świergotem ptaków. Smukłe pliszki goniły się między labiryntami niskich bukszpanowych szpalerów, uciekając w popłochu na nieliczne drzewka skryte w zacisznych patiach przy domkach-eremach. W taki dzień wszystko wydawało się lepsze i piękniejsze.

Przy wejściu do restauracji siedziała kierowniczką sali. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Gruby, krzykliwy makijaż w kolorze brzoskwini kończył się na linii podbródka, poniżej której biała, poprzecinana niebieskimi naczyniami skóra była wręcz przezroczysta. Makijaż miał zapewne ukryć zmęczenie i niezdrowy wygląd, na dolnych powiekach drobne niczym gwiazdki, czerwone wybroczyny świadczyły o porannych wymiotach. Pewnie jest w ciąży i wcale jej to nie służy - odnotowała w pamięci Lewicka.

Dziewczyna wskazała jej stolik i umęczonym głosem zachęciła do korzystania z bufetu śniadaniowego. Po chwili pojawiła się uśmiechnięta kelnerka.

- Jajecznicą na maśle, czy jajko na miękko? - spytała z lekkim akcentem zaśpiewu mieszkańców okolic Hajnówki.

- Jajecznicą.

- Podam za kilka minut - oddaliła się w stronę kuchni, pozostawiając po sobie zapach lawendowego mydła.

Sala była prawie pusta. Nieliczni wiosenni goście siedzieli samotni przy oknach wychodzących na jezioro. Brodacze w czarnym swetrze zatoniony w lekturze gazety, korpulentna rudowłosa kobieta w bajecznie kolorowym wdżianku i szczupły młodzieniec pochłaniający wielki kawał drożdżowego ciasta.

Lewicka podeszła do bufetu. Kawa pachniała upajająco. Spróbowała niewielki łyk. Była mocna i łagodna zarazem, w doskonałym gatunku. Półmiski kusity wyborem wędlin i pasztetów. Na talerzach piętrzyły się bułeczki, babeczki i placuszki. Zdecydowała się na muffinkę z ziołami i plaster domowej pieczeni. Bułeczka z tymiankiem i kawałkami smażonego boczku smakowała latem, rozgrzaną słońcem łąką i słodkim lenistwem.

Przy stoliku obok siedział dyrektor Marciniak. Gdy wchodziła na salę, uklonił się jej i wskazał gestem krzesło obok siebie, ale Lewicka wolała usiąść dalej i nie wdawać się w żadne rozmowy. Uprzejmie skinęła mu

głową i usiadła w bezpiecznej, jak się jej wydawało, odległości.

Towarzyszył mu niski, szczupły mężczyzna w ciemnym ubraniu. Wciąż mrugał nerwowo powiekami i poprawiał okulary. Miał kobiece dłonie, którymi ciasno gestykułował, jakby z rezerwą, ograniczając ruch w obawie, że gest go odkryje. Nienaturalnie przyciśnięte do siebie palce otwartych dłoni czyniły z tych gestów coś w rodzaju magicznych znaków zaklinających rzeczywistość, niczym celebrant, w ruchach i zachowaniu przypominał księdza.

Musi mieć wiele do ukrycia - oceniła go Lewicka. Stara się ukryć emocje i prawdziwe myśli, ale zdaje się, że łatwo go wyprowadzić z równowagi. Moim zdaniem podszyty jest fałszem, ale zawsze mogę się mylić - w myślach uzupełniła charakterystykę.

Kelnerka zρέcznie postawiła przed nią żółtą jak szafran jajecznicę.

- Jajka prosto od kur - uprzedziła pytanie Lewickiej.

- Czy podać coś jeszcze?

Do białej bluzeczki przyszpilona była wizytówka, zamasztyłym piśmem wypisano na niej „Goška”

- Mało gości o tej porze roku, pani Małgosiu - odezwała się komisarz, w myślach nazwała dziewczynę Małgorzatką, bo takie imię najbardziej do niej pasowało.

- Mało - skwapliwie przytaknęła pachnąca lawendą dziewczyna. Jej czysta, lekko zarumieniona twarz o regularnych rysach była więcej niż ładna, żywa mimika i błyszczące oczy dodawały jej naturalnego uroku.

- Zawsze tak jest o tej porze, z wiosną goście jak ptaki zlatują się, aż wreszcie nie ma gdzie palca wściubić. I tak do jesieni.

- Duża sala, to i gości dużo.

- O, to dobrze, proszę pani, że taka duża - nachyliła się poprawiając serwetki i wygładzając nieistniejące fałdki na obrusie. - Bo my tu konferencje różne mamy i przyjęcia. I wesela. A na Wielkanoc to pan dyrektor się żeni i przyjęcie będzie u nas właśnie.

Powiedziała to z miną, jakby miała w tym *swój* własny, osobisty udział. Widać uznała, że ekscytująca wszystkich pracowników wiadomość zainteresuje również Lewicką. Demonstracyjne gesty powitania Marciniaka z Lewicką nie uszły uwadze bystrej Małgorzatki.

- Co pani powie! - Lewicka obejrzała się na dyrektora. - Ale chyba nie z panią? Pani jest za młoda.

- A skąd - dziewczyna oblała się rumieńcem - żeni się z instruktorką fitness. Nie ma jej dzisiaj. Studiuje w Białymstoku.

Lewicka wyraziła jeszcze kilka zachwytów nad wystrojem stylowego wnętrza i doskonałym gatunkiem kawy, a potem zajęła się jajecznicą. Nie podzielała poglądu, że jajka prosto spod kurzego kupra są lepsze od tych miastowych, których przecież nie produkowano na taśmie, a jedynie taśmowo. Jajeczny smak i zapach wiejskie jajka zawdzięczały odpowiedniej diecie niosek, a nie szybkości z jaką jajka usuwano spod kuprów. Naturalne pożywienie i słońce mogą przecież zdziałać cuda.

Rozmówca dyrektora mówił coraz głośniej:

- To czysta pragmatyka - powiedział ciemniejąc na twarzy. Potrzasał energicznie głową, a misternie zaczesane „na pożyczkę” włosy opadały na potylicę, odsłaniając coraz wyższe czoło. - To kwestia kompetencji, podstawowych zasad hierarchii służbowej. - Nabrał powietrza i szybko wyrzucił z siebie: - To bardzo ważne zagadnienie praw i obowiązków, powtarzam, obowiązków pracownika...

- Czy mógłbyś nie psuć mi śniadania - dyrektor przerwał mu zniecierpliwiony. - Pragmatyka nakazuje, byśmy o pracy rozmawiali w biurze, a nie przy kawie.

- Ale ja przecież... - złote oprawki nagle zsunęły się na koniec nosa, dopełniając żalostnego widoku mężczyzny. Wskazującym palcem wbił je na swoje miejsce, aż skóra na policzkach uniosła się i raptownie opadła. Wyglądał na starszego od dyrektora, ale prawdopodobnie byli równoletkami.

- Bogusiu, obaj dobrze wiemy, o co chodzi - dyrektor nie patrzył na niego, zręcznie kroił na małe kawałki różową szynkę z wąskim paskiem tłuszczu i zachłannie łykał ją, nie przerywając mówić. - Rozsądek nakazuje, byś się zamknął i pamiętał o swoim miejscu w hierarchii. Zaczynamz mnie nudzić.

Spojrzał w kierunku Lewickiej, uśmiechnął się bardziej do swoich myśli niż do niej, jak chłopak, któremu właśnie przyszła do głowy nowa psota.

- Czy wiesz, Bogusiu, kogo goszczą nasze niskie, aczkolwiek dumne ze swej historii progi? - odchylił się w krzesło, przynosząc ulgę zgniecionemu żołądkowi, który napychał chrupiącymi bułeczkami i delikatną wędliną, i spojrzał kpiąco na swego sąsiada.

- Nie miała pani okazji poznać mej prawej ręki - rozpoczął prezentację - lewa jak zwykle jeszcze śpi. Ale bądźmy wyrozumiali, mamy przecież sobotę.

Okularnik z rozwianą „pożyczką” nie wyglądał na zadowolonego, był

wyraźnie rozdrażniony lekceważeniem jego osoby.

- Bogusław Sobieraj, nasz marketingowiec, mój przyjaciel i kolega ze studiów - Marciniak szczerzył w uśmiechu idealne zęby - gdzie ja, tam i on, gdzie on, tam i ja. - Roześmiał się jak sztubak. W tej chwili nie wyglądał na swoje niespełna pięćdziesiąt lat, bo na tyle oceniła go Lewicka, teraz był tylko urwisem z blond grzywką przesłaniającą jedno oko, co czyniło go podobnym do młodego adepta korsarskiego fachu. Jeszcze nie kapitan, a już oślepiiony w walce.

- Pozwól, Bogusiu - droczył się z opornym Sobierajem, który jedynie zdawkowo kiwnął głową - pani Ewa Lewicka, inspektor śledczy z Komendy Głównej w Warszawie.

- Podinspektor - wyjaśniła Lewicka.

- Dla nas, szaraczków, to żadna różnica? Policjant *is* policjant - wybielone zęby błysnęły w ironicznym uśmiechu. - Możemy się przysiąść?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy już przekreślił krzesło i usiadł na nim okrakiem, opierając ramiona o zapiecek krzesła. Ja tu rządę - mówiła jego postać - i wcale się siebie nie boję - skrzyżowane ramiona odgradzały go od Lewickiej jak uniwersalna garda.

- Bogusiu, nie opuszczaj nas jeszcze - od niechcenia rzucił przez ramię. - Będzie *nam* miło, jeśli dołączysz do nas - mrugnął porozumiewawczo do Lewickiej.

Boguś z ociąganiem usiadł obok. Dyrektor po przyjacielsku chciał go poklepać po plecach, ale dłoń, czy to specjalnie, czy ze względu na to, że nie patrzył w kierunku Sobieraja, obsunęła się i musnęła pośladki marketingowca. Filizanka w dłoni zadrżała i kawa splamiła spodeczek, wyprostował plecy i sztywno wsunął nogi pod blat. Marciniak przytrzymał jego dłoń i spytał:

- Co to, ręce ci drżą? - chybiony żart jeszcze bardziej zjeżył Sobieraja. Dłoń dyrektora czule pogłaskała palce zaciśnięte na krawędzi spodka:

- Przepraszam, nie chciałem. - Pod dotknięciem słów, Boguś Sobieraj jakby zmiękł i nieco się rozluźnił.

Jaką to dziwną grę prowadzą - zastanowiła się Lewicka.

- A pani, pani Ewo, tylko się zagadkowo uśmiecha - zwrócił się do niej.

- Jestem na urlopie - wyjaśniła.

- A gdy pani nie jest na urlopie? - pytanie zawisło ponad nową porcją gorącej kawy.

- Też się uśmiecham. - Brunatny cukier doskonale podkreślał łagodny i miękki smak smolistego napoju. - Patrzę, słucham i się uśmiecham.

Taka praca.

- Sprytnie. - Odgarnął opadające na oczy włosy i przyjrzał się czujnie jej twarzy. - Myślałem, że pani przede wszystkim pyta, wręcz zamecza ludzi pytaniami. Ale pani jest sprytniejsza. Pani patrzy tymi mądrymi oczami, uśmiecha się, udaje, że ją interesują ludzkie problemy i czeka, aż ktoś się sam wysypie.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Nie udaję. Ludzkie problemy naprawdę mnie interesują.

- Niczym pajak plecie pani lepką pajęczynę zrozumienia i czeka, aż zadrży fałszywa struna, czy tak?

- Jest pan bardzo blisko - odwzajemniła uśmiech. Jeśli chciał ją obrazić, to źle trafił, sama często porównywała swoją pracę do pracy łowcy zakładającego przemyślną pułapkę.

- W tej sukni jest pani nawet podobna do czarnej wdowy. Piękna, kusząca i niebezpieczna.

Sobieraj niecierpliwie wiercił się na krześle jakby parzyło, wciąż poprawiał okulary, prawie wbijając je w czoło.

- Tak na marginesie - łyżeczka powoli kreśliła kółka w filiżance.

- Prywatnie zajmuje mnie sposób, w jaki ludzie posługują się mową, jak rozumieją i interpretują cudze słowa w zależności od kontekstu. Może się mylę, ale panią to chyba interesuje najbardziej. Mechanizmy niejawnego przekazywania i uzyskiwania informacji. Prawda?

- Na tym polega moja praca.

- Czyli szukanie podtekstów, sensów niedopowiedzianych? Czegoś, co się wyłamuje z reguł?

- Proszę, proszę, czyżby studiował pan teorię Paula Gricea - powiedziała z uznaniem.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

- Zatem zajmuje się pani wyszukiwaniem znaczeń niewypowiedzianych lub niedopowiedzianych. Czegoś niezwyklego w zwykle zakłamanych wypowiedziach maluczkich. To musi być fascynujące.

- Dlaczego zaraz zakłamanych? Ludzie nie zawsze kłamią, czasem tylko nie mówią wprost.

- Myśli pani, że odkrywają się nieświadomie?

- Nie myślę, ja to wiem. Najczęściej jednak robią to specjalnie. Mówią w sposób zawołowany, bo z różnych powodów nie mogą lub nie chcą mówić szczerze i otwarcie, a może inaczej nie umieją - przerwała raptownie, zastanawiając się przez chwilę w poszukiwaniu odpowiednich słów.

- Jeśli wypowiedź jest wyraźnie aluzyjna i taka była intencja mojego rozmówcy, a nie jest to wynik pomyłki bądź nieporozumienia, to dla mnie ma to szczególne znaczenie, które powinnam umieć rozszyfrować. Ludzie robią to z pełną premedytacją. Jakby prosili o pomoc, ale okrężną drogą. Moim zadaniem jest właśnie wylapać te zgrzyty i szумы.

- Na przykład?

- Pytam kobietę o jej relacje z mężem, a ona mi odpowiada: „Nie kłócimy się zbyt często”. To znaczy, że jest źle, ale jeszcze nie beznadziejnie. Nieraz przecież słyszymy: „szukamy porozumienia”, co należy odczytać: „nadal brak porozumienia”. Przykłady można by mnożyć.

- Coś w stylu: „oficjalne źródła podają”?

- Sugestia jest wtedy wyraźna, istnieją także nieoficjalne źródła.

- We wszystkim, co pani usłyszy jest drugie dno?

- Dodatkowych sensów nie należy mnożyć ponad konieczność, nieprawdaż? Nadinterpretacja nie jest wskazana, nawet, a może szczególnie, w moim zawodzie.

- Zmodyfikowana brzytwa Ockhama - gdy się nie kontrolował, jego śmiech przechodził w chrapliwych rechot. - Zastanawiam się jednak...

Wcale się nie zastanawiał, dobrze wiedziała, że ten mężczyzna podjął niebezpieczną grę i teraz bawi się, wciągając w to także ją.

- Skąd pani zna Sołtysika?

- Z bardzo dawnych czasów.

- W rejestrze skazanych nie widnieje - czekał na jakiś znak, mimowolne mrugnięcie oka, grymas potwierdzający jego przypuszczenia.

- Sprawdziliśmy.

Lewicka uniosła brwi w zdziwieniu.

- Był zamieszany w jakieś śledztwo? - dopytywał się Marciniak

- Na to pytanie sam panu odpowie.

- No tak, proszę wybaczyć, obowiązuje panią tajemnica służbowa

- jego rechot odbił się od krzyżowego sklepienia i wylądował przy nowym dzbanku kawy. Po chwili dodał z udawaną pretensją w głosie:

- Tak. Brak należytej kontroli rodzi bezkarność.

Bezsensowne słowa Marciniaka zawisły nad stołem, Sobieraj poprawił się nerwowo i zastrzygł uszami. Czyżby do niego była adresowana ta lakoniczna uwaga?

Nagle obok stolika wyrosła wymizerowana postać kierowniczkii sali. Szczupły żakiet był na nią za luźny, w ciągu ostatnich tygodni musiała sporo schudnąć.

- Panie dyrektorze... - zaczęła niepewnie.

- Teraz jestem zajęty - nawet nie odwrócił w jej stronę głowy. - Zresztą we wszystkich sprawach proszę zwracać się do pana Sobieraja. Taka jest kolejność służbowa.

- Nawet w osobistych - spytała drżącym głosem. Współczynnik wilgotności jej oczu niepokojąco rósł z sekundy na sekundę.

- W tych szczególnie - odwrócił się w jej stronę, ale wzrok miał skierowany w dół, przenikając szczupłe nogi w rurkowatych, za luźnych teraz spodniach, jak właściciel karcący psa za niestosowne zachowanie, który nawet nie zaszczyli swego pupila najmniejszym spojrzeniem.

- Ale ja... - łzy nie wytrzymały ciśnienia i trysnęły żłobiąc w grubej warstwie pudru jasne ścieżki. Zaszlochała spazmatycznie i wybiegła z sali.

Zapanowało nieprzyjemne milczenie. Nerwowy marketingowiec wbił jeszcze głębiej niesforne oprawki, a dyrektor patrzył w okna zalane blaskiem słońca.

Na szczęście zadzwonił telefon. Marek dojeżdżał i prosił, by wyszła mu na spotkanie.

- Panowie wybaczą - uśmiechnęła się przepraszająco. - Wyjdę po męża.

Obaj wstali i pożegnali ją zdawkowo.

Fotel za rzeźbionym biureczkiem kierowniczką nadal pozostawał pusty. Z toalety dla personelu dochodziły stłumione odgłosy szlochu.

Słońce zdążyło już ogrzać wilgotne powietrze. Zrobiło się nawet ciepło, jak na tę porę roku. Minęła boczne drzwi wiodące do kościoła, centralnego punktu założenia klasztornego, figury świętych strzegących bramy do eremów obsiadły ptaki i świergotały zajęte sobą, nie zwracając uwagi na przechodzących mimo ludzi.

Brodacz z restauracji wyminął ją i skręcił w prawo, schodkami w dół, prowadzącymi na dolny taras samotni. Bezwiednie podążyła za nim, zaciekawiona dokąd można dojść tą furtką.

Mężczyzna obejrzał się na nią, skinął głową i zniknął za drewnianymi drzwiami odgradzającymi patio eremu od brukowanej uliczki.

Po lewej stronie górował mur. Wysoko ponad głową Lewickiej, na wysokości pierwszego piętra połyskiwały okna i ciemniały wykusze górnego tarasu. Po prawej stronie uliczki okna były tak nisko, że gdyby nie białe płócienne zasłony, z łatwością mogłaby dostrzec nie tylko wnętrze pokoju, ale dokładnie obejrzeć podłogę.

Brukowana uliczka wychodziła na mały podwórzec, skąd rozciągał się fantastyczny widok na jezioro. Między nagimi gałęziami olszyny przeświecała przystań i budynek bindugi, o której wspominał Sołtysik.

Róg placu zajmowało coś na kształt małego budyneczku. Napis dla zwiedzających obwieszczał, że właśnie znajdują się przy Wieży Schodowej - przelotny uśmiech rozjaśnił twarz Lewickiej.

Odwróciła się i uniosła głowę chcąc zobaczyć godzinę na zegarze umieszczonym wysoko na wieży, odcinającej dostęp do górnego tarasu. Był kwadrans po jedenastej. Marek powinien właśnie skręcić na groblę łączącą klasztorną wyspę ze stałym lądem.

Przyspieszyła kroku, okrążyła wieżę i odnotowała w pamięci, że pod nią mieści się przytulna kawiarnia. W rześkim powietrzu unosił się zapach świeżo mielonej kawy.

Szybko przebiegła pod plebanią. Przy murze właśnie zaparkował granatowy opel. Wysiadł z niego obcy mężczyzna. Dopiero teraz zauważyła, że samochód miał inne numery rejestracyjne. Postanowiła zaczekać przy niskim murku, oparła się o niego i zanurkowała wzrokiem w rozległą panoramę jeziora okolonego ze wszystkich stron budzącym się do życia lasem.

Wysoki i chudy mężczyzna, zatrzasnął drzwiczki samochodu i zniknął w bramie z napisem „Biuro”.

Nie minęło kilka minut, gdy wrócił mrucząc coś do siebie i klnąc pod nosem. Zdjął czapkę z daszkiem odstawiając łysą głowę obciążoną błyszczącą skórą, ze złością uderzał czapką o udo. Szarpnął drzwi i ciężko wsiadł do samochodu, aż skrzypnęły resory. Po chwili dogonił go Marciniak. Zaczepił się długim noskiem modnych butów i ledwie wyhamował na przodzie wykręcającego z piskiem opon samochodu.

- Zwariowałeś?! - krzyknął wściekle mężczyzna za kierownicą. - Porysujesz mi lakier!

- Zaczekaj - dyrektor strzepnął spodnie i poprawił szal niedbale związany na szyi. Jego ubranie było drogie i w najlepszym guście, tak jak szal w brązowo-zielone prążki, który idealnie pasował do brązowej marynarki i zielonkawej koszuli o miękkim splocie.

- To był tylko taki żart - sztucznie się uśmiechnął, gdy kątem oka zauważył Lewicką. - Nie kłóćmy się o drobiazgi.

- To nie są drobiazgi! - zapiał mężczyzna. Na tysej czaszce wyraźnie zarysowały się żyły. - To podły szantaż!

- Po co zaraz te wielkie słowa - Marciniak starał się przyjąć bez troski

ton. - Po co te sceny? - dodał ugodowo i obejrzał się na Lewicką.

- Wkurzasz mnie - lysy wycodził przez zaciśnięte zęby.

- Dobra, już dobra. Masz załatwione. Możesz go przywieźć.

- A tamta sprawa? - spytał mężczyzna i również spojrzął w kierunku pani komisarz.

- Jeszcze o tym pogadamy - zaśmiał się Marciniak.

- Chyba w trumnie - żyły na szyi napięły się jak postronki, wyglądał jakby chciał napluć w zadowoloną, opaloną kwarcówką twarz. Zaszumiła szyba, zawył silnik i opel zniknął w wąskiej bramie, spod kół prysnął żwir i piasek naniesiony deszczem i już mknął drogą między domami, graniczącą z klasztorem, wsi.

- A to dobre! - parsknął dyrektor.

Odwróciła głowę, nie interesowały ją dziwne relacje Marciniaka z resztą świata. Stał obok niej, wyjął złotą zapalniczkę z emblematem Harleya-Davidsona i przypalił długą, brązową cygaretkę.

- O, przepraszam. Zdaje się, że wyszedłem na chama. Pani pali?

- podsunął jej skórzane etui pachnące tytoniem.

- Nie, dziękuję.

- Powinna go pani znać? - papieros w kąciku ust, wykrzywił jej w dół, dodając cynicznego wyrazu uśmiechowi.

- Kogo?

- Mojego nadpobudliwego gościa - skłonił się w jej stronę.

- Dlaczego powinienam?

- Bo to znany biegły sądowy.

- Nie znam wszystkich biegłych sądowych.

- Ten jest bardzo wyjątkowy.

Nie odezwała się, towarzystwo Marciniaka zaczynało być kłopotliwe. Nie mogąc odejść, czekała przecież na męża, patrzyła na lśniącą taflę jeziora.

- Lekarz powinien pomagać potrzebującym, prawda?

Pominięła milczeniem pytanie. Nie chciało jej się nawet ust otwierać. Wolałaby pozostać anonimowa, nie żeby przeszkadzało jej, że ludzie natychmiast zmieniają swój stosunek, gdy dowiadują się, że mają do czynienia z policjantką, ale na dzisiaj miała serdecznie dość tych pseudofilozoficznych dywagacji.

- A co ma zrobić, jeśli tym potrzebującym jest pospolity przestępca? A może nawet zbrodniarz?

Niezrażony brakiem zainteresowania kontynuował:

- Iluż to złoczyńców uniknęło ostrego miecza sprawiedliwości dzięki pazernym i pozbawionym wszelkich hamulców lekarzom. Tak, ten łysy gość też nie jest bez winy.

Upuścił niedopalek i rozgniółł go obcasem wyczyszczonych na wysoki połysk butów.

- Zdaje się, że pani mąż nadjeżdża. Dziękuję za pouczającą wymianę zdań - sarkastyczny uśmiech znów wykrzywił jego męską twarz.

Marek zawiął z fantazją, cofnął i ustawił samochód równolegle do pozostałych, zatrzymał silnik. Wskoczył z rozmachem otwartych drzwi i podbiegł do niej lekko jak żrebak. Był zadowolony z siebie, choć nieco spięty. Zawsze lubił prowadzić samochód, a długie trasy nigdy go nie męczyły. Czują, że dobry humor Marka zawdzięcza raczej temu, co mąż pozostawił w Warszawie.

- Jestem - przyjemny dotyk rozgrzanego słońcem policzka musnął czoło, uściśnął ją mocno i zajrzał głęboko w oczy. Miał niepewną minę, jakby coś zmalował, był czujny i jednocześnie skory do ugody. Może ten weekend miał być zadośćuczynieniem.

- Mam plan. Najpierw spacer, potem obiad, a potem... - zniżył głos do gardłowego szeptu - potem nie będziemy wychodzić z pokoju.

- Raczej z domku - dotknęła jego ust.

- Niech będzie, że z domku - żarliwie odwzajemnił pocałunek i uśmiechnął się szelmowsko.

Wyjął torbę i zapytał:

- W którą stronę?

Wzięła go za rękę i poszli w pół objęci, zagładając sobie w oczy.

Zaróżowieni od wiatru, nieco przemarznięci, bo pogoda wciąż miała swoje zimowe kaprysy, wpadli do restauracji roześmiani i mile zmęczeni długim spacerem.

Na przystawkę zamówili sobie po naleśniku ze szpinakiem. Nie wzgardzili także rosołem z kołdunami. Różnice pojawiły się dopiero przy daniu głównym

- Kochanie, spróbujmy poledwicy. Mam ogromną ochotę na krwiste, czerwone mięso - mrugnął do niej. - Czuję, że dziś będą mi potrzebne siły.

Beztrąsko plótł, co mu ślina na język przyniosła.

- Zaintrygowały mnie te rybne roladki na sosie cytrynowym. Uwielbiam ryby i pozostaną przy nich.

- Co weźmiemy na deser?

- Może znowu po naleśniku. Nie mam kiedy ich smażyć, a przypominają mi dawne dobre czasy.

- Chyba chciałaś powiedzieć chude czasy. Pamiętam, że w akademiku smażyłaś je na okrągło. Czy masa makowa jest z bakaliami? - zwrócił się do młodego kelnera.

- Z rodzynkami, migdałami i skórką pomarańczową - usłużnie wyjaśnił.

- W takim razie dwa razy - zamknął okładki menu, kończąc tym samym dalsze wybieranie z jadłospisu.

- Może wino do dania głównego - zapytał kelner.

- Dla mnie kieliszek Chablis.

- A ja poproszę butelkę Hoya de Cadenas - Marek zatarł dłonie.

Kelner zniknął jak duch, by po chwili przynieść kieliszki i wino.

- Spróbujesz?

- Czemu nie - ciemny, niemal jagodowy płyn wypełnił cienkie szkło kieliszka, dopiero pod światło widać było, że to głęboka czerwień rodząca krwiste refleksy.

- Intensywnie w smaku i aksamitne - Marek z uznaniem mlasnął językiem.

Do biurka, jeszcze bledszej niż rano kierowniczk sali, dosiadła się recepcjonistka Kasia. Kierowniczka nerwowo mięła w dłoniach chusteczkę, co rusz skubiąc jej coraz krótsze rogi, kawałki ligniny spadały na drewniany parkiet. Recepcjonistka ze zrozumieniem potakiwała w rytm szlochów i spazmów szczupłej kierowniczki. Od czasu do czasu rzucała ukradkowe spojrzenia w kierunku dyrektorskiego stolika, gdzie zasiadło trzech mężczyzn. Dwóch Lewicka już poznała, trzeci o wyglądzie atlety pochylony nad talerzem łączywie obgryzał wielkiego kurczaka, siedział bokiem do nich. Szeroki, spalony słońcem kark był prawie czarny przy jasnoróżowej koszuli, przez którą wyraźnie odznaczała się rzeźba mięśni pleców. Czarne, błyszczące od żelu włosy były krótko przystrzyżone, sterczały ku górze tworząc rodzaj nastroszonego czubka.

- Czy nie wydaje ci się, że tam odbywa się jakaś tragedia? - Marek wskazał brodą dziewczyny przy wejściu.

- Ta w wiśniowych włosach jest w ciąży. Raczej nieplanowanej. Zdaje się, że dyrektor hotelu ma coś z tym wspólnego. To ten długowłosy blondyn przy tamtym stoliku. Ta druga to recepcjonistka. Pewnie obgadują to, co wkrótce ma się wydarzyć, albo to, co chciałaby, żeby się stało, ale się nie stanie.

- Skąd ci to przychodzi do głowy? Rozmawiałaś z nią? Mówiła ci?
- Są rzeczy o których nikt mi nic nie musi mówić. Widzę i wiem, że tak jest. Świat jest beznadziejnie poukładany, a ludzie jak w zaczerpniętym korowodzie... - zamyśliła się, by po dłuższej chwili dodać: - Wciąż powtarzają te same figury i taneczne układy - powiedziała cicho z niechętnym westchnieniem - wciąż popełniają te same błędy, deptając sobie i innym po palcach.

- Zgorzkniałaś.

- Być może - spojrzała w rozpalone gasnącym światłem słońca okno.

- Albo dorosłam.

- Przestałaś dostrzegać dobre strony życia - upił duży łyk wina.

Przyjrzała mu się bacznie.

- Ależ dostrzegam.

- Może nie lubisz już ludzi. Zbyt wiele zła widziałaś.

- Lubię. Nawet bardzo ich lubię. Dlatego mnie wkurzają. A najbardziej mnie wkurza, że są tacy zadufani w sobie. Uważają się za mądrych i nieomylnych, jakby byli pierwszymi istotami na ziemi, a przed nimi tylko chaos, a po nich choćby potop. Banda egoistów! - Dotknął czulej stroiny i nic nie mogło teraz powstrzymać goryczy jaka ją wypełniała. - Coś ci powiem, nie ma dobroci i nie ma absolutnego zła, są tylko egoistyczne pragnienia i przemożna chęć ich zaspokojenia. Oto perpetuum mobile, które napędza ten świat.

- Przesadzasz - pogardliwie wyduł usta. - Jesteś zmęczona i wszędzie widzisz zło wcielone...

Rumor przewracanego krzesła i przerażający pisk Sobieraja natychmiast przykuł uwagę hotelowych gości. Niski, krępy mężczyzna potężnym uderzeniem przewrócił Marciniaka wraz z krzesłem. Trzasnęło złamane oparcie. Dyrektor usiłował zasłonić się ramionami, w obronnym geście podkurczył nogi. Napastnik ukląkł przy nim i okładał go pięściami, dosłownie młóćąc powietrze. Sobieraj podskakiwał jak poparzony i piskliwym głosem wykrzykiwał nieartykułowane dźwięki.

Patykowata kierowniczką sali rzuciła się na napastnika i usiłowała go odciągnąć od dyrektora rycząc i szlochając:

- Bercik, przestań, błagam, zabijesz go.

Brunet w różowej koszuli spokojnie odłożył dopiero co obgryzioną kość kurczaka, wytarł ręce, odsunął Sobieraja, a potem rozhisteryzowaną kierowniczkę.

Jednym szarpnięciem oderwał od dyrektora napastnika o imieniu

Bercik. Sprawnie wykręcił mu ramię i brutalnie popychając na ścianę, krzyknął:

- Spokój!

- Leć po lód - polecił Sobierajowi, a ten podskakując, jak kot z pełnym pęcherzem, pobiegł w stronę kuchni.

Podał dłoń ogłuszonemu celnymi ciosami Marciniakowi i pomógł mu wstać.

Kierowniczką stała się niezdecydowana na środku poboju. Chciała podejść do dyrektora, ale zatrzymała ją dzikie spojrzenie krępego mężczyzny pod ścianą. Stała się mimowolną ofiarą zajścia, z rozbitego nosa dziewczyny sączyła się krew. Facet o imieniu Bercik podszedł do niej, niezdarnie wytarł jej twarz brzegiem mankietu i objął wciąż wstrząsane bezgłośnie szlochaniem ciało.

- Mówiłem ci, kurwa, żebyś trzymał łapy przy sobie - rzucił w stronę Marciniaka, który objął twarz rękoma. - Ostrzegałem, trzymaj się od niej z daleka, albo ci chuja na supel zawiążę.

- Zjeżdżaj stąd - burknął brunet w różowej koszuli.

Napastnik był młody, raczej szerszy niż wyższy, ogolona głowa z odstającymi uszami wyglądała jak mała piłka przy jego rozrośniętych ramionach.

- A pewnie, że sobie stąd pójdziemy - splunął na podłogę, zagarnął ramieniem dziewczynę i powiedział: - Anka idziemy.

Wyszli nie oglądając się za siebie.

Poblady kelner doprowadzał do porządku stół i podłogę wokół niego. Malutka, czarna kelnerka przybiegła ze szczotką i szufelką.

Brunet podniósł poprzewracane krzesła i pozbiierał spod nóg grubsze kawałki połamanych mebli.

- Ty się jeszcze kiedyś doigrasz - niespodziewanie zwrócił się do jęczącego Marciniaka, który odchylił głowę do tyłu, zacisnął oczy i usiłował wciągnąć powietrze przez obolały nos. - Ty i te twoje zabaweczki.

Niebieskie woreczki z lodem zachrzęściły w roztrzęsionych dłoniach Sobieraja:

- Lód przyniosłem - chciał przytknąć do zasinionej skroni szefa.

- Spierdalaj! - Marciniak odepchnął wyciągniętą rękę. - Wszyscy spierdalajcie. Mam was wszystkich dość! Was i tego ciągłego gadania. Zrobię z wami kiedyś, kurwa, porządek! Zobaczycie!

Sobieraj wyglądał jakby miał się rozplakać. Przystępował z nogi na nogę, wcale nie mając zamiaru odejść. Nadal, jak w ponurej pantomimie, wyciągał do Marciniaka rękę z niebieskim woreczkiem.

Brunet sięgnął po marynarkę i bez słowa wyszedł z restauracji.

- No, no, no - Marek nie mógł wyjść z podziwu. - Ty widziałaś, istne kino w kinie.

Dzień zapowiadał się pochmurny. Mimo późnej pory nie było widać słońca. Gęsta mgła spowijała widok za oknem, tylko ledwie widoczne drzewa porastające brzeg wskazywały gdzie kończy się wyspa, dalej było już tylko mleko.

Spojrzała na zegarek. Jeśli teraz weźmie szybki prysznic, to akurat zdąży na otwarcie kawiarni pod wieżą i pierwszą filiżankę mocnej kawy z ekspresu.

Z czułością spojrzała na męża. Zmarszczki, które na swój użytek nazywali „śmiechowymi” tworzyły na zewnątrz oczu Marka małe wachlarzyki, ucałowała je i ostrożnie się podniosła.

Rozpylone w powietrzu miliony drobnych kropelek osiadały na drzewach i krzakach, by upaść z cichym szelestem na martwą jeszcze murawę. Było zimno. Zrezygnowała z przejścia dziedzińcem i szeroką alejką wzdłuż muru, wybrała krótszą drogę przez wieżę zegarową. Zabrała klucz od pokoju pozostawiając męża w otwartym domku i szybko przeszła kilka kroków dzielących ją od dębowych drzwi wieży. Rozejrzała się niepewnie po klatce schodowej. Ktoś zostawił otwarte drzwi na zewnętrzny dziedzińiec, wyszła przez nie na wąski podest zabezpieczony kutą balustradką.

Mgła była tu nieco rzadsza, ale i tak ograniczała widok do niewielkiego trawnika na dole i kawałka trotuaru prowadzącego na zaplecze kawiarni.

Tuż pod nią stały cztery zakapturzone postacie, które w skupieniu pochylały się nad nieregularnym kształtem na ziemi. W pierwszej chwili pomyślała, że to jakaś inscenizacja, a ona niczym widz w loży głównej zaraz nagrodzi ich brawami, kameduli ożyli, wstali z mrocznych katakumb i odprawiają tu jakieś misteria.

Nagle, jak za pociągnięciem sznurka, cztery głowy uniosły się i spojrzały na Lewicką. Między nimi twarzą do ziemi z podkurczonymi nogami na wół kłęcząc leżał człowiek.

Włosy rozsypany się wokół głowy tworząc jasną aureolę, pasiasty sza-

lik zakrywał twarz, spod ciała wystawało jedno nienaturalnie wykręcone ramię z palcami dłoni oskarżycielsko wycelowanymi w niebo. Noski eleganckich butów zaryły w miękkiej od deszczu ziemi.

- Pan dyrektor miał wypadek, proszę pani - powiedział otyły mężczyzna spod kaptura.

Rozdział czwarty

Nacisnęła wymyślną klamkę i ciężkie, okute drzwi ustąpiły. Zapachniało delikatesami: czekoladą, orzeszkami i świeżo zmieloną kawą. W głębi kawiarni zabrzęczało szkło. Lewicka minęła regały z butelkami wina, otarła się o kryte skórą fotele i stanęła przy barze.

- Czy można napić się kawy? - głos zabrzmiał głucho i nienaturalnie.

Z zaplecza wyjrzała młoda kobieta. Ciemne włosy ze schludnym przedziałkiem po środku głowy rozdzielone nad gładkim czołem łagodnymi falami otaczały drobną twarz. Prosty, mały nos, a właściwie jego zapowiedź, mógł obudzić zazdrość w każdej kobiecie. Regularne łuki brwi, cień rozpostartych w locie skrzydeł, zawisły nad nieco zamglonymi oczami. Wydatne usta, złożone jak do pocałunku, pokrywał jasnoróżowy błyszczący. Za twarzą ukazała się reszta postaci, dziewczyna była wysoka i smukła, poruszała się z wdziękiem zawodowej tancerki. Krótka czarna spódniczka odsłaniała niebotycznie długie i zgrabne nogi. Rozpięte guziki białej koszuli odsłaniały kształtny dekolt. Dziewczyna wyglądała jak nimfa, która dla tajemniczego kaprysu bogów zesłana została między ludzi, by im jeszcze bardziej uzmysłowić, jak bardzo są przyziemi.

- Dzień dobry. Czy mogłabym napić się kawy? - powtórzyła pytanie.

- Oczywiście - dziewczyna zatrzepotała szczupłymi dłońmi, jakby chciała osuszyć oczy, ale to nic nie dało, po uróżowanych policzkach bezgłośnie popłynęły łzy.

- Zaczekam - Lewicka przysiadła na wysokim stołku. - Rozumiem. To straszne, co się stało.

Dziewczyna zaszlochala, kryjąc twarz w dłoniach, wiotka niczym elf nie pasowała Lewickiej do zadymionego wnętrza kawiarni, tac pełnych szklanek, syczących oparów ekspresu i rechotu zaczerwienionych twarzy nad kieliszkami z winem. Ale może na tym polegał urok tego świata, zastanawiała się.

- Przepraszam - zachlipała sylfida. - Zaraz mi przejdzie.

Lewicka rozejrzała się po kawiarni. Potężne filary podtrzymywały krzyżowe sklepienie przyziemia. Chropawe, pożółkłe ze starości i okopcone tynki pokryte były łacińskimi inskrypcjami. Z trudem odcyfrowała wyblakłą kaligrafię: *Vino pellite curas*. Nikły uśmiech przydał asymetrii bladym ustom. Horacy miał świętą rację, pomyślała, powinnam przyjść tu z Markiem i próbować rozproszyć winem nasze wspólne troski. Odwróciła głowę i tuż pod sufitem przeczytała: *Vulnera dum sanas, dolor est medicina doloris*. Niezadowolona ściągnęła brwi, czarna chmura przesłoniła spojrzenie, zastanawiała się, czy wytrzyma jeszcze więcej bólu. Po chwili czoło wygładziło się i spojrzenie znowu przybrało jasną przenikliwość niebieskich bryłek lodu. W tym stanie ból może tylko uleczyć, pomyślała. Musnęła dłonią jedwabistą powierzchnię dębowego baru, gładkiego i ciepłego w dotyku.

- Może przyjdę później? - spytała ostrożnie.

- Nie, nie - dziewczyna gwałtownie zatrzepotała dłońmi. - Już mi lepiej - głośno wciągnęła powietrze. Zdaje się, że powoli zwyciężało poczucie obowiązku. - Niech pani nie wychodzi - rozejrzała się zaniepokojona.

A może jednak atawistyczny lęk przed śmiercią, przed nieznanym, co w tej sytuacji doprawdy nikogo nie powinno dziwić.

- Nie chcę zostać tu sama - rzuciła okiem w stronę okien wychodzących na placyk pod wieżą zegarową.

Przez zakratowane szyby widać było szare postaci mężczyzn broniących wstępu na taras. Jeden stał na alejce wiodącej do bramy głównej, drugi przy drzwiach wieży schodowej, trzeci, którego nie było stąd widać, ochraniał wejście do alei dolnego tarasu, czwarty trzymał wartę obok schodów wiodących na wieżę zegarową. W szarych sztormiakach wyglądali jak wykuci z granitu. Jedyną żywą i aktywną postacią był posturkowy, który miarowo przemierzał ścieżkę okalającą placyk. Co chwilę wychylał się przez niski murek i nerwowo rozglądał wokół, wkrótce miała nadjechać ekipa dochodzeniowa.

- Jak pani na imię?

- Bożena - zaszemrała dziewczyna. Lśniący ekspres parsknął, zaszumiał i cienka wskazówka ciśnieniomierza zaczęła powoli piąć się ku czerwonej kresce.

- Wyobrażam sobie, że to prawdziwy wstrząs dla pani, Bożenko - powiedziała łagodnie Lewicka. - Szczerze współczuję.

- Och - śliczne usta zadrżały niepokojąco - to po prostu straszne. Żeby u nas, coś takiego... - ciemne grochy lez splamili białą dotąd bluzeczkę. - Taki młody...

- Nikt nie powinien umierać tak młodo.

Bożenka bezgłośnie połykała łyż, które same pchały się do oczu. Grubościenne filiżanki wypełniły powierzchnię ekspresu, spodeczki zabręczały oskarżycielsko, zadzwoniły łyżeczki w stalowym pojemniku.

- Za młody, proszę panią, żeby umierać - Bożenka zacisnęła powieki i pocięły strumyczki. - Przepraszam, rozkleiłam się, ale to naprawdę straszne.

Ekspres fuknął ostrzegawczo i zasyczał. Bożenka zręcznie ubiła czarny proszek, zaszczękały uchwyty, zaszumiało, zapachniało i gęsty pieniący się płyn pocięk do białej filiżanki.

Lewicka z ociąganiem rozdarła torebkę z cukrem, zamieszała kawę i oblizała łyżeczkę. Nie wypada tego robić publicznie, ale Lewicka w ten weekend nie chciała sobie odmawiać żadnej, nawet najmniejszej przyjemności.

- Mówią, że to samobójstwo - zaszemrała Bożenka. - Że... Że wyskoczył z wieży.

- Tak? A kto tak mówi?

- Stróż mi powiedział.

- A dokładnie?

- Że dyrektor wyglądał jakby wyskoczył z wieży, ale to przecież niemożliwe.

Lewicka ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Nie wierzę - barmanka pokręciła głową. - Po prostu nie wierzę, że chciał się zabić.

- Pani Bożenko, a kto to może wiedzieć, co w człowieku siedzi - westchnęła. - Pewnie miał jakieś problemy.

- Nasz dyrektor? Niby jakie? - różowe usteczka zadrżały.

- Może był chory albo porzucony.

- Widziała go pani? - wielka łyża zabrała ze sobą kolejną porcję tuszu.

- Znaczy się wcześniej. Nie znam... - do wilgotnej poprzedniczki dołączyła następną łyżę. - Nie znałam nikogo bardziej zdrowego...

Odwróciła się i wygrzebała spod baru paczkę chusteczek, głośno wytarła nos.

- Po prostu to się w głowie nie mieści - wychlipała. - Przecież, proszę panią, on kochał życie. Codziennie rano biegał. Pływał, żeglował, jeździł na nartach. Zdrowy, normalny facet.

- Tak. Zdążyłam go poznać - przyznała. - Przystojny nawet....

Oczy Bożenki znowu wypełniły się łzami.

- Dziewczyny musiały za nim szaleć - ni to spytała, ni to stwierdziła Lewicka. - A on lubił kobiety?

- Nie tylko. Ach, żeby lubił. On... - wąska wypielęgnowana dłoń zagarnęła powietrze - on je garściami brał. Czemu miał nie korzystać, jak same się pchały? Niestary, niebrzydki, z forszą, lgnęły jak do miodu.

- Pani go bardzo lubiła - Lewicka upiła łyżeczek słodkiego jak ulepek szatana z dna filiżanki.

- Co też pani?! - parsknęła wiotka dziewczyna. Kolejna chusteczka wylądowała w koszu. - Szeff, proszę panią, to jest szeff - pociągnęła nosem. - I nie ma co, lubić go, czy nie lubić. A ja, *proszę panią*, mam męża, córeczkę, nie w głowie mi takie zabawy - Lewicka ze zdumieniem przyjrzała się cienkiej talii nimfy, wydawało się niemożliwe, by w tak kruchej kobiecie mogło zmieścić się dziecko.

- Cały dzień stoję za barem, ciężka robota, a jeszcze człowiek musi być miły dla każdego - Bożenka zreflektowała się, że ostatnie słowa mogą zostać potraktowane jako niezbyt grzeczne wobec gościa. - Pani mnie rozumie - uśmiechnęła się przepaszająco.

Lewicka pomyślała, że uśmiech jest dodatkowym atutem ślicznej barmanki, co wcale nie jest regułą dla pięknych twarzy.

- Pełno tu takich, co robią maślane oczy na mój widok. Wiadomo - ze szczupłej piersi wyrwało się westchnienie pełne zrozumienia dla drobnych grzeszków śmiertelnych - przyjadą, nudzą się, to zaczepiąją - delikatna dłoń zatoczyła kółko i machnęła lekceważąco. - Wiadomo, jak to się kończy. Niejeden raz to widziałam.

Wzruszyła z rezygnacją drobnymi ramionami i wdzięcznym ruchem dłoni odgarnęła niesforny kosmyk z czoła. Wysmarkała nos i przygnębiona załamała kruche nadgarstki, spłotła smukłe palce i zamglonym wzrokiem aksamitno-czarnych oczu zapatrzyła się przed siebie, przenikając grube mury podpiwniczenia. Pani inspektor przyjrzała się uważnie swoim dłoniom. Były drobne, zwięzłe, o długich palcach, ale nawet one nie były tak kruche, jak dłonie Bożenki.

- Tak atrakcyjny mężczyzna musi mieć powodzenie u kobiet. Ale to musi budzić zawiść. Pewnie i zazdrość. - ostrożnie przyznała Lewicka.

- Mężczyźni chyba go nie lubili.

- Myśli pani o tym, co się wczoraj zdarzyło? - porcelanowe czoło przecięła cienka, jak ślad po ostrzu, zmarszczka. - Stróż mi mówił. Norberta poniosło, normalne. Anka sama się prosiła - nachyliła się w stronę Lewickiej i dodała zniżając głos - nie powinna bawić się kosztem Bertka.

On ją naprawdę kocha, a wiadomo dyrektor, to dyrektor. Dziś jest, jutro go nie ma... - Łzy znowu wypełniły sarnie oczy. - Boże, co ja mówię - pociągnęła nosem i odruchowo przetarła blat baru, przeganiając nieistniejące paproszki.

- Czy pani myśli, że ktoś go zabił? - zaczerwieniła się. - Pytam, bo recepcjonistka piówiła, że pani jest z policji.

- Nie wiem. Ale wszystko jest możliwe.

- Na pewno nie Bertek - pokręciła głową, a łagodne fale włosów zatrzęsły się w sprzeczności. - Chodziłam z nim do szkoły. Muchy by nie skrzywdził. To na pewno nie on. Dać w twarz, tak bez zapowiedzi, to do niego podobne, ale zabić...

- Widziałam, jak wczoraj zaatakował dyrektora. Nie wyglądał na takiego, co nie umie zabić, gdyby ich nie rozdzielono, mogło się to źle skończyć.

Barmanka zamrugnęła z niedowierzaniem.

- I niby Bertek zaciągnął dyrektora na wieżę, pobił i stamtąd zrzucił?

- Mogli się szarpać i w zaafowaniu ktoś kogoś pchnął za mocno.

- *Proszę panią*, nasz dyrektor może świętym nie był, ale on by się nie umawiał na żadne tajne schadzki, na pewno nie z Bertkiem. Jeśli chciał z kimś rozmawiać to tylko w swoim gabinecie. To był urodzony szef. Zawsze dawał do zrozumienia, że on jest tu najważniejszy.

- Może umówił się tam nie z mężczyzną, ale z kobietą?

- Z kobietą? - zdziwienie barmanki było niepomierne.

- Na wieży? Pani tam była? Tam tak wieje, że aż zatyka. I miejsca na nic nie ma - blade policzki zabarwił nagły rumieniec. - Nikt normalny, kto ma ciepły gabinet, mieszkanie na miejscu i kilkanaście pokoi do dyspozycji nie umawiałby się na wietrznej, zimnej wieży.

- A gdyby chciał się ukryć przed narzeczoną?

- Do tej pory się nie krył, to czemu miałby teraz? - nieoczekiwanie stwierdziła sylfida.

- Przypuścimy jednak, że Bertek zaczął się na niego?

- To by mu tam, gdzie się czał od razu przywalił i już. Taki jest Bertek. Ale dyrektor jest silnym mężczyzną więc... Chyba że z zaskoczenia

- dodała mniej pewnie.

Obie popatrzyły na siebie uważnie. Różany pączek ust barmanki zadrzął, z oczu ciekły łzy.

- Gadamy sobie tu tak o nim. A on tam... - dreszcz wstrząsnął ciałem Bożenki.

- Tak, to straszne - przyznała Lewicka. - Czy mogę prosić duże cappuccino? Bożenka w milczeniu pokiwała głową i odwróciła się, szczupłe plecy podrygiwały wstrząsane wzbierającym szlochem. - Nie będę panią dłużej męczyć. Usiądę sobie przy oknie i zaczekam.

Nie zdążyła jednak usiąść w przepastnym klubowym fotelu i cieszyć się ciepłem mlecznej kawy, miękką od mgły ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk. Hałas za oknem narastał, podniecone głosy przyzywały, lajały i zaklinały, wrzaski mieszały się z przenikliwym lamentem.

Wybiegła na placyk, dopadła do szamoczących się mężczyzn. Posterunkowy usiłował podnieść wijącego się po błotnistej murawie intruza. Na zmianę skomląc i wrzeszcząc nowo przybyły rył nogami błotnistą ziemię, wbijał szponiaste palce w rzadkie kępy trawy, usiłując zakotwiczyć się jak najbliższej ciała okrytego czarnymi workami, wrywał z ziemi istne kłęby martwych źdźbeł. Zziąjany i zaczerwieniony posterunkowy chwycił go za nogi i nie zważając na wrzaski ciągnął po trawniku w stronę żwirowej alejki.

Mężczyzna zaskowyczał, szarpnął się desperacko i jednym cełnym kopniakiem uwolnił od posterunkowego. Krzycząc coś bełkotliwie podniósł się na czworaki, chwiejnie powstał, zatoczył jak pijany i znowu ruszył w kierunku zwłok. Niewiele zastanawiając się, Lewicka skoczyła na mężczyznę. Nagły ciężar przygniół go do ziemi. Jedną ręką chwyciła za włosy i szarpnęła do tyłu, drugą złapała za ramię i boleśnie wykręciła. Mężczyzna zawył i zamilkł.

- Kajdanki! - krzyknęła za siebie.

Spięta nadgarstki szaleńca i szybko wstała. Posterunkowy nachylił się i pomógł podnieść się mężczyźnie, brutalnie przytrzymując go za ramiona.

Kraciasta kurtka przesiąkała błotem. Zlepione i skołtunione włosy żałośnie opadły na potylicę, odsłaniając twarz mężczyzny Zielonkawobrazowe smugi tworzyły niecodzienny makijaż zalanej łzami twarzy, utrudniając rozpoznanie rysów. Z kącika rozchylonych, wygiętych ku dołowi ust ściekała cienka strużka śliny. Spojrzał nieprzytomnie przed siebie i zamrugał krecimi oczkami, okulary stracił w walce. Teraz w niczym nie przypominał eleganckiego szefa marketingu Bogusia Sobieraja.

- Ja muszę, muszę - wybełkotał.

- Proszę się uspokoić - twardo powiedział posterunkowy i potrząsnął skutym ramieniem.

- Ale ja muszę - zaskomlał Sobieraj.

- Nic pan nie musi. Nie wolno zbliżyć się do denata - zagrzmiał policjant.

- Ale ja... - przeraźliwy szloch wstrząsnął jego ciałem i mężczyzna opadł na kolana.

Posterunkowy bezskutecznie usiłował go podnieść. Bezwład wstrząsanego spazmami szlochu ciała nie chciał ustąpić. Uderzył go otwartą dłonią w policzek, głośne plaśnięcie zwielokrotniły otaczające placzyk mury, poprawił siarczyście z drugiej strony. Sobieraj zawodził pod nosem niezrozumiałe zale.

Trzasnęły drzwi pod wieżą zegarową, na schodach stanął wysoki brunet w dresie. Zwinięty ręcznik otaczał jego masywny kark. Zbiegł lekko po stopniach, obszedł trawnik i jednym szarpnięciem postawił Sobieraja na nogach.

- Uspokój się - mocno przytrzymał ponownie słabnące ciało. - Zajmę się nim - zwrócił się do posterunkowego. - Odprowadzę go. Mieszka w eremie numer jeden, na końcu tej alejki - wyjaśnił. - Nazywam się Marek Grzegorek i jestem tu szefem reklamy, mieszkam w eremie numer siedem na górnym tarasie, ale pewnie zostanę z nim przez jakiś czas. Jak rozumiem policja jest już powiadomiona. Może go pan rozkuć, nie zrobi już żadnego głupstwa.

Posterunkowy z ociąganiem oswobodził wykręcone ramiona szefa marketingu. Grzegorek chwycił go w pól i powłókł w głąb alejki.

- Jak do tego doszło? - Lewicka spytała posterunkowego.

Policjant zdjął czapkę i podrapał się z zakłopotaniem po głowie:

- Moja wina. Spytałem palacza czy ma ogień, nie miał, wtedy ten, co stał w wylocie alejki, powiedział, że ma zapalki, *podeszłem do niego*, wyjąłem papierosy, na to wylazł ten cały szef marketingu, nim zdążyłem coś powiedzieć, już opadł denata...

- Ciekawe - nos Lewickiej pokryły drobne zmarszczki.

- Zniszczył ślady, jak kultywator zorał ziemię, ech - posterunkowy zmiął w ustach przekleństwo. - Szef to mi teraz da wycisk.

- Nikt nie mógł tego przewidzieć - próbowała go pocieszyć, choć w duchu przyznała, że posterunkowy nie spisał się należycie. - Jak przyjedzie oficer śledczy, to proszę mu powiedzieć, że będę w kawiarni pod wieżą. Zimno tu jakoś - zaszczękała zębami.

Po drodze wzięła pod ramię oniemiałą Bożenkę i weszły razem do przytulnego wnętrza kawiarni. Lewicka skręciła do łazienki. Stała nad umywalką, odkręcając kran. Uniosła do twarzy brudne dłonie i ostrożnie

je powąchała. „Czy tak pachnie strach?” - spytała siebie. Obejrzała uważnie grzbiety dłoni, a potem dokładnie umyła ręce.

- Czy mogłabym prosić kieliszek winiaku? - spytała, wracając do kawiarni.

Schroniła się w przepastnym fotelu, zatapiając wzrok w niewielkim okienku nad stolikiem. Po chwili barmanka postawiła przed nią pękaty kieliszek, po jego ściankach ściekały bursztynowe łyż.

- Czy to może pani na mnie czeka? - ciepły baryton zamruczał ponad jej ramieniem. - Komisarz Dariusz Banasik z Komendy Powiatowej w Suwałkach.

Niski głos policjanta zabrzmiał miło i życzliwie, mimowolny szelest towarzyszący syczącym głosom budził sympatię. Pomyślała, że właściociel ma szparę między zębami i jak zwykle się nie pomyliła.

- Podinspektor policji Ewa Lewicka. Wydział Dochodzeniowo-Sledczy Biura Kryminalnego Komendy Głównej.

Odzwajemnił krótki uścisk dłoni i usiadł naprzeciwko.

Pomrukiwał jak wyrwany ze snu borsuk, ospały w ruchach, mościł się w fotelu, poprawiając zwijającą się marynarkę. Borsucze wrażenie potęgował wygląd mężczyzny, ale Lewicka pomyślała, że to tylko fasada, za którą kryje się ktoś bardzo energiczny i żądny wrażeń.

Przedwcześnie posiwiałe skronie rozdzielone pasmem ciemnych włosów dziwnie kontrastowały z gładką twarzą mężczyzny. Szarość koszuli i aksamitna czerń wełnianej marynarki podkreślały jego masywną sylwetkę. Roztaczał wokół siebie przyjemny zapach cierpkich cytrusów podkreślony goryczą korzeni. Jego ciało nadal oddawało ciepło porannego prysznica. Starannie przycięty trzydniowy zarost tuszował zbyt obfity podbródek. Szeroka, mocna szczeka świadczyła o sile i stanowczości mężczyzny, jednak dołek w brodzie - znak wesołego usposobienia - wydatne, zmysłowe wargi i bystre spojrzenie oliwkowych oczu, mówiły, że ich właściciel ma sporo dystansu do siebie, lubi się śmiać, dobrze zjeść i na pewno nie brakuje mu wiernych przyjaciół.

- Miło mi. Co panią tu sprowadza? Sprawy służbowe?

- Jeśli jej obecność nie była mu na rękę, nie okazywał tego.

- Jestem tu prywatnie - uśmiechnęła się blado. - Chciałam wypocząć.

- Czy to pani znalazła zwłoki?

- Me. Stróż, palacz i dwaj pracownicy techniczni, *przyszli sprawdzić*, czy jakiś dach nie przecieka.

- A pani?

- Chciałam napić się kawy i weszłam na nich. Potem stróż poszedł zawiadomić policję, a ja czekałam przy zwłokach na posterunkowego. To wszystko.

- I co pani o tym myśli?

- Na moje oko nie żyje od kilku godzin.

- Na moje, też. Lekarz powie nam pewnie to samo. Przyjechała ze mną cała ekipa, więc wstępne wyniki autopsji będziemy mieli za chwilę. Myśli pani, że to było samobójstwo?

- Widziałam go wczoraj po południu i nie wyglądał na samobójcę.

- Ach tak - zamyślony pocierał dłonią podbródek. - Pani go znała?

- Nie. Po raz pierwszy zobaczyłam go w piątek, zaraz po moim przyjeździe. Po raz ostatni wczoraj w restauracji, w międzyczasie zamieniliśmy zaledwie kilka zdań.

Z hukiem otworzyły się drzwi i do wnętrza wtargnął potężny mężczyzna, miał na sobie białe ubranie ochronne.

- Cześć - powiedział bezceremonialnie. - Słyszałem, że macie tu kawę - uścisk jego dłoni był nieco wilgotny. W przestrzeniach między palcami widać było biały ślad talku z rękawiczek. - Dajcie mi tu kapucynka, a chyżo? - zahuczał. - Znaczą się cappuccino poproszę - uśmiechnął się do pobludłej Bożenki. - I dużo cukru. Macie w torebeczkach? Poproszę co najmniej cztery.

- Słyszałem, że cukier to biała śmierć - uśmiechnął się pod nosem Banasik i dokonał szybkiej prezentacji: - Bogdan Wieczorek, nasz ekspert sądowy. Pani inspektor Ewa Lewicka, Komenda Główna w Warszawie.

Wielkolud w białym kombinezonie skinął uprzejmie głową.

- O proszę, jakimi to bajkami ludzi karmią - stwierdził filozoficznie i obdarzył Lewicką kpiarskim spojrzeniem głęboko osadzonych oczu.

- Źle słyszałaś, mój drogi, cukier jest niezbędny dla pracy mózgu, a mnie będzie dzisiaj potrzebna pełna moc. Muszę z synem odrobić matematykę na poniedziałek. Nie będzie łatwo, nie będzie - westchnął komicznie.

- A wiecie, że cappuccino po włosku to po prostu kapucynek. Cynamonowy beż kawy z mlekiem przypomina Włochom kolor mnisiego habitu. Odpowiednia nazwa dla kawy w takim miejscu, nieprawdaż?

- A co nam powiesz o denacie? - Banasik przysunął bliżej popielniczkę i przypalił lekarzowi papierosa.

- Nieżle się trzymał - kłęb dymu przesłonił szeroką twarz lekarza.

- Na pierwszy rzut oka - nie dałbym mu więcej niż czterdzieści lat, może nawet mniej, a wiesz ile miał naprawdę?

-Ile?

- Czterdzieści osiem. Widziałem dokumenty, nienaruszony portfel nadal tkwił w kieszeni marynarki, prawdopodobnie nic nie zginęło. Twoje chłopaki wszystko ładnie zabezpieczyły.

- Proszę, proszę. Coś jeszcze? - Banasik nie krył lekkiego rozbawienia.

- Ma mocno pokiereszowaną twarz, ktoś mu nieźle przyłożył, to te starsze zasinienia, ale są też nowe otarcia, pewnie skutek zetknięcia z ziemią, ma też wyłamany bark i złamaną kość ramieniową z przemieszczeniem, no i niewątpliwie skręcony kark. Ale nie to było przyczyną śmierci.

- Skręcił sobie kark? - Banasik upewniał się, szybko porządkując otrzymane informacje.

- Tak, ale po śmierci - lekarz upił łyk kawy i zaciągnął się demonstracyjnie papierosem. Celebrował moment puszczenia kolejnej informacji w obieg.

- No i? - Banasik zawiesił głos. - Nie trzymaj nas w napięciu. Mów.

- Z tyłu głowy, na linii styku kości potylicznej i skroniowej jest otwór, właściwie spora szczelina. Prawdopodobnie to była przyczyna śmierci.

- Czyli?

- O rany, nie wiem. Więcej będę wiedział po sekcji. Ale powiem ci, że był martwy nim spadł z wysokości.

- Co mogło spowodować ten uraz?

- Mógł się przewrócić i uderzyć o coś twardego.

- Mógł mu ktoś w tym pomóc.

- Pytasz, czy go popchnął? Nie wykluczam. Równie dobrze mógł go ktoś uderzyć, chociaż to mało prawdopodobne. Urazy w tym miejscu są zazwyczaj wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Mógł uderzyć głową o jakiś kant. Może marmurowy blat lub parapet - rozejrzał się wokół siebie.

- Zabytkowe miejsce, więc pewnie jest tu tego sporo. Wkrótce znajdziecie odpowiedni kształt. W każdym razie było to coś twardego i uderzył się o to z dużym impetem.

- Więc to nie było samobójstwo.

- Na pewno nie.

- Ale udziału osób trzecich nie możesz wykluczyć?

- Na razie niczego nie wykluczam.

- Czy ktoś mógł go uderzyć?

- Teoretycznie wszystko jest możliwe. Jeśli nawet ktoś go uderzył, to

pod tak dziwnym kątem i... - lekarz zamyślił się, jakby się nad czymś zastanawiał. - Dobra, nie wykluczam.

- Rozumiem. Kiedy pani nas opuszcza? - Banasik zwrócił się do Lewickiej.

- We wtorek po śniadaniu - odpowiedział.

- A nie zajęłbyś się ciałem dzisiaj? - komisarz spojrział błagalnie na lekarza.

- Czekałem, że to powiesz - patolog przewrócił znacząco oczami.

- Matematyka może chyba poczekać?

- Nie może, ale z przyjemnością zwalę ten obowiązek na żonę

- uśmiechnął się do nich szeroko. - Wolę towarzystwo denata niż równania z dwoma niewiadomymi i wstręt mojego dziecka do królowej nauk.

Dobra. Zrobi się.

- Aha, jeszcze jedno. Czas zgonu?

- Nie będziesz ze mnie zadowolony. Osiem do dziesięciu godzin.

- Ależ jestem - szybko przyznał Banasik.

- Pyszna kawa - lekarz mlasnął językiem i uśmiechnął się do Lewickiej. - Widzę, że klient już w samochodzie, więc czas na mnie. W razie czego będę dzwonił.

- W razie czego?

- W razie nowych trupów. E, chciałem powiedzieć tropów - zaśmiał się chrapliwie ze swego wątpliwego dowcipu.

Rozdział piąty

- Pani Ewo - zaczął Banasik. - Przepraszam, czy tak mogę zwracać się do pani?

Lewicka pomyślała, że trywialne pytanie komisarza właśnie zmniejszyło jej kredyt zaufania do niego. Mężczyźni protekcyjnym zwrotem „pani Basiu” lub „pani Jagódka” zawsze usiłują skrócić dystans między sobą a kobietą, z którą przyszło im rozmawiać. Do nowo poznanego mężczyzny nigdy nie mówią per „panie Waławie” czy „panie Jurku”, nie odważyliby się, bo to za bardzo naruszałoby sferę prywatną, ale do kobiet zawsze się tak zwracają. Spoufalają się, jakby kobiety nie miały stanowisk, tytułów i nazwisk. Chociaż, przyznała w myślach, nazwiska kobiet zazwyczaj należą do innych mężczyzn, więc przejście do imienia, z oficjalnym „pani” na początku, może niweluje dyskomfort jaki odczuwają, gdy mu-

szą zniżyć się lub wspiąć na palce w czasie rozmowy z przybyszka z innej planety. Ostatecznie my, kobiety, jesteśmy z Ziemi, rozważała, a oni, mężczyźni, chociaż z nas, to jednak jakby z innej planety.

- Może pan - Lewickiej było właściwie wszystko jedno.
- Więc nie znalazła pani denata?
- Już panu mówiłam. Trudno nazwać znajomością wymianę grzecznościowych powitań i kilka zdawkowych uwag o naturze ludzkiej.
- Kiedy pani widziała go po raz ostatni?
- Wczoraj przy obiedzie, gdy...
- A później?
- Byłam w swoim pokoju, z mężem - na ostatnie słowa Banasik uśmiechnął się znacząco.

W odpowiedzi na wymowne spojrzenia komisarza Lewicka dodała sucho:

- Nie wiem, co się wydarzyło między tamtym incydem w restauracji a jego śmiercią. Nie wychodziliśmy z pokoju. Kolację zjedliśmy u siebie.

- O jakim incydencie pani mówi? - pytanie padło szybko, zbyt szybko. Banasik poprawił dłonią kołnierz marynarki, jakby go uwierał i dyskretnie potarł czubek nosa.

Wiedział o wczorajszej bijatyce, ale z jakichś sobie tylko znanych powodów nie przyznał się do tego, czekał, co mu o tym zdarzeniu opowie Lewicka. Wiedział, że była świadkiem ataku na dyrektora. Myśl o tym rozbawiła ją.

- Wczoraj przy obiedzie miało miejsce nieprzyjemne zdarzenie. Marciniak został pobity przez młodego mężczyznę, to chyba jakiś bliski znajomy kierowniczkę restauracji. Zdaje się, że ona ma na imię Anka. Świadcami byli goście hotelowi, w tym ja, obsługa i mężczyźni towarzyszący Marciniakowi. Jeden z nich to szef marketingu hotelu, a drugi to wysoki brunet o sylwetce atlety. To on interweniował, powalił napastnika i rozgonił całe towarzystwo.

- To pewnie Marek Grzegorek, taki gość od „pi aru”. Rzeczywiście dużo ćwicz. Spotykam go czasem na policyjnej siłowni.

Lewicka przyjrzała się barczystej sylwetce Banasika, która tak jak i jego podbródek powoli i nieuchronnie ulegała zaokrągleniu. Zdecydowanie powinien częściej ćwiczyć, pomyślała. Zdaje się, że „czasem” na siłowni zjawiał komisarz i pewnie wtedy spotykał szefa reklamy hotelu, bo patrząc na umięśnioną sylwetkę Grzegorka, ten na pewno zaglądał na siłownię codziennie.

- Spotkałam go dzisiaj rano. Zdaje się, że szedł pobiegać.

Banasik zapatrzył się w dno filiżanki. Resztki kawy nie chciały podpowiedzieć rozwiązania. Poprawił się na fotelu, odchrząknął i wlepił oliwkowe spojrzenie w twarz pani inspektor.

- Nim panią o coś poproszę. Powiem, co ustaliłem do tej chwili. - Tęczęwki jego oczu nabrały intensywnie zielonej barwy. - Wczoraj o szesnastej trzydzieści Marciniak złożył doniesienie o pobiciu. Rozmawiałem już z oficerem dyżurnym. Ledwo zdążyłem, bo właśnie kończył dyżur. Jemu także Marciniak nie wydawał się typem samobójcy. Był bardzo rzeczowy. Miał się zgłosić na obdukcję lekarską, ale nie wydawał się tym specjalnie przejęty. Powiedział, że nos ma cały i w sumie nic się nie stało, ale nie może tego puścić płazem, bo mu na to nie pozwala prestiż, czy jakoś tak. Rzeczywiście miał opuchniętą i posiniaczoną twarz. To tyle.

Banasik westchnął i potarł dłonią policzek.

- Chyba napiję się kawy - dał znak kelnerce. - O której miał miejsce ten incydent?

- Kilkanaście minut p< j piętnastej. Zna pan napastnika? - Lewicka zamówiła kolejne cappuccino.

- Niejaki Norbert Olejnik. Pracuje w firmie ochroniarskiej, jeździ w patrolu. Czy denat mógł się uderzyć w głowę? Pani to przecież widziała.

- Upaść upadł, ale nie wydaje mi się, żeby specjalnie oberwał w głowę. Na pewno nie tak, żeby powstała w niej dziura.

- Właśnie, właśnie - przytaknął Banasik.

Natarczywy wzrok komisarza przypomniał Lewickiej nachalne spojrzenie psa z dzieciństwa. Łaciatej foksterierki domagającej się słodyczy. Rozpuszczona przez rodziców sunia biegła co sił w nogach na sam szelest rozwijanych papierków albo na ciche skrzypnięcie drzwi od kredensu.

- Coś mi tu nie pasuje? Po południu denat zostaje pobity, rano znajdujemy go martwego - Banasik pokręcił głową. - Zabił się, bo młodszy i niższy od niego gość dał mu w gębę? Przecież nie. Czy ten gość mógł wrócić i dokończyć dzieła? Możliwe, ale jeśli tak, to gdzie to zrobił. Byłem na wieży. Nie widać śladów walki. Czysto - oliwki żrenic znowu zbladły.

- Dziwne to wszystko.

Wietrząc w powietrzu coś niepokojącego, Banasik nerwowo poruszył nozdrzami.

- My tu nie mamy zbyt wielu morderstw. Trzy rocznie to i tak dużo. W większości ofiary burd domowych i ostrej, zbyt ostrej, wymiany zdań po pijaku. Pani doświadczenie bardzo by się nam przydało. Co nieco sły-

szałem o pani. Przecież nie awansuje się tak wysoko za brak wyników w pracy - natrętne spojrzenie znowu przybrało na sile. - Czy zechce pani, jeśli nie jest to zbyt duża beczelność z mojej strony, na bieżąco wspomagać śledztwo? Pani spostrzeżenia będą dla mnie nieocenione.

- Nie wyklucza pan morderstwa?

- Niczego nie wykluczam. Już wiemy, że to nie samobójstwo. Jeśli tak, to zadaję sobie pytanie, jak on się dostał na tę wieżę? Tam jest sporo kurzu, na samej górze nie ma okien, a sezon jeszcze się nie zaczął i nie wydeptali go turyści. Widać ślad jakby kogoś wleczono... Patolog, jak sama pani słyszała, stwierdził, że w chwili zetknięcia z ziemią denat był już martwy. Ale na górze nie ma o co się uderzyć. Chyba że o stopień schodów, ale wtedy spadałby raczej w dół klatki, a nie wypadł na zewnątrz. Myślę, że ktoś mu pomógł pokonać tę przestrzeń - niepewność zagościła w oczach Banasika. - Czy mogę na panią liczyć?

Zastanawiała się, czy podjąć wyzwanie. Marek nie będzie zadowolony, chyba że zajmie się czymś i zniknie z horyzontu. Z drugiej strony wydawało się jej, że prośba o pomoc jest czymś w rodzaju sprawdzianu, że Banasik chce się jej przyjrzeć i udowodnić sobie i jej jakieś własne tezy. Ostatecznie on też nie został podkomisarzem w zamian za podpisywanie listy obecności. Tutejsza policja miała spore osiągnięcia w walce z przemytem na wielką skalę i z tego co wiedziała, Banasik miał w tym własny udział.

- Oczywiście, że tak, panie Darku.

- Dziękuję.

Obok stolika stanął niski mężczyzna, rozpięta kurtka odsłaniała wzorzysty sweterek, rogi pomiętego kołnierzyka zawadiacko sterczały do góry.

- Aspirant sztabowy Wiktor Nalewajko melduje się na rozkaz.

- Nie wygłupiaj się - Banasik gestem zaprosił policjanta do zajęcia miejsca obok nich. - Mów, co nowego.

- Znaleźliśmy przy nim klucze. Jeden z nich to taki klucz uniwersalny, otwiera tutaj wszystkie zamki. Mają tu takie specjalne wkładki. Im wyżej stoisz w hierarchii, tym więcej sezamów stoi przed tobą otworem. Za pomocą tego jednego klucza dostaniesz się do biura, tych wszystkich przejść i furtek, kawiarni, restauracji, a nawet magazynów. Spytałem recepcjonistki, fajna sztuka - ukradkiem spojrział na Lewicką, ale ta siedziała nieporuszona - mówi, że takich kluczy były cztery komplety, czwarty jest u niej w szafie pancерnej, jako klucz awaryjny.

- To ciekawe. I co dalej?

- Denat mieszkał na terenie hotelu. Przynajmniej zimą, tak twierdzą pracownicy. Już tam byliśmy. Nic ciekawego. Zebraliśmy trochę odcisków palców. W sobotę rano buszowała tam sprzątaczką, jasne, że są tam tylko ślady z tego dnia, prawdopodobnie denata i sprzątaczkę. Teraz idziemy do biura i do jego gabinetu.

- Dzięki, obejrzymy sobie to mieszkanie i zaraz do was dołączymy.

Nalewajko pożegnał się i opuścił ich tak prędko, jak się pojawił.

- Nim wyjdziemy, zadam kilka pytań barmance - Banasik podniósł się raptownie.

- W takim razie skorzystam z toalety.

Policjant podszedł do baru, wyjął notes i długopis.

- Jak się pani nazywa?

- Bożena Kurowska - czuła się zaskoczona.

- Wczoraj pani pracowała?

-Tak.

- Chciałabym zapytać o miniony wieczór. O której pani skończyła?

- Koło wpół do dziesiątej.

- Ale kawiarnia czynna jest do dwudziestej pierwszej?

- Tak. Zamknęłam jak zwykle. Po zamknięciu zawsze sprzątam.

I o wpół do dziesiątej oddaję klucz stróżowi, recepcjonistka kończy wcześniej - wyjaśniła. - Staram się zdążyć, nim stróż wyjdzie na obchód. Wczoraj było tak jak zwykle.

- Czy coś pani zauważyła? Coś panią zaniepokoiło?

- Nie. Nic takiego nie widziałam - oczy Bożenki wypełniły się łzami szczerzego żalu.

- Jacyś obcy?

- Obcy zawsze się kręcą. Wczoraj mieliśmy taki wieczór tematyczny. Było trochę gości z zewnątrz. Ale wszyscy wyglądali bardzo zwyczajnie.

- A miejscowi? Pracownicy? Może coś panią zastanowiło?

- Nie - zrezygnowana pokręciła głową. - Chociaż... Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Już po zamknięciu, słyszałam czyjeś kroki na chodniku, wyrzłam i wtedy zobaczyłam pana Grzegorka. Wychodził z magazynu podręcznego. To tu obok, takie drzwi po środku tego muru, tu pod górnym tarasem. Może on coś widział - usta wykrzywiła w żalną podkówkę.

- Dziękuję pani bardzo.

- Czy to wtedy? - obejrzała się nerwowo za siebie. - Czy to wtedy zabito dyrektora?

- A kto pani powiedział, że zabito?

- Nikt, ale przecież nie popełnił samobójstwa, prawda? - sarnie oczy jeszcze bardziej zwilgotniały. - Nie ktoś taki jak on.

- Nic jeszcze nie wiadomo. Dziękuję za informacje.

Lewicka gotowa do wyjścia, stanęła obok niego.

- Idziemy? - spytała.

- Tak, oczywiście - szybko odwrócił się, schował notatnik do wewnętrznej kieszeni marynarki i gestem wskazał wyjście.

- Przyjechała pani z mężem? - przytrzymał drzwi i przepuścił ją przodem. Jego wzrok ześlizgnął się z karku kobiety, omiótł plecy, zawinął wokół bioder i szybko skontrolował długość nóg.

- Tak. Z mężem - odruchowo spojrzała na swoją dłoń, obrączka była na miejscu.

Pewnie sprawdził już listę zameldowanych w hotelu i odkrył, że mężczyzna który dzieli z nią pokój nosi inne niż ona nazwisko. A może chciał się tylko upewnić, że naprawdę przyjechała tu na wypoczynek.

Szli obok siebie, Banasik z prawej strony, ćwierć kroku za nią, ochraniając ją ciałem. Mocniej otuliła się barwnym szalem, mgła dopiero zaczęła ustępować, słońce niemrawo przedzierało się przez niskie chmury.

- Czyżby drugi miesiąc miodowy? Pewnie powinienem powiedzieć weekend miodowy? - spytał wesoło.

- Nie. To ostatni.

Brwi podjechały mu prawie pod linię włosów, źrenice mimowolnie rozszerzyły się i szybko skryły w szparkach powiek, oczy Banasika na powrót stały się czujne i taksujące. Zastanawiał się, czy jest taka bezgranicznie szczerą, czy tylko sobie kpi z niego.

- Co pani o tym wszystkim myśli?

- Dopóki nie wykluczymy udziału osób trzecich, należy przyjąć tezę o zabójstwie.

- Ma pani jakieś konkretne zarzuty?

- Na razie zbieramy okrucieństwa zdarzeń. Nie wiem, co się stało i nie wiem, co o tym myśleć. I powiem panu - zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy - ten moment lubię w śledztwie najbardziej. Na razie powstrzymam się od jakichkolwiek opinii.

Wyłożona płaskimi kamieniami alejka prowadziła do przejścia pod wysokim domem, a dalej szerokim podjazdem do bramy wjazdowej. Skręcili w wyłom w murze oporowym, pokonali wyślizgane tysiącami stóp kamienne schodki i stanęli przed ozdobną kratą furty na górny taras.

Ozdobny łuk dwuskrzydłowej bramki strzegły milczące figury świętych. Benedykt mocniej wsparł się na kamiennym pastorału i objął ich twardym spojrzeniem pustych oczu. Właśnie minął ich czarny ambulans, który z wyłączonym silnikiem powoli przetoczył się brukowanym podjazdem. Skamieniały wzrok Romualda odprowadził go do kolejnego załomu w murze.

Z łatwością odnaleźli drzwi do eremu, na posterunku stał młody policjant w mundurze. Banasik skinął mu głową i wszedł do środka.

Skromny trawnik wewnętrznego dziedzińca domu otoczony był nieregularnymi rabatami. Niedawno je przekopano i zasilono, pomarszczone liście prymuli jarzyły się jasną zielenią na tle brunatnej grządkki. W rogu rosła poskręcana od wiatru, naga o tej porze jabłonka, pod nią ławka. Obok stał ogrodowy stół i dwa wiklinowe fotele. Przez wykusze, osłaniające patio od południa, wdzierał się przepojony zapachem wilgotnej ziemi, ciepły wiatr.

Wyłożona betonowymi płytkami ścieżka prowadziła do drzwi wejściowych. Wewnątrz domku przywitało ich miłe ciepło. Pachniało zamieszkanym siedliskiem ludzkim i potem mężczyzn, którzy dopiero co opuścili to miejsce.

Lewicka weszła do pierwszego pokoju po lewej. Pozbawione firanek okna wychodziły na dolny taras, wprost na dachy eremów poniżej. Ściany pokrywała brązowa farba o satynowym połysku. Dębowa podłoga była wyczyszczona i zawoskowana.

Na środku niewielkiego pokoju królował drewniany stół na toczonych nogach. Pełnił rolę biurka, niezbędne szuflady i szafki zastąpił plastikowy kontener na kółkach. Na biurku rozlał się, podobny do stalowego kleksa, przycisk do papieru od Alessiego. Obok futurystyczna lampa z pomarańczowym abażurem i prawie pusta szklanka. Lewicka obejrzała dno oprószonego srebrzystym pyłem kolorowego naczynka. Płyn pachniał skisniętym sokiem marchewkowym.

Róg po drugiej stronie blatu okupowały trzy szylkretowe ramki ze zdjęciami. Na wszystkich ta sama para, denat w objęciach kościstej blondynki. Ich jasne włosy przeplatały się zmierzwiłone wiatrem i rozjaśnione ostrym słońcem. Z fotografii spoglądał znudzony Marciniak, miał minę zepsutego kota, który łaskawie daje się rozpieszczać, chociaż go to nuży i męczy.

Wokół stołu zamiast foteli stały cztery krzesła z podłokietnikami, pokryte ciemnobrązową skórą. Między oknami ścianę podparła stalowa etażerka ze szklanym blatem.

Pod ścianą jaśniała eklektyczna leżanka obita kremowym płótnem.

W rogu tkwił czarny, pękaty piecyk żeliwny. Stylowe, lekko wygięte nóżki miały zakończenie w kształcie orlich szponów zaciśniętych na mosiężnych kulach. W pozostałych rogach pokoju na wysokich stojakach komplet głośników.

Głębokie wnęki wypełniały ciemne półki, na nich żadnych książek, żadnych bibelotów, czy pamiątek, jedynie wysokiej jakości wieża audio i setki kompaktów, a na dolne czarne płyty analogowe w zamykanych drewnianych pudłach z przegródkami.

Podeszła do półek i zaczęła czytać tytuły imponującej kolekcji płyt. Panował tu nienaganny porządek. Oddzielnie rodzimi wykonawcy, oddzielnie zagraniczne gwiazdy. Bliżej okna kolorowymi okładkami kuśił rock. W kolejnej wnęce jazz. Przejechała palcem po brzegach lśniącego plastikiem pudełek: Komeda, Kurylewicz... Makowicz... Stańko, Skowroński... Ptaszyn Wróblewski... Dyrektor miał wyrafinowany i dojrzały gust. Nie był wierny żadnemu gatunkowi, odmianie, stylowi, czy określonej szkole, lubił po prostu rzeczy dobre, jeśli nie najlepsze w swoim rodzaju.

Z ciekawością zajrzała do kieszeni odtwarzacza, była pusta. Z okładek rozrzuconych obok pudełek szczyrzyły się klawisze Tori Amos i zezował Nigel Kennedy, młody mężczyzna z brodą żydowskiego kantora obiecywał zmierzyć się z kłopotem Boba Dylana. Wsunęła lśniący krążek do szufladki, nacisnęła klawisz, z głośników popłynęło: „*What Was It You Wanted*”.

Usiadła na środku leżanki, dźwięki otoczyły ją i połaskotały skórę, idealne miejsce do słuchania i odczuwania muzyki.

- Niezły sprzęt - Banasik zdążył już zwiedzić kuchnię, łazienkę i sypialnię. - Coś ciekawego?

- Niesamowita płytoteka - wskazała brodą półki.

- Nic nie znalazłem. Normalne mieszkanie. Żadnych interesujących śladów. Chyba nic tu po nas. Chłopaki pewnie kończą już gabinet.

- Czy mogłabym jeszcze chwilę popatrzeć?

- Oczywiście. Zaczekam.

Sypialnię wypełniało wielkie drewniane łóżko. Było dużo dłuższe niż te dostępne w sklepach, znacznie szersze, wykonane zapewne na miarę, ledwie mieściło się w niewielkiej przestrzeni pokoju. Ciemnozielona pościel w szkocką kratę stanowiła bardzo męski akcent na de kremowych ścian.

Obie nocne szafeczki zdobiły małe lampki ze szklanymi, matowymi

abazurkami. Z lewej strony do ściany przytwierdzono jeszcze jedną specjalną lampę na wysięgniku, do czytania. Na pulpicie szafki stał elektroniczny budzik z radiem. Pod spodem na dwóch otwartych półkach kilka książek.

Odgarnęła kołdrę, dzianinowe, mocno napięte prześcieradło było idealnie gładkie, żadnych interesujących śladów, pod poduszką pusto, nigdzie nie było piżamy.

Usiadła na brzeжку dość twardego materaca i sięgnęła po pierwszą z brzegu książkę. „Kontrola w systemie zarządzania” objaśniał tytuł. Na marginesach regularnym, wijącym się jak wężyki, drobnym pismem zrobiono notatki, niektóre fragmenty zaznaczono zielonym markerem. Obok leżała, pachnąca farbą drukarską, oprawiona w miękką błękitną okładkę książka Cialdiniego „Wywieranie wpływu na ludzi”. Pod nią podręcznik akademicki „Komunikowanie interpersonalne” Głodowskiego. W głąb wciśnięto cieniutką, wyświechtaną, pomazaną i pokreśloną, nieomal zacytaną na śmierć „Erystykę” Schopenhauera.

Wysunęła płytką szufladkę, kilka kolorowych prezerwatyw, lubrykant w tubce, chusteczki jednorazowe.

Druga szafeczka była prawie pusta, jeśli nie liczyć „Twojego Stylu” sprzed miesiąca i małego misia z kokardką na czubku głowy. Mleczny abazur nocnej lampki oplatał sznur paciorków, tak zwany kobiecy akcent, czyli ślad damskiej dłoni, która próbowała zaznaczyć tu swój rewir.

Po drodze do łazienki mijało się wielką trzydrzwiową szafę zapelnioną męskimi ubraniami, wełniane marynarki z lewej, welwety i drelichy z prawej, barwne koszule najlepszych marek, kosz ze zwiniętymi skarpetkami, czarna bielizna. Rozłożyła pierwsze z brzegu bokserki, żadnych ekstrawagancji, blisko ciała i wygodnie.

Łazienka urządzona była tak jak wszystkie pokoje hotelowe. W rogu prysznic, po przeciwnej stronie toaleta, na środku umywalka, nad nią wielkie lustro z rzędem żarówek na górze. Na półce pod lustrem stała cała kolekcja męskich kosmetyków, luksusowa woda kolońska, bezzapachowy krem do tłustej cery, balsam łagodzący po goleniu, dezodorant w sztyfcie. Przyjrzała się gotowej do użycia maseczce oczyszczającej, przeczytała sposób działania i wskazówki, zapamiętała firmę. Wosk do układania włosów oraz odżywka do włosów farbowanych nie wzbudziły jej zainteresowania. Odnotowała w pamięci zużytą do połowy tubkę z pastą do zębów, a tuż obok niej świeżo otwarte opakowanie patyczków do uszu. Przy lustrze wisiała elektryczna maszynka do golenia, suszarka do włosów oraz

szczoteczka do zębów z irygatorem i wymienne przystawki.

Między ubikacją a toaletą stał regał z szufladami. Również one były wypełnione kosmetykami przeznaczonymi tylko dla mężczyzn. Dopiero w najniższej szufladzie leżała paczka podpasek, pudełko tamponów, perfumowany dezodorant, okrągła szczotka z nawiniętymi na nią bardzo długimi włosami, prawdopodobnie własność kobiety ze zdjęcia i dwa pudełeczka drogich kremów na noc. Pod kranem natrysku wisiał pojemnik z mydłem w płynie i drugi z gruboziarnistym peelingiem. Wielka naturalna gąbka pęczniała na narożnej półce, niżej pumeks i szczotka, nad nimi depilator na baterie.

Zajrzała do kosza na śmieci, nie było w nim nic, oprócz kawałka przezroczystej folii na dnie czarnej torby. Ukucnęła i przechyliła kosz, zmięty pasek ozdabiała niebieskie literki „o.b.”

- Coś pani znalazła? - Banasik stał w drzwiach.

- Czy technicy opróżnili kosze?

- Zapytam? - wyjął telefon i szybko wybrał numer. - Mówią, że w koszach nic nie było. Ani w łazience, ani w kuchni. Sprzątaczką była tu w sobotę rano.

- Proszę się zapytać, czy w gabinecie albo w biurowej łazience w koszu są jakieś resztki opatrunków, zakrwawione chusteczki, cokolwiek?

Banasik ze ściągniętymi brwiami słuchał relacji swojego rozmówcy.

- Znaleźli coś w gabinecie. Chyba robił sobie okład.

Podeszła do niego i podsunęła mu kosz pod same oczy.

- Czy mógłby pan to zabezpieczyć? To może być ważne.

- Co to jest?

- Opakowanie po tamponie.

Banasik popatrzył na nią zdumiony.

- Według pani to ważne.

- Nie wiem. Mieszkanie posprząrano rano. Prawdopodobnie po jego wyjściu, czyli po porannej toalecie. Nie ma tu na przykład patyczków do higieny ucha - pokazała opakowanie na półce. - Narzeczona podobno od piątku w Białymstoku. Skąd więc w mieszkaniu mężczyzny folia po tamponie?

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Był tu przed pobiciem. Pił sok, nim wyszedł słuchał płyt. Nie wiemy tylko, czy był sam. Ciekawe co nam powiedzą odciski palców.

- Ciekawe - Banasik zamrugał. - A co jeszcze pani wydedukowała z pustego opakowania po tamponie?

- Był bez aplikatora, rozmiar normalny, ale z pewnością zauważy pan na tej cienkiej owijającej opakowanie wstążeczce napis „super”, co oznacza, że jest bardziej chłonny. Podobne leżą w dolnej szufladce tej szafki. Kobieta, która go użyła, jest na początku okresu i właśnie zaczęła krwawić. Na pewno są na nim odciski jej palców.

- No tak. AJF to mogła być ta naręczona.

- Może tak, może nie. Musimy się tego dowiedzieć. Trzeba ustalić, gdzie ona jest.

Zostawiła Banasika i przeszła do kuchni. Kosz na śmieci był pusty. Proste szafki sprawiały miłe wrażenie. Na blatach stały pojemniki z przyprawami, kawa, herbata. Wysunęła szufladkę z szafki obok płyty z palnikami, zasześciły torebki, zapachniało pieprzem i goździkami. Na półce stała włoska kafeterka i naparstki filiżanek w kubistyczne wzory. Jedna była trochę większa od towarzyszek, krzychała jaskrawą czerwienią idealnego kwadratu, poniżej widniał podpis cyrylicą: „Malewicz”. Odwróciła filiżankę do góry dnem i przeczytała napis stempla. Praktyczna pamiętka z Petersburga, pomyślała.

Półkę w szafce nad lodówką zapełniały butelki z suplementami diety, witaminami, wyciągami ziół. Lodówka była dobrze zaopatrzona, kilka puszek dobrego piwa, odkorkowana butelka białego wina, sery w próżniowym pudełku, odtłuszczona szynka w plasterkach, jajka, w dolnych szufladach sałata, pomidory, ogórki, cytryny i główki czosnku.

Na parapecie okna stały doniczki z ziołami, wśród nich dominowała krzaczasta bazylija.

- W sumie nic tu nie znaleźliśmy, oprócz tego skrawka folii - Banasik szybko przyswajał sobie cudze sukcesy.

- No właśnie - przytaknęła kwaśno.

- Jakież sugestie? - zjeżył się.

- Żadnych. Stwierdzam jedynie, że tu nic nie ma. Żadnych dokumentów, listów, prywatnych szpargałów. Byłabym skłonna stwierdzić, że lokator tego mieszkania to oschły facet, szalenie uporządkowany i pedantyczny, ale zastanawia mnie ilość kosmetyków, także tych napoczętych i dawno nie używanych, których się nie pozbył. Zwróciłam uwagę na otwarte torebki z przyprawami. Nie umiał się rozstać ze zwietrzałym pieprzem cytrynowym, a wyrzucał każdą zapisaną kartkę. Niewątpliwie robił notatki spontanicznie, nawet na marginesach książek, to był „cytaty i pisaty” facet, ale jego biurko jest puste. Nie ma tam nic oprócz czystego papieru, pustych kopert i kilku pisaków. To chyba dziwne.

- Może korespondencję załatwiał w biurze?
- Osobiście wątpię.
- Chyba się z panią zgodzę.
- A jakie są pańskie wnioski?
- To był całkiem normalny facet, jeśli nie liczyć kolorowych kondomów - siłował się na uśmiech.
- Myśle, że to był bardzo wygodny facet. Cenił sobie luksus i komfort. Umiał wygospodarować czas na własne przyjemności i strzegł ich. Pan uważał kolorowe prezerwatywy, dla mnie jedynie przejaw poczucia humoru. Więcej mi powiedział lubrykant. Nie znam zbyt wielu mężczyzn, którzy przechowują żel intymny w szafce po swoje stronie łóżka. To był naprawdę komfortowy mężczyzna. Bardzo dbał o siebie z zewnątrz i do wewnątrz też.
- A co pani powiedziały jego książki?
- Potwierdziły jedynie wcześniejsze spostrzeżenia z krótkiego kontaktu z denatem. Miał specyficzny gust. Bawiło go życie na krawędzi, lubił igrać z ogniem.
- Pani Ewo, skąd to przypuszczenie?
- Psychopata na swoją skalę, dziś trudno mi ocenić jak groźny był ten domorosły psycholog. Manipulował ludźmi, bawił się ich uczuciami i ten jeden raz mógł przeholować.
- Czy pani ma coś wspólnego z czarami?
- Rozczaruję pana. Widzę, czuję, słyszę - wyciągam wnioski. To wszystko.

Rozdział szósty

Prosto ze słonecznego tarasu weszli do sekretariatu pełnego teraz mundurowych. W drzwiach dyrektorskiego gabinetu ukazał się niski mężczyzna w białym kombinezonie.

- Dobrze, że jesteś. Już kończymy i mam kilka ciekawych informacji dla ciebie oraz jeden problem. Wchodźcie - zaprosił ich szerokim gestem do środka.

W gabinecie, w odróżnieniu od dusznego sekretariatu, panowało przenikliwie zimno.

- Co tu tak wieje? - spytał Banasik.

- Już nie wieje. Przed chwilą zamknęliśmy okno, to najbliższej biurka. Było rozwalone na całą szerokość - wyjaśnił zażywny policjant.

Słońce nie zdążyło jeszcze ogrzać wnętrza, okna gabinetu wychodziły na zachód, otoczył ich nieprzyjemny chłód.

Technicy kończyli pracę, porządkowali dowody, robili notatki, trzasnęły zamknięcia walizek z narzędziami.

- Jaki to problem? - Banasik rozejrzał się ciekawie.

Pękaty techniki szybko przeszedł przez pokój i stanął obok biurka, za długie spodnie obszernego kombinezonu zwijały się i wypuczały w najmniej oczekiwanych miejscach, przypominał śniegowego ludka nadgryzionego wiosennym zębem czasu.

- Nie wiem, co się dzieje - pokazał na ciekłokrystaliczny ekran.

- Chyba się zawiesił. Nie bardzo wiem, co robić.

- A nasi komputerowcy?

- Jeden na szkoleniu w Edynburgu, drugi na przymusowym urlopie.

- Fatalnie! - Banasik nie krył rozczarowania, wsunął pod kołnierzyk dwa palce i spróbował poluzować uciskający go niczym obroża rant. Robił to zawsze w chwilach zakłopotania lub zwątpienia. - Zdaje się, że jesteśmy w kropce.

Raptem powietrze wypełnił rechot żab i łagodne poświstywania. Rozjarzył się telefon Lewickiej. Spojrzała na ekranik, tego telefonu nie mogła zignorować:

- Tu Czesiek. Przepraszam, że przeszkadzam, ale pewnie chciałabyś wiedzieć - wysapał znajomy głos. - Jak zwykle miałaś rację. Mamy ich.

- Mów po kolei.

- Banda sprytnych szczeniaków, dwóch chłopaków i dziewczyna na wabia, cała trójka do studenci. Ofiar szukali w sieci, wśród samotnych, żądnych wrażeń facetów. Najpierw ona spotykała się z potencjalnym celem na mieście w kawiarni. Wypytywała o pracę, dochody, drogie gadzety - relacjonował Wituła. - Nie znam faceta, który na widok laski, dwadzieścia lat młodszej od niego, nie zacznie się puszyć i mówić rzeczy, do których nie przyzna się za żadne skarby fiskusowi, nie mówiąc już o byłej żonie - drwił. - Chłopcy prowadzili dyskretną obserwację na odległość, śledzili gościa do samego mieszkania. Pomyślna wycena równała się kolejnemu spotkaniu wabika z ofiarą już u niego w domu. Po krótkim prologu skuwała faceta, wpuszczała współników, czyścili razem mieszkanie i szybko się zmywali. Jeśli facet robił jakieś trudności - używali paralizatora. To wszystko. - Zapanowała krótka przerwa na zaciągnięcie się aromatycznym papierosem. Zmęczony, ale triumfujący Wituła nie krył satysfakcji.

- W przypadku tego sprzed miesiąca nie przewidzieli, że miał rozrusznik

serca. Ten ostatni nafaszerował się viagrą, swoją drogą świętą podróbką, a jak ci mówiłem, nie powinien był tego robić, poszła mu jakaś pierdząca żyłka i po bólu. Miałaś rację to był wypadek przy pracy. W skrócie: mamy ich, są już zeznania, wszystko układa się w spójną całość.

- Jak do nich dotarliście? - spytała.

- Przecież mówię, dzięki tobie. Miałaś nosa jak zwykle. Mały, to znaczy Krystian, nasz geniusz komputerowy, też się spisał na medal. Cwano sfajczyli ten dysk z domowego kompa, ale tak jak przypuszczałaś, denat najczęściej, na ich nieszczęście, kontaktował się z laseczkami ze służbowego kompa. Tam Krystianek znalazł ślad i tak ich namierzyliśmy. Resztę opowiem ci jak wrócisz - zakończył w oczekiwaniu na pochwałę.

- Dobrze się spisaliście. Sernik w nagrodę upiekę. - Serowe ciasto w wykonaniu Lewickiej to jedna z wielkich słabości Wituły, równa tylko uwielbieniu dla śledzi, golonek i pulchnych blondynek w wieku nieokreślonym. - Czy Krystian jest koło ciebie?

- Tak. A co? - Lewicka była pewna, że jeśli Wituła rozmawiał z nią rozwalony w krześle z błędzącym na ustach, na myśl o serniku, uśmiechem rozmarzenia, to teraz usiadł raptownie i wyraźnie zastrzygł uszami.

- Daj mi go na chwilę. Mam tu mały problem techniczny - wyjaśniła.

- Nie wspominając o zwłokach znalezionych nad ranem.

- Mam nadzieję, że nie mówimy o twoim mężu, chyba go nie zajeżdżała na śmierć - zarechotał Wituła. - Tak, tak, my najlepiej wiemy, jak się kończą długie weekendy podtatusiałych rekinów finansjery.

- Pudło - odpowiedziała ze śmiechem. - Daj mi go szybko.

Po drugiej stronie zapanowało zamieszanie, trzaski i stłumione odgłosy wypełniły powietrze.

- Adamczyk, słucham.

- Cześć. W gabinecie denata mamy „zawieszonoego” kompa, podłączony jest do internetu, na ekranie wyświetlił się komunikat, że ściąga dane z sieci, rzeczywiście wygląda jakby coś ciągnął, co robić?

- Natychmiast odciąć zasilanie!

- Ale może to coś ważnego?

- Odciąć zasilanie, ale już! - głos Adamczyka był zaskakująco stanowczy. - Przepraszam - opanował się - to co tam wciąga z sieci to na pewno nie jest podobizna mordercy. - Ostrożnie spytał: - Zrobiła to pani?

- Tak. Wyłączyłam.

- Ufff - odetchnął. - To taka stara sztuczka. Wiadomo, że na dysku mimo szczyzczenia danych zawsze coś zostaje i przy użyciu specjalnych

narzędzi co nieco można odzyskać - pośpiesznie wyjaśniał, nie chciał wyjść na opryskliwego podwładnego górującego wiedzą nad szefem.

- Jeśli jednak na miejsce usuniętych rekordów wgra się obszerne pliki graficzne albo muzyczne, to będzie już „po ptokach”, przepraszam, chciałem powiedzieć musztarda po obiedzie.

- Krystian, czy jesteś bardzo skonany?

- Raczej nie. To było niesamowite, co tu dokonaliśmy, jeden z nich to był taki bardziej kumaty gość - Adamczyk upajał się swoim sukcesem

- ale ta dziewczyna - strasznie leniwa, łączyła się z facetami z kawiarenki w akademiku, gdzie cała trójka mieszkała, włamałem się do ostatnich maili i już wiedzieliśmy z kim są umówieni, nakryliśmy ich w mieszkaniu kolejnego gościa, ja...

- Czy możesz w ciągu godziny wsiąść do samochodu i przyjechać do mnie? - przerwała mu Lewicka. - Jesteś mi potrzebny?

- Mogę. Komu? Pani?

- Właściwie to suwalskiej policji. Zaraz zapytam o pokój. Weź ze sobą wszystko, co może być potrzebne do sprawdzenia tego dysku. Myślę, że były tam bardzo interesujące dane.

- Tak jest, pani inspektor. Skoczę tylko do domu po parę rzeczy i będę tam po południu.

- Czekały. - Chciała się rozłączyć, ale po krótkim wahaniu dodała:

- Uważaj na drodze.

Złożyła aparat i dopiero teraz zwróciła uwagę na wyczekującego Banasika:

- Mam nowego współpracownika. Jak mnie zapewniał mój szef, chłopak ma na tym punkcie absolutnego fioła. Ktoś taki jest nam potrzebny. Jeśli wyrazi pan oczywiście zgodę.

- A czy mam inne wyjście? Dzięki - uśmiech rozjaśnił twarz Banasika, oczy skryły się w fałdkach tłuszczu. - Chłopcy, nie ruszajcie na razie tego pudła. Po południu przyjedzie chłopak, to się nim zajmie. Co tam jeszcze macie? - zwrócił się do techników.

Okrąglutki technik i pokazał na blat potężnego biurka.

- Mamy tu jeszcze zmyślną komórkę, właściwie to palmtop z funkcją telefonu, dyktafon, kamerę cyfrową - ruchem ręki wskazał na statyw, stojący w rogu. - Może to też mu zostawić?

- Zostaw. A teraz mów, co znalazłeś tu ciekawego.

- W sumie nic. Cholernie czysto.

- To znaczy.

- Z wyjątkiem teczek z rachunkami, skoroszytów z księgowości i tym podobnych rzeczy, nie ma tu nic, a przecież to biuro. Żadnych notatek, karteluszek, brudnopisów. Nie ma nawet terminarza ze spotkaniami. Zobaczcie sami.

Przepastne szuflady biurka świeciły pustkami, turlały się po nich ołówki, zaszurały porwane nagłym szarpnięciem spinacze w rozsypce.

- To samo z kasą pancerną - odwrócił się w stronę udającej mahoń żelaznej szafy w stylu retro. Sejf wyglądał jak wysoka szafka zegarowa, z pilastrami i kolumnienkami podpierającymi gzymsy wieńczące okazały mebel. - Śliczna rzecz - technik czule pogłaskał wykończone mosiężną listwą grube drzwi. Dziurki na klucze połyskiwały ozdobnymi plakietkami, między nimi złota klamka w kształcie litery „T” z grawerowanym wyszukanymszyldem, kryła pod klapką trzeci zamek. - Tu na górze powinny być złote szyszki, po jednej z każdej strony, a po środku taka mosiężna blacha, rodzaj ozdoby z medalionem, pewnie zaginęła dawno temu, albo komuś była bardzo potrzebna. To Rosengrens, model z 1896 roku - znacząco zawiesił głos, by dotarła do nich informacja i zdołali docenić wagę odkrycia. - Ta skandynawska firma dostała rok później na wystawie w Sztokholmie złoty medal za najładniejszy i najbezpieczniejszy sejf na świecie. Oto on. Kiedyś intensywnie handlowali z Rosją, pewnie stąd tutaj to cacko. Dwa niezależne wielozapadkowe zamki kluczowe i trzeci zintegrowany z klamką. - Technik nie krył swej fascynacji dziewiętnastowiecznymi zdobyczami techniki. - A do tego jakie to ładne. Dzisiaj już nikt takich nie robi. Zamki owszem, ale nie w takim kostiumie. Wiecie, że Rosengrens w 1931 roku jako pierwsi przeprowadzili oficjalny test na ognioodporność swoich wyrobów. Oczywiście test wypadł pozytywnie. Popatrzcie na te klucze, nawet one są dziełem sztuki - objął ich roziskrzonym wzrokiem. - Tak na marginesie - zmieszał się pod karcącym spojrzeniem Banasika.

- A co znalazłeś w kasie?

- Nic - otworzył szeroko drzwi prezentując puste półki. - Klucze do niej denatmiałprzysobiewkieszeni-wyjaśnił.-Jakjezobaczyłem.toleciałemtu na skrzydłach - łagodny uśmiech znowu rozciągnął kąciki ust w stronę uszu. - Żadnych śladów włamania. Kiedyś próbowano ją otworzyć łomem, ale to było bardzo dawno temu - rzucił ukradkowe spojrzenie na Banasika i zaraz dodał - mechanizm nadal sprawny, niedawno ją odrestaurowano. W środku znalazłem ociupinę kurzu i pyłu, drobne ślady papieru. Tam coś było, nie za dużo, ale jednak było, a teraz nie ma. Powiem więcej, niszcarka pełna jest ścinków.

Przeszli na zaplecze gabinetu do niewielkiego pomieszczenia skąd kolejne drzwi prowadziły do prywatnej łazienki. Oprócz wieszaka i niszczarki imponujących gabarytów nic więcej tutaj nie było.

- Znakomity model. Tnie na skrawki o wymiarach jeden na pięć milimetrów. Trochę to dziwne jak na hotel, nie uważacie?

Spojrzeni po sobie, zaczęli powoli przywykać do dziwnych upodobań Marciniaka.

- Taka niszczarka to nam by się przydała - westchnął policjant.

- Do tego pojemnik na około sto pięćdziesiąt litrów, mówię wam, żeby to wszystko zabezpieczyć potrzebowaliśmy kilku sporych worków. Trochę te ścinki się napowietrzyły - zerknął na czarne worki piętrzące się przy ścianie.

- O cholera! - zaklął Banasik.

- Poza tym w koszu w łazience gazik ze śladami krwi, resztki opakowania po plastrze i kilka brudnych chusteczek jednorazowych porwanych na małe skrawki, zwinięte były w takie tamponiki tamujące krwotok z nosa.

- Coś jeszcze?

- Tak. Prawdopodobnie narzędzie zbrodni.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Przypuszczam. W każdym razie ktoś go niedawno używał w niecnym celu. Może tylko go ogłuszył. Chodźcie z powrotem.

Opuścili ciasny korytarzyk i gęsiego podążyli za nim do przestronnego gabinetu. Technik podszedł do walizki i wyjął z niej opakowany w foliową torebkę świecznik.

- Tam stoi drugi - machnął ręką w stronę biurka.

Spojrzeni na niską bibliotekę za dyrektorskim fotelem, rodzaj przeszklonej szafki na podręczny księgozbiór. Stał na niej osamotniony, mosiężny świecznik na jedną świecę, smukła kolumnienka o kwadratowej stopie wspartej na nóżkach-podpórkach. Banasik sięgnął po niego i zważył w rękę.

- Ciężki - potwierdził.

- Na tym, stał tu, bliżej okna - przedstawił technik - znalazłem ślad krwi i trochę zlepionych włosów. Wszystko zabezpieczyłem.

Banasik oddał świecznik i sięgnął po drugi, przyjrzał się jego stopie, na odwrocie widniała niewyraźna sygnatura *Fabryka/C. Minter/Warszawa*.

- Też antyk - objaśnił technik. - W ogóle dużo tu ładnych i drogiej rzeczy. Wygląda na to, że nic nie zginęło. Jeśli komuś na czymś zależało, to tylko na papierach.

Podeszła do okna, z dołu przez podwójne szyby docierał radosny gwar młodych głosów przerywany wybuchami nieposkromionej radości. Wesole okrzyki dziewcząt mieszały się z porykiwaniami podekscytowanych szkolną wycieczką chłopców. Donośny głos strofował tubalnie, upominając rozbrykane towarzystwo o zachowanie powagi i skupienie się na atmosferze miejsca, niczym echo wtórował mu koguci mentor, skrzekliwie przemówienia którego kwitowały kolejne salwy śmiechu. Dotknęła grzejnika pod oknem, był przeraźliwie zimny.

- Pani Ewo - głos Banasika sprowadził ją na ziemię - co pani o tym myśli?

Z roztertowaniem spojrzała na rozłożone przed nią połyskujące metalnym zabawkami dla dorosłych.

Telefon, a właściwie kieszonkowy pecet, był szerszy i tylko trochę dłuższy od przeciętnego aparatu. Praktycznie całą jego powierzchnię zajmował ekran, poniżej duży uniwersalny klawisz wielofunkcyjny i para płaskich przycisków do odbierania rozmów, rząd czterech guziczków bliżej niewiadomego przeznaczenia i okienko aparatu fotograficznego dopełniały całości. Za naciśnięciem magicznego przycisku wysuwała się podświetlana miniaturowa klawiatura z rodzaju tych „wypasionych” technicznie, wyposażona nawet w klawisz spacji.

- W jakiej był sieci? - spytał Banasik.

Cała trójka pochyliła się nad migoczącym błękitnie ekranikiem.

- Drogi. Ale za połowę ceny dają takie najwierniejszym klientom biznesowym - zabrała głos Lewicka.

-Tak?

- Mąż ma taki. Fajna rzecz - westchnęła. - Wiele potrafi, ale znając go myślę, że do dzisiaj wykorzystał zaledwie połowę możliwości - w tym momencie przypomniała sobie, że srebrne pudeleczek odbiera i wysyła też maile, ogarnęło ją osłabiające uczucie mdlącego ucisku żołądka.

- Ostatnie połączenia? - spytał Banasik.

- Dwa. O osiemnastej zero sześć i o dwudziestej trzeciej zero jeden - poinformował technik. - Każde nie dłużej niż minutę. Tutaj masz numery i nazwiska z książki telefonicznej.

- Czyli książka w telefonie jest?

- Tak. Wygląda na to, że nikt tu nic nie ruszał, esemesy i ememesy, chyba wszystko. Trzeba sprawdzić zapisy u operatora, możliwe, że coś skasowano.

- Wygląda na to, że już wiemy kiedy zginął - skierował wzrok na Le-

wicką. - Prawdopodobnie przed północą.

Nie odpowiedziała, dla niej było to tylko przypuszczenie, fakt, który trzeba wziąć pod uwagę, ale na pewno nie dowód.

- A kamera? - pytał dalej Banasik.

- Odciski palców zebrane, ale czy tam coś jest? Nie wiem. Nie dotykałem się jeszcze.

- Dobra. Zostaw tutaj wszystko, co elektroniczne. Opieczętuujemy gabinet i zaczekamy na chłopaka z Warszawy.

- Nie ma sprawy. Macie tu te elektroniczne cacka. Pewnie to już mówiłem, ciekawe, że jest tyle sprzętu cyfrowego, a nie ma tu żadnych nośników luzem, żadnych płytek, kaset, absolutnie nic.

Podniosła do oczu srebrzysty, matowo połyskujący wąski prostopadłościan. Był lekki i poręczny, cały mieścił się w dłoni. Przesunęła klawisz odtwarzania, rozległ się tylko cichy szum, kontrolka wskazywała brak zapisu, cała dostępna pamięć była wolna.

- Ktoś je zabrał? - Banasik zastanawiał się na głos. - A drzwi wejściowe?

- Żadnych śladów włamania. Były zamknięte od zewnątrz. Biuro też było zamknięte.

Gabinet urządzone w stylu „rupieć nobilitowany” lub jak wolą bardziej wtajemniczeni - *vintage*. To co inni uznaliby za niemodne i przebrzmiałe, tutaj zostało podniesione do kategorii stylowe i pożądane. Wnętrze przypominało bankierskie samotnie lat dwudziestych, centra cichych zarządzeń i jeszcze cichszych nacisków ulokowane na ostatnim piętrze luksusowego wieżowca z żelbetu, skąd w czasie Wielkiego Kryzysu jeden skok uwalniał od zobowiązań i poczucia winy. Brakowało tylko rozłożystej palmy w rogu i stoliczka z baterią kryształowych karafek.

Usiadła za biurkiem, było to wygodne i przyjemne miejsce do pracy. Potężne biurko w sam raz dla tak wysokiej mężczyzny jak Marciniak, niewątpliwie dodawało splendoru i znaczenia nawet dużo niższej osobie. Ciemny dąb i masywne kształty mebla budziły szacunek. Na biurku stało kilka poręcznych bibelotów. Kilka słowników i biznesowych poradników między orzechowymi podpórkami ozdobionymi wytrzeszczonymi figurkami sówek. Po lewej ciętkokrystaliczny monitor, obok stał stolik, na którym umieszczono komputer i drukarkę. Po prawej szklany kanciasty przyborek z czarnym motywem orlego pióra, niewątpliwie dzieło sztuki użytkowej epoki *art deco*. Po środku kryształowe naczynie na ołówki, oddzielna

rynienka na wieczne pióra, kałamarz wypełniony biurowymi spinaczami i dwa puzderka z pokrywkami rżniętymi w romby. W jednym wizytówki Marciniaka, w drugim bilety odwiedzających go gości. Wysypała je na podkładkę do pisania wykończoną skórą. Barwne *firmowe* kartoniki z nazwiskami przedstawicieli handlowych, agentów turystycznych, a także dwóch sommelierów i dziennikarz pisma branżowego oraz jedna śnieżnobiała wizytówka treścią odbiegająca od reszty. „Henryk Zawada” przeczytała, „psychiatra”, przed nazwiskiem małe literki układały się w skrót „prof. dr hab.” numer telefonu i adres kliniki, w której pracował, a na odwrocie skreślone silną dłonią: „Proszę o spotkanie” i numer komórki. Lewicka obróciła w palcach bilet wizytowy i zmarszczyła w zamyśleniu czoło. Rozejrzała się wokół, jakby szukała natchnienia dla swoich rozmyślań. Przed nią stała mosiężna lampa z zielonym abażurem, podobna do tych, które oświetlają wnętrze czytelnia na Koszykowej. Ich ciepły blask zawsze działał na nią kojąco, przypominając atmosferę skupienia towarzyszącą zdobywaniu wiedzy.

Odsunęła krzesło z szerokim oparciem, na którym usiadła. Sprężyny skórą obitego siedziska zaskrzypiały jękliwie. Za plecami stała długa, niska szafka, rodzaj kredensu modnego w latach trzydziestych ubiegłego wieku, zamienionego na podręczną biblioteczkę. Właściwa biblioteka, stanowiąca komplet z imponujących rozmiarów biurkiem, czterodrzwiowa, przeszkłona na środku, znajdowała się po drugiej stronie gabinetu.

Uchyliła drzwi z lewej strony i zajrzała do środka, mieścił się tu podreęczny barek, jeśli można tak nazwać baterię butelek i kieliszków wszelki kształtów i rozmiarów zakamuflowanych w zamykanej na klucz szafce. Na przedzie, na srebrnej tacy stała butelka z poplamioną czerwono-niebieską nalepką, pod smukłą otuloną sreberkiem szyjką widniał romb z cyframi sześćdziesiąt pięć, niżej na wąskiej banderoli napis „Un-Pernod”. Obok trzy kieliszki podobne do kwiatów powoju i srebrna ażurowa łyżeczka z wymyślnym ornamentem roślinnym, do kompletu kryształowa czarka z kostkami cukru i karafka z wodą. Odsunęła, lepiać się do rąk, butelkę i zajrzała głębiej. Była tam zielona flaszka absyntu Doubsa. Uśmiechnęła się do siebie. Żartowniś był z tego Marciniaka, współczesny alkohol przelewał do zabytkowej butelki i częstował nim na sposób francuski, niezły pozer pomyślała.

Na dolnych półkach szarogęsiły się tequila, żubrówka, niezła whisky, brzuchata butelka francuskiego koniaku i urzekająca jak flakon perfum karafka Hennessy. Cymes gonił cymes, wszystko drogie lub wyjątkowe, ale zawsze z zadęciem, na gorze pyszniła się połączoną nalepką kwadratowa

butla oryginalnej rosyjskiej brzoźówki, a obok pękata i przysadzista lokalna chrzanówka kiermusiańska. Bardzo niebanalny, żeby nie powiedzieć ekstrawagancki zestaw.

Resztę półek wypełniały opasłe tomiska z ekonomii i nauk społecznych oraz barwne albumy o sztuce.

Umebłowania gabinetu dopełniały cztery kryte skórą ciemnobrązowe fotele klubowe i niski stół na grubych kwadratowych nogach z wpuszczoną w blat marmurową płytą w kolorze przypalonego herbatnika. W czasie podróży po Lombardzie Marek zaciągnął ją do kamieniołomów w Botticino, wydobywano tam podobny do tego kawowo-szary kamień.

Oko umocowanej na statywie kamery spoglądało w stronę klubowych foteli w rogu. Odchyliła hybrydowy ekran i włączyła aparat. Nie zapisano żadnych filmów, a jedynie kilka zdjęć. Fotografie wykonane w kilku sekundowych odstępach przedstawiały te same osoby siedzące na fotelach przy niskim stole: Marciniaka, Sobieraja i Grzegorka. Przypominało to trochę filmowe stop-klatki, zatrzymane w ruchu, dziwnie gestykulujący mężczyźni z wykrzywionymi niczym maski teatru kabuki twarzami, a przed nimi szklanki i butelki. Wyglądało to na zaprogramowane wcześniej zdjęcia, bo trudno uwierzyć, by zachowywali się swobodnie w obecności „niewidzialnego”.

Wyłączyła przeglądanie zdjęć i przyjrzała się panoramicznemu obrazowi z Banasikiem w roli głównej.

Gabinet opustoszał, przymknięto drzwi, komisarz rozsiadł się w fotelu i przyglądał się Lewickiej spod opuszczonych powiek.

- Ale chyba nie będę musiał zaglądać w majtki wszystkim podejrzanym w śledztwie kobietom - powiedział nagle.

- To nie będzie konieczne.

- Chyba strasznie się wygłupiłem? - spytał zaszepiony.

- Dlaczego?

- Wyszedłem przed panią na durnia - stwierdził.

- Nie zauważyłam - dalej majstrowała przy kamerze.

- Ale z tą folią to dałem plamę - drażył. Widocznie dłubanie we własnych niepowodzeniach było częścią jego niezbyt skomplikowanej osobowości. Chciał skupić jej uwagę na sobie.

- Panie Darku, to był malutki skrawek, lepiej nie dramatyzować.

- Zrobiła zbliżenie, jego twarz i ramiona wypełniały kadr. - Proszę posłuchać, prosił mnie pan o pomoc, zgodziłam się, mając nadzieję, że z pańskiej strony nie była to czysta kurtuazja ani chęć podlizania się Ko-

mendzie Głównej. Płynnie przeszła od obrazu kolorowego do sepii i czarno-białej mozaiki. - Poważnie podchodzę do tego, czym się zajmuję. Nie mam zamiaru pana punktować. Tu chodzi o *coś więcej niż nasze* dobre samopoczucie. Czy się zrozumieliśmy?

- Dziwnie się czuję pod pani spojrzeniem.

- Nie ma powodu. Słucham z uwagą, co pan mówi i widzę w panu równorzędnego partnera. - Na powiększeniu wyraźnie było widać jak rozszerzają się i ponownie kurczą źrenice oczu Banasika.

- Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Najbardziej deprymuje mnie to, że pani nie wygląda jak policjantka. Pani jest... - był rozczulająco zakłopotany - Taka kobieca. Lubię kobiety, które nie udają facetów.

- Przede wszystkim mężczyźni lubią kobiety, które ich lubią. Jeszcze przed chwilą nie wiedział pan czy mnie znenawidzić, czy pokochać.

- Chyba jestem skłonny jednak panią pokochać.

- Niech pan tego nie robi. To mogłoby być niebezpieczne - uśmiechnęła się szeroko.

- Może byłoby mi łatwiej, gdyby pani bardziej przypominała policjantkę - zaśmiał się nerwowo.

- Nie przypominam? - zaśmiała się.

- Nie w tej wąskiej spódnicy i szpilkach - nakreśli w powietrzu kształt jej ciała - no i w ogóle - machnął ręką. - Dla pani pewnie to normalne.

- Reakcja *mężczyzn*? Tak, przywykłam. Nie pomaga w pracy, ale nie będę ukrywać, że jestem kobietą.

- Tak, oczywiście - bąknął pod nosem. Czuł, że mu się przygląda, wbił wzrok w blat stolika i zamilkł.

- Jaki mamy plan? - spytała.

- Chcę przesłuchać Sobieraja - unikał jej wzroku - tego, który tak histeryzował. Podobno powaliła go pani jednym ciosem.

- Przesada. Nawet go nie uderzyłam. Ale rzeczywiście zachowywał się dość irracjonalnie.

- O co mu mogło chodzić, pani Ewo? To raczej dziwne zachowanie.

- Chyba byli w dość bliskich stosunkach, on i denat. Marciniak przedstawił go jako swego przyjaciela. Podobno znali się od lat.

- Potem tego drugiego - z rozmysłem patrzył teraz w obiektyw

- Grzegorka. No i stróża. Później wybiorę się do Suwałk, odwiedzę Olejnika w domowych pieleszach. I to chyba na dziś wszystko. Czekam, co powie nam patolog.

- Myślę, że nic więcej nie wykombinujemy - wyłączyła kamerę.

Nagle ciszę rozdarły podniosłe dźwięki chóru niewolników z Nabucca. Banasik usiłował szybko wyłuskać aparat przyciśnięty do paska łagodnie zaokrąglonym brzuchem.

Chwilę słuchał ze ściągniętymi brwiami, kiwał głową w takt dobiegającej z oddali pospiesznej relacji, potwierdził coś mrukliwie i spojrzal na Lewicką: ,

- Musimy iść do recepcji. Ktoś domaga się natychmiastowego spotkania z denatem.

Rozdział siódmy

- Sam nie wiem, ciągam tak panią, a przecież tam mąż czeka - zaczął Banasik. Wysoki kościół otulił ich chłodnym cieniem.

- Jeśli już wstał - zerknęła na zegarek - to najpierw wykona setkę telefonów, potem pójdzie pobiegać, weźmie prysznic i dopiero gdy zgłodnieje, zacznie mnie szukać. Jeszcze nie rozesłał za mną listów gończych, więc korzystajmy z tego.

Śliski bruk odbierał pewność krokom, przez cienkie podeszwy pantofli Lewicka boleśnie odczuwała jego nierówności.

- Czy mogę oprzeć się na pańskim ramieniu? Nie czekając na reakcję, wzięła go pod łokieć. Przez miękki materiał wyczuła naprężające się mięśnie. - Cholernie tu ślisko.

- Bazalt ma to do siebie, szczególnie po deszczu - trafnie zauważył Banasik. - I pomyśleć, że od dwustu lat żaden mnich nie szlifuje chodakami tego bruku.

Wyłożony płaskimi kamieniami taras obejmował łagodnym łukiem kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Różowe ściany barokowego klejnotu górowały nad całością klasztornego zespołu usytuowanego na sztucznie usypanym wzniesieniu, z dwoma tarasami - dolnym i górnym.

Kościół zajmował zachodnią część najwyższej platformy. Zbudowany z cegły i otynkowany, na planie krzyża, którego krótkie ramiona tworzyły kaplicę, zakrytą i salę bractwa. Nad nimi wznosiły się strzeliste dwukondygnacyjne wieże, zakończone wymyślnymi kopułami. Spadzisty dach pokryty miedzianą blachą.

- Patrząc wokół, trudno uwierzyć, że jeszcze czterdzieści lat temu niczego tu nie było poza gruzami i okaleczoną świątynią - powiedział

Banasik. - Po drugiej stronie, obok prezbiterium znajduje się zejście do krypt, gdzie pochowano kamedulów. Była tam pani? Przez otwory widać dobrze zachowane szkielety mnichów oraz grobowiec pierwszego biskupa diecezji wigierskiej, słynnego kaznodziei księdza Karpowicza. Jest tam też fresk - ubrany na białą kameduła prowadzi pod rękę szkielet symbolizujący śmierć.

- Byłam bardzo dawno temu z wycieczką szkolną. Wie pan, kto nas wtedy oprowadzał? - Szła na placach, ostrożnie stawiając stopy, by nie zahaczyć obcasami o kamienne garby.

- Wiktor Winikajtys?

- Właśnie on, „ostatni kameduła” - na chwilę jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- To pani zna to miejsce - westchnął nieco rozczarowany Banasik.

- Szkoda. Myślałem, że zaproszę panią na spacer i będę osobistym przewodnikiem po uroczych zakątkach wigierskich.

- Ależ skąd, wcale nie znam, przecież wtedy był tu jeden plac budowy, trwały prace konserwatorskie. Tylko barwna opowieść przewodnika rekompensowała braki w zabudowie. Teraz to całkiem nowe miejsce i nowe wrażenia. Chętnie skorzystam z zaproszenia.

Biceps skryty w fałdach rękawa zamienił się w stal.

- Na brak wrażeń nie możemy narzekać - zgodził się Banasik.

Ominęli klomby przed wejściem do plebanii i zeszli po kamiennych schodkach. W dole zamajaczyła sylwetka biegacza w czerwonej czapce z pomponem.

- Mówiłam - Lewicka pomachała do mężczyzny przemierzającego truchtem podjazd poniżej murów obronnych. - To właśnie mój mąż - wyjaśniła.

- Długo jesteście małżeństwem?

- We wrześnie będzie piętnaście lat, ale jesteśmy razem bardzo długo - palce kobiety zsunęły się ze stalowego brzuśca i wpiły boleśnie w linie rozdzielającą mięśnie ramienia. - Chyba za długo.

Z punktu widzenia sztuki wojennej, trudno było nazwać mury okalające klasztor obronnymi, ponieważ ich wysokość pozwalała na skrycie się tylko po przykucnięciu. Architekci, rekonstruując stare założenia obronne, zawsze mają dylemat, co pozostawić, co odsłonić, a z czego zrezygnować. W tym przypadku zdecydowano, by niski murek pozwalał wyobrazić sobie, jak kiedyś wyglądały fortyfikacje zabudowań klasztornych, a jednocześnie nie przesłaniał urody kompleksu budynków „perły Północy”.

Stanęli wreszcie przed recepcją, Banasik pchnął drzwi i przepuścił przodem swoją towarzyszkę.

Przestrzeń między ciemnym kontuarem a malutkim stolikiem z dwoma fotelikami przemierzał wielkimi krokami wysoki mężczyzna ubrany na czarno, dziwny znajomy Marciniaka z parkingu. Podparty pod boki, z połami krótkiego płaszcza rozpiętymi niczym skrzydła kruka, miotał się nerwowo w zbyt małej jak dla niego przestrzeni. Krople potu pokrywały jego лыse skronie.

- No, nareszcie! - krzyknął na ich widok. - Czy mógłbym się dowiedzieć, o co tutaj chodzi? - zahuczał. - Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, co to za cyrk?

- Podkomisarz Dariusz Banasik z Komendy Powiatowej w Suwałkach.

- Co to znaczy? Co się tutaj dzieje? - mężczyzna obrzucił policjanta badawczym spojrzeniem. - Profesor Henryk Zawada. A to mój gość, wybitny specjalista nauk medycznych profesor Lars Jorstad z Norwegii. - Wskazał na postać przycupniętą na foteliku. Okrągłutki, gładko wygolony mężczyzna oderwał zafascynowany wzrok od mieniącej się czerwienią i bielą recepcjonistki. Obdarzył wszystkich uprzejmym uśmiechem i bez słowa na powrót wcisnął swe ciało w wyściełany mebelek.

- Zarezerwowałem apartament, a teraz dowiaduję się, że są z tym jakieś problemy - Zawada miazdzył wzrokiem wystraszoną recepcjonistkę.

Na twarzy dziewczyny sztuczny róż policzków walczył z naturalnym rumieńcem zalewającym szyję i czoło. Rozbiegane jasne oczy usiłowały jednocześnie patrzeć na Zawadę, jego krągłego towarzysza i Banasika. Spowita od stóp do głów w różową puchatą dzianinę, wyglądała jak pulchna, falująca larwa tajemniczego owada. Norweski profesor wpatrywał się w nią zahipnotyzowany niezwykłym zjawiskiem kolorystycznym.

- Pan chce apartament papieski, a przecież apartamentu nie wynajmujemy - zapiszczała recepcjonistka.

W drzwiach prowadzących na zaplecze ukazał się zwabiony głosami aspirant Nalewajko, obciągnął sfatygowany pulower i bez skrępowania dopiął rozporek. Najwyraźniej przed chwilą opuścił toaletę.

- Nalewajko, jest tu jakieś spokojne miejsce do rozmowy? - spytał szybko Banasik.

- Tam jest pokój socjalny - machnął ręką gdzieś za siebie. Dopiero teraz dojrzał za szerokimi plecami komisarza drobną postać Lewickiej, chciał coś jeszcze dodać, ale zmieszał się i tylko wymamrotał coś pod nosem.

- Możemy skorzystać? - Banasik zwrócił się do recepcjonistki i nie czekając na odpowiedź rozkazał policjantowi. - Nalewajko, zaprowadź tam pana profesora. Zaraz panu wszystko wyjaśnię, proszę o cierpliwość

- zwrócił się do Zawady. Ten obrzucił wszystkich nienawistnym spojrzeniem. Na jego lewej, wilgotnej od potu skroni wyraźnie pulsował niebieski młoteczek. Żyły na szyi nabrzmiały, zacisnęły się szczęki, jednak nic nie odpowiedział, tylko poszedł za policjantem na zaplecze.

- Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi z tym apartamentem - polecił Banasik recepcjonistce.

- Ten pan zrobił jakiś czas temu rezerwację na apartament w Kaplicy Kanclerskiej.

- To tam, gdzie się mieści biuro dyrekcji?

- Tak, teraz to Dom Papieski, ale kiedyś budynek nazywali Kaplicą Kanclerską - wyjaśniła pospiesznie. - Są tam trzy apartamenty, a właściwie były, bo ten na parterze to miejsce pamięci pobytu Ojca Świętego u nas. A ten pan chciał tylko apartament papieski, przecież to niemożliwe

- dodała płacziwie. - Chyba że dyrektor zdecyduje inaczej. On się wczoraj spotkał z dyrektorem, ale ja nie dostałam żadnych dyspozycji. Nikt nic nie wie, a teraz pan dyrektor... - płacziwy grymas ust nie dodawał jej urody. - Dlaczego ten profesor nie chce wziąć apartamentu piętro wyżej? Są takie same. - Usta wyciągnęły się jeszcze bardziej, ale zaraz dodała mściwie: - Podlec jakiś!

- Proszę się uspokoić. Kto spotkał się z dyrektorem?

- No, ten profesor - wyjąkała zaskoczona.

- A skąd pani wie, że się spotkali?

- No... Nie wiem... Ale wczoraj wieczorem ten, no... profesor Zawada był tutaj. By u pana dyrektora.

- O której?

- O dziewiętnastej. Chyba.

- Chyba czy na pewno?

- Na pewno.

- Skąd ta pewność?

- Dzwoniłam do kogoś i spojrzałam wtedy na zegar. Było kilka minut po siódmej. Zobaczyłam, jak wysiadał z samochodu i poszedł na górę, to znaczy do dyrektora - spojrzała niepewnie na Banasika. - Bo do kogo mógł pójść, jak cały czas tylko z dyrektorem rozmawiał i nalegał na to spotkanie, a dyrektor był przecież u siebie w gabinecie.

- Może go pani pomyliła z kimś innym? Było ciemno.

- Trudno go pomylić - prychnęła. - Już ja go sobie dobrze zapamiętałam, jak tu był poprzednio, na kongresie - dodała z naciskiem. W tym krótkim oświadczeniu było więcej jadu niż w obu gruczołach jadowych żmii zygzakowatej. Recepcjonistka Kasia nawet miała z nią coś wspólnego: niby powolna i senna, umiała jednak błyskawicznie zaatakować. Profesor Zawada miał u niej przechlapane do końca życia.

- Rozmawiała pani z dyrektorem? Skąd pani wie, że był u siebie w gabinecie?

- Widziałam światło - zdziwione, a może przestraszone oczy zmieniły się w błękitne porcelanowe spodki. - W oknie - dodała szybko.

- Jeszcze wrócimy do tej rozmowy. Na razie dziękuję. Nie chcę, by profesor zbyt długo pozostawał sam. Proszę zająć się gościem - wskazał na łagodnie uśmiechniętego Norwega. Twarz Larsa rozświetlał przyjazny uśmiech człowieka, który nie rozumiejąc, pragnie jedynie zyskać sympatię otoczenia. Oporna marynarka, nie mieszcząca się razem z właścicielem w fotelu, sfałdowała się i uniosła, mister Lars wyglądał w niej jakby chował głowę w za dużej skorupie w zieloną pepitkę.

Pokoik na zapleczu był skromnie umeblowany. Kilka metalowych szafek, kozetka rodem z gabinetu lekarskiego, trzy krzesła i stolik nakryty ceratą w barwne kwiatki. W rogu stał fotel, nad nim wisiał kalendarz z alpejskim widoczkim. Profesor Zawada stał odwrócony do nich plecami, wyglądał przez małe zakratowane okienko, które znajdowało się na wysokości jego twarzy.

- Usiądźmy - zaproponował Banasik.

Ostre światło jarzeniówki obnażyło siatkę zmarszczek i głębokie bruzdy na dojrzałej twarzy uczonego. Brunatne cienie wokół oczu nie przyćmiły jednak przenikliwego wzroku Zawady.

- To jest inspektor Ewa Lewicka z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Głównej Policji. Nie jest tu służbowo. Była świadkiem zdarzeń, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin

- rozpoczął Banasik. - Ponieważ bardzo zależy mi na jej opinii, chciałbym prosić, by uczestniczyła w naszej rozmowie.

- Widziałem panią wczoraj na parkingu - przyjrzał się uważnie Lewickiej. - Trudno panią przeoczyć - uśmiechnął się blade. - Nie mam nic do ukrycia, więc nie widzę sprawy. Czy Marciniak został zabity?

- Skąd to przypuszczenie?

- Ma mnie pan za idiotę? - Zawada skrzywił usta w grymasie obrzydzenia. - Nie chcę mnie skontaktować z Marciniakiem, na swoje pytania

nie mogę uzyskać żadnych sensownych odpowiedzi, wokół roi się od policji. Recepcjonistka zachowuje się jakby przypiekano jej pięty, i wygaduje same niedorzeczności. Do tego - wskazał na Lewicką - podpira się pan siłą fachową z Warszawy.

- Istotnie, dyrektor Marciniak nie żyje - komisarz poprawił uciskający go kołnierz marynarki. Poczul się dotknięty uwagą o podpieraniu, przecież nie potrzebował niczyjej pomocy, a jednocześnie nie mógł przepuścić takiej okazji. - Okoliczności jego śmierci nie są jasne i dlatego policja prowadzi czynności wyjaśniające. Czy mógłby pan powiedzieć nam, co łączyło pana z dyrektorem Marciniakiem?

Lewicka oparła splecione dłonie na stole. Cerata niemile przylgnęła do skóry. Rozsypane po niej kryształki cukru natychmiast się przykleiły. Lewicka przesunęła pozostawiony na stole brudny kubek, po którym pozostał lepki brązowy ślad.

- Słuchamy - przynaglił Banasik.

- Nic mnie nie łączyło z tym gnojkiem. - Kategorie oceny nie wystawiała najlepszego świadectwa psychiatrze. - Chociaż muszę przyznać, że długo się maskował. Poznaliśmy się jakiś rok temu na kongresie, w tym hotelu. Byłem członkiem komitetu organizacyjnego. Nie narzekałem na współpracę. Marciniak jako gospodarz zachowywał się bez zarzutu, do tego umiał bawić rozmową, był wdzięcznym słuchaczem, a jeszcze ciekawszym rozmówcą. - Czarne przeciągłe spojrzenie inteligentnych oczu czujnie skontrolowało wyraz twarzy słuchaczy. - Wyczuł mój słaby punkt i schlebiał mi, jak tylko mógł i gdzie tylko mógł. Wiem, to moja pięta achillesowa, mam dziwną słabość do ludzi, którzy dzielą moje poglądy, ale jeszcze bardziej lubię tych, którzy umieją z nimi dyskutować. Kto z nas nie lubi czasem spotkać mądrego rozmówcy. Przecież każdy lubi. - Niespokojnym spojrzeniem szukał potwierdzenia w ich twarzach.

- No, prawie każdy.

Zawada przerwał swą wypowiedź i zaczął porządkować przedmioty na stole. Wyprostował poskręcany przewód elektrycznego czajnika, ustawił w rzędzie brudne kubki, przysunął do ściany słoiczki z kawą i herbatą, pokrywką nakrył cukiernicę. Przyjrzał się powalanym lepkiem brudem palcom, wyjął z kieszeni staromodną kraciatą chustkę i wytarł je z wyrażnym obrzydzeniem.

- Wydawał się całkiem sympatycznym i niegłupim facetem. A może jedno wynikało z drugiego. Uważałem go za sympatycznego, bo prawil mi pochlebstwa.

- A co było powodem pana wczorajszego wzburzenia? - spytał Banasik.

- Wczoraj? Tak. Właśnie. Chodzi o apartament papieski. - Kraciasta chustka zniknęła w kieszeni spodni. - Mój przyjaciel dowiedział się, że papież spędził tu kilka dni na odpoczynku. Larsowi zależało, by móc pomedytować w tym samym miejscu, co papież. Chciał poczuć tę atmosferę, energię tego miejsca. - Nagle Zawada westchnął przejmująco, gdzieś z głębi jestestwa, głośno i rozdzierająco. - Marciniak najpierw się zgodził, potem zaczął się wycofywać, niby chciał, ale nie mógł, bo coś tam, bo biskup... Wreszcie wczoraj, gdy byłem tu po południu, podał swoją cenę... - Zmiał w ustach przekleństwo, krzywiąc się, jakby rozgryzł gorzką pigułkę. - Zażądał ode mnie rzeczy niemożliwej... Cholerny gnój.

- Czego od pana zażądał?

Zamiast odpowiedzieć Zawada próbował oprzeć się na łokciu, ale nagle przypomniał sobie, że stół się niemilosiernie lepi i szybko zrezygnował.

- Chciał ode mnie fałszywej opinii lekarskiej - powiedział z roztrągnięciem.

- Dlatego, że jest pan biegłym sądowym?

- Tak.

- Czy powiedział, o kogo chodzi?

- Nie. - Nastąpiło krótkie zawieszenie głosu, prawie niewyczuwalna pauza, tyle ile potrzeba, by nabrać powietrza i dotknąć palcem czubka nosa. Kontrola długości nosa wymagała mniej niż setną sekundy. Wystarczy, by skłamać. - Nie, bo nie dopuściłem go do głosu. Ja już za stary jestem na takie gierki. Mnie to zwyczajnie wkurzyło. Powiedziałem mu, żeby się wypchał, i wyszedłem. Dogonił mnie na parkingu, to akurat widziała pani, i powiedział, że mogę jednak przywieźć Larsa. Potem zadzwonił do mnie, że nie powinniśmy tak zostawiać tej sprawy między nami, że nasza przyjaźń i takie tam brednie, na które oczywiście dałem się nabrać.

- I był pan tu ponownie wieczorem?

- Tak. Przyjechałem na siódmą, tak jak się umawialiśmy, ale go nie zastałem. Wyprowadziło mnie to z równowagi. Drzwi do sekretariatu były otwarte, ale już do gabinetu zamknięte. Słychać było dobiegającą stamtąd muzykę i widać było światło w szparze pod drzwiami. Postąłem kilka minut, próbowałem dzwonić na komórkę, ale nikt nie odpowiadał. Wróciłem do domu.

Pośrodku czoła lekarza gęste brwi zetknęły się, tworząc jedną kreskę kategorycznie przecinającą twarz ponad twardym spojrzeniem oczu.

- Kiedy opadły emocje, pomyślałem, że może zapomniał, może coś mu wypadło. Może urwał się z jakąś panienką - wyliczał głośno. - Dobra. Nieważne. Przyjeżdżam dzisiaj i dowiaduję się, że nie dostaniemy tego apartamentu. Wkurzyłem się, niepotrzebnie zresztą, ale nikt nie chce być marionetką w cudzych rękach. Pomyślałem, że to kolejna próba manipulacji. W południe Marciniak się godzi, potem dzwoni i przeprasza, że głupio wyszło, umawia się ze mną, przyjeżdżam, nie zastaję go, wreszcie czuję się potraktowany jak namolny petent i na koniec, dzisiaj rano, wystrychnięty na dudka. Tego było za wiele.

Lewicka pokiwała głową ze zrozumieniem. O tak, profesor Zawada z tylko sobie znanych głowczą dał się poniżyć. To wcale nie leżało w jego naturze egocentryka.

- Zdaje się, że jak paranoik, mam zbyt niską samoocенę, wszędzie węszyć podstęp i spisek przeciwko mojej osobie. Chyba zbyt łatwo mnie urazić - uczony zaśmiał się gardłowo i nieszczerze. - Jestem beznadziejnie próżny. I cholernie przewrażliwiony na swoim punkcie. Ech, niezbyt dobrze świadczy to o lekarzu. Powinienem zajmować się problemami pacjentów, a własne szybko rozpoznawać i nieustannie pracować nad ich usunięciem. Cholera, Lars zawsze ma rację.

Zrezygnowany, zapominając o lepkiej ceracie, oparł się łokciami o stół i przycisnął czoło do zaciśniętych pięści.

- Pan doskonale wie, o kogo chodziło? - przerwała milczenie Lewicka.

Zawada uniósł głowę, w jednej chwili poczerwieniał na twarzy.

- Nie wiem, o czym pani mówi - powiedział ostro.

- Marciniak zażądał od pana zmiany orzeczenia w sprawie pod sąd. Orzeczenia, które pan już wydał i które lada dzień miało trafić do sądu, tak?

- To niedorzeczne - zachnął się.

- Powiedział pan, że jest za stary na te gierki. Gdyby chodziło o wyrażenie zwykłej opinii, nawet opinii biegłego, pan by po prostu odmówił, ale tu chodziło o coś więcej.

- Ma pani rację. - Pod wpływem jej nieustępliwego spojrzenia dał za wygraną i zaczął mówić. - Obowiązuje mnie tajemnica lekarska, że nie wspomnę o innych ograniczeniach ustawowych, więc nie podam wam nazwiska tej osoby. - Tłumaczył się naiwnie. Śledczy, jeśli uznają tę informację za konieczną i tak dowiedzą się o kogo chodziło. Zatem da-

lej słuchali w milczeniu, udając, że przyjmują te wyjaśnienia za prawdę.

- Sprawa dotyczy mężczyzny, który był na obserwacji psychiatrycznej i którego badałem z polecenia sądu. Moja opinia nie jest dla niego przychylna, według mnie działał świadomie i z premedytacją, doskonale zdając sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów. To socjopata, tyle mogę powiedzieć. Marciniak, przyznam, dość sprytnie mnie podszedł. Schlebając mi, prowadził filozoficzną dyskusję na temat motywów ludzkich uczynków, podpuścił mnie i bez trudu wyciągnął konkluzję mojej opinii w tej kwestii. Nim spostrzegłem, że przekroczyłem granicę, on już wiedział, jakie będzie moje zdanie. Gdy się zorientowałem, że palnąłem głupstwo, przyznał, że chodzi o tę konkretną osobę. Chciał, żebym zmienił swoje orzeczenie i zasugerował niepoczytalność oskarżonego. To oczywiście wykluczone. To byłoby sprzeczne nie tylko z etyką zawodową, moimi zobowiązaniami jako biegłego wobec wymiaru sprawiedliwości, ale sprzeczne z moim sumieniem badacza, musiałbym sprzeniewierzyć się racjonalnemu myśleniu.

- Pan się zasłonił etyką, a Marciniak właśnie w etykę uderzył. Zarzucił panu stanie po drugiej stronie barykady. Czy tak było? - spytała Lewicka.

- Głupi szczeniak. - Słowa wyrzucone z ogromną siłą uderzyły w nich jak pocisk. Żyły na skroniach Zawady niebezpiecznie nabrzmiały, znowu poczerwieniał na twarzy. - Jakby pani przy tym była! Śmiał powiedzieć, że zapomniałem o przysiędze Hipokratesa, że przede wszystkim pacjent się liczy i jemu powinienem być wierny. Cholerny ignorant! Oczywiście, że pacjent przede wszystkim. Bycie biegłym nie zwalnia mnie z tego i jeśli dowiem się o czymś, co nie dotyczy bezpośrednio pytań stawianych przez sąd czy prokuraturę, to tego nigdy nie ujawnię, za żadne skarby. Jednak rola lekarza biegłego jest specyficzna. Wymagają ode mnie, żebym był przede wszystkim rzecznikiem sprawiedliwości. Dlatego chcąc wykonać zadanie bez wchodzenia w konflikt z rolą, którą zwykle przypisuje się lekarzowi, zawsze na początku informuję badanego, w jakim charakterze występuję, uświadamiam mu, że cokolwiek usłyszę lub stwierdzę podczas badania, będzie wykorzystane do orzeczenia sądowego. Może jest to coś w rodzaju ostrzeżenia: „Miej się na baczności, człowieku”, ale zazwyczaj skutkuje. Istnieje zresztą grupa psychopatycznych pacjentów, którzy zawsze są w stanie oszukać lekarza, a już na pewno standardowe testy. Przecież w trakcie postępowania kwalifikacyjnego przechodziliście testy psychologiczne i badanie psychiatryczne. - Zwrócił się nieoczekiwanie do policjantów. - Nie powiecie mi, że odpowiadaliście zawsze szczerze

i nie skrywaliście prawdziwego „ja”. Jesteście wystarczająco inteligentni, by wyłapać sens pytań, powtarzających się, jedynie nieco zmodyfikowanych pytań, prawda?

- Prawda. - Przyznała Lewicka. - Zawsze odpowiadam, że jestem posłuszna, rozkaz to dla mnie obowiązek, a słowo dowódcy jest święte, ale to nieprawda i muszę się dobrze maskować, by nie wypaść źle na testach.

Zawada w odpowiedzi uśmiechnął się kwaśno.

- Dlaczego tak ważne było dla pana wynajęcie tego apartamentu? Czemu tak się pan upierał? - spytała policjantka.

- Już mówiłem.

- Nic nam to nie wyjaśnia - naciskała nieczułym "głosem Lewicka.

- Człowiek z pana pozycją prowadzi przez kilka dni negocjacje z kimś, kto według pana własnych słów jest szczeniakiem, gnojkiem i marnym szantażystą. Dlaczego Marciniak nie miał oporów przed zwróceniem się do pana z tym żądaniem? Dlaczego panu tak zależało właśnie na tym apartamencie? O co naprawdę chodzi w tym wszystkim?

Zawada zacisnął usta, słysząc było, jak zazgrzytały zęby. Wydawało się, że jeszcze chwila i dojdzie do wybuchu.

- Każdy ma swoją cenę. Dla jednego to pieniądze, dla drugiego życie dziecka. A dla pana, profesorze? - Patrzyła mu prosto w oczy, siłując się z jego spojrzeniem. - Marciniak nie był głupcem, musiał wiedzieć, że w pańskich staraniach o apartament jest drugie dno i dlatego warto ponownie pana przycisnąć. Wiedział, że pan da za wygraną. I po to się z panem umówił wczoraj wieczorem. Przecież może pan wynająć dla przyjaciela jeden z apartamentów w tym samym budynku, ale na wyższych kondygnacjach, wszystkie są identyczne. Czy miejsce medytacji pańskiego przyjaciela ma aż takie znaczenie? Dlaczego tak panu zależało, że dał się pan poniżyć i mimo awersji do Marciniaka przyjechał tu wczoraj?

Zawada skapitulował pierwszy, opuścił z rezygnacją głowę. Zapadło długie milczenie, podczas którego lekarz ustawił kubki i słoiki w porządku rosnącym, od najmniejszego do największego, na końcu z impetem postawił czajnik.

- *Salus aegroti suprema lex esto.* Najwyższym nakazem etycznym lekarza jest dobro chorego. Wiem, brzmi to patetycznie. Dobro chorego, a do tego przyjaciela jest dla mnie... Jest dla mnie sprawą najważniejszą. To właśnie była moja cena.

- To znaczy?

- Lars... - broda mężczyzny zadrzała w ledwie powstrzymanym

spazmie płaczu. - Mój przyjaciel... - Twarz Zawady skuliła się w skurczu, spomiędzy ciasno zamkniętych powiek popłynęły łzy. Ciszę rozdarł niepohamowany szloch. - On umiera - załkał.

Banasik nagle wypuścił powietrze z płuc, siła wydechu zmiotła ze stołu kryształki cukru i zapomniane okruszki kawy rozpuszczalnej. Lewicka bez słowa położyła dłoń na sękatych, długich palcach szlochającego mężczyzny, uściśliła je mocno i szczerze. Pochwycił jej dłoń jak linę ratunkową i zamknął w uścisku swojej ręki.

- Poproszę szklanek wody - zwróciła się do osłupiałego Banasika.

Chwilę trwało, nim komisarz znalazł jakieś czyste naczynie i podał wodę.

Zawada upił tyk, zachłysnął się chrapliwie, zaniósł kaszlem, wreszcie westchnął i łamiącym się głosem wymamrotał”

- Proszę mi wybaczyć. Jestem w stanie skrajnego napięcia. Przed Larssem udaję, że wszystko jest dobrze. - Uśmiechnął się blade. - Gdy chodzi o przyjaciela, o kogoś, kto jest dla nas ważny, bo jest, bo zawsze możemy się do niego zwrócić, bo nigdy nas nie zawiódł i stał się dla nas kimś w rodzaju brata z wyboru... - Zawada wyprostował się nagle i puścił rękę Lewickiej. - Słowo braterstwo najlepiej opisuje moje relacje z Larssem. Znam go jeszcze z czasów studenckich. Wicie, jak go poznałem? Podczas zbierania truskawek. Pracowałem u jego rodziców. - Zamilkł zażenowany swoją nagłą szczerością i niestosownością wspomnień. - I pomyśleć, że zawsze byłem zwolennikiem szczerzej rozmowy z pacjentem. Uważałem, że należy przygotować człowieka na śmierć. Wobec Larsa nie umiem się na to zdobyć. Żyję nadzieją, że to nieprawda. Wciąż karmię go kłamstwami, że wszystko będzie dobrze. Wierzę w uzdrawiającą moc kłamstwa. Czy to nie śmieszne?

Jego pociemniała od bólu i smutku twarz skurczyła się jak wyschnięta śliwka.

- Nie. Jest pan tylko człowiekiem - Lewicka zawiesiła głos - panie profesorze.

Mężczyzna otarł kciukami oczy, nie patrzył na śledczych, wbił wzrok w złote oczka ceratowych niezapominajek.

- Czy oprócz tego, co nam pan do pory powiedział o Marciniaku, ma pan jeszcze jakieś spostrzeżenia? - spytała Lewicka. - Zauważył pan coś ciekawego w ostatnich dniach, a może coś nietypowego?

Oczy Zawady rozjaśniły się w poczuciu ulgi, że nie pocieszali go i nie ciągnęli bolesnego tematu.

- Ciekawe, że o to pytacie. Tak, było coś takiego jak rysa na idealnym szkle. Mówiłem już, że umiał się znaleźć w każdej sytuacji. Dusza towarzysztwa, bawił *rozmową, nigdy* nikogo nie nudził, miał duże powodzenie u kobiet, mężczyźni też się dobrze czuli w jego towarzystwie, taki typ sportowca i intelektualisty w jednym, dlatego zabrzmiało mi to wyjątkowo fałszywie, ale może właśnie taki był naprawdę...

- Co to było?

- Za pierwszym razem myślałem, że to żart. Za drugim, gdy wyraźnie mi to powiedział, zrozumiałem, że on tak na serio. W każdym razie on to traktował bardzo serio, czym chyba wzbudzał zdziwienie i niesmak u zwykłych ludzi. Lubił na słuchaczach, czy może raczej przeciwnikach, wywierać wrażenie osoby wszechmocnej, wszechwiedzącej, o wielkich wpływach. Jeśli mu się to nie udawało, sięgał po ostatni argument - był nim Grzegorek.

- W jakim sensie?

- Nie fizycznym, chociaż ten Grzegorek to kawał chłopca i przypomina raczej gladiatora niż faceta od reklamy. Podobno Grzegorek pracował kiedyś w UOP-ie. Marciniak sugerował, że nie jest to współpraca zakończona i że daje to Grzegorkowi, a pośrednio i jemu, czyli serdecznemu przyjacielowi Grzegorka i partnerowi we wspólnych interesach, jakiś niezaprzeczalny atut. Że niby Marciniak może w każdej chwili zebrać informacje o danej osobie, również te niewygodne, albo wywołać zainteresowanie służb specjalnych delikwentem. W ustach skądinąd światowca, za jakiego chciał Marciniak uchodzić, było to po prostu niskie i obmierzłe. Nikt normalny tym się w ogóle nie przejmuje, może tylko ci, co wierzą w omnipotencję policji, oraz ci, co rzeczywiście mają coś na sumieniu. Ale w związku z ogólnopolską falą babrania się w przeszłości i zagładania pod koldrę, myślę, że odnosiło to zamierzony efekt. Przynajmniej w polowie przypadków.

- Groził panu?

- Raczej sugerował, że Grzegorek ma przyjaciół o „długich rękach”, a przyjaciele Grzegorka to jego przyjaciele. Takie głupie zagranie, które świadczyło tylko o jego podłym charakterze.

Zawada znowu się zasepił i szybko zamilkł. Koniuszkiem małego palca wodził wzdłuż płatków niezapominajek. Lewicka spojrzała na Banasika. Zrozumieli się bez słów.

- Panie profesorze - zaczął Banasik - myślę, że możemy panu pomóc, a pan nam. Jeden z zastępców Marciniaka na wieść o śmierci dy-

rektora dostał ataku hysterii, być może to coś poważniejszego. Chciałbym go jeszcze dzisiaj przesłuchać, dlatego potrzebna mi opinia lekarza, pańska opinia. Przy okazji spotkałby się pan z drugim zastępcą, tym Grzegorkiem. W tej sytuacji może uda się coś załatwić, a ja pana oczywiście popnę.

- Bardzo chętnie. - Psychiatra ożywił się. - Powiem tylko Larsowi, że muszę udzielić pomocy choremu, załatwmy to jak najprędzej.

Zawada wychodząc, odwrócił się jeszcze w drzwiach prowadzących do wąskiego korytarzyka:

- Bardzo dziękuję.

Banasik zatrzymał się. Spróbował wyrzeć przez okienko, musiał stanąć na palcach, żeby zobaczyć, co kryje się za kutą kratą.

- Pani mu wierzy? - spytał od niechcienia.

- Jeszcze nie wiem. Patrzę i słucham.

- Pani pyta i słucha.

- Tak, ale nie chcę wyciągać pochopnych wniosków, nim nie zawierzę doświadczeniu...

- Intuicji - szybko podsunął Banasik.

- Nie, właśnie doświadczeniu. Nim mu zawierzę, muszę mieć niezależne dowody i wszystko trzy razy dokładnie sprawdzić. Muszę mieć pewność, a jeszcze jej nie mam.

- Wierzę, ale sprawdzam?

- Właśnie tak - uśmiechnęła się szeroko.

- A to doświadczenie, co ono podszeptuje?

- Pan, komisarzu, uważa, że Zawada kłamał?

- Nie wiem. Dla mnie jest wiarygodny, ale trzeba to sprawdzić i skonfrontować z zeznaniami innych. Zaciekawiał mnie ten Grzegorek.

Rozdział ósmy

Pustelnia numer siedem zajmowała wschodni narożnik dolnego tarasu. Dębowe drzwi prowadziły z zacienionej uliczki wprost do słonecznego patio. Zasadzono tu kilka, nagich o tej porze, krzewów i wytyczono ciemne grządki pulchnej ziemi, na których pyszniły się kosmate i złociste prymulki. W rogu kameralnego ogródka stał drewniany stół i dwie ławki. Od północy i wschodu samotnie odgradzał wysoki mur porośnięty zimozielonym bluszczem, który tworzył zwartą zasłonę, murek od połu-

dnia był dużo niższy, sięgał zaledwie do piersi wyglądającego i zapobiegał stoczeniu się w dół nasypu. Z ogrodu roztaczał się widok na południowy brzeg jeziora.

Lewicka zatrzymała się w proggu i obejrzała w stronę placyku pod wieżą. Policyjne taśmy nadal odgradzały zdeptyany trawnik wokół miejsca zdarzenia. Na tłusto-czarnej ziemi poprzerastanej kępami trawy wałały się porzucone śmieci: jednorazowe rękawiczki, papierki i torebki, resztki opakowań. Pobojowisko świadczące o niedawnej tragedii.

Z eremu *wyszedł* Grzegorek, starannie zamknął drzwi i podszedł do Lewickiej.

- Więc to pani - stwierdził, wykrzywiając twarz w asymetrycznym uśmiechu.

- Tak, to ja - nie ustąpiła pod ciężkim spojrzeniem nadnaturalnie chabrowych oczu. Trudno byłoby nazwać Grzegorka pięknym, nie był typem gładkiego chłopca i w rankingu nastolatek na symbol seksu na pewno przepadłby z kretesem. W rankingu matek tychże nastolatek też nie byłoby lepiej. Niepokojąco męski, mimo dość pospolitych, grubych rysów, a może właśnie dzięki temu, był po prostu przystojny. To wychodzące z użycia słowo najlepiej go określało. Miał w sobie to coś, co obudziło w Lewickiej dawno *nieodczuwany* niepokój. Niezamierzona asymetria spojrzenia dodawała charakteru jego wybitnie męskiej twarzy.

- Wszyscy jesteśmy głęboko wstrząśnięci tym przykrym *zdarzeniem* - powiedział ze smutkiem, a twarz natychmiast przybrała wyraz troski.

- Przykrym zdarzeniem?

- Mam nadzieję, że to nie zaważy na nadchodzącym sezonie. Proszę usiąść i zaczekać - wskazał na kącik w rogu ogródka.

Lewicka usiadła przodem do słońca. Grzegorek zajął miejsce naprzeciwko.

Roztaczał wokół siebie tę niepokojącą mieszankę bezpieczeństwa, jakie daje siła fizyczna i doświadczenie, oraz zgubnego uroku dojrzałego samca.

- Tak, to bardzo przykre zdarzenie. Zadbamy, by goście nie czuli się nieswojo. - Przejechał otwartą dłońią po krótko przyszytych włosach uparcie sterczących do góry jak szczotka. - Jest pani zadowolona z po-koju?

- Dziękuję, nawet bardzo.

- Cieszę się - niebieskim oczom taksującym ją z intensywnością skanera nic nie mogło umknąć. Pod jego spojrzeniem Lewicka poczuła się

jak na badaniu wykrywaczem kłamstw. - Straszna tragedia, ale życie toczy się dalej. Nie powinno to popsuć pani pobytu u nas.

Ręcznik owinięty wokół szyi Grzegorka rozchylił się, odsłaniając gęsto zarosniętą pierś. Nie odezwała się, nurkując wzrokiem w zawartość rozpiętej bluzy, zastanawiała się, co może kryć się poniżej. Ich oczy spotkały się dopiero chwili.

- Dziękuję za troskę - powiedziała.

- A jak pani mąż zareagował? - Grzegorek nie był z kamienia, szybko spojrział w dół, sprawdzając, co tak przykuło uwagę Lewickiej i jednym gestem podciągnął suwak.

- Nie widziałam go od rana. Pewnie jeszcze o niczym nie wie. - Grzegorek obdarzył ją kolejnym lepkiem spojrzeniem. Przy takim mężczyźnie każda kobieta mogła poczuć się jak topniejący wosk, pomyślała Lewicka. Szkoda, że wszyscy pociągający ją mężczyźni albo pracowali w policji, albo pozostawali w kręgu jej zawodowych zainteresowań, co wykluczało jakąkolwiek przyszłość tych znajomości. - Jak samopoczucie pańskiego kolegi? Zdaje się, że bardzo to przeżył?

- Dla Bogusia to prawdziwy szok. Byli z Jurkiem bardzo blisko. - Lewa brew pociągnęła za sobą lewy kącik ust, co spotęgowało wrażenie, że uśmiecha się tylko połowa twarzy, połowa osobowości Grzegorka, podczas gdy druga pozostawała chłodna i sceptyczna. - Znali się od lat.

- A dla pana?

- Nie wiem. - Spojrział w stronę wieży, na zegar. - Jeszcze nie wiem. Jestem zaskoczony śmiercią Jurka. Chyba to do mnie nie dotarło. - Czoło uniosło się i pokryło głębokimi fałdami w zdziwieniu nad brutalnym przejawem rzeczywistości.

- Długo się znaliście? Pan i Marciniak?

- Jeszcze ze studiów, byłem dwa lata niżej, ale razem działaliśmy w klubie studenckim, mieszkaliśmy w jednym akademiku. - Ironiczny uśmieszek nieznacznie wygiął kąciki ust do dołu. Czekał na to pytanie i miał już przygotowaną odpowiedź. Nie wyglądał na rozczarowanego, wyraźnie uspokoił się utwierdzony w przekonaniu, że trafnie przewidział rozwój wypadków. - Potem przez wiele lat utrzymywaliśmy tylko okazjonalne kontakty, ale jakiś czas temu, gdy Jurek obejmował stanowisko menedżera w hotelu, zaproponował mi współpracę. Byłem świeżo po rozwodzie, chciałem wyjechać z Wrocławia, zmienić klimat i towarzystwo, więc się zgodziłem. - Przekonujące, jasne i zwięzłe wytłumaczenie, lepiej nie można było tego zrobić. - Pozwoli pani, że nie będę

dłużej dotrzymywał jej towarzystwa. - Uśmiechnął się przepaszająco, odsłaniając olśniewająco białe zęby, spojrzenie mówiło jednak, że tylko czeka na kolejne spotkanie. - Obowiązki wzywają, wydam polecenia załozdzie i wrócę do siebie wziąć prysznic. - Uwaga o prysznicu była niepotrzebna. Zawsze Lewicką dziwiły takie wyznania, czyżby zaproszenie?

- Proszę przekazać komisarzowi, że gdybym był potrzebny, będę w pokoju lub w biurze, wejście z boku drugiej bramy wjazdowej. Do zobaczenia wkrótce.

Odszedł sprężystym krokiem sportowca, lekko i zwinnie, jak drapieżne zwierzę, zawsze gotowe do ataku. Patrząc na napięte pośladki opięte cienką dzianiną, pod którą odznaczały się szwy bokserek, poczuła żal, przesywający do tej pory zobojętniałe na uroki innych mężczyzn ciało.

Wstała, przeciągając się i podeszła do brzegu tarasu. Między czarnymi pniami drzew prześwitywał biała bramka strzegąca wstępu na pomost przystani. Długi budynek hangaru na łozdzie zasłaniał widok na wąski kanał, który między dwoma rozległymi połaciami zahibernowanej trzciny prowadził na rozległą taflę jeziora. Pomarszczona woda niepokojąco lśniła grafitowym atlasem.

- Przestrzeń i cisza, w której można spotkać siebie - powiedziała na głos Lewicka.

- Słucham? - zapach wody kolońskiej wyprzedził głos Banasika.

- Mówię, że to niesamowite miejsce. Jesteśmy tu jak na szczycie góry albo na bezludnej wyspie, a wokół bezmiar przestrzeni, niczym ocean.

- Zmrużyła oczy porażone blaskiem słonecznym. - Stąd wszystko wydaje się mieć całkiem inne znaczenie, właściwie to nie ma żadnego znaczenia. Jesteśmy tylko okruciami myślącej materii, które biorą udział w Wielkim Eksperymentcie. Nikt się nami nie przejmuje, ale my to ignorujemy skutecznie.

Stanął obok niej i oparł się łokciami o szeroki mur wyłożony dachówkami.

- Byłem kiedyś w podobnym hotelu w opuszczonym monasterze we Włoszech, są takie we Francji, w Hiszpanii i w Niemczech, ale nie odczuwałem tam tej dziwnej tęsknoty za czymś utraconym na zawsze.

- Za czym?

- Za spokojem. - Wyjął ciemne okulary i spojrzał na nią przez przydymione szkła. - Nim nastali tu kameduli, na cyplu, a właściwie na wyspie, okresowo połączonej z lądem groblą, stał dwór myśliwski, ale co było przed nim nikt nie wie. Może miejsce kultu Jaéwingów lub siedzi-

ba ich księcia. Magiczne miejsce, prawda? - Przytaknęła w milczeniu.

- Często tu przyjeżdżam, gdy potrzebuję rozwiązać problem. Mam wrażenie, że tu nie można odpoczywać, bo to miejsce zmusza do przemyśleń, do zastanowienia się nad sobą.

- Jak głębokie są Wigry?

- Ponad siedemdziesiąt metrów.

- Absolutna ciemność.

- To nie jest jednolita głębia. Podobnie jak otaczająca go ziemia, dno jeziora jest nierówne, są tam głęboczki i wypłylenia, kotliny i nagłe uskoki, rozległe „podwodne łąki” i czarne czeluście. Jezioro wije się, stąd jego jaćwieska nazwa *Wingry* przytaczana nawet przez Długosza. Po litewsku *Vingrus* znaczy tyle, co kręty lub zygzakowaty.

- Na dnie musi panować czarny mrok i przenikliwy chłód. Mogę wyobrazić sobie nieprzenikloną oziębłość, ale nie świat pozbawiony światła. Czy tam jest jakieś życie?

- Zaskoczę panią, mieszka tam sporo żyjątek wodnych, wiele pewnie nadal czeka na swoje odkrycie, a innych nigdy nie poznamy, bo najpierw wszystko zniszczymy. Żyje tam arcyciekawy skorupiak polodowcowy, taki obunóg, czyli kielż, całkiem malutki, nie ma więcej niż dwa centymetry. - Ręką uzbrojoną w okulary machnął w stronę brzegu.

- Widzi pani te szuwały wokół półwyspu, to miejsce chronione, tu się rozmnaża sieja i sielawa. To taki złobek dla narybku, są tu bezpieczne, dużym drapieżnym rybom jest wśród trzciny za ciasno i za płytko. O, tam, widzi pani te kępy ni to trawy, ni to wikliny, tam dalej za pałkami - ręka zatoczyła luk i wskazała na prawo - to oczeret, daleki kuzyn papirusu, nie jest może tak okazały, ale spełnia swoje ważne zadanie w ekosystemie.

- Kocha pan to miejsce? Prawda? - Uśmiechnęła się pełna podziwu dla jego wiedzy. - Nie mówię o Wigrach, ale o tej ziemi.

- Suwalszczyznę? Kocham i nienawidzę - Szybko skrył się za okularami, zawstydzony. - Nie uważa pani, że ten Zawada trochę jednak przesadził?

- W jakim sensie? Przecież sam pan powiedział, że jest wiarygodny.

- Ale to mi nie daje spokoju. Czy nie przegina trochę z tą przyjaźnią?

- Nie wierzy pan w męską przyjaźń?

- Wierzę, ale może to nie przyjaźń, może...

- Wietrzy pan ciemne interesy?

- Może, zabrzmi to głupio, ale może to miłość? Chociaż nie wygląda na takiego.

- Czyli na jakiego?
- Czy to przesłuchanie? - natychmiast się zjeżył.
- Oczywiście, że nie. - Zamilkła, śledząc parę kaczek wolno okrążających półwysep. Wiatr przynosił odgłos wody chlupoczącej o brzeg i szelest szuwarów. - Może to prawda z tym Grzegorkiem, a może chce odwrócić naszą uwagę.

- Właśnie chciałem to powiedzieć.

Lewicka wystawiła twarz do słońca i przymknęła niemalowane powieki. Dziwny jest ten świat, w którym kartą przetargową może być znajomość z tajniakiem, atutem komitywa z policją. A przecież taka zazyłość była przyczyną upadku niejednej publicznej osobistości, jest więc jednocześnie zagrożeniem. Wszyscy chcą korzystać, nikt nie chce być wykorzystany. A gdzie umowa społeczna, że wy to wy, a my tylko kij w rękę władzy. Jak w tej ambiwalentnej sytuacji pozyskiwać informacje? Chyba tylko urokiem osobistym, westchnęła pani inspektor. Niedługo nikt nie będzie chciał współpracować z policją, wszędzie wietrząc podstęp. Nikt nie wskaże drogi do toalety w obawie przed posądzeniem o konfidencję. Trzeba będzie bunkrować się i udawać kogoś innego, a gdy zapytają: gdzie pani pracuje, odpowie: w służbach mundurowych, albo jeszcze lepiej w „policiejskości”, tak jak jedna z przesłuchiowanych kiedyś sprzątaczek, nie wiedziała biedaczka, jak odmienić słowo „policja”, więc na wzór „wojskowości” wymyśliła nowe słowo.

Tworzy się niebezpieczne precedensy i wreszcie dochodzimy do miejsca, gdzie zarządca luksusowego, ale przecież nie oszukujemy się, prowincjonalnego hotelu, podpira swoją pozycję znajomościami w służbach specjalnych, bezwstydnie wykorzystując mit o wszechobecności i wszechwładności policji, a co drugi zatrzymany przez drogówkę pijak udaje kadrowego, strasząc: „już ja się postaram, by was zwolnili, nie wiecie z kim macie do czynienia”. Rzeczywiście coraz rzadziej wiadomo z kim naprawdę mamy do czynienia.

- Zobaczymy, czy profesor dał sobie radę z pacjentem. - Banasik ruszył w stronę domku.

Zapukał energicznie w drzwi prowadzące do pokoju. Stłumiony głos krzyknął: „jeszcze chwileczkę”. Stanęli niezdecydowanie w przedpokoju, Banasik oparł się o ścianę, wsłuchując się w odgłosy za drzwiami.

- Zaczekamy - powiedział.

Drzwi do drugiego pokoju były otwarte. Zamieniono go w pokój dzienny. Stał tam telewizor, kanapa i niski stolik. Wystrój nie był tak wy-

szukany jak w mieszkaniu Marciniaka. Standardowe meble, trochę wiszących półek z książkami i barwne akwarele na białych ścianach. Lniane, grubo tkane zasłony szczelnie zasłaniały okna wychodzące na uliczkę.

Zaraz za progiem, obok niskiej komody stały dwie torby tenisowe. Nie zwykle torby ani futerały na rakiety, ale nowoczesne potężne termobagi ze szczelnymi komorami, oddzielną kieszenią na buty i schowkiem na drobiazgi. Obok komody stał kosz trenerski pełen kanarkowych piłek. Wzięła do ręki raketę wystającą z torby. Była dla niej za ciężka, miała zbyt grubą rączkę pokrytą nową turkusową owijką z bieźnikiem dla lepszego chwytu. Świetnie wyważona dobrze leżała w ręku. Zamarkowała uderzenie, mała główka wymagała nie lada precyzji od gracza. Przeliczyła struny nowiutkiego naciągu, było ich osiemnaście, rakietą dla zaawansowanego gracza z długimi ramionami i dużą dłonią. W drugiej, identycznej torbie, leżały dwie rakiety z oznaczeniami „dwa” i „trzy”. Duże powierzchnie główek i miękki naciąg zdradzały, że należą do początkującego gracza lub kobiety. Przy backhandzie rakietą ze świstem przecięła powietrze, nie była w guście Lewickiej, nie przepadała za takimi „łopatami”, trzeba było sporo siły, by pokonać opór powietrza tym żaglem.

- Umie pani grać w tenisa? - Banasik ją obserwował.

- To jedyny sport, który mnie bawi. Biegam dla kondycji, strzelam bo muszę, ale mimo upływu lat tylko tenis mi się nie znudził.

Odłożyła raketę na miejsce.

Pociągnęła nosem, w powietrzu czuć było intensywny zapach paczuli i jaśminu. Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła intrygującego aromatu. Na niskim stoliku, na szczycie półek, na parapetach wszędzie stały małe świeczki zapachowe w barwnych naczynkach. Zapalone, zamieniały ten mało sympatyczny pokój w świątynię dumania i miejsce relaksu.

Włożyła wtyczkę do kontaktu i półkę z książkami oświetliła barwna girlanda choinkowych światełek. Różowy blask padł na „Uczę” Platona, pomarańczowe iskierki odbijały się w wielotomowym dziele „Historia filozofii starożytnej”, niebieska poświata wyławiała zielonkawę okładki „Pism monastycznych” świętego Augustyna. Przesunęła wzrok piętro niżej: zeszyty ćwiczeń duchowych, „Święci w dziejach narodu polskiego”, a obok „Dżuma” Camusa i „Łuk triumfalny” Remarque’a, kilka opasłych tomów z zakresu marketingu i zarządzania, tytuły mówiły same za siebie, a potem cienkie okładki zbiorów poetyckich, znowu filozofia, tym razem tomy Hegla „Fenomenologia ducha” i „Nauka Logiki”, a na końcu podparta wyświechtaną maskotką misiem trzynomowa „Historia filozo-

fii” Tatariewiczza. Niższą półkę dzielił, zaskoczony tym wyróżnieniem, Simenon i jego komisarz Maigret z najlepszymi kryminalami Zeydler-Zborowskiego z serii „z jamnikiem”.

Szuka odpowiedzi na pytanie, skonstatowała Lewicka, ale jak brzmi owo pytanie, to już inna zagadka.

Przez oparcie kanapy przewieszony był sliwkowy pulower z wycięciem „w serek”. Metka polskiej firmy, solidny, dobry jakościowo wyrób, zauważyła Lewicka, ale poza tym nic ciekawego, konserwatywny jak wszystkie ubrania szefa marketingu.

Z sypialni wyszedł Zawada, kiwnął na Banasika i nie czekając na niego wszedł do pokoju.

- Myślę, że nie ma przeciwwskazań do przesłuchania - zwrócił się do Lewickiej. - Jest wstrząśnięty i przygnębiony, ale nic w tym dziwnego, może odpowiedzieć na wasze pytania. Przed moim przyjściem przyjął łagodny środek uspokajający, który już zaczął działać. Idę załatwić moją sprawę, w razie czego - wyjął bilet wizytowy z kieszonki na piersi - tu jest mój numer komórki.

Banasik odprowadził lekarza do drzwi.

Sobieraj wychylił się z sypialni, zobaczył Lewicką i zawahał się, ze spuszczoną głową wszedł do pokoju. Na górną półkę odstawił książkę ze zdjęciem na okładce, „mędroł” Tischner objął ich zatroskanym spojrzeniem.

- Jestem gotów. Słucham. - Ledwo słyszalny głos wydobył się ze ściśniętego gardła. Usiadł na kanapie i skurczył się w sobie, jak dziecko. Świeżo umyte włosy oblepiły czaszkę wilgotnymi pasemkami. Ramiona pozbawione wywatowanej marynarki były wąskie i spadziste. Należał do tego typu starzejących się mężczyzn, u których mięśnie nie ustępowały tkance tłuszczowej, ale zanikały. Jedynie w talii odkładał się przypominający oponkę fałd tłuszczu.

Ustawione równolegle do siebie stopy mężczyzny tkwiły w za dużych filcowych kapciach, dłonie oparł płasko na kościstych kolanach.

- Słucham - powtórzył.

Banasik usiadł na fotelu, jego twarz wyrażała współczucie i troskę.

- Nasze kondolencje. - Zawiesił głos. - Wiemy, że denat był pana przyjacielem, ale w związku z niewyjaśnionymi okolicznościami jego śmierci musimy zadać panu kilka pytań.

- Niewyjaśnionymi? - Sobieraj uniósł głowę i rzucił nerwowe spojrzenie.

- Musimy wykluczyć udział osób trzecich. Czy pański przyjaciel miał powód, by się zabić?

- Nie - zająknął się. - Nie wiem.

- Był ostatnio smutny? Rozdrażniony? Czymś przygnębiony?

- Nie zauważyłem, ale może był - zastrzegł się szybko.

- Wczoraj miał miejsce niemiły incydent, czy nie miało to wpływu na niego?

- Był ranny i... - Głos się załamał. - I z tego powodu... trochę zły.

Banasik przyjął to stwierdzenie ze zrozumieniem. Odczekał chwilę, dając czas panu Bogusiowi na opanowanie emocji i spytał:

- Czy moglibyśmy wspólnie odtworzyć wczorajsze wydarzenia? Może po kolei? Pana przyjaciel wyszedł z restauracji i co było dalej?

- Poszedłem za nim. - Obrzucił ich zaniepokojonym spojrzeniem.

- W takiej chwili nie powinien być przecież sam. - Szukał w nich potwierdzenia, ale twarz Banasika nadal wyrażała tylko troskę, a Lewicka nawet nie mrugnęła okiem. - Dogoniłem go na schodach i spytałem, czy mogę mu w czymś pomóc. Powiedział, że wszystko w porządku i że idzie do biura.

- I co dalej? Co pan zrobił?

- Ja?! - Sobieraj się wystraszył. - Nic nie zrobiłem. Niby co miałem zrobić? - Zerknął na Lewicką, ale nie uzyskał odpowiedzi. - Poszedłem na spacer. Musiałem się uspokoić. Byłem wstrząśnięty tą całą sytuacją.

- Widział pan, jak Marcinia odjeżdża?

- Co?! - Zamrugnął. - Nie, nie wiedziałem, że gdzieś pojechał. A wyjeżdżał?

- Zeznali tak inni świadkowie. Ale wróćmy do pana, poszedł pan na spacer...

- Wracając, postanowiłem zajść do Jurka i sprawdzić jak się czuje.

- O której to było?

- O której? No, nie pamiętam. Było jeszcze widno, chyba parę minut po siedemnastej.

- Czy widział pan kogoś? Spotkał się z kimś po drodze?

- Nie. Nikogo nie widziałem. - Zastanawiając się mimowolnie ściągnął brwi, a okulary zaczęły wolno zjeżdżać na koniec nosa. - Może kogoś z gości, ale nie pamiętam. W każdym bądź razie z nikim nie rozmawiałem.

- Został go pan w biurze.

- Oczywiście. Pracował, tak jak zawsze.

- O czym rozmawialiście?

- O pracy, o planach na sezon, o remoncie. - Szybko poprawił oprawki. - Normalnie, jak to w pracy.

- Nie poruszał pan z nim tematu zajścia?

- Ależ skąd. - Obdarzył Banasika chłodnym spojrzeniem. - Jestem kulturalnym człowiekiem.

Zabrzmiało to fałszywie, człowiek kulturalny, a już na pewno przyjaciel, wie jak pytać w kwestiach drażliwych.

- Sprawiał wrażenie przygnębitego? W jakim stanie go pan zastał?

- Był trochę rozdrażniony... - Rozejrzał się błagalnie, jakby szukał pomocy. - Raczej chyba zmęczony... Tak, wydawał się zmęczony Dlatego nie przeszkadzałem mu dłużej, nie miało to sensu.

Czy był to tylko zwrot retoryczny, czy rzeczywiście Sobieraj poczuł się jak intruz, jak ktoś, kto przeszkadza dyrektorowi, a jeśli tak, to w czym mu przeszkodził, zastanawiała się Lewicka.

- O której pan wyszedł od Marciniaka?

- Przed osiemną, chciałem zdążyć na wieczorną mszę.

-I zdążył pan?

- Byłem nawet za wcześnie.

- Czyli wyszedł pan kilka minut przed osiemną?

- Właśnie tak. - W głosie słyhać było ulgę. Rozluźnił się i po raz pierwszy od początku rozmowy oparł plecami o kanapę. Palce dłoni pozostały jednak nadal ciasno sklezione. - Na progu spotkałem się z księdzem proboszczem i jego bratem, właśnie do niego przyjechał. Po chwili dołączyli do nas goście hotelowi, młody poeta... - Zmarszczył czoło, szukając w pamięci. - Przepraszam, nie pamiętam nazwiska, ale łatwo sprawdzić, mieszka w Domu Królewskim, i muzykolog, profesor Kwieciński, nosi bardzo bujną brodę. Rozmawialiśmy przez chwilę o pogodzie, o nadciągającym wietrze i o grze w brydża. Panowie szukali pary do rozgrywki. Chętnie się zgodziłem, bo w sumie mało mamy tu rozrywek.

Gdy dużo mówił, ślina ubijała się w kącikach ust w nieapetyczne kupki.

- W ich towarzystwie spędził pan wieczór, tak? - dociekał Banasik.

-Tak.

- Wracając do tej rozmowy w przedsionku kościoła... - zawiesił głos wyczekująco.

- Gdy tak rozmawialiśmy, zadzwonił do mnie Jurek...

- Czego chciał? - Banasik zanotował sobie tę informację.

Sobieraj zmieszał się, urażony niestosownością obcesowego pytania.

- Przeprosił mnie za swą niedyspozycję i umówił się na następny dzień... - Grobowy głos załamał się. - Na dzisiaj.

- Czyli mieliście do omówienia coś ważnego, niecierpiącego zwłoki?

- Czy to teraz ważne? - Wybuchł nagle, dygocząc na ciele. Sięgnął po pulower i opatulił nim sobie szyję.

- Wiem, że to dla pana bolesne - zaczął ostrożnie Banasik - ale muszę zapytać. O której to było?

Sobieraj zamknął oczy, skupiając się na przesywających go dreszczach.

- Może przerwiemy i napije się pan czegoś ciepłego?

- Nie trzeba, zaraz mi przejdzie - mówił nie otwierając oczu - to chyba puszcza stres.

Banasik wstał i okrył mężczyznę kraciastym kocem. Sobieraj spojrzał na niego z wdzięcznością i okrył się szczelniej.

- Chyba po szóstej - powiedział szcękając zębami. - Proboszcz powiedział, że jest spóźniony i zaraz po tym poszedł do zakrystii. Potem była msza. A później poszliśmy zagrać w brydża. Ale można sprawdzić w moim telefonie.

Wstał niezgrabnie i ciągnąc za sobą końce koca przyniósł z sypialni srebrzystą zabawkę. Miał taki sam telefon-palmtop jak Marciniak. Jednym palcem zręcznie wysunął klawiaturę i nacisnął przycisk, ekran rozjaśnił się niebieskim światłem.

- Osiemnasta zero sześć, rozmowa trwała trzydzieści cztery sekundy

- Banasik przeczytał na głos. - O której wrócił pan do siebie?

- Po jedenastej. Kończyliśmy już grę, gdy przyszła Martyna. - Wyraz niesmaku jak migawka na ułamek sekundy wykrzywił wargi. - Martyna, to naręczona Jurka. Na Wielkanoc mieli wziąć ślub. - Wyjaśnił z wysiłkiem. - Szukała Jurka w restauracji. Grzegorek skierował ją do mnie, powiedział, że jestem na brydżu.

- Myślała, że Marciniak może być z panem?

- Tak. - Widząc ich pytające spojrzenia dodał: - Nic w tym dziwnego, często spędzaliśmy razem wieczory. Mamy tu własną salę projekcyjną i od czasu do czasu urządzamy sobie maraton filmowy.

- Wspólnie, czyli kto?

- Jurek, ja, Grzegorek, czasem ktoś z gości, no i Martyna. Raczej w naszym własnym kręgu pracowniczym. Szczególnie zimą. Bo w sezonie to nie ma na to czasu, ale poza sezonem...

- Pani Martyna przysłała więc do pana.
- Spytała, czy nie wiem co się stało z Jurkiem. W biurze go nie było, w eremie też nie, telefon milczał. - Zamilkł na chwilę, ocierając papkę śliny w kącikach ust. - To była dla mnie dość krępująca sytuacja.
- Dlaczego?
- Czy muszę tłumaczyć?
- Może ułatwię panu zadanie. Często go pan krył? Bał się pan, że wyjdzie na jaw, że się z kimś umówił? Może z inną dziewczyną?
- Jak pan śmie? Jurek nie był taki.
- Dlaczego jej pytania były dla pana krępujące?
- Nie muszę odpowiadać.
- Nie, na razie pan nie musi. - Stałowe spojrzenie Banasika mogło z łatwością przeszyć każdą zbroję. - Między szóstą wieczorem a godziną dwudziestą trzecią był pan cały czas w towarzystwie swoich partnerów brydżowych, tak?
- Tak. - Szybko potwierdził i spojrzał spłoszony na komisarza. - Czy jestem o coś oskarżony?
- Nie. To rutynowe pytania. Nie chciałbym pana zbyt długo męczyć, dlatego przejdę dalej. Kim był napastnik, który wczoraj uderzył Marciniaka w restauracji?
- Chłopak naszej kierowniczkich sali, nazywa się Olejnik.
- Dobrze go pan zna?
- Oczywiście, że nie - Sobieraj był wyraźnie urażony samą sugestią znajomości z agresywnym typkiem. - Czasem po nią przychodził. Wiele razy mówiłem jej, że jeśli musi ją odbierać wieczorem, to niech czeka na zewnątrz. Znajomi nie powinni zakłócać pracy, a tym bardziej spokoju gościom. I proszę, do czego doszło.
- Ale chyba powodem zajścia było zbyt śmiałe zachowanie pańskiego przyjaciela wobec tej kierowniczkich? Jak ona się nazywa?
- Anna Światała. Co to właściwie ma znaczyć? - obruszył się Sobieraj. - Co pan sobie wyobraża? Myśli pan, że jakieś mrzonki rozhisteryzowanych pannic to już cała prawda o Jurku? Jurek był zawsze bardzo szarmancki wobec kobiet i te głupie babska brały jego dobre wychowanie za awanse - prychnął. - Nawet do pięć mu nie dorastały.
- Właśnie, podobno pański przyjaciel nie uskarżał się na brak powodzenia u kobiet - Banasik podchwycił wątek.
- Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie te baby były nachalne - Temat głęboko poruszył jestestwo Sobieraja. - Same do łóżka mu włożyły.

Wszystko by zrobiły, żeby go złapać. Okropne - otrząsnął się z obrzydzeniem. - Największe łajdactwa dla niego popełniały. Kłamały, kręciły i zwodziły. Kobiety są beznadziejne pod tym względem - przeszedł do ogólnej oceny kondycji kobiecej. - Nie patrząc na ból kolczyk wprawił sobie w język, albo nawet niżej - zadrzał trwożnie - byleby tylko dogodzić facetowi i jak najdłużej zatrzymać go przy sobie, najobrzydliwsze rzeczy popełnią. Nawet w ciążę zajądą, dziewicę będą udawać, omamią i oszukają, byle tylko wyjść za mąż.

Lewicka była zgodna, bywają kobiety gotowe na wszystko. Walczą żarliwie jak lwice o swoje wymaginowane lub rzeczywiste szczęście, w niczym nie ustępując mężczyznom, jeśli chodzi o taktykę, strategię, bezwzględność, okrucieństwo, podstęp. Różnica tkwi jedynie w użytych środkach, w kalibrze broni i dokuczliwości amunicji. Z równą determinacją brną w nieudane i udane związki, jak i z nich wychodzą. Bezwzględna kobieta jest w stanie popełnić największe łajdactwo, by osiągnąć swój cel, czasem może nim być mężczyzna. Zdesperowana, da się poniżyć, zdeptać, zostanie niewolnicą, byleby otrzymać swoją dawkę miłości, często złej i przewrotnej.

Przed oczami stanął jej obraz nagiego, posiniaczonego ciała kobiety, pociętego ciemnymi pręgami razów, jakie otrzymała. To było na początku służby, zahukana, długowłosa i już bezzębna kobieta przychodziła kilka razy na posterunek zgłaszając pobicie, a na drugi dzień lub po paru godzinach wycofywała doniesienie tonąc w łzach, że kocha swojego oprawcę i nie chce, by stała mu się krzywda. Zdesperowane kobiety mogą się tak zatracić w swej odpuszczającej wszelkie grzechy miłości, że stają się groźne same dla siebie. Tak jak tamta dziewczyna pozbawiona instynktu samozachowawczego, skatowana na śmierć przez ślubnego. Sąsiedzi zaalarmowali policję. Funkcjonariusze o zaciętych twarzach wyprowadzili pijanego mężczyznę do okratowanej nyski, jeszcze wtedy miał całą twarz, okrężną drogą zawieźli do aresztu, gdzie lekarz zdrutował mu szczękę i zszył rozcięte wargi. Szesnaście szwów to i tak za mało, uważali ojcowie rodzin, bracia i synowie kobiet. Ale Lewicka nie czuła nienawiści do tego mężczyzny, bo nie mogła zrozumieć motywów żony, która bezwolnie stała się ofiarą. Nie mogła wtedy pojąć, że zepchnięcie na skraj cierpienia można uznać za pełnię życia.

- Jedna drugiej oko wyłupi, byleby odebrać faceta - Sobieraj się rozkręcał, a zbita ślina w kącikach ust zaraz miała skapnąć na brodę. - Myślą macią, jakby tylko to się liczyło na świecie - dodał mściwie. - A prze-

cież mężczyzna ma jeszcze inne cele, niż założyć rodzinę, dać się uwiązać i utonąć w pieluchach, między kuchnią a sypialnią.

Banasik zamrugał powiekami, jakby chciał pozbyć się przykrego wrażenia i spytał, z namysłem dobierając słowa:

- Proszę nam powiedzieć, o ile nie będzie to dla pana zbyt bolesne, jaki był Marciniak prywatnie?

- Słucham? - Pytanie wyraźnie zaskoczyło Sobieraja.

- Jakim był szefem? Przyjacielem? Człowiekiem, tak ogólnie?

- Był fantastyczny. Dzisiaj nie spotyka się już takich ludzi. Był oczyszczony, wykształcony. Umiał pięknie opowiadać. Umiał słuchać. Jako menedżer bardzo skuteczny. Czego się tknął, zamienił w złoto. Pracowaliśmy razem od ukończenia studiów. Zawsze odnosił sukcesy, we wszystkim. Lubił ruch na świeżym powietrzu. Kochał sport, świetny tenisista, żeglarz, pływak. Był wymarzonym towarzyszem podróży.

- Często podróżowaliście razem?

- Niezbyt często. - Lekki rumieniec zabarwił policzki. - Kilka razy spędziliśmy wspólnie urlop. Pływaliśmy po Adriatyku, Jurek miał patent sternika, wynajęliśmy jacht i żeglowaliśmy od wyspy do wyspy, niezapomniane wakacje.

- A co pan powie o *innych* ludziach? Na przykład o Grzegorku?

- O Marku? No cóż... Jest kompetentny. Bardzo pomógł nam w osiągnięciu przyjętych przez nas celów.

- Mówi pan o hotelu?

- Tak. Pracowaliśmy wspólnie nad strategią i Marek doskonale wywiązał się ze wszystkich powierzonych mu zadań.

- A jakim jest człowiekiem?

- Trochę... Trochę nieobliczalnym. - Na chwilę w źrenicach zagościł strach. - Kiedyś Jurek powiedział, że Grzegorka trzeba się bać.

- Czy wytłumaczył to jakoś?

- Nie wnikałem. Zawsze polegałem na opinii Jurka o ludziach i nigdy się nie zawiodłem.

- A Sołtysik?

- Sołtysik jest w porządku. Zna swoje miejsce w szeregu.

Według Lewickiej, zachowanie Sobieraja miało coś w sobie z tragicznej pozy osieroconego przez dowódcę adiutanta. Zastanawiała się jaka trauma kazała mu nienawidzić kobiet. Przykre doświadczenie inicjacyjne może na nadwrażliwych duszach pozostawić niezatarte piętno. Nadopiekuńcza matka też umie skrzywdzić. Przyjaciół był wyraźnie zazdrośny

o denata, o każdą chwilę, którą jego ideał poświęcał innym. Kolejne kochanki to była kwestia higieny, ale stała narzeczona, a w przyszłości żona, w oczywisty sposób zagrażała nierozłącznej jak dotąd przyjaźni. Zazdrość ma różne podłoże. Braterstwo krwi też bywa zazdrosne.

- Na świecie powinien być porządek. Ludzie muszą znać swoje miejsce. Są przecież zasady hierarchii służbowej, kompetencje przypisane do stanowisk, a niektórzy nie tylko co chwilę latali do Jurka i mu głowę zawracali byle czym. Bo co? By był dla nich miły! Jurek był za dobry dla wszystkich, zawsze okazywałyśmy innym zainteresowanie, troskę, a oni to podle wykorzystywali. Wciąż go wykorzystywali. Nikt tu nie przestrzegał standardów kultury pracy. Ręce po łokcie sobie urobiliśmy, by wyciągnąć ich z tego i zrobić prawdziwych pracowników. Bo tu każdy nie tylko by dyskutował onajdrobniejszym poleceniu. Przecież tak nie można - zakończył żałośnie.

Siedzieli naprzeciwko siebie, chłonąc ciszę, w której każde wybrzmiałe dotąd słowo nabierało złowrogięgo znaczenia.

- Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe użycia siły? - spytała.

- Ja? - Przyciśnięte do kolan dłonie zbieleły. - Oczywiście, że nie. Przepraszam za moje zachowanie.

- Pan także gra w tenisa?

Marketingowiec nieprzytomnie zamrugał oczami, wyraźnie odczłnął, gdy dotarło do niego o co pyta.

- Tak. Jurek mnie nauczył. Gramy... - Zająknął się. - Graliśmy dwa razy w tygodniu.

- Słyszę, że jest pan brydżystą. - Zachęcający uśmiech nieco ocieplił atmosferę. - A jak wczorajszy brydż? - Kolejny uśmiech rozluźnił go.

- Nie bardzo umiem grać, ale uwielbiam kibicować. Ciekawa była ta rozgrywka?

- Było kilka emocjonujących posunięć. Mój partner dobrze zaimpasaował króla i wygraliśmy jedno rozdanie.

- Pięknie - przyznała ze szczerym zachwytem - tylko pozazdrościć uśmiech ogrzał miękko wypowiedziane słowa.

- Czy wracając wczoraj w nocy zauważył pan, że latarnie zgasły?

- Nieprawda. Wszystkie się paliły - zaprzeczył i dodał mniej pewnie - Gdzie? Na podjeździe?

- Na dolnym tarasie - wyjaśniła.

- Ależ skąd? Dobrze pamiętam, że wszystkie latarnie były sprawne. Gdyby zgasły, nie mógłbym trafić kluczem do zamka, a nie przypominam sobie, żadnych utrudnień.

- To dziwne, bo gdyby było tak, jak pan mówi, to zauważyłby pan zwłoki pod wieżą.

- Ja?! Dlaczego miałbym je zauważyć?

- Gdy mijamy codziennie to samo miejsce, często nie zauważamy oczywistych zmian, szczególnie na wprost nosa, ale kątem oka prawie zawsze, bo zmiana to ruch.

- Przecież ich nie mogło tam być - zachrypiał.

- Dlaczego?

- No, nie wiem - głos odmawiał mu posłuszeństwa.

- Ostatnie pytanie. Dlaczego dziś rano chciał pan zbliżyć się do zwłok?

- Ja... Ja... Chciałem się pożegnać - wycharczał. - Ja nie wiedziałem... Nie wiedziałem, że on tam leży... Gdybym... Gdybym tylko... Gdybym tylko wiedział...

Potężny szloch przeszedł w głośnie zawodzenie. Uszy przeszył potworny wizg wydobywający się z otwartych ust mężczyzny. Sobieraj osunął się z kanapy i waląc głową o podłogę lamentował i ryczał.

Rozdział dziewiąty

Lewicka zamknęła za sobą drzwi zewnętrzne eremu numer siedem i spojrzała w górę. Nad nią skrzybiała latarnia zawieszona na kutym pastorale.

Czuła, że coś jej umknęło i musi teraz zastanowić się nad tym, co przed chwilą usłyszała. Doświadczenie podpowiadało jej, że w tej historii nie zgadza się zbyt wiele elementów. Przeszła przez trawnik, omijając miejsce, na którym jeszcze rano leżały zwłoki Marciniaka. Stała zamyślona i patrzyła na drzwi eremu, który przed chwilą opuściła. Potem wolno wspięła się po schodach i weszła do wieży zegarowej. Dokładnie zlustrowała wzrokiem stopnie. Na ich zakurzonych powierzchniach wyraźne były ślady ludzkich stóp, wąska ścieżka wydeptana w warstwie kurzu i paprochów naniesionych zimowymi wiatrami. Lewicka weszła na podest i krytycznie przyjrzała się smugom pyłu. Był nienaruszony, nie licząc śladów, które zauważyła wcześniej. Gdyby ktoś ciągnął tędy ciało, środek stopni byłby dokładnie zamieciony. Teoretycznie zabójca mógł ciągnąć zwłoki na dwa sposoby, najpewniej za ręce, bo za nogi - to wydało się Lewickiej wyjątkowo niedorzeczne. Kto normalny zniósłby stukot głowy

o kolejne stopnie, chyba że... „Chyba że ciało uległo już pośmiertnemu stężeniu” - Lewicka przygryzła dolną wargę. Jednak na ubraniu Marciniaka nie zauważyła śladów kurzu, a powinny być. Zapiętki jego butów również były w nienaganny stanie. Co prawda w nocy padał deszcz, który mógł zmyć niektóre ślady, ale nie zadrapania na butach.

Badanie kolejnego podestu nie przyniosło Lewickiej żadnych wskazówek. Poczula podmuch wiatru na twarzy, wzmagał się przeciąg, jakby gdzieś było otwarte okno. Jednak na piętrach wszystkie ramy okienne były dokładnie zamknięte i zablokowane. Dała za wygraną, minęła przeszklone okna, skąd rozciągał się widok na rozległą panoramę jeziora. Wreszcie pokonała kilka ostatnich, ostro skracających stopni i weszła na najwyższy poziom wieży. Puste otwory okienne zakończone lukami wychodziły na cztery strony świata, po jednym na każdej ścianie. „To dlatego tak wieje i stąd tyle kurzu” - pomyślała. Zwiedzających przed wypadnięciem chroniła kuta barierka. Wielki napis grzmiał: „Nie wychylać się”. Jednak Lewicka, nieczuła na słynną urodę pejzaży wigierskich, wychyliła się przez balkonik od strony wschodniej i spojrzała w dół. Na dachówce okrywającej podstawę wieży widoczny był ślad, jaki zostawiło po sobie zsuwające się ciało. Jakby spadzisty dach ktoś specjalnie przetarł szmatą usuwając paprochy i kawałki mchu, który zdążył tam wyrosnąć w załamaniach dachówek.

Uklękła i przechylając głowę na bok dokładnie, pod kątem obejrzała zakurzoną posadzkę w rogach. W świetle słońca, które na chwilę zalało cypel, na grubej warstewce szarego pyłu, pokrywającego podłogę, dało się wyraźnie zauważyć odciski butów. Przed każdym oknem ślady zagęszczały się. Wyglądało to tak, jakby wiele osób okrążyło ciasny taras widokowy, zatrzymując się przy balkonikach i podziwiając widoki. Trudno byłoby jednak ustalić precyzyjnie, czyje to ślady. Uwagę Lewickiej zwrócił północno-wschodni narożnik. Wyglądało, że tutaj kurz został zmieciony. „Bezkształtny ślad wskazuje, że coś tam leżało” - pomyślała Lewicka, przyglądając się smugom ciągnącym się od narożnika do balkoniku - „Coś ciężkiego, co potem zostało z trudem przeniesione i przewieszane przez barierkę”. Nie mogła jednak zrozumieć, po co morderca złożył tu ciało?

Wróciła na szczyt schodów prowadzących na ostatni podest i stanęła na palcach, wyciągając dłoń do góry. Potem wzięła się pod boki i przemierzyła odległość od schodów do okna. Według niej było tu wystarczająco dużo miejsca, by wejść swobodnie po schodach z obciążeniem, dojść

do barierki i zrzucić ciało. Możliwe, że z marszu było najwygodniej to zrobić. Lewicka przyjrzała się jeszcze raz śladom na podłodze i po chwili ruszyła schodami w dół.

Wyszła prosto na wewnętrzny taras górnych eremów, akurat w momencie, gdy przez bramę przechodził Marek. Zaczekała na niego pod domkiem. Zresztą i tak nie miała klucza do pokoju.

- Widziałem cię. I tego faceta. - Uśmiechnął się szeroko. - Myślałem, że poszłaś z nim na śniadanie. To znajomy? Pewnie świeżo zapoznany, ty wszędzie kogoś zaraz podrywasz. - Śmiały się także jego oczy. Mówił szybko i wcale nie czekał na odpowiedź. - Spotkałem przesympatycznego brodacza i prawie siłą zaciągnął mnie do restauracji, razem zjedliśmy, pogadaliśmy. Niesamowity typ. Wiesz, to muzykolog. Wyjaśnił mi dlaczego Mahler robi na mnie takie wrażenie. - Wygrzebał z kieszeni klucz i przekreślił w zamku. - Pobiegałem, pojadłem, czuję się fantastycznie. A ty?

- Świetnie.

- Szybko się pozbierałaś po naszych nocnych ekscesach. - Kąciki ust uniosły się kpiąco. - Myślałem, że rano sobie jeszcze pofiglujemy, macam ręką na oślepa, a tu pustka, nie ma Ewuni. Niegrzeczna dziewczynka

- objął ją, z westchnieniem udawanego żalu zaciągnął się aromatem włosów i pocałował szybko w czubek głowy. - Uwielbiam ten zapach. Nowy szampon?

Lewicka nie odpowiedziała, wiedziała, że przecież i tak to go nie interesuje. Weszła do łazienki, stanęła przed umywalką, przyglądając się odbiciu swojej twarzy w lustrze. Za jej plecami Marek szybko zrzucił z siebie ubranie.

- Wezmę tylko prysznic i jestem do twojej dyspozycji. A może też skorzystasz? - Zaprosił ją szerokim gestem do kabiny. Psotny uśmiešek podciągnął lewy kącik jego ust ku górze. Kiedyś ta asymetria w idealnie męskiej twarzy Marka bardzo jej się podobała.

- Nie, dziękuję. - Ominęła go zręcznie i usiadła na ubikacji z kosmetyczką w dłoni. - Jestem głodna, pójdę zjeść, może coś ocalało ze śniadania. Tylko umaluję sobie oczy. Rano nie zdążyłam.

Wprost na dywanik, przez niedomknięte drzwi kabiny prysznicowej wychlapywała się woda. Patrzyła, jak mydlił swoje ciało i tarł szalową myjką. Z wiekiem i obfitym jedzeniem większość mężczyzn traciła typowe proporcje ciała. Obrastają w tłuszcz na bokach i plecach, nie wspominając już o „śmietniku”, który hodują wylegając się przed telewizorem. Z czasem nogi zasuszają się, powoli stają się zylaste i kościste.

Nikną gdzieś brzuchate łydki i potężne mięśnie ud, a sprężyste pośladki zamieniają się w smętnie zwisające woreczki z piaskiem, z których czas i nierobstwo złośliwie wysysały wigor i siłę. Nie miała nic przeciwko temu, by jej mężczyzna zestarzał się i zasuszył jak mumia lub obrósł w wyraźne efekty dobrobytu, jak szczęśliwy Budda. „Cokolwiek miałyby się stać, niech stanie się przy mnie, ze mną, dla mnie” - nieraz myślała. Marek dzięki intensywnym ćwiczeniom i odpowiedniej diecie nadal miał prawie idealną sylwetkę atlety, z szerokim karkiem, rozłożystymi łopatkami i wąskimi łydźwiami, na widok których przechodził ją dreszcz. Jedyne lekko zaokrąglony brzuch, miękka fałda nieuchronnie podążająca za przyciąganiem ziemskim, świadczył o jego niepokromionym apetycie sybaryty.

Zauważył, że mu się przygląda, wyszczerzył się radośnie i posłał jej całusa.

Z wentylacji powiało chłodem, Lewicka zdrząła.

- Dlaczego ludzie kłamią? - spytała od niechcienia. - Jak myślisz?

- Mnie pytasz?

- Tak.

- Myślę, że z różnych przyczyn. Najczęściej chyba ze strachu przed odpowiedzialnością za swoje czyny.

Patrzyła, jak na owłosionej klatce i brzuchu mydło spieniło się, tworząc fantastycznie zmierzwione wzory.

- A jak skłamią, to mniej się boją? - Lewicka głośno wątpiła. - Przecież to samonapędzająca się pułapka. Jak raz skłamiesz, to zaczynasz się bać, że kłamstwo wyjdzie na jaw i kłamiesz dalej. Musisz kłamać.

- Ja nie kłamię. - Jego oczy nadal się śmiały.

- Chociaż jest może jedno wyjście...

- Jakie wyjście?

- Uwierzyć, że to wszystko prawda. Wtedy się nie pomylisz.

Wyjęła kredkę i ciemnoszara kreska wyznaczyła nowy początek dla rzęs.

- Najłatwiej jest nie kłamać. - Prychnął, gdy piana dostała się do ust i nosa.

- Nie, kochanie, najłatwiej jest nie mówić prawdy. Prawda czasem zabija. A kłamać trzeba jak najbliższej rzeczywistości, zawsze to ci powtarzam.

Różowe cienie rozjaśniły spojrzenie Lewickiej, wstała i skontrolowała efekt w lustrze nad umywalką. Policzki nabrały barw, a oczy głębi. Kontur ust wypełniła lśniąca pomadka.

- Co robiłaś od rana? - spytał spod perlającej się wody.

- Znalazłam zwłoki.
- Żartujesz? - Zaskoczony wychylił się z kabiny.
- Wyjątkowo nie i wcale nie jest mi do śmiechu.
- Kobieta? Zgwałcona?
- Nie. Dyrektor hotelu.
- A to stąd tyle policji. - Pokiwał głową. - Ty to masz szczęście, albo nieszczęście, gdzie się nie ruszysz, tam trup ściele się gęsto. - Zaśmiał się chrapliwie i zakręcił wodę.

Zawinął wokół bioder duży, biały ręcznik. Zroszone **wodą** ramiona połykiwały, z mokrych, nastroszonych włosów spadały na twarz grube krople. Podszedł do niej i przytulił ją do wilgotnej piersi.'

- Ogołiłeś sobie plecy... Zauważyłam to wczoraj - powiedziała, a opatulające ją ramię stłumiło słowa.

Odsunął ją od siebie i przyjrzał się badawczo.

- Ona tego nie lubi? - Było to raczej pozbawione emocji stwierdzenie niż pytanie. - Nie lubi ciebie, takim jaki jesteś.

- Ewa, to nie tak, jak myślisz.

- Nie robiłeś tego od dwóch, a może trzech lat. To coś poważnego?

- Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że nie. To znaczy chciałem powiedzieć, że nie ogołiłem się dla nikogo specjalnego, tylko dla siebie, dla higieny. - Puścił ją, wziął drugi ręcznik i zaczął wycierać się do sucha. - Nie podoba ci się?

- Nie. Co teraz zrobisz?

- A co mam niby robić? Przecież ci mówię, że to nie poważnego.

- Pytam, co będziesz robił teraz, przed obiadem? - powtórzyła znużonym głosem, jakby nie zauważyła jego deklaracji.

Marek rzucił jej ukradkowe spojrzenie i wyraźnie się rozluźnił.

- Powiedzieli mi w recepcji, że jest tu świetnie wyposażona siłownia, a instruktorką jest niezła laska - zaśmiał się nerwowo. - Na imię ma, tak jakoś... O, jak ta dziennikarka motoryzacyjna, ta co pojechała w rajdzie Paryż-Dakar

- Martyna? - podsunęła mu szybko.

- O, właśnie. Pójdę na rekonesans - znowu zarechotał - to znaczy poćwiczyć. Spotkamy się na obiedzie, koło drugiej, dobrze?

- Może po obiedzie pójdziemy razem na spacer?

- Oczywiście, kochanie.

Niektórzy mężczyźni, aby normalnie funkcjonować, muszą od czasu do czasu naprawdę zmęczyć się fizycznie. Raz na jakiś czas wyruszają

w góry, by się wspinać albo wyjeżdżają do puszczy nieprzebytej na kurs przetrwania, ewentualnie zaczynają malować mieszkanie z wyburzeniem ścian działowych włącznie. Wszystko zależy od możliwości, także finansowych. Intensywny wysiłek fizyczny, taki do ostatniego tchu, do wyczerpania, wręcz do bólu, pozwala im zapomnieć o rzeczywistości i zregenerować umysł. Pewnie to atawizm z okresu paleolitycznego, gdy łowca opuszczał swoją osadę i wyruszał na wiele tygodni, a nawet miesięcy po trofea myśliwskie lub wojenne. Zziębnięty i brudny wracał triumfalnie do *swojej* wioski, a tam czekała go właściwa nagroda - podziw i zachwyt współplemieńców oraz intensywne zainteresowanie kobiet. Wtedy jego szanse prokreacyjne wzrastały, bo swoim wyczynem udowodnił, że to, co mogło zabić innych, jego tylko wzmocniło. Istnieje także odmienny pod tym względem typ mężczyzn, ci prawdopodobnie wywodzą się z paleolitycznych rolników, bo lubią męczyć się codziennie i po trochu. Marek należał do pierwszego typu i zawsze działał zrywami. Gdy świat zaczynał go boleśnie uwierać, uciekał do siłowni i tam zamęczał swoje problemy, jeśli to nie pomagało, wyruszał na spotkanie ekstremalnych przeżyć. Ostatnio było to skakanie na bungee w Stańczykach. „Zdaje się, że znowu nadszedł ten moment” - pomyślała Lewicka. Zmieniła pantofle i nie czekając, wyszła przed mężem.

Silny wiatr przeganiał po niebie chmury, które zbiły się, pociemniały, zacinając półwysep, aż woda wokół niego stała się stalowoczarna.

Lewicka minęła bramę muru otaczającego eremy i spojrzała w prawo. Na północ od klasztoru, na drugim końcu jeziora, słońce przedarło się przez grubą zasłonę chmur. I teraz dotykało złocistymi promieniami ciemne wierzchołki świerków. Niezwykle, mieniające się złotem światło, przydawało cieniom fioleto. Widok przypominał święte obrazy, zapamiętane z dzieciństwa, gdzie boskie promienie błogosławią wybranych. Rzadko ludzie wieszają dzisiaj takie obrazy w domach, stwierdziła Lewicka i poszła dalej.

Od strony kościoła zbliżał się do niej wysoki, nieco zgarbiony, szczupły mężczyzna w czarnym pulowerze, spod którego wystawał brzeg kolarzki. Miał inteligentną, pociągłą twarz okoloną aureolą jasnych włosów. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze mógł mieć sześćdziesiąt. Okulary w metalowych oprawkach skrywały nieco melancholijny wzrok.

- Dzień dobry, księżo proboszczu. - Lewicka stanęła na wysokości ścieżki, która wiodła do drzwi plebani. Ksiądz zatrzymał się, nie mogąc inspektorki ominąć ani zignorować.

- Szczęść Boże. - Przyjrzał się jej uważnie. Zmrużył oczy, szukając w pamięci nazwiska lub sytuacji, która go z nią zetknęła. Próbował doposażać rysy kobiety do jednej z tysięcy kiedyś spotkanych twarzy. - Czy my się znamy?

- Raczej nie. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Jestem gościem hotelowym, a także inspektorem policji. Nazywam się Ewa Lewicka.

- Ach, to pani go znalazła! - Proboszcz nie krył zaskoczenia, ale szybko się zreflektował. - Andrzej Bielecki jestem.

- Więc pan już wie - dodała ponuro.

- Przykra sprawa. Bardzo przykra, żeby tutaj... u nas... - westchnął.

- Taki wypadek...

- Wypadek? Ludzie mówią, że ktoś go zabił. - Powiedział niepewnie, a jego zamglone spojrzenie nabrało intensywności. - Ludzka podłość nie zna granic, nic jej nie powstrzyma, żadna świętość.

- Dobrze go pan znał?

Uwadze proboszcza nie umknął fakt, że cały czas zwracała się do niego per „pan”. Trochę go to rozbawiło, a trochę zaciekawiło, bo zawsze to jakaś odmiana spotkać kogoś, kto nie jest członkiem Kościoła katolickiego.

- Dyrektora Marciniaka? Tyle o ile. Każdy z nas szefuje na swoim podwórku, jeśli mogę się tak wyrazić, chociaż te podwórka są poniekąd wspólne. Nie narzekałem na współpracę. Zawsze był pomocny i bardzo uczynny. Szkoda, wielka szkoda.

- Nie wie pan, czy miał rodzinę? Ojca, matkę, rodzeństwo, była żoną?

- Chyba nie miał już ojca i matki. Nigdy nic nie wspominał o rodzeństwie. Zresztą o byłych żonach też nie rozmawialiśmy. Ale nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek był żonaty. Może się nie złożyło. To był bardzo miły w obejściu człowiek. Wykształcony i czytany. Rodzaj sportsmena.

- Minimalny skurcz lewego kącika górnej wargi jasno wskazywał, co sądzi o tych, którzy tak się zachowują. - Jeśli mnie pani rozumie? Taki czempion na wszystkich ringach świata. Zdaje się, że każdą dziedzinę życia traktował jak sport. - Westchnął znacząco. - Wydawało się, że wygrał wreszcie swój puchar. Związał się z tą sympatyczną i niebrzydką Martynką. Wkrótce mieli się pobrać, tu u mnie. Dali już nawet na zapowiedzi...

Nie dokończył, opuszczając brodę na piersi i składając dłonie na zapadniętym brzuchu, jakby się zbierał do cichej modlitwy. Zapadło pełne zrozumienia milczenie nad ulotnością wszelkich planów, w obliczu niczym nie uzasadnionej agresji, która w jednej chwili może zniweczyć wszystko, co cenne.

- Mógł mieć wrogów? Kogoś, kto by mu źle życzył? - Lewicka prze-
rwała pełną zadumy ciszę.

- Nie wiem, proszę pani, nie zajmuję się plotkami - Bielecki wypro-
stował się sztywno. - Dlaczego ktoś miałby mu źle życzyć? Jeśli już, to na
pewno nikt stąd. Tutaj wszyscy bardzo go lubili.

- Oczywiście, oczywiście, ma pan rację, dlatego ani pan, ani ja nie
zajmujemy się plotkami. Lubił go pan? Chcę dowiedzieć się jakim był
człowiekiem. Czy mógł swoim zachowaniem komuś się narazić?

- Powtarzam, to był bardzo sympatyczny człowiek, wszechstronnie
wykształcony, zawsze miło było zamienić z nim kilka słów.

- Rozumiem. - Lewicka nieco się stropiła, lecz zaraz zadała kolejne
pytanie. - Widział go pan wczoraj?

- Chyba rano... Tak, rano go widziałem, pozdrowiliśmy się i każdy
poszedł do swoich obowiązków. Wchodzę do kościoła od zakrystii, a nie
od głównego wejścia, tego na wprost dyrektorskiego biura - pokazał dło-
nią w głąb klasztornego podwórza, gdzieś po drugiej stronie kościoła -
więc w sumie rzadko go widuję.

- A potem?

- Widziałem go z Sobierajem. Chyba szli do biura. Marciniak przyci-
skał coś do twarzy. Podobno go pobito?

- Tak, w restauracji rzucił się na niego chłopak tej szczupłej kierow-
niczki.

- Ach, więc to tak!

- Coś panu o tym wiadomo?

- Nie, skąd! - Lewicka pomyślała, że Bielecki wie więcej niż wypada
mu mówić, ale nie naciskała. - Po prostu teraz zrozumiałem, dlaczego
byli tacy wzburzeni.

- Wzburzeni?

- Odniosłem wrażenie, że Marciniak macha rękami, jakby się oganiał
od Sobieraja, ale teraz widzę, że po prostu intensywnie przeżywał to, co
zaszło w restauracji.

- Bardzo możliwe.

- Proszę spytać kościelnego, kręcił się obok. Mógł coś zauważyć.
W weekendy przez cały dzień kościół jest otwarty dla wiernych i zwie-
dzających. - Twarz proboszcza przybrała wyraz z troskania i smutku.

- Niestety nie do wszystkich można mieć zaufanie, kościelny pilnuje tu
porządku, o ile to możliwe.

- Czy sąsiedztwo hotelu nie jest męczące?

- Ludzie mają swoje potrzeby, nie mnie ich krytykować. - Poblądliwy uśmiech znowu wykrzywił kąciki warg ku górze.

- Ale czasem chyba bawią się zbyt głośno?

- Rzadko. Większość gości, mam takie wrażenie - zawiesił głos, by nadać słowom głębsze znaczenie - przyjeżdża tu po inne atrakcje.

- Po co przyjeżdżają?

- Po to, co i pani - pod natrętnym wzrokiem proboszcza uciekła oczami w bok. - Przemyśleć, zastanowić się, nabrać dystansu. Chociaż od dwustu lat nie ma tu mnichów, atmosfera pustelni pozostała. Ludzie czują to podświadomie. Pragną spokoju, tej pewności, że to, co spotyka ich dzisiaj, nie ma znaczenia w perspektywie tego, co było wczoraj. A w perspektywie jutra, nadziei na życie wieczne, doczesne troski są tylko chwilową niedogodnością. Uświadomienie sobie tego koi nerwy.

Zamilkł, przyglądając się Lewickiej, by po chwili kontynuować.

- Człowiek od czasu do czasu potrzebuje poczuć, że „być”, znaczy więcej niż „mieć”. Że „jest” tu i teraz, a nie że tylko „ma”. Po to ludzie tu przyjeżdżają. Dzięki temu, że nadal funkcjonuje tu kościół, że liturgia wyznacza rytm dnia, Wigry nie stały się pustą skorupą dawnej pustelni, urządzonej wygodnie, z zapleczem rozrywek, po prostu oryginalnym miejscem odpoczynku. To żywy obiekt, w którym ludzie mogą znaleźć się bliżej Boga.

- Pan w to wierzy?

- Tak, jestem szczęśliwym człowiekiem, bo wierzę, że Bóg mnie kocha, ta wiara i miłość dają mi siłę i nadzieję.

Lewicka spoglądała na niego z uwagą. Gdy mówił o Bogu, jego policzki nabierały rumieńców. „Chyba rzeczywiście głęboko wierzy w to, co mówi” - pomyślała. Słuchała go z roztargnieniem, przyglądając się dzianinowemu pulawerowi, w który był ubrany. Misterny wzór w pionowe pasy składał się z wymyślnej plecionki, stylizowanych łańcuchów o okrągłych ogniach i szerokich warkoczy, przypominając rodzaj kołczugi lub dawnej zbroi. Ten sam motyw pokrywał rękawy. Nie była to dzianina maszynowa ani praca niewprawnych rąk domowej dziewiarki, raczej wytwór doskonałego warsztatu i artystycznych inspiracji.

- Piękny sweter - powiedziała nagle.

- Brat mi przywiózł z Irlandii. - Twarz mężczyzny rozjaśnił uśmiech.

- Pracuje tam, ale wpadł na kilka dni do Polski i mnie odwiedził. To sweter klanowy. Brat go zamówił specjalnie dla mnie, dlatego jest czarny, a nie zwyczajowo biały. Wełniany, idealny na te przeciągi.

- Klanowy?

- Szkoci mają swoją niepowtarzalną kratkę, a Irlandczycy sploty wzorów dziewiarskich. Każdy ród w Irlandii ma swój charakterystyczny, niepowtarzalny układ. Ten, jeśli dobrze pamiętam, chyba należy do klanu Doyle lub Macdowall.

- Niesamowite.

- Po prostu przywiązani są do tradycji.

- A czy później widział pan Sobieraja?

- Tak. Zamieniliśmy kilka słów przed wieczorną mszą.

- O czym rozmawialiście? Jeśli to nie tajemnica.

- Rozmowy z wiernymi o głupstwach nie stanowią tajemnicy

- uśmiechnął się wyrozumiale. - Właściwie to o niczym. Szliśmy razem z bratem do zakrystii, po drodze spotkaliśmy profesora Kwiecińskiego, kontynuowaliśmy naszą wcześniejszą rozmowę o celtyckiej muzyce i brydżu. Profesor namawiał brata do gry, ale Zbyszek chciał odwiedzić jeszcze siostrę w Olsztynie i odmówił. Wtedy podszedł do nas pan Sobieraj. Nie wiem, co było dalej, bo z tego wszystkiego tak się zagadaliśmy, że wstyd przyznać, ale byłem już kilka minut spóźniony. Poszedłem się przygotować. Później go nie widziałem. To wszystko.

- A jest jakiś kontakt z pańskim bratem? Może on coś zobaczył lub zapamiętał?

- Brat wyjechał, jak już mówiłem, ale podam pani numer jego komórki. Jeśli tylko coś pamięta, na pewno chętnie pomoże.

- Dziękuję. Przekażę to komisarzowi Banasikowi, to on oficjalnie prowadzi śledztwo.

- A pani?

- Zastanawiam się - zaczęła ostrożnie. - Nie wie pan, czy Sobieraj ma jakąś rodzinę?

- Zdaje się, że jego rodzice nie żyją.

- A żona, narzeczona, dziewczyna?

- To bardzo skromny człowiek.

Lewicka obrzuciła go czujnym spojrzeniem. „Ciekawe, co może oznaczać to określenie w ustach księdza”, zastanawiała się. Może Sobieraj był wstydlivy, może bał się kobiet, może za nimi nie przepadał, ale cokolwiek to było, nigdy nie nazwałaby tego „skromnością”.

- A Grzegorek? Zna pan Grzegorka?

- Oczywiście, tu wszyscy znają wszystkich. - Łagodny uśmiech wyrozumiałości rozjaśnił jego twarz. - Jesteśmy tu trochę jak rozbitkowie

na bezludnej wyspie, skazani na siebie nawzajem. Grzegorek chyba jest rozwodnikiem, ale ma syna. Nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych, ale kiedyś powiedział mi, że się śpieszy bo jedzie na urodziny syna.

- Czy syn go odwiedzał?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A Marciniaka lub Sobieraja ktoś tu kiedyś odwiedzał? Mieli prywatnych gości?

- Nie wiem. Mówiłem już pani, że każdy ma swoje podwórko. Mi się nie zwierzali.

- Marciniak był gorliwym katolikiem?

- Co pani rozumie przez słowo „gorliwy”?

- Czy na przykład regularnie uczestniczył w mszach?

- Myślę, że przedkładał obowiązek ponad strawę duchową. Uczestniczył od czasu do czasu w mszach niedzielnych, no i zawsze podczas najważniejszych świąt kalendarza liturgicznego.

- Czyli na Boże Narodzenie i na Wielkanoc?

- Tak.

- A Grzegorek?

- W kościele bywa tylko ze zwiedzającymi, jako przewodnik. Jest bardzo dobrze zorientowany w historii. - Bielecki zatrzymał się, po chwili roześmiał cicho, jakby sam do siebie. - Śmieszne, powiedziałem o Marciniaku, że to typ sportmena, ale przecież prawdziwym sportowcem jest Grzegorek. Dwa razy do roku wyjeżdża na zawody. Codziennie trenuje, biega, jeździ na rowerze, pływa. Silny mężczyzna, wie pani. Sam widziałem, jak opłynął nasz półwysep, a tu przecież jest tyle wirów, niebezpieczeństw, silnych nurtów. Najczęściej pływa w zatoczce przystani hotelowej, nawet gdy jest już zimno, póki lód nie skuje wody. Ma taki specjalny kombinezon, to się chyba nazywa pianka.

- A Sobieraj?

- To skromny i religijny człowiek. Zawsze bardzo grzeczny i miły. Wszyscy trzej do tego bardzo pracowici. Uczynili z tego miejsca prawdziwą perłę. Właściwie to skąd te pytania? Wydaje mi się, że nie jestem najlepszym źródłem informacji. Tak naprawdę wiem niewiele.

Ksiądz zreflektował się, że być może powiedział o kilka słów za dużo i zaczął się wycofywać. Ostatecznie był funkcjonariuszem, tak jak Lewicka, a żaden funkcjonariusz w jakiegokolwiek służbie nie lubi dzielić się tajemnicami z drugim funkcjonariuszem obcej służby. Bielecki był jednak człowiekiem i nie mógł sobie odmówić przyjemności zwykłej

rozmowy bez dystansu, jaki dzieli księźda z wiernymi. Jak każdy duszpasterz tęsknił za wdzięcznym rozmówcą, którego nie będzie musiał nauczać, a po prostu wymieni się opiniami. Lewicka doskonale wiedziała, jakie to uczucie.

- Bardzo mi pan pomógł. Aha, jeszcze jedno, czy dzisiaj Sobieraj uczestniczył w porannej mszy?

- Nie, nie widziałem go. Ale w tej sytuacji nie ma w tym nic dziwnego.

- Ależ nie doszukuję się we wszystkim drugiego dna. Staram się tylko uporządkować fakty i zapanować nad chronologią zdarzeń. - Posłała mu promienny uśmiech. - Zastanawiam się, jak to jest mieszkać i pracować na tym odludziu. Sam pan to przyznał, że klasztor to wyspa na oceanie.

- Ja nie pracuję, ja służę Bogu i ludziom.

- Tak, tak, to zrozumiałe. Nurtuje mnie co innego. Czy nie wydaje się panu, że Marciniak, Sobieraj i Grzegorek skazali się tutaj na rodzaj pustelni? Zdrowi, wykształceni, przebojowi, wcale nie starzy...

- Nie mnie oceniać. - Bielecki uśmiechnął się pod nosem. - Nie wydaje mi się jednak, żeby istotnie wiedli pustelnicze życie.

- Rozumiem. A jednak wciąż zadaję sobie to samo pytanie: dlaczego?

Nie uzyskała jednak odpowiedzi, bo nagle obok nich pojawił się nieduży mężczyzna z bujną brodą.

- Szczęść Boże, księźe proboszczu! Witam panią! - promieniał.

Odpowiedzieli mu uprzejmym skinieniem głowy. Lewicka widziała mężczyznę wcześniej, jak przemierzał ścieżki błoni przyklasztornych lub spoglądał z murów na jezioro. Bujna, sięgająca piersi broda, której końcówki zwijały się w drobne loczki, stanowiła rekompensatę dla braku owłosienia na głowie. Wyglądał jak wiosenne alter ego Świętego Mikołaja, zamiast czerwonej kurtki miał kraciatą jasnobezową koszulę podbitą wełnianym runem i sportowe, spłowiałe spodnie z kieszeniami na udach.

- Witam państwa! - powtórzył. - Na spacer?

- Jeszcze za wcześnie - odpowiedział proboszcz. - Może po obiedzie. Teraz obowiązki wzywają.

- A pani? Zdaje się, że z pani mężem jadłem śniadanie. Jestem Leon Kwieciński. Pani inspektor Lewicka, prawda?

- Tak, to ja we własnej osobie. Z mężem zjadł pan śniadanie, to może ze mną napije się pan kawy?

- Och, kawa! W pani towarzystwie, to prawdziwa przyjemność!

- krzyknął radośnie. - Niestety dziękuję, ale nie, może innym razem powiedział prawie płaczkliwie i zaraz wyjaśnił. - Muszę się ruszać - ra-

mionami zatoczył w powietrzu kilka okręgów i głęboko wciągnął powietrze. - Ruszać się, żeby nie zardzewieć - roześmiał się zaraźliwie. - Teraz muszę pospacerować, więc może później?

- Pani inspektor chciała zadać, profesorze, kilka pytań w związku z... nieszczęśliwym wypadkiem dyrektora Marciniaka - wyjaśnił proboszcz.

- No tak - zasepił się Kwieciński. - Nieprzyjemna sprawa. Słucham.

- Znał go pan?

- Poznałem go dopiero tutaj, zaraz po przyjeździe. To przemily człowiek, urodzony gospodarz, od razu przypadliśmy sobie do gustu. Doprawdy, co za nieodżałowana strata.

- Kiedy pan przyjechał?

- Tydzień temu.

- Podobno grał pan wczoraj w brydża?

- Tak. Brydż to świetna rozrywka, dobrze rozgrzewa umysł i pozwala zapomnieć o całym świecie.

- A z kim pan grał?

- Z Madzią Mineyko, właściwie powinienem powiedzieć z Magdą Mineyko - zawiesił głos w oczekiwaniu na reakcję Lewickiej, ale nazwisko kobiety nic nie mówiło inspektorce. Nie zrażony, kontynuował:

- Madzia jest znaną śpiewaczką *operową i moją przyjaciółką* od wielu lat. Oboje jesteście zapalonymi brydżystami.

Lewicka wyraziła odpowiednią dozę zachwytu nad tą informacją, a w duchu pomyślała, że może i pani Mineyko jest znana w operze, ale w policji dotąd nie notowana. „Doprawdy skąd się bierze ta myśl, że nazwisko śpiewaczki powinno być znane każdej napotkanej policjantce?”

- No i z Arkiem Binkowskim, ale o nim na pewno państwo jeszcze nie słyszeli, choć to młody poeta, to już bardzo ceniony, między innymi laureat Nagrody Kościelskich...

Tytuł nagrody także nie zrobił wrażenia na słuchaczach.

- Nie jest zbyt wytrawnym graczem, ale szybko się uczy, będą z niego ludzie. No i z panem Sobierajem.

- Często grywaliście razem? - Lewicka ożywiła się.

- Ależ skąd. W tym zestawie pierwszy raz. Gramy dla rozrywki, raczej w dość przypadkowym gronie, czyli kto się nam, trójce samotnych i nieco znudzonych gości, akurat nawinie.

- Kto zazwyczaj uczestniczył w brydżu?

- Oprócz naszej trójki?

- Chyba zgadaliśmy się zaraz pierwszego dnia po przyjeździe. Okazało się, że pan Jurek również jest brydżystą, to znaczy pan dyrektor. Gdy wyjechał nasz znajomy, Marciniak chętnie go zastąpił, ale nigdy nie graliśmy z Sobierajem. Raz spędził z nami wieczór, jako kibic dyrektora.

- A wczoraj zastąpił Marciniaka po raz pierwszy? Byliście umówieni?

- Nie. Nie ymawialiśmy się z Marciniakiem. Właściwie to kusilem rozgrywką brata księdza proboszcza, bo okazało się, że pan Zbyszek na studiach grał w reprezentacji. Co prawda my nie gramy na poziomie turniejowym, ale taki mistrz to dla nas prawdziwa gratka. Niestety nie mógł zostać. Rozważaliśmy głośno, kogo by tu zwerbować. I tak jakoś samo wyszło. Chociaż nie... Zaraz! Pan Sobieraj sam się zaoferował. Myśmy mu nie proponowali nawet, bo na entuzjastę gier karcianych to on nigdy nie wyglądał.

- Jakim graczem jest Sobieraj?

- Nerwowy gość. Wczoraj dwukrotnie był moim partnerem. Momentami dobry, ale chwilami miałem wrażenie, że nie bardzo się orientuje, o co chodzi. Na samym początku zaznaczył, że dawno nie siedział przy zielonym stoliku, ale to jest jak jazda na rowerze, wie pani, tego nie można zapomnieć. W sumie szybko znaleźliśmy wspólny język.

- Powiedział pan, że chwilami nie orientował się w sytuacji. Co to właściwie znaczy?

- Niech sobie przypomnę. Nie była to rozgrywka mojego życia, no nie z takim partnerem, co buja w obłokach, ale było kilka emocjonujących momentów.

- Podobno zaimpasował pan króla?

- Kto, ja? Ależ skąd, to był fuks! Wyszedłem w asa, a tu król - singiel. Bardzo rzadko coś takiego się zdarza. Z Madzią uśmialiśmy się setnie, bo w sumie to zaważyło na wyniku, a mój partner nawet tego nie zauważył. O właśnie! Momentami był taki nieuważny, całkiem jak poeta albo zakochany. Chociaż akurat nasz poeta *jest* bardzo skupionym graczem.

- Wracając do wczorajszego wieczoru, podobno podczas waszej rozmowy na progu kościoła ktoś dzwonił do Sobieraja?

- Tak było.

- Przypomina pan sobie, o której?

- Spojrzałem na zegarek - pośpieszył z odpowiedzią proboszcz.

- Było trzy minuty po osiemnastej, przeprosiłem panów i szybko poszedłem do zakrystii. Byłem już spóźniony.

- Rzeczywiście tak było. Zadzwoił telefon, Sobieraj przeprosił, ode-

brał rozmowę, a ksiądz proboszcz wszedł do środka - potwierdził Kwieciński.

- Nie wie pan, kto do niego dzwonił?

- Nie wiem - spojrzał na nią zdziwiony. - Skąd niby miałbym wiedzieć, nie mówił nam.

- Czasem ludzie informują kto do nich dzwoni, szczególnie gdy przezywają rozmowę - wyjaśniła Lewicka. - Czy słyszał pan o czym rozmawiał przez telefon?

- To był krótka wymiana zdań. Właściwie to on tylko przytakiwał. Bardzo zmienił się po tej rozmowie, a za chwilę znowu ktoś do niego zadzwonił.

- Więc odbył dwie rozmowy?

- Tak. Czy to dziwne?

- Nie, po prostu pytam.

- O! Ma pani rację, po tym drugim telefonie przeprosił, że dzwonił pan Jurek, odwrócił się i też tylko przytakiwał. Potem wyjaśnił, że Jurek go przeproszał, że czegoś tam razem nie zrobią, bo jest bardzo zajęty.

- Może chodziło o to, że dyrektor ma ważne spotkanie?

- Nie... - Kwieciński zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie.

- Nie, nie nie mówił o spotkaniu. Tylko że dyrektor jest zajęty, ale możliwe że chodziło o spotkanie.

-I co było dalej?

- Właśnie wtedy pan Sobieraj nagle zaoferował się zagrać z nami. Ponieważ i tak nie mieliśmy czwartego, to zaraz przystaliśmy na jego propozycję i zaraz poszliśmy do eremu Madzi, bo u niej jest odpowiedni stół. Zamówiliśmy kolację do pokoju i usiedliśmy do kart.

- Który to erem?

- Numer jeden, ja mieszkam w numerze dwa.

- Czy ktoś z was w tym czasie wychodził, a może ktoś was odwiedził?

- Wychodził? Chyba Arek poszedł do siebie, to znaczy do Domu Papieskiego, zostawił w pokoju komórkę.

- O której to było?

- Chyba kilka minut po siódmej.

- I nikt nie przyszedł w trakcie rozgrywki?

- Przyszła pani Martyna, szukała dyrektora. Właściwie to już skończyliśmy, więc jej przybycie było pretekstem do zakończenia rozgrywki.

- O której to było?

- Przed dwudziestą trzecią.

- Czy Martyna wyszła przed wami?
- Nie, wyszli razem z Sobierajem.
- Dziękuję panu bardzo.
- Chyba niewiele pomogłem, bo przecież nie widzieliśmy nikogo obcego. Może Arek coś widział.

- Spytam go..

Drzwi do plebani otworzyły się szeroko, uderzając o mur, na progu stała tęga, niewysoka kobieta z zaczerwienią twarzą.

- Proszę księdza, telefon!

- Przepraszam państwa na momencik.

Bielecki zniknął za drzwiami prowadzącymi do kancelarii parafii, a kobieta stała obok nich i złożyła ręce pod obfitym biustem. Na zmianę przyglądała się badawczo to Lewickiej, to Kwecińskiemu. Profesor uprzejmie skinął kobiecie głową na powitanie, a ona coś mu odburknęła.

- Taki sympatyczny młody człowiek... Co za strata... - powiedziała nagle, nieznacznie zawodząc.

- Lubiała go pani?

- A kto go nie lubił? Roześmiany taki, a zębiska miał jak ten aktor filmowy. Wysoki, szczupły, dobrze ubrany. A oczami błyskał jak fleszami. No piękny był i tyle. Bo ten drugi, ten czarny, to taki małowówny jakiś. Nie powiem, grzeczny. „Dzień dobry” zawsze powiedział. Ale tylko sobą zajęty. Ciągle biegał, jak z pieprzem.

- Nie rozumiem.

- Chciałam powiedzieć, że ciągle się sportował. No oni wszyscy tacy wysportowani, ale co innego jachtem popływać, z raketką przejść się, a co innego lecieć do lasu, biegać po wertepach i wracać upapranym w błocie, że własna matka by go nie poznała.

- Pan Sobieraj też taki usportowiony?

- A tego to ja nie lubię. Jakiś taki miglancowaty on jest, do chłopa nie podobny.

- Nie podoba się pani?

- Ano nie podoba. Mówiłam księdzu dobrodziejowi, że to nie jest normalne.

- Co nie jest normalne?

- A żeby tak codziennie do spowiedzi latać i zaraz do komunii przystępować. Dużo musi mieć na sumieniu, ot co! Uczciwy człowiek to nie ma z czego się spowiadać.

Spurpurowiały na twarzy ksiądz stanął za plecami kobiety.

- Co też Alina wygaduje?! Przecież tak nie uchodzi. - Oburzony jej zachowaniem nie krył dezaprobaty. - Zdaje się, że coś kipi na kuchni. Aż tu czuć. Może się Alina zainteresuje?

Kobieta pociągnęła nosem.

- Kaczka! - krzyknęła, zamiotła spódnicą chodnik i już jej nie było.

- Przepraszam za niewyparzony język mojej gospodyni - Bielecki usiłował zatrzeć złe wrażenie.

- Ależ to nie pańska wina, ma po prostu własne zdanie na każdy temat - Lewicka uśmiechnęła się, jakby występ gospodyni był uroczym antraktem, na który wszyscy czekali.

- Miło się rozmawia, ale niestety muszę wracać do obowiązków. Pewnie jeszcze się spotkamy. - Ostatnie słowa były skierowane do Lewickiej. Rumieńce zażenowania powoli ustępowały zwyczajowej bladeści księdza.

Kwieciński chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie podszedł do nich Banasik.

- Czy mógłbym panią porwać? - miękki baryton odezwał się wprost do jej ucha.

- Nie ma sprawy, panie komisarzu. A może zje pan ze mną śniadanie?

- Bardzo chętnie.

Pożegnała się z brodatym *muzykologiem i pod rękę* z Banasikiem poszła prosto do Domu Królewskiego, gdzie mieściła się hotelowa restauracja.

Rozdział dziesiąty

- To ciekawe - jednym krótkim stwierdzeniem Banasik podsumował relację Lewickiej z rozmów pod plebanią. O tej porze byli jedynymi gośćmi w hotelowej restauracji.

- Mam już zeznania kościelnego. - Na chwilę przerwał i dołączył sobie kawę. - Kręcił się pod biurem, gdy działali tam nasi technicy. Nalewajko zdażył go przepytac na okoliczność wczorajszego dnia.

Lewicka przestała jeść i słuchała z uwagą.

- Twierdzi, że wczoraj wieczorem Sobieraj wypadł z biura jak z procy i prawie wbiegł do kościoła. Zazwyczaj nie biega, a raczej przesuwa się kaczym truchtem, więc ten pośpiech zwrócił uwagę kościelnego. Zaraz potem Sobieraj wyleciał i spytał kościelnego, gdzie jest proboszcz, wtedy kościelny spojrzął na zegarek i stwierdził, że ksiądz zaraz powinien

przyjść. Była za kwadrans osiemnasta.

- Aha - Lewicka kiwnęła głową na znak, że przyswoiła sobie tę część informacji.

- Kilka minut wcześniej widział, jak wchodzi tam Grzegorek i pomyślał sobie, a ludzie to lubią sobie pomyśleć o bliźnich różne rzeczy - Banasik uśmiechnął się znacząco - że chyba znowu się „pożarli”.

- Pożarli?

- Tak to nazwał. Twierdzi, że parę razy słyszał, jak kłócą się strasznie.

- Sobieraj z Grzegorkiem?

- Nie, każdy oddzielnie, z Marciniakiem.

- Może jaśniej.

- Według kościelnego, jak sam stwierdził, bardzo lubi porządek i często zamiata schody przed głównym wejściem kościoła. Zazwyczaj jest ono nieczynne, otwiera się je tylko od święta. Przy okazji zamiata także kawałek podwórka, co wcale nie jest w jego obowiązkach, aż po chodniczek pod oknami biura dyrektora. Z podsłuchu kościelnego wynika, że Grzegorek darł koty z Marciniakiem, a Sobieraj bez przerwy z dyrektorem o coś się wyklócał. Niestety kościelny nie wie, o co chodziło, bo ku jego rozżaleniu, gdy rozmawiają w gabinecie dyrektora, oddzielonym od podwórka korytarzem i sekretariatem, to niewiele dociera do uszu kościelnego.

- Banasik mrugnął okiem. - A najgorsze, dla kościelnego, jest to, że zimą nie otwierają okien i słyszy tylko stłumione głosy.

- A wczoraj też się kłócili?

- Tego to on nie wie, bo akurat, ku swojej rozpaczy, zamiatał z drugiej strony i nie słyszał. Domyśla się tylko. - Banasik splótł i rozplótł palce.

- Ale równie dobrze Sobieraj z Grzegorkiem mogli się rozminąć, bo Sobieraj nadleciał od południa, a Grzegorek poszedł wzdłuż północnej ściany kościoła.

- To interesujące. Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Próbowałem skontaktować się z Pomicką, ale ma wyłączony telefon.

Banasik wstał i powoli podszedł do bufetu. Przeglądał zawartość piętrowej patery z ciastkami, długo zastanawiając się nad wyborem, wreszcie nałożył sobie gargantuiczną porcję sernika i ponownie usiadł przy stoliku.

- Zastanawiam się, czy wczoraj wieczorem oświetlony był placyk pod wieżą zegarową - odezwała się Lewicka.

W milczeniu Banasik z apetytem pochłaniał drugą porcję serowego ciasta.

- Chyba tam są latarnie - z trudem przełknął kęs.
 - Ale czy się paliły?
 - Myśli pani, że to ma jakieś znaczenie? - Jego wzrok nabralł czujności. - Rozumiem, ktoś zgasił światła, by cicho i bez świadków wypchnąć ciało Marciniaka przez barierkę.
 - Na przykład. Oprócz latarni są tam także reflektory podświetlające budynek, wieża *w nocy* lśni i wszystko widać jak na dłoni, chyba że jest mgła, a wczoraj była, ale zawsze to lepiej zgasić światła, prawda?
 - To by oznaczało, że mordercą *jest ktoś miejscowy*, to znaczy ktoś z załogi, bo niby skąd wiedział, gdzie wyłącza się latarnie?
 - Równie dobrze mógł być stałym bywalcem i po prostu zaobserwował. Będziemy musieli to sprawdzić. Kawy?
- Banasik ponownie zapchany sernikiem wybełkotał niezrozumiale. Nieokreślony pomruk chyba był przyzwoleniem na kolejną filiżankę.
- Zastanawia mnie... - dumiała Lewicka. - Skąd Sobieraj wiedział, że pod wieżą leży Marciniak.
 - Dzisiaj rano?
 - Kto mu powiedział? Kiedy? Gdy znalazłam ciało, szukaliśmy kogoś z zarządu, ale telefon do pokoju Sobieraja milczał. Do Grzegorka zresztą też. Stróż powiedział mi, że pewnie Grzegorek śpi, a Sobieraj jest w kościele. Ale proboszcz mówił, że nie było go rano na mszy.
 - Wychodzi na to, że *wyszedł z eremu i od razu rozpoznał* zwłoki.
 - Przyglądałam się temu miejscu z wejścia na patio, tak jakby to zrobił Sobieraj. Widać stamtąd dobrze, że coś leży, ale nie kto leży - Lewicka mocno podkreśliła słowo „kto”. - Mógłby go rozpoznać po szaliku, jednak pamiętam, zresztą można to sprawdzić na zdjęciach, że ciało zasłaniało ten charakterystyczny szalik. Stamtąd nie mógł dostrzec także głowy, bo zakrywały ją plecy i ramiona okryte pociemniałą od wilgoci marynarką. O tej porze, we mgle, wszystkie kolory wydają się bure i nijakie. Nie, po prostu nie mógł z progu swojego mieszkania rozpoznać, że to Marciniak. Dobrze pan wie, że ciało nieprzytomnego człowieka zauważy pan z oddali. Ale nieboszczyka? Gdy zanika napięcie tkanek, zwłoki stają się tylko *elementem martwej* natury. Poza tym rzadko dopuszczamy do siebie myśl, że ten „przedmiot” to ktoś nam bliski. Pamiętam, jak kiedyś wezwano mnie do wypadku kolejowego, *to było* w stanie wojennym. Na niestrzeżonym przejeździe pociąg podmiejski uderzył w kobietę. Ciągnął ją za sobą kilkanaście metrów, nim się zatrzymał. Niosła jajka i te jajka wypadały po drodze. Może pan sobie wyobrazić, trzysta jaj, rozbite jedno

po drugim wzdłuż całej trasy. Trochę to trwało, nim nadjechała milicja, technicy, wreszcie przyjechał ambulans po ciało. W tym czasie zebrali się mały tłumek. Ciało, zaznaczam, że niezbyt pokiereszowane, leżało na poboczu. Wszyscy komentowali, wymieniali się uwagami, ale nikt nie rozpoznał ofiary wypadku. Posterunkowy wziął jej dokumenty i spytał ludzi, czy ktoś zna tę kobietę. Wtedy z tłumu wyszedł syn. Stał tam od dwóch godzin. Normalny facet, trzeźwy, spokojny, tym właśnie pociągiem wracał z pracy z Warszawy. Mieszkał z matką, wiedział w co była ubrana i że wybierała się na bazar po jajka, a jednak jej nie rozpoznał.

Przerwała na chwilę, dołała sobie kawy i zamieszała cukier.

- Panie komisarzu, Sobieraj nie mógł rozpoznać Marciniaka nawet z dziesięciu metrów, a bliżej go nie dopuszczono.

Zapadło głuche milczenie, przerywane tylko szcęknięciami sztućców uderzających o naczynia. Z głośników cicho sączyła się łagodna muzyka.

- To dziwna zbrodnia - powiedział wyraźnie przygnębiony Banasik.

- Dziwne jest to, że morderca nie starał się zatrzeć śladów na świeczniku, a dokładnie wyczyścił dokumenty, korespondencję, zniszczył każdy papierek. Dlaczego? Na to pytanie trzeba będzie znaleźć odpowiedź.

- Może ten kto „sprzątał” nic nie wiedział o morderstwie?

- Wszyscy wiedzieli, że Marciniak jest gdzieś na terenie hotelu, więc kto by się odważył czyścić szuflady, gdy facet mógł w każdej chwili nadejść.

- No właśnie, może Marciniak zaskoczył „sprzątacza” i dlatego został... sprzątnięty.

- W gabinecie?

- No. To by się zgadzało. Przecież tam znaleźliśmy ten zakrwawiony świecznik. Morderca sobie przegląda papiery, na to wchodzi Marciniak, napastnik bierze co ma pod ręką, wali i po sprawie.

- To dlaczego wyniósł denata z gabinetu i zrzucił z wieży. Przecież to bez sensu. Mógł go zostawić.

- Nie wiem - zaszepcił Banasik. - Może miał w tym jakiś cel.

- Albo dziwne poczucie humoru. Przecież nie tak łatwo wtargać bezwładne ciało na wieżę. Byłam tam. Schody są bardzo strome i niewygodne.

- Mogło być jeszcze inaczej. „Sprzątacze” sobie sprzątał w mieszkaniu Marciniaka, a zabił ktoś inny, ktoś kto miał pretensje do dyrektora. Potem morderca usiłuje upozorować nieszczęśliwy wypadek, mija się z „czyścicielem”, który wchodzi do gabinetu i ogołaca szafy z dokumentacji.

- Nie, to niemożliwe. Skąd „czyszciciel” miałby klucz do mieszkania i gabinetu. Sprzątającym musiał być morderca.

- Ale przecież są cztery komplety kluczy uniwersalnych, które otwierają i biura, i pokoje, w ogóle każde drzwi w tym kompleksie.

- Ale nie ma przy nich klucza do szafy pancерnej - zauważyła Lewicka.

- No tak, a włamania nie było.

- Trzeba ustalić, co znajdowało się w komputerze, odzyskanie dokumentów z tych zszatkowanych ścinków potrwa miesiącami.

- Myśli pani, że zdążył zniszczyć dokumenty w niszczarce?

- Może kilka - zastanawiała się głośno. - Góra kilkanaście i zrezygnował, bo to zbyt długo trwało. Myślę, że je spalił w kotłowni. Trzeba sprawdzić, czy można tam swobodnie wejść. No i co z robił z płytami CD oraz innymi elektronicznymi nośnikami? Nic przecież nie znaleźliśmy. Mówiąc, że zabił ktoś inny, kto również cierpiał anse wobec dyrektora, ma pan na myśli Olejnika?

- Choćby i jego. Zazdrość czasem zaślepia, a może chodzi o jeszcze coś innego. Albo profesora Zawadę. Zdaje się, że nie wszystko nam powiedział.

- Tak, to też trzeba brać pod uwagę.

-Jeśli mordercą jest osoba, która zrzuciła martwego Marciniaka z wieży, to od razu możemy wykluczyć wszystkich cheralwych i niskiego wzrostu. Z denata był kawał chłopca, na moje oko dobre osiemdziesiąt kilogramów, a do tego ten wzrost. Nie było łatwo tam go zatargać.

- Właśnie. I jeszcze jedna sprawa - klucze. Prawdopodobnie morderca posłużył się kluczami Marciniaka, które znalazł przy nim. Sam pan powiedział, że kluczy otwierających każde drzwi w klasztorze, także te do mieszkania Marciniaka, było cztery komplety, jeden jest w kasie pancерnej u recepcjonistki, jeden miał Marciniak, a kto ma pozostałe dwa?

- Grzegorek i Sobieraj - powiedział głucho Banasik.

Lewicka nic nie odpowiedziała. Odsunęła od siebie talerz i zamyśliła się, bezwiednie przeszukując wzrokiem *wiosenny pejzaż za oknem*.

- Chciałbym żebyśmy razem przesłuchali stróża, skończył już służbę, zresztą drugą z rzędu i nie chcę go dłużej zatrzymywać - zaproponował Banasik.

Lewicka spojrzała na niego z roztargnieniem.

- Tylko spytam kelnerkę - powiedziała z ociąganiem. - Przepraszam, pani Małgosiu, pani wczoraj pracowała, prawda?

- Tak - nieśmiały grymas uśmiechu rozjaśnił zatroskaną twarz młodej dziewczyny. Tej samej, którą Lewicka zdążyła już poznać wczoraj.

- Mogę w czymś pomóc?

- Właśnie o pomoc nam chodzi. O której rozpoczął się ten wieczór winny?

- O dwudziestej, ale goście zaczęli się schodzić już wcześniej i tak zbierali się prawie do wpół do dziewiątej. To było kameralne spotkanie, na czterdzieści osób.

- Czy pani Świtała też była?

- Powinna, ale od tej... od tej awantury przy obiedzie, jak wyszła, to nie wróciła. Zadzwoił do nas pan Grzegorek, spytał, czy damy sobie radę sami i powiedział, że wpadnie pod koniec imprezy.

-I przyszedł?

- Tak, gdzieś po dziesiątej.

- I był tu do końca? To znaczy do której?

- Był. Impreza się rozkręciła i zabrakło nam butelek niektórych win, a nie było szefowej, na szczęście pan Grzegorek ma klucz do piwniczki. No i w ogóle bardzo nam pomógł. Szczególnie z pijanymi gośćmi. Po kilku butelkach niektórzy robią się strasznie nachalni - dodała ponuro.

- A wyszliśmy dobrze po pierwszej wszyscy razem.

Lewicka pomyślała, że niektórym to wystarczy nawet kilka kieliszków, żeby stać się uciążliwymi, a co dopiero kilka butelek.

- O której poszedł po to wino? To gdzieś daleko?

- Na dole, w piwnicach pod kuchnią. Nie wiem, która była godzina. Mieliliśmy tu prawdziwe urwanie głowy.

- Podobno wczoraj wieczorem do restauracji zajrzała Pomicka?

O której to było?

- Rzeczywiście wpadła tu na chwilę do pana Grzegorka. Właściwie to przyszła jakoś tak za nim, ale on zszedł do piwniczki, więc zaczęła na niego i potem zaraz sobie poszła.

- Czy z tej piwniczki jest wyjście na zewnątrz?

- Nie bezpośrednio . Ale kuchnia i magazyny mają jedno wejście główne. Jak zejdzie pani na dolny taras, to w prawo jest wieża ogrodowa i zaraz budynek kuchni, a pod restauracją jest druga brama dla dostawców. Wczoraj była jednak zamknięta.

- A nikt inny tu nie zaglądał? Może pan Sobieraj?

- Nie. Raczej nie. Ale kilka razy byłam na zapleczu i mogłam nie zauważyć. O, przypomniało mi się, byliśmy akurat wszyscy we trójkę za ba-

rem, gdy do pana Grzegorka zadzwonił dyrektor zapytać się, jak nam leci.

- O której to było godzinie?

- O jedenastej, zegar nad barem wybił akurat ostatni gong.

- Dziękujemy bardzo.

- Czy śniadanie państwu smakowało? - spytała z troską.

- Było przepyszne, wielkie dzięki za świeżą kawę. - Lewicka uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kelnerka zaczekała, aż odejdą od stolika i szybko zebrała brudne naczynia.

- Nie możemy też wykluczyć, że morderca mógł znaleźć się wśród czterdziestu gości wczorajszej imprezy - rozważała głośno Lewicka.

- Ciekawe skąd byli ci ludzie? Bo w hotelu się nie zatrzymali.

Banasik spojrział na nią znękanym wzrokiem.

Kilkanaście minut później Lewicka z Banasikiem znowu znajdowali się w małym pomieszczeniu na zapleczu recepcji. Przed nimi na chybótlwym taborecie siedział nocny stróż. Był jednym z czterech mężczyzn, których Lewicka spotkała rano nad ciałem Marciniaka. Zwalista figura mężczyzny wypełniała bez reszty przestrzeń między stołem a ścianą. Jego ogorziała, grubo ciosana twarz była posiekana wokół jasnoniebieskich oczu głębokimi bruzdami kurzych łapek, tak typowymi dla ludzi długo przebywających na słońcu i wietrze, rybaków lub drwali. Lewicka przyjrzała się potężnym, spracowanym dłoniom ciężko opartym o kolana. Prawa dłoń, jak to zwykle bywa u ludzi pracujących fizycznie, była nieznacznie większa i lepiej umięśniona. Z wskazującego i środkowego palca lewej dłoni pozostały tylko pokiereszowane szczątki. „Pewnie stracił je na przeklętej krajcedze, tnąc drewno bez osłony i rękawic” - pomyślała.

- Zdaje się, że to pańska trzecia doba na służbie? - spytał Banasik.

- Nie-e. Dyżur miał *pozawcorej*. Z piątku na sobotę znaczy się. Rano *naślednik* nie przyszedł, bo zachorował, nikogo innego nie było i się zgodził - gdy stróż się odezwał, wyraźnie usłyszeli śpiewny akcent. Mówił o sobie jak o kimś innym, powoli i wyraźnie dobierał słowa, jakby bał się, że go nie zrozumieją.

- Więc był pan tu cały wczorajszy dzień?

- Nie-e, rano poszedłem się trochę przespać. Ale nie pospał. Krowa się cielili, trza było po doktora. Wróciłem po obiedzie.

- Do pańskich obowiązków należy obchód całego założenia klasztornego, tak?

Stróż na potwierdzenie nieznacznie skinął głową.

- Panie Kaleta, proszę nam opowiedzieć jak wyglądał ten nocny obchód, godzina za godziną. Prosimy bardzo - zachęcił go Banasik.

Stróż westchnął głęboko, podrapał się po głowie, mierząc dokładnie ciemne, krótkie włosy.

- Koło dwudziestej zaczęli się zjeżdżać goście na imprezę. - Zawiesił głos, jakby porządkował w głowie myśli. - Pilnował porządku na parkingu. Ludzie *nie majo chienci* stać pod murami. Tu, o, chcą stawać, pod recepcją. Jak zabraknie miejsc, to pchają się wyżej, na teren klasztoru, a tam nie wolno. Było z tym trochę zamieszania. Potem spokój. Zjadł kolację. Nasza Kasia skończyła robotę i został sam. O wpół do dziesiątej poszedł na obchód.

- Kasia to ta recepcjonistka, tak?

Kaleta skinął głową.

- Któreśdy pan szedł? - spytał Banasik.

- No... Tu od podjazdu. Tak jak trasa wycieczek. Czy drzwi od biur nad bramą *zaperte* sprawdził. I od magazynków podręcznych *tyż*. Spotkał barmankę. Pogadał.

- Czy zauważył pan coś niezwykłego?

- Nie-e. Było jak zwykle. Dyrektor u siebie. Goście po pokojach albo w restauracji. Spokojnie.

- Dyrektor u siebie?

- W biurze - pokiwał głową na potwierdzenie tego faktu. - Światło widział w oknie. W sekretariacie.

- I co było dalej?

- Kawiarnia pod wieżą była *zaperta*, sprawdził. Drzwi do wieży też. Cisza taka, że tylko słychać *kalmusy* i trzcinę, jak szeleszczą na brzegu. I czasem muzykę z restauracji. Wiedzą, gdzie Wieża Schodowa? - pytanie było skierowane do Banasika, który szybko potwierdził, że wie. - Poszedł na dół. Obszedł budynki warsztatów, bindugi i wrócił ja błoniami. Naokoło. - Ręka zrobiła luk w nieokreślonym kierunku.

- Sprawdził kratę w przejściu do Domu Papieskiego. A jak wchodził na schody, to przyjechała pani Pomicka. Widział jak parkuje na dole, pod murem.

- O której to mogło być?

- W pół do jedenastej może było. Spoglądnął na zegarek. O jedenastej gałę bokserką w telewizorze nadawali. Chciał zdążyć.

- I zdążył pan?

- No tak.

- A co potem było?
- Tuż przed jedenastą pani Pomicka odjechała - zawiesił głos. - Trochę ja się zdziwił.
- Dlaczego?
- No... Nie myślcie, że ja *plapera*. - Spojrzał na nich czujnie. Jednak nie dostrzegł w twarzach Banasika i Lewickiej śladu podejrzenia o plotkarstwo, więc uspokojony kontynuował dalej. - Jak na noc przyjeżdżała do szefa, jakby do jej *abstyfikanta*, to raczej wyjeżdżała rano, a nie tak zaraz.
- Ale może nie spotkała się z dyrektorem albo spotkała i nie chciała lub nie mogła zostać. Dlaczego to pana tak zaskoczyło?
- Może. Ale jak schodził w dół, to spojrzał w górę i widzi, że światło w gabinecie zgasło. Pomyślał, że wyciągnęła szefa z biura.
- Uporządkujmy to. Gdy wchodził pan schodach pod Domem Papińskim sprawdzić kratę zamykającą przejście, to zauważył pan Pomicką, tak? Czy wtedy światła w gabinecie dyrektora były zapalone?
- Nie patrzył ja, nie pomyślał. Zresztą jak się idzie od błoni to nie widać okien dyrektorskich. Jak schodził to spojrzał. Okna były czarne.
- Aha. Coś jeszcze pan zauważył?
- Widział jeszcze jeden samochód. A wcześniej go nie było. To znaczy musiał przyjechać niedawno. No jak ja *barabanil* w kratę dla sprawdzenia, to słyszał silnik. I jak schodził, to już nie było tego samochodu.
Zamilkł, czymś wyraźnie zmartwiony.
- Nie zauważył - dodał ze smutkiem. - Co to za samochód.
- Czy pod wieżą zegarową paliły się latarnie? - spytała Lewicka.
- Nie-e. Myślał, że ktoś je wyłączył. Sprawdził. Nie działało. Dobrze, że miał *baterejkę*, to sobie poświęcił. Ciemno było jak u diabła pod kami-
zelą. Chyba znowu zwarcie. Wpisal do kajetu dyżurów.
- A co było potem?
- Potem włączył telewizor. Adamek w Las Vegas... Ale usnął - dodał zawstydzony swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem.
- I?
- No i nie poszedł na obchód o północy. Ocknął się dopiero jak goście z restauracji zaczęli się rozjeżdżać. Wyrzwał ja na podjazd, obszedł wszystko na około, ale pod Zegarową już nie zachodził. Tylko *tamoj*, do bindugi i z powrotem. Zamknąłem główną bramę. Dopiero rano... Rano znalazł pana dyrektora. Wszystkiemu ja *winowaty*, jakby nie przysnął, na pewno do tego by nie doszło.

- Nic sobie pan więcej nie przypomina? Może coś jeszcze wydarzyło się w nocy? Może słyszał pan coś albo zobaczył? Może ktoś się kręcił tam gdzie nie powinien?

Stróż zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie wczorajsze wydarzenia.

- Nie-e, ni kto nie chodził. Nic takiego nie widział. Tutaj ciągle kręcą się ludzie. Przyjeżdżają i wyjeżdżają, browerie urządzają, nic mi do tego. Ale jakby coś było nie tak, to by sprawdził. No, gdyby ktoś zachowywał się o-tak-o, tak dziwnie.

- A wczoraj po południu? Widział pan jak odjeżdża pani Światała z narzeczonym?

- Tak - przyznał niechętnie.

- Coś mówili?

- Do mnie? Skąd! - Był wyraźnie oburzony takim przypuszczeniem.

- Oliwił zawiasy w bramie, minęli mnie i pognali do samochodu.

- A między sobą?

- **Cholerowania** nie będę powtarzał - odpowiedział godnie.

- Ale może słyszał pan coś jeszcze? Panie Kalata?

- Ona **chnipala** pod nosem, znaczy się płakała. On zły taki, pokrzykiwał na nią. Mnie się to **nie podoba**, żeby tak na kobitę warczeć. Szybko wsiedli i odjechali.

- Słyszał pan, co dokładnie krzyczał?

- Niby, że ona wszystkiemu winna, bo zęby szczerzy do każdego. On **siebrzyduje** takiej. Zazdrosny chyba, czy jak. Ale miał i o co.

- To znaczy?

- Już mówił, ja nie **plapera**. - Pod proszącym wzrokiem Lewickiej zmiękł i dodał - Mówią, że ona już nie sama. Ja tam nie wiem. - Wzruszył ramionami.

Lewicka szybko opuściła głowę, by stróż nie zobaczył półuśmiešku jaki po tych słowach zakwitł na jej ustach. Nie chciała, by się poczuł urażony. Tutaj „już nie sama” oznacza tylko jedno - ciążę.

- A co było potem? Proszę nam opowiedzieć wszystko, co pan pamięta.

- Potem pan dyrektor wyjechał. Koło siedemnastej wrócił. Akurat te-leeks-pres nadawali. Nasza Kasia powiedziała, że coś szybko wrócił. Pan Sobieraj na niego już czekał. **Barzdo** zniecierpliwiony - głoski „r” i „z” w słowie „barzdo” wymówił oddzielając je starannie.

- Skąd pan wie, że czekał?

- **Tamoj** stał, na górnym tarasie i wyglądał wciąż na drogę. Chyba się niecierpliwił. A pan Grzegorek też tak jakoś zaraz do biura poszedł.

- O której to było?

- W drugiej bramie żarówkę ją wymieniał. Przed osiemnastą chyba. Później przyjechał ten łysy profesor. I zaraz odjechał. Kasia mówiła, że pewnie był u dyrektora. Mówiła też, że dyrektor dzisiaj czym innym zajęty i pewnie profesor się obraził. Rzeczywiście **bardzo** szybko odjechał.

- A skąd ona wiedziała, że dyrektor był u siebie? Widać stąd światła?

- Chtorne? W sekretariacie? Nie-e. Trza iść do góry, albo wyjść za bramę na parking, pod mur. Ona była u niego z książką meldunkową. Ale wróciła taka naburmuszona. Zaraz do kogoś zadzwoniła i szeptała w telefon. Chyba do Pomickiej.

Kaleta wiesił głowę i zapadło długie milczenie. Lewicka z Banasiem wymienili spojrzenia.

- Czy mogę już iść? - spytał nagle stróż.

- Tak, oczywiście. Dziękujemy bardzo.

Wstał ciężko i już miał wychodzić, gdy zatrzymał się jeszcze w progu i powiedział.

- Nie mogę z tym dojść do **tolku**. Zabijać ludzi... Tak nie powinno być. Tak nie wolno. To nie po naszymu...

Rozdział jedenasty

- Przybliżony czas zgonu Marciniaka patolog określił między dziesiątą a dwunastą w nocy. I właśnie w tym czasie osoba, na zeznania której tak liczyłem, po prostu przysnęła - powiedział gorzko Banasik i uderzył pięścią w blat stołu. - Jak na zamówienie mordercy! - Nie krył swego rozżalenia.

- Nie można mieć pretensji do człowieka, przecież to była jego druga noc. - Lewicka próbowała ułagodzić Banasika.

- Może morderca wiedział o tym i specjalnie wybrał ten wieczór. Wiedział, że stróż jest zmęczony i nie będzie zbyt aktywny - rzucił zadowolony w myślach komisarz.

- Może tak, a może nie.

- Jak pomyślę, że będę musiał przesłuchać tych czterdziestu gości, z których żaden nie powie mi nic nowego, to słabo mi się robi.

Spojrzał wyczekująco na Lewicką.

- Panie Darku, czy możemy sobie mówić na ty? Będzie nam łatwiej.
- Oczywiście - zgodził się szybko. - Sam nie śmiałem proponować.
- Darku, myślę, że morderca doskonale znał tutejsze zwyczaje. Do-
brze wiedział, o której stróż wychodzi na obchód i którędy przebiega jego
trasa. Jeśli miał zamiar zrobić coś naprawdę niegodziwego, to zrobił to
dokładnie pomiędzy kolejnymi obchodami stróża.

- Możliwe, możliwe - powiedział Banasik i pogrążył się w zadumie.
- A co z wynikami sekcji? - przerwała rozmyślania Lewicka.
- Dam mu jeszcze godzinę. Nie lubi, gdy się go popędza.
- Może zamienię kilka słów z recepcjonistką. Popytam ją. Spróbuję
pogadać tak sobie po babsku, może dowiem się czegoś ciekawego.

- Dobrze. Zajrzę do Sobieraja.
- Właśnie miałam zapytać, co z nim?
- Jest u niego Zawada i pielęgniarka, którą ściągnął z Suwałk. Zaapli-
kował mu środki uspokajające. Może później pójdziemy razem porozma-
wiać z Grzegorkiem?

- Dobrze.

Banasik wstał i wyszedł z opuszczoną głową. Z tyłu jeszcze bardziej
przypominał borsuka, tym razem bardzo naburmuszonego z powodu zle-
go obrotu spraw.

Lewicka stanęła przed lustrem w recepcji i wyjęła puderniczkę.

- Świetny puder. Cztery kolory w jednym. Idealny dla mojej zmęczonej
cery - westchnęła. W odbiciu lustra widziała, jak zaintrygowana Kasia ką-
tem oka zerka na opakowanie.

Lewicka zamknęła z trzaskiem puderniczkę i wyjęła z kieszeni złoty
pocisk. Rozejrzała się bezradnie, lustro nie miało półki, na którą mogłaby
odłożyć połyskujące głęboką czernią puderko.

- Na chwilę. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo do recepcjonistki
i położyła puderniczkę na kontuarze.

Udająca do tej pory obojętność Kasia zerknęła ciekawie na opakowa-
nie. Lewicka położyła puderniczkę, tak by mogła dostrzec złoty napis na
wieczku. Na twarzy Kasi zdziwienie na widok luksusowej marki szybko
ustąpiło miejsca chciwemu zaciekawieniu inspektorką. Lewicka domyśla-
ła się, że jej akcje w tym momencie zwyżkują.

- Trochę blasku nigdy nie zaszkodzi. - Lewicka starannie pokryła
błyszczkiem wargi i przejrzała się w lustrze. - Nie kłamali w reklamie,
naprawdę powiększa usta.

Dojrzała spojrzenie Kasi i z uśmiechem zwróciła się do niej:

- Proszę wypróbować - podała jej złoto-różowe cacko.

Dziewczyna chciała wstać i podejść do lustra, ale Lewicka ją powstrzymała, wciskając w dłoń puderniczkę.

- W środku jest lusterko - wyjaśniła. - No i tutaj ma pani lepsze światło.

Kasia obróciła w palcach błyszczkę, delikatnie musnęła palcami lakierowaną puderniczkę, uchyliła wieczko i z namaszczeniem pomalowała usta. Poprawiła jeszcze środek warg i z zachwytem przyjrzała się swojemu odbiciu.

- Z tego dyrektora to był szalenie atrakcyjny mężczyzna - od niechcenia rzuciła Lewicka, stojąc przed lustrem. - Szkoda, że nie żyje. Chociaż, przyznam szczerze, nie był w moim typie. Ale jaka to strata dla innych.

Spojrzała przez ramię na Kasię, oczekując jej reakcji.

- Pewnie, że tak - odpowiedziała z roztargnieniem, wpatrzona w napis na opakowaniu błyszczki.

- Lubiła go pani?

- Był moim szefem.

- Pani Kasiu, nie oszukujmy się, był przede wszystkim rasowym mężczyzną.

- To był prawdziwy *man* - powiedziała rozmarzona, odrywając wzrok od kosmetyków.

Lewicka uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem.

- Wczoraj wieczorem ktoś był u dyrektora? - bardziej stwierdziła, niż zapytała. - Kobieta?

Recepcjonistka obrzuciła ją badawczym spojrzeniem, nabrała powietrza i aż poczerwieniała z emocji.

- A jednak!

- Pani kogoś widziała? - spytała Lewicka przyciszonym głosem, w którym pobrzmiwała plotkarska nuta, coś z pogranicza triumfu domysłów i palącej ciekawości obserwatora. Starła się, by rozmowa z Kasią miała jak najbardziej nieoficjalny charakter.

- Skąd pani wie? - spytała wystraszona.

- Domyślam się. Koło dziewiętnastej widziano panią w drodze do biura dyrekcji. Dyrektor był z kimś, prawda?

- Nie wiem - okrągliła twarz wydłużyła się. - Nie widziałam.

- Ale coś pani usłyszała?

- Właśnie nic - usprawiedliwiony żal jeszcze bardziej wyciągnął twarz Kasi. - Przyszłam z książką meldunkową. W sekretariacie paliło

się światło. Weszłam, pukam do gabinetu. A tu cisza. Widzę światło pod drzwiami, więc biorę za klamkę, zamknięte.

- No i? Pewnie za drzwiami coś zaszurało albo zaszleściło.
- Nie, absolutna cisza.

Wyobraźnia Lewickiej szybko podsunęła obrazek Kasi nasłuchującej pod drzwiami.

- Pomyślałam, że pewnie się spłoszyli, jak zapukałam. Nie trzeba było pukać...

- Dyrektor to miał chyba niezłe branie?
- leszcze jakie! - prychnęła Kasia i zamilkła spłoszona nagłym wyrazem swoich uczuć.

Lewicka rozejrzała się po recepcji.

- Fajną pani ma tutaj pracę?
- Niby tak - przyznała bez entuzjazmu, jakby w dobrym tonie było narzekanie lub co najmniej niechętnie przyzwolenie na odrobinę pomyślności w życiu. - Ludzie są czasem nie do wytrzymania. Ale lepsze to, co ja mówię, o wiele lepsze - dodała z mocą, starając się szybko zatrzeć złe wrażenie - niż siedzieć na kasie w „Biedronce”.

- No pewnie. Czysto, przyjemnie - Lewicka z uznaniem pokiwała głową w podziwie nad wystrojem recepcji. - I ciekawych ludzi można spotkać, a pani przecież taka młoda...

- I tam. Właśnie najgorzej to z tymi młodymi. Pieniądzy nie mają, a pchają się z łapami - wyraził swoje zdegustowanie. - Dziewczyna to musi mieć się na kim oprzeć. Co jej taki chłopak zaraz po szkole może dać, no co? Kobiecie ciężko jest samej na świecie. Potrzebuje opieki. O, pani to ma dobrze, pani ma fajnego męża.

Lewicka przyjrzała się krytycznie Kasi. „Jeszcze jedna ofiara powierchowych wrażeń”, uznała w myślach.

- Pewnie często spotyka pani natrętnych mężczyzn, którzy proponują wyjazd do Białegostoku albo do Warszawy?

- No jakoś nie - roześmiała się nieszczerze.

„Bez względu na epokę naiwność dziewczęca nie zna granic”, pomyślała Lewicka. Możliwe jednak, że źle oceniła Kasię, może wcale nie była taka naiwna na jaką usiłowała wyglądać, może wręcz przeciwnie, była kuta na cztery nogi.

- Ale jakiegoś narzeczonego to pewnie pani ma? Taka dziewczyna nie może być samotna - schlebiała jej Lewicka.

- Zaraz narzeczonego - Kasia prychnęła jak rozzłoszczona kotka. -

Mam chłopaka, ale on *bezprzyszłościowy* jest. Głupio jednak nikogo nie mieć. Jeszcze by wszyscy pomyśleli, że ja nienormalna jakaś.

- Dzisiaj trudno o odpowiedniego kandydata - poparła ją Lewicka. Mimo rozbawienia słowami Kasi, usiłowała nie wyjść z roli starej, dobrej ciotki-plotkarki.

- Świat jest beznadziejnie zorganizowany - oświadczyła nagle Kasia.

- Jest bardzo niesprawiedliwy - zgodziła się z nią Lewicka.

- No bo, proszę *panią*, pieniądze, na ten przykład, to mają nie ci, co powinni. Nawet wydać ich nie umieją, na niczym się nie znają - Kasia bezymyślnie obracała w dłoni lśniące opakowanie błyszczycy.

- Gdy byłam w pani wieku nie stać mnie było na dobre kosmetyki, a teraz na co mi one, ja już w tych wyścigach nie startuję. Proszę zatrzymać sobie ten błyszczyk. - Lewicka przechyliła się przez kontuar i dodała konfidencjonalnym szeptem: - Świetnie w nim pani wygląda. Bardzo twarzowy.

- Och, dziękuję - Kasia ożywiła się, lecz zaraz przygasła. - Nie, nie mogę. To zbyt droga rzecz.

- Nieważne. Proszę go wziąć i cieszyć się nim jak młoda dziewczyna. Uwodzić mężczyzn i dobrze się bawić.

Rozpromieniła się twarz Kasi.

- Wie pani, z mężczyznami to jak z dziećmi - powiedziała głosem znawczyni. - Chciał tylko jednego, wiadomo, już tacy oni są. Uczciwa dziewczyna musi uważać na siebie. - Wbiła wzrok w Lewicką, oczekując potwierdzenia.

- No, ale trzeba jakoś dawać sobie radę w życiu - westchnęła.

- Trzeba być sprytną.

- Anka pewnie jest sprytna?

- Anka? - złośliwy uśmiezek wykrzywił nabłyszczone usta. - Ona to całkiem głupia jest, proszę *panią*. Zabujała się w szefie niczym nastolatka. Taka stara, a nie wie, jak się do tego zabrać. Powinna być chyba mądrzejsza, nie?

- Też tak myślę.

- Trzeba mu było dawkować, a nie tak, na każde żądanie.

- Albo się zabezpieczyć.

- Albo - zgodziła się skwapliwie Kasia, uznając, że najwyraźniej Lewicka wie o ciąży Świtały. - Tylko jak potem iść do spowiedzi, co by ksiądz na to powiedział. Zresztą można facetom zrobić bałagan w głowie innymi sposobami, no nie? Pani mnie rozumie? No, piszą o tym w czasopiśmie...

Lewicka spojrzała na kolorową okładkę pisma, złożonego obok centralki telefonicznej. Tytuły mówiły same za siebie: „czuły dotyk”, „tajemnice fellatio”, „misterium gry wstępnej”.

„Ciekawe”, pomyślała, „jaką to pokutę wyznacza ksiądz za próżne „wylewania nasienia”” i zaraz rozbawiła ją myśl, że pewnie nigdy się nie dowie, bo nie będzie miała okazji odbyć tej pokuty.

- Taka mała „mitenka” może zdziałać cuda - z miną ekspertki stwierdziła dziewczyna.

- Chyba minetka - Lewicka z trudem powstrzymała śmiech. - Mitenki to rodzaj ozdobnych rękawiczek z obciętymi palcami.

- Możliwe - niczym nie zrażona Kasia potwierdziła zgodnie. - Wiadomo, że faceci nie doceniają dowodów miłości, lepiej więc nie iść na całość. Nie trzeba wszystkiego od razu inwestować.

Inspektorka uważała, że współczesny świat, tak często przez mężczyzn odżegnywany od czci i wiary, jest dla nich wyjątkowo łaskawy. Pigułka antykoncepcyjna, wyzwolenie kobiet, swoboda obyczajowa spowodowały, możliwe że po raz pierwszy w historii świata, przerosł podaży bezpłatnego seksu nad męskim popytem. Może jeszcze nie wszędzie i nie zawsze, ale w dużych miastach na pewno tak było. Seks bez zobowiązań był tak łatwo dostępny, że jedynie chęci i walory fizyczne ograniczały ludzi.

Patrzyła w zadumie na Kasię, przytakując jej automatycznie i rozmyślała nad tym, że oto patriarchalny świat skończył się na jej oczach. Powodem jego końca nie było wyzwolenie kobiet, ale nieustanne zwalnianie mężczyzn z wszelkiej odpowiedzialności za swoje czyny i przrzucanie jej na kobiety. „Wiadomo, same jesteśmy sobie winne” - pomyślała z sarkazmem.

- Martyna to chyba dobrze zainwestowała? - Lewicka spytała ostrożnie. - Lepiej niż Anka.

- Ech, a gdzie tam Ance do niej. Jak pani pozna Martynę, to sama zrozumie. Ona ma klasę i w ogóle. To jest taka laska, że doprawdy drugiej takiej trudno znaleźć.

- Aż tak?

- No pewnie! Faceci, na jej widok, mało ze spodni nie wyskoczą.

- Przyjaźnicie się?

- Trochę.

Pod ostrożnym stwierdzeniem Kasi mogło kryć się zarówno jednostronne przywiązanie, zrodzone z podziwu dla ideału, a może także odrobina zazdrości, pomyślała Lewicka i szybko spytała.

- Ale troszczysz się o nią, prawda? Wczoraj do niej zadzwoniłaś i powiedziałaś, że coś się dzieje w gabinecie.

- Wytrzymać nie mogłam - przyznała.

Lewicka głęboko westchnęła, może to tylko czysta życzliwość, którą wybrukowane jest piekło, a może Kasia chciała zwyczajnie dokuczyć dziewczynie. I to ostatnie na pewno się udało, bo po kilku godzinach Martyna już tu była. Pewnie wyszła z zajęć i gnała ile się dało, by przyłapać narzeczonego na gorącym uczynku.

- Czy zdarzyła się kiedyś taka sytuacja, że wyjęto z szafy ten czwarty komplet uniwersalnych kluczy?

- Niby czemu?

- No właśnie pytam. Może kiedyś ktoś nie przyszedł, albo zgubił klucz, albo zatrasnął niefortunnie drzwi z kluczem w środku?

- Nie, no skąd. Zresztą po co, przecież są duplikaty kluczy - ściągnęła brwi. - Nie, odkąd zrobiono nowe wkładki, tych kluczy nikt ruszał. O, proszę. - Raptownie wstała i otworzyła szeroko szafę. - Widzi pani, aż na plombie plastelina spękała. Ale wie pani, gdyby nawet coś się wydarzyło, to zawsze na terenie jest ktoś z zarządu - wyjaśniła.

- Rozumiem. Czy ten klucz otwiera magazyny?

- Oczywiście. Wszystkie zamki z takimi specjalnie zamówionymi wkładkami. - Czy Kasi zrobiły się okrągłe. - Czemu pani pyta? Ktoś dobierał się do magazynów?! A ja nic o tym nie wiem! - Ostatnie zdanie wymówiła z żalem.

- Ależ skąd. Pytam z ciekawości - Lewicka posiała jej pojednawczy uśmiech, ale nie przekonał on Kasi.

W drzwiach stanął Marek.

- Aaa... Tutaj jesteś - stwierdził z uśmiechem.

- Nie ćwiczysz?

- Pokręciłem się trochę, ale nie ma jeszcze tej instruktorki, więc nie widzę w tym sensu.

- Martyna będzie tu za dwie godziny - wtrąciła natychmiast Kasia.

- Dzwoniła? - spytała Lewicka.

- Ja do niej zadzwoniłam, na domowy - wyjaśniła dumna z siebie recepcjonistka.

- Może mały spacerek przed obiadem? - zaproponował Marek.

- Tak, chodźmy. Dziękuję za miłą pogawędkę.

Wyszli za bramę wjazdową. Wielki autokar wypuła kolejną porcję turystów w pośpiechu uruchamiających kamery i aparaty fotograficzne.

Lewicka wyluskała z kieszeni zakietu maleńki aparat i wybrała numer.

- Właśnie się dowiedziałam, że Pomicka będzie tu koło trzeciej - powiedziała do Banasika.

- Jak to? Przecież miała być w Białymstoku. Jej telefon cały czas milczy. - Był wyraźnie zaskoczony.

- A masz numer do domu?

- Recepcjonistka dała mi tylko komórkowy, mówiła, że innego nie ma.

- Myliła się - Lewicka zakończyła rozmowę i zatrzasnęła telefon.

Marek szedł obok niej w milczeniu. Na jego ustach błąkał się lekki uśmiešek. Powoli okrążyli klasztor, minęli rozszczekane zabudowania wiejskie i spacerowym krokiem przeszli przez mostek nad strumieniem. Zatrzymali się, by z tej perspektywy podziwiać szczyt klasztornego wzniesienia.

Dalej droga niebezpiecznie zbliżała się do jeziora, zamieniając się w błotniste wertepy. Przeszli brzegiem lasu i skręcili w wąską ścieżynkę prowadzącą łąkami osłoniętymi od wody młodymi zagajnikami. Wśród trawy pojawiły się pierwsze wiosenne kwiaty. Dzikie pierwiosnki niewiele się różniły od tych ogrodowych. Ich ilość oszołomiła Marka. Bładożółte prymule poruszone łagodnym wietrzykiem zalotnie mrugały pomarańczowymi oczkami.

Nagle wyszli zza ściany lasu wprost na pole szmaragdowej oziminy. Lewicka zatrzymała męża, chwytając go za dłoń i pociągając do tyłu. Kilkadziesiąt metrów od nich, w idealnej harmonii tańczyła para żurawi.

Zagłądały sobie w oczy, przeginały szyje, strzepywały skrzydłami, ocierały się dziobami, a wszystko w takt baletowych kroków długich nóg. W bezdźwięcznym menuecie para ptasich kochanków przemierzała poltę, zataczając niewielkie piruety.

Lewicka, by nie spłoszyć tancerzy, wręcz przestała oddychać. Czują się jak ordynarny podglądacz niegodny fantastycznego widoku. Wiedziała, że drugi raz nie dostąpi tego zaszczytu. Intymny taniec wyrażał dużo więcej niż zwykły akt prokreacji. A może tylko tak jej się wydawało.

- A niech mnie - odezwał się Marek i czar prysł.

Ptaki usłyszały ich, obejrzały się strwożone, uniosły desperacko skrzydła, zbierając się do nagłego odwrotu. Jeszcze zaskrzeczały przejmująco, załopotaly piórami i już ich nie było.

- Przepraszam - powiedział bez przekonania. W jego głosie nie słuchać było skruchy.

Lewicka przyjrzała mu się uważnie. Prześlizgnęła się wzrokiem po wyblakłych wargach, pogłębiających się bruzdach wokół ust i siatce zmarszczek w kąciakach oczu. Utkwiła wzrok w ciemnych źrenicach.

- Tym razem ta mała nie da ci spokoju - powiedziała cicho. - Widziałam was w piątek. Szliście razem do tej kawiarni przy Wilczej.

- Śledziłaś mnie? - powiedział zdziwiony.

- Dobrze jej się przyjrzałam. To kobieta zdeterminowana, może teraz odpuściła, może tylko na ten weekend, ale czuję, że ma plan awaryjny.

- Jak plan? Co ty bredzisz?

- Jeśli zawiodą ją wszystkie sposoby... Nie patrz tak na mnie, widziałam jej łzy, wyglądała rozczulająco. Potem będą awantury, potem znowu łzy. Później zadzwoni do mnie, żebym ci dała spokój, bo ty i tak mnie już nie kochasz... A potem... A potem zajdzie w ciążę i urodzi, czy się będziesz na to zgadzał, czy nie. Ona cię nie zapyta czy jesteś gotów. Wreszcie zmięknie, bo to będzie pierwsze dziecko w twoim życiu. A ty... Nie oszukujmy się, jesteś coraz starszy i tym cię ostatecznie zdobędzie.

- Piłaś? Jakie dziecko? O czym ty mówisz?

- Może go nie ma. A może tylko ty o tym jeszcze nie wiesz - beznamienne słowa docierały do niego powoli. - Nie chcę, żebyś odszedł ode mnie z tego powodu. Nie chcę, żebyś porzucił mnie dla kobiety, która urodzi ci dziecko. Dziecko, którego ja ci nie dałam. Nie przeżyłabym tego.

- Przestań! Słyszysz, przestań! - Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

- Może ty chora jesteś? - Nagle skapitulował. - Masz rację. To moja kochanka. Trochę się zagalopowałem. Ale to nic ważnego. Rozumiesz? To tylko niewinny flirt. Moja mała słabość. Zresztą dlaczego miałbym odejść od ciebie z powodu jakiegoś dziecka. Przecież wspólnie podjęliśmy decyzję w sprawie dzieci. Nigdy nie miałem o to pretensji.

- Do czasu, kochanie, do czasu. Nasza decyzja, moja, twoja, jakie to teraz ma znaczenie? Złamałeś umowę. Musimy się rozstać.

- Jak to rozstać?

- Nie rozumiesz. To nie ja bzykam się pod biurkiem w godzinach nadliczbowych. To nie ja przyniosłam ci cudze dziecko do wspólnego domu - szydziła. - Nie mówię: sorki, co prawda z tobą umawiałem się inaczej, ale tak jakoś samo wyszło, no wiesz, kochanie, wszystkiemu winien ten cholerny księżyc i cygańskie skrzypki - skończyła nagle.

- Jesteś wulgarna!

- Prawie dwadzieścia lat temu umówiliśmy się, że będziemy sobie wierni, wobec siebie uczciwy, że będziemy trwać razem w biedzie i do-

statku, w chorobie i zdrowiu. Nie dotrzymałeś umowy. Więc pora ją rozwiązać.

- Ewa, to było ostatni raz, przysięgam!

Odwróciła się od niego, czuła się zmęczona.

- Za pierwszym razem winiłam siebie - mówiła. - Tak, wiedziałam o Kasi. To cię dziwi? Jesteś dla mnie jak otwarta książka. Nikt nie zna cię tak dobrze jak ja. Więc winiłam siebie, że czegoś ci brakuje. Za drugim i trzecim razem wściekałam się na te „głupie dziwki”, bo tak nazywałam twoje kolejne kochanki. Wiem o Bożence, Helence, Zosi i Anecie, chyba tak miała na imię ta ostatnia. Potem był spokój. A teraz wiem, że to nie moja i nie ich wina, tylko twoja. Ty się po prostu nie zmienisz.

- Jesteś nienormalna, wiesz? I o co masz pretensje? Czego ci przy mnie brakowało? Coś ci odebrałem? Miałś wszystko, mnie, pieniądze, duże mieszkanie, ekstra wakacje. Nigdy byś tego nie osiągnęła, nigdy za tę zasraną policyjną pensję. Ale ty nie jesteś normalna, nie umiesz się tym cieszyć, ty lubisz babrać się w gównie. Ta praca rzuciła się na mózg. Bo wiesz co, ty masz właśnie szambo w głowie! Tak, pod tą piękną skorupą jest szambo. Ty niestety nie jesteś zwykłą kobietą! - Szarpnął ją boleśnie za ramię. - Chcesz wiedzieć, czego mi brakowało? Zwyczajności!

Podniósł rękę, miała wrażenie za chwilę spadnie cios. Skurczyła się w sobie, ale jej wzrok pozostał nieustępliwy. Marek nagle puścił ją, objął dłońmi głowę, jak ktoś, kto chce uciszyć zgiełk w swoich myślach.

- Uspokójmy się, wróćmy do domu, jeszcze raz wszystko przedyskutujmy. Na pewno znajdziemy jakieś wyjście - powiedział zrezygnowany.

- Kochanie, nie będzie już powrotów do domu. - Patrzyła mu prosto w oczy. - To był nasz ostatni wspólny weekend.

- Nie mów tak! To nieprawda!

- Prawda, najdroższy.

- Zaplanowałaś to, tak? Nawet ostatnia noc jak ostatnie życzenie skażna, tak? Wymyśliłaś to sobie i zrealizowałaś w stu procentach. Pozwoliłaś mi wierzyć, że wszystko nadal jest w porządku - rzucił jej w twarz.

- Po co ten melodramat?

- Powiedz mi! Przyznaj się!

- Widziałam jak się zmieniałeś w ciągu ostatnich kilku tygodni. Czulałam, że się zakochałeś. - Chciał zaprzeczyć gwałtownie, ale dodała po jednym słowie. - Dobrze, już dobrze, byłeś zauroczony. Miałam nadzieję, że kolejny raz przejdę przez tę mękę z godnością na jaką mnie stać. Zawsze byłam wobec ciebie lojalna. Twoje kochanki z czasem zaczęłam traktować

jak kolejne choroby wieku dojrzałego. Jak świnka, czy różyczka. Przejdzie, mówiłam sobie, to minie i znów wszystko będzie tak jak przedtem. Ale w piątek, po twoim wyjściu zjrzałam do poczty i... zrozumiałam, że dłużej tak nie mogę żyć. Decyzję podjęłam w pociągu.

- Ty?! Ty zjrzałaś do mojej poczty?!

- Nie żałuję tego.

- Mówią o was, policjantach, że jesteście jak psy. I mają rację. A ty z nich wszystkich jesteś najgorsza. Nie, tego nie można się nauczyć, z tym trzeba się urodzić. - Przyglądał się jej z narastającym obrzydzeniem.

- Wszędzie wieszysz podstęp, wszędzie szukasz dziury w całym, ukrytych motywów, dodatkowych znaczeń. Nigdy nikomu nie wierzysz, musisz sprawdzić, dotknąć, zobaczyć, a i to cię nie przekona.

Zamilkł nagle, nabrał głęboko powietrza.

- No i po co ci to było? Jesteś teraz zadowolona? Masz swoją prawdę. Wszystko zniszczyłaś - powiedział gorzko.

-Ja?

- Ty, właśnie ty! Zabiłaś naszą miłość.

- Prawda, kochanie, nie zabija. Prawda wzmacnia, jeśli jest co wzmacniać.

Marek odwrócił się nagle i nie oglądając się na nią, poszedł ścieżką prosto przed siebie. Z rozmachem kopnął kamień, który niechcący znalazł się na jego drodze. Domyślała się, że teraz musi to przeżyć sam. Bez żalu patrzyła jak odchodzi, miała serdecznie dość małżeńskiej tragifarsy. Pora na zmiany, pomyślała i zawróciła w stronę klasztoru.

Rozdział dwunasty

Komisarz Banasik przemierzał niecierpliwie alejkę między gazonami górnego tarasu. Na widok Lewickiej wyraźnie się rozpromienił. Zapukali do eremu Grzegorka.

Uderzył ich zapach cierpkiej cytrusowej wody kolońskiej opromienionej szerokim uśmiechem gospodarza.

- Oczekiwałem państwa - powiedział.

Do jaskrawego swetra włożył jasnoszare spodnie, przez co krzykliwość zestawienia została złagodzona, a całość nabrała charakteru wystudiowanej nonszalancji.

- Przepraszam, że w takich butach, ale wracam prosto ze spaceru

- tłumaczyła się Lewicka. - Czy mogłabym skorzystać z łazienki? Spróbuję doprowadzić się do porządku.

- Tamte drzwi w głębi - pokierował.

Łazienka przypominała inne w hotelu. Lewicka dotknęła ręczników, były jeszcze wilgotne.

Na półce podjustrem stały markowe kosmetyki. Kolejno je otworzyła i powąchała. Zajrzała do kosza na śmieci, ale nie było w nim nic intrygującego. Umyła buty i wyszła z łazienki. Po drodze zajrzała do sypialni. Szybko zlustrowało skromnie urządzone wnętrze. Jego wyposażenie stanowiły proste sosnowe łóżko ze stoliczkiem, samotne krzesło oraz sprzęt treningowy: bliżej ściany elektronicznie sterowana bieżnia, a na środku pokoju „wiosła”, jak popularnie nazywa się symulator wysiłku wiosłarskiego.

Mężczyźni siedzieli w pokoju. Na tle białych ścian wyraźnie odcinały się żółtopomarańczowe meble z sosny. Dwa proste fotele i dwuosobowa kanapa pokryte były jasną tkaniną, wszystko rodem z reklamy stylu skandynawskiego. Dla ocieplenia atmosfery na ścianie za kanapą powieszono czarny gobelin z białym wzorem. Jedyna intrygująca rzecz w tym surowym wnętrzu. Gobelin przedstawiał scenę rodzajową, na środku między regularnie rozmieszczonymi drzewami stała młoda para, na dole dwa szeregi zaprzężonych wozów wyładowanych po brzegi i obok nich ludzie wymachujący rękami.

Lewicka rozsiała się wygodnie na kanapie i rozejrzała z uznaniem po dużym pokoju.

- Piękna, prawda? „Moje wiano” - tak się nazywa. - Uśmiech Grzegorka przeznaczony był tylko dla niej. Swobodny i pewny siebie, jak przystało na gospodarza, wyjaśnił: - To tkanina dwuosobowa z Janowa.

- Ach, mówi pan o tym gobelinie. - Obejrzała się za siebie i przez moment podziwiała z bliska subtelny rysunek tkaniny. - Rzeczywiście piękny - potwierdziła.

- A jak się pani podoba mój sprzęt? - Spytał zaczepnie i dodał: - Ten sportowy oczywiście.

- Bardzo dobry wybór. Dla wymagających - odsłoniła zęby w szerokim uśmiechu.

Banasik odchrząknął znacząco i zaczął od nowa w miejscu, w którym mu przerwano.

- Po wczorajszym incydencie...

- Tak eufemistycznie pan go nazywa? - w głosie Grzegorka po-brzmiewał sarkazm. - Ordynarna napaść, trzeba mówić po imieniu.

- Po napaści Olejnika - poprawił się Banasik, skrzywieniem ust dając do zrozumienia, że nie lubi gdy mu się przerywa. - Po tej napaści wyszedł pan, tak?

- Tak, poszedłem do siebie.

- I co było dalej?

- Nic. Przed osiemną wpadłem do biura. Przejrzałem pocztę mailową. Zadzwoiłem do restauracji, sprawdzić co się tam dzieje i wyjechałem do Suwałk.

- A co pan robił między szesnastą a osiemną?

- No właśnie mówię, że nie - Grzegorek kierował swoje odpowiedzi do Banasika, ale patrzył na Lewicką. - Szykowałem się do wyjścia.

-Tak?

- Pojechałem na spotkanie. Byłem umówiony z kobietą. Spędziłem z nią wieczór. Zjedliśmy razem kolację „Na starówce”. To taka knajpka.

- Tak, wiem. I co było potem?

- Koło dziewiątej wieczorem byłem z powrotem. Poszedłem do siebie. Nigdzie nie wychodziłem, aż do wpół do jedenastej. Przyszedłem do restauracji w odpowiednim momencie, właśnie zaczęło brakować wina. Otworzyłem piwniczkę, uzupełniliśmy bieżące zapasy. Widziałem, że tym młodym kelnerkom trochę nieswojo - zresztą pańskie oko konia tuczy - zostałem za barem gdzieś do pierwszej w nocy. Razem zamknęliśmy restaurację i poszliśmy do domu.

- Z kim pan był w Suwałkach?

- Już mówiłem, z kobietą - rozeźmiał się. - To żadna tajemnica, zaraz napiszę panu jej nazwisko i numer telefonu. To była legalna randka. - Nie tylko twarz, ale całe jego ciało, rozparte wygodnie w fotelu, wyrażało kpinę.

- A między dwudziestą drugą trzydzieści a pierwszą w nocy nie wychodził pan?

- Tylko raz do piwniczki, ale trudno nazwać to wyjściem. Po prostu zszedłem do magazynów pod kuchnię.

- Podobno jest tam drugie wyjście...

- Tak, ale ja z niego nie korzystałem. Nie musiałem. - Strzepnął ze spodni niewidzialny pyłek.

- Długo pan wybierał to wino?

- Kilka minut. Był ze mną kelner. Możecie go zapytać, tak jak i naszych gości, choćby organizatorów tego spotkania, na pewno chętnie potwierdzą moją obecność.

- Po wyjściu z restauracji której pan wracał do mieszkania?

- Tak jak zwykle, wyszliśmy górą przez główne wyjście z Domu Królewskiego.

- Nie przez wyjście kuchenne?

- Nie. Tak jest wygodniej. Szliśmy wszyscy razem, to znaczy ja, kelner i kelnerki, górą aż do bramy na wewnętrzny dziedziniec, tam się rozstaliśmy. Poszedłem prosto do siebie.

- I rano nic pan nie zauważył?

- Ponieważ pracowałem do późna, uznałem, że należy mi się trochę snu. Poza tym jak sam pan widzi, okna mojego mieszkania nie wychodzą na plac pod Zegarową.

- Ale z patio można wyjrzeć...

- Jednak ja nie wyglądałem, tylko spałem. Nie tak długo, jakby to wyglądało, koło dziewiątej wyszedłem pobiegać i wtedy natknąłem się na panią i... - Zawiesił głos. - I na całą resztę.

- Czy to prawda, że wczoraj wieczorem Pomicka odwiedziła pana?

- Odwiedziła to za dużo powiedziane. Właściwie nie przyszła do mnie, tylko szukała Jurka. Powiedziałem jej zgodnie z prawdą, że nie wiem gdzie się ukrywa, ale Boguś pewnie wie i jest tu obok na brydzu. Zawsze, gdy Marciniak się urywał, Sobieraj wiedział gdzie go szukać. Widać mieli ze sobą wiele wspólnego.

- Co to znaczy, że Marciniak się urywał?

- Nie dosłownie. - Grzegorek dobrze się bawił. - Jak szedł na dziewczyny, to tylko Bogusiowi się zwierzał. W takiej firmie ktoś musi wiedzieć, w razie czego, gdzie szukać szefa.

- Podobno wczoraj dzwonił do pana Marciniak?

- Tak. Zadzwoił do mnie koło osiemnastej. Akurat wsiadałem do samochodu. Myślałem, że to coś ważnego. Powiedział jedynie, że będzie zajęty i że bym miał pieczę nad tym wieczorem winnym, co zresztą uczyniłem. Zadzwoił jeszcze koło dwudziestej trzeciej, akurat po wyjściu Martyny. Nie podobało mi się, że się ukrywa. Było mi głupio przed nią. Powiedziałem, co o tym myślę i się rozłączył. Proszę - podniósł, leżący obok niego telefon. - Może pan sprawdzić.

- Mogę ja? - Lewicka uśmiechnęła się przepraszająco i wzięła do ręki srebrny aparat, identyczny jak ten, który widziała w gabinecie Marciniaka i taki sam jak u Sobieraja.

- Oczywiście - Grzegorek wyszczerzył do niej zęby.

- Sugeruje pan, że między osiemną a dwudziestą trzecią Marciniak był z kobietą? - spytał Banasik

- Niczego nie sugeruję, ale wcześniej czasem tak bywało - wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie traktuje komisarza poważnie.

- Myśli pan, że z obitą twarzą i obolałym nosem miał ochotę na randki? - spytała pochylona nad telefonem Lewicka.

- Pani go nie znała. Jurek właśnie taki był. Żadnej nie przepuścił i nie miało znaczenia w jakim był stanie - zawiesił głos dla lepszego efektu i dodał z przekąsem. - Powstrzymać go mogło tylko uszkodzenie najważniejszego organu. Ale to wczoraj nie nastąpiło.

- Nie pochwalał pan postępowania Marciniaka? - spytała.

- Nikt normalny by tego nie pochwalał. Był strasznym bucem wobec kobiet. Niby grzeczny i szarmancki, ale tylko do czasu, do osiągnięcia celu. Potem traktował je jak szmaty. Z Martyną było trochę inaczej. Okazała się bardziej wytrzymała... A może Jurek też się zestarzał i zmęczył. Tak nam się przynajmniej wydawało. Mniej uganiał się za spódniczkami, chyba chciał się jednak ustatkować. - Zamyślił się na chwilę. - Martyna jest z tych, co jak sobie coś postanowią, to nie popuszczą. Prawie dał się jej zaciągnąć przed ołtarz. Już dwa razy przekładali termin ślubu.

- Czy powodem była Świtała?

- Anka? Moim zdaniem nie. Jurek zatrudnił je w jednym czasie i od razu obie do niego wystartowały, albo on do nich, to było takie wzajemne oddziaływanie. One przed trzydziestką, niebrzydkie i niegłupie, a on nieźle ustawiony, dojrzały i wolny. Rywalizowały o niego, a to go bawiło. Czasem dolewał oliwy do ognia afiszując się z atrakcyjnymi turystkami lub wyróżniając którąś z pracownic. - Przerwał na chwilę, by zaraz podjąć dalej. - Anka chyba się przeliczyła. Miała własny scenariusz, a Jurek jak to zwykle bywało nie uznawał innych niż on scenarzystów. W końcu wybrał Martynę, a raczej dał się podbić jej niewolniczemu uwielbieniu. Jednak Anka wciąż robiła sobie nadzieje... Chciałem powiedzieć, że do wczoraj żyła iluzjami. Wodziła za nim maślanymi oczami, co Martynę doprowadzało do wściekłości. Pewnie Jurek naobiecował jej niestworzonych rzeczy. Chociaż ostatnio dość kategorycznie odsunął się od niej. Może się wystraszył, że straci Martynę.

Lewicka pomyślała, że takie konflikty są nie do uniknięcia, gdy szef robi z pracownic prywatny harem. Kobiety w walce o względy supersamca zaczynają tracić dystans i wreszcie dochodzi do scen gorszących. Jedne zachowują się jak „legalne” żony, inne jak pierwsze faworyty, a jeszcze inne jak przyszłe kandydatki na narzeczone. Tak się rodzi na ziemi piekło nie do zniesienia.

- A Olejnik? Jaką rolę odgrywa w tym melodramacie Olejnik? - dociekał Banasik.

- Był chłopakiem Anki, czuł się za nią odpowiedzialny. Robert należy do typu męczyzn, których rzadko się dziś spotyka. Będzie bronił Anki do końca, chociaż ona wcale na to nie zasługuje.

- Wczoraj całkiem dobrze dawał sobie radę - wyraziła opinię Lewicka.

- Olejnik ćwiczy techniki **combat**: Krav Maga, jeszcze coś z numerem pięćdziesiąt sześć i chyba system Wasiliewa - mówił z pewnym wahaniem jak ktoś, kto nie zna się na zawiłościach tematu, a jedynie powtarza zapamiętane terminy.

- Dobrze go pan zna?

- Nie bardzo, ale czasem spotykamy się na siłowni, tam gdzie bywa i pan komisarz. No i kiedyś rozmawialiśmy o tym. Widziałem, jak pod dyskoteką w Suwałkach pokonał faceta wyższego od niego o głowę i cięższego o dobre dwadzieścia kilo.

- Często spierał się pan z Marciniakiem? Były między wami zatargi?

- Lewicka zmieniła temat.

- Zatargi? Nie. Jak to w pracy, czasem bywały różnice zdań w kwestiach zarządzania. Zazwyczaj jednak byliśmy zgodni.

- Ale sam pan mówił, że nie podobało się panu zachowanie Marciniaka wobec kobiet - zauważył Banasik.

- Nie kryłem się z tym, ale nie był to też powód do sporów. Jurek wysłuchiwał mnie, przytakiwał, stwierdzał autokrytycznie, że jest draniem i żył dalej tak, jak chciał. To wszystko.

- Czyli nie narzekał pan? - spytała Lewicka.

- Gdyby było mi źle, dawno byśmy się rozstali. Nic mnie tu nie trzymało za wyjątkiem zadania jakie sobie postawiłem podpisując kontrakt, ale z tego i tak się już wywiązałem. No i przyjaźni - dodał szybko.

- Właściwie to jak się pan tu znalazł? - zainteresował się Banasik.

- Po rozwodzie szukałem pracy poza Wrocławiem. Jurek zaproponował mi to stanowisko, a ja skwapliwie skorzystałem.

- To daleko od domu. Pewnie niezbyt często miał pan okazję odwiedzać syna? - Lewicka utkwiała wzrok w jego twarzy.

- Jest pełnoletni. - Roześmiał się szeroko. - Studiuje dziennikarstwo w Warszawie. To akurat w połowie drogi między Wrocławiem a Wigrami. Zaskoczę panią, ale spotykamy się co miesiąc. Obaj świetnie się rozumiemy, a on nie potrzebuje już niańki, tylko jak każdy młody mężczyzna wolności. Kupiłem mu mieszkanie w stolicy i zawsze u niego się zatrzymuję.

- Czy syn kiedyś odwiedził tu pana?
- Nie, staram się oddzielać pracę od przyjemności.
- No właśnie, a jak się tu żyje? - uśmiechnęła się łagodnie.
- Normalnie.
- Dla mnie to jak bezludna wyspa. Nie licząc oczywiście gości. Albo jak okręt dalekomorski, wciąż te same twarze.

- Nie zastanawiałem się nad tym. Dla mnie to azyl. Pracuję, spotykam ludzi, trenuję, śpię i tak na okrągło. Hotel jest jak młyn, trudno tu się nudzić, czy mieć czas na refleksje.

- Podobno żyliście tu jak jedna, wielka rodzina? Nawet wolny czas spędzaliście razem.

- Bez przesady - nieznaczenie się skrzywił. - Może Jurek z Bogusiem, ale ja nie mam czasu na jałowe dyskusje o filozofii i chrapanie w sali kinowej. Tak, oni poza pracą dość często spędzali razem czas.

- Bardzo się przyjaźnili.

- Można to tak nazwać. - Skierował wzrok na widok za oknem. - Boguś ćwiczył bez opamiętania grę w tenisa, żeby zostać sparingpartnerem Jurka. Miał niezły backhand, oburęczny, przez to niezwykle skuteczny. Jednak, by sprawić przyjemność Jurkowi, regularnie z nim przegrywał. To samo z żeglarstwem. Mimo że Boguś cierpi na łagodną formę agorafobii, podróże i otwarta przestrzeń go przerażają, zdobył patent sternika. Wszystko by zrobił, byleby tylko zostać członkiem załogi jachtu Jurka. Niedawno, na przełomie stycznia i lutego żeglowali razem u wybrzeży Turcji.

- Nie wygląda na tak zdeterminowaną osobę?

- I tu się pani myli, facet zarządzający sprzedażą musi być zdeterminowany jak nikt inny, a jeśli mu brakuje determinacji, uporu i zdecydowania, to musi odnaleźć w sobie mechanizmy, by po raz kolejny przystąpić do ataku. Bo w handlu jak na wojnie. Wiem, bo ściśle współpracowaliśmy ze sobą. Jurek był typem wizjonera, a od czarnej roboty był Boguś i ja. On naprawdę dobry jest w swojej robocie, chociaż wygląda niepozornie. Ten facet to tytan pracy. Jest jak terier, łatwiej byłoby go zabić, niż zniechęcić...

- Zawiesił głos. - Przepraszam za to porównanie.

Zamilkł, a Lewicka nie zamierzała go poganiać. Banasik założył nogę na nogę i przyglądał się kolekcji płyt w stojaku.

- Boguś ma też słabe strony. W chwilach kryzysu popada w przesadę. Dlatego prędzej bym się spodziewał pod wieżą Sobieraja niż Marciniaka. Boguś przy każdej ryzykownej decyzji Jurka straszyl, że jak coś nie wyj-

dzie, to on rzuci się z wieży. - Grzegorek wpatrywał się w podłogę. - Kiedyś razem poszli tam na górę, nagle Marciniak złapał go w pól i wywiesił przez okno. Był od niego większy i silniejszy, więc uważał, że nic się nie stanie, ale to było doprawdy bardzo głupie i okrutne. Napędził Bogusiowi niezłego stracha, aż mu zwieracze puściły. Potem Sobieraj odgrażał się, że kiedyś odplaci mu równie „zabawnym” żarcikiem.

- Dla Marciniaka to był żarcik?

- Tak. Jurek miał dziwne poczucie humoru. Często pozwalał sobie na złośliwe uwagi wobec Bogusia i równie niesmaczne żarty. Bawił się jego kosztem, drwił sobie z niego. Nie wiem, jak Boguś to wytrzymał. Wyglądało, że to mu nie przeszkadza. Może ma taką naturę ofiary, niewolnika skazanego na tę dziwną zażyłość. Niezłomny w pracy i ustepliwy wobec przyjaciela. Dla Bogusia przyjaźń Jurka była wszystkim.

- Pan powiedział dziwną zażyłość?

- Nie jestem psychologiem i nie mnie oceniać. Może Jurek był dla Bogusia rodziną zastępczą. Dlatego teraz tak mocno przeżywa jego śmierć.

- Marciniak często zasłaniał się pańskimi znajomościami w Urzędzie Ochrony Państwa... - zaczął Banasik.

- Dzisiaj ta służba nosi inną nazwę - uwaga została rzucona przez Grzegorka równie szybko, jak zdecydowanie.

- Tak, oczywiście, ma pan rację. Moje pytanie brzmi jednak, kiedy pan odszedł ze służby?

- To bardzo dawne dzieje. Odszedłem w 1996 roku. Potem pracowałem w agencji reklamowej, którą rozwinąłem i wykupiłem. Po rozwodzie zostawiłem ją żonie.

- Dlaczego pan odszedł z UOP-u?

- Jeszcze tego nie ustaliliście? - powiedział zaczepnie. - Ze względów zdrowotnych.

- Dobrze pan wie, że te informacje są tajne. Trudno będzie nam nawet ustalić, czy rzeczywiście był pan pracownikiem UOP-u i na czym polegała pańska praca.

- Nie wygląda pan na chorego - powiedziała Lewicka.

- Brałem udział w pościgu i zostałem postrzelony... Mimo rehabilitacji nie mogłem wrócić do służby. Zacząłem się bać.

- Wszyscy się boimy, bez uczucia strachu bylibyśmy bezmyślnymi ryzykantami. - Lewicka wyraziła swoją opinię.

- Mnie strach paraliżował. Źle wypadłem na badaniach psychiatrycznych i to przeważało o decyzji odejścia.

- Rozumiem.

Nagle rozdzwonił się telefon Banasika

- Te puchary to pańskie trofea sportowe? - spytała Grzegorka.

- Owszem.

- Widzę daty 2004 i 2005, więc to chyba nadal aktualna pasja?

- Jestem ironmanem - „człowiekiem z żelaza” - wyjaśnił.- Uprawiam triathlon.

- Trójbój to bardzo wymagający sport. Trzeba mieć niesamowitą wytrzymałość.

- Iście żelazną. Na szczęście nie muszę się zmagać z młodszymi ode mnie, startuje w kategorii em sześć, czyli weteranów. To chyba jedna z niewielu dyscyplin, która prowadzi klasyfikacje zawodników od lat szesnastu do sześćdziesięciu i ponad.

- Teraz rozumiem, to stąd te mrożące w żyłach opowieści o pańskich wyczynach pływackich w zimnej wodzie Wigier.

- Mhm - przytaknął, wyraźnie zadowolony.

- Więc tym się pan zajmuje w czasie wolnym? Przygotowania wymagają chyba systematyczności i wytrwałości.

- To jedna z najtrudniejszych i najmłodszych dyscyplin olimpijskich. Zawodnik kolejno płynie, jedzie na rowerze i biegnie. Dystanse różnią się w zależności od rodzaju zawodów. Po starcie z miejsca wspólnego, wyścig pozostaje ciągły, bez przerw pomiędzy kolejnymi dyscyplinami. Do czasu końcowego zalicza się także zmianę stroju sportowego. I muszę pani powiedzieć, że z tym jest najwięcej problemów.

- To znaczy?

- Po przepłynięciu prawie czterech kilometrów w wodzie o temperaturze kilkunastu stopni ciężko ściągnąć z siebie piankę. Dlatego używamy wazeliny do smarowania nadgarstków dłoni i kostek nóg. Śmieszne, ale wazelina jest w tym przypadku ważnym elementem stroju pływackiego.

- A ile trzeba przebiec?

- Najpierw przejechać, na rowerze sto osiemdziesiąt kilometrów, a dopiero potem przebiec dystans maratoński.

Zauważył, że Banasik im się przysłuchuje, więc zwrócił się specjalnie do niego, mocno akcentując słowa: *

- Czterdzieści dwa kilometry i dwieście metrów, panie komisarzu.

- A nie sto dziewięćdziesiąt pięć, panie dyrektorze? - Banasik miał już dość tego aroganta.

- Jest pan bardzo skrupulatny i oczywiście ma pan rację. Jednak w przypadku triathlonu dystans ten zaokrąglono.

- Tak, to bardzo śmieszne, biorąc pod uwagę, że z Maratonu do Aten jest tylko trzydzieści siedem kilometrów - przyznał zjadliwie Banasik.

- Panowie, uspokójcie się. Już wiem, już zrozumiałam i mam wrażenie, że to zabawa dla facetów z nadwyżką testosteronu we krwi oraz dla tych którzy cierpią na głód adrenaliny.

- Ma pani rację - roześmiał się Grzegorek. - Co prawda pierwszy wyścig zorganizowano w 1974 roku w Kalifornii, ale prawdziwym propagatorem tego sportu został komandor John Collins. Pewnego pięknego hawajskiego poranka sprzeczał się ze swoimi kolegami o to, który wyścig jest trudniejszy: czy pływacki wyścig Waikiki Rough na dystansie czterech kilometrów, czy kolarski wyścig dookoła wysp Oahu długości stu osiemdziesięciu, czy bieg maratoński w Honolulu. Zaproponowano aby wszystkie zawody połączyć i rozegrać jednego dnia. Od tamtej pory każdy, kto ukończy ten wyścig otrzymuje miano „Żelaznego Człowieka”. A oto jedno z moich pierwszych trofeów, z wyścigu rozegranego w Kalifornii w 1996. A tutaj - pokazał na ścianę - zdjęcie ze szczęśliwymi finalistami.

- A kim jest ten uśmiechnięty facet? - Lewicka pokazała na zdjęcie Grzegorka z dwoma młodymi mężczyznami. Jeden był ciemnowłosy i krępy, wyglądał na nieco młodszego, a drugi jasny i piegowaty, dużo szcuplejszy i wyższy, szczerzył krzywe zęby w radosnym uśmiechu.

- To Hamish Carter, mistrz olimpijski z Aten. A ten ciemny obok, to mój syn, Rafał.

- A ta blondynka w wodzie?

- Loretta Harrop, srebro. Niestety już zajęta. To sama Kate Allen, mistrzyni z Aten. I Michelle Dillon, niezwykle sympatyczna brytyjska trójboistka. A na pozostałych zdjęciach również triathloniści, zawodniczki i zawodnicy, mniej lub bardziej utytułowani.

- Widzę, że lubi pan wysportowane blondynki - Lewicka przyjrzała się zdjęciom Grzegorka w objęciach zylastych, spalonych słońcem atletek.

- Rzeczywiście - uśmiechnął się łakomie. - Tak to może wyglądać.

- Powiedźcie mi dlaczego mężczyźni wolą blondynki? - Lewicka zwróciła się nagle do obu mężczyzn.

- Może dlatego, że wyglądają tak niewinnie, jakby trzeba było się nimi opiekować, troszczyć o nie. Wzbudzają w nas instynkty opiekuńcze, rozczulają - powiedział miękko Grzegorek.

- Doprawdy? Moje doświadczenie zawodowe nauczyło mnie czegoś zgoła innego. Zresztą akurat te „żelazne kobiety” nie wyglądają na takie, co sobie nie dadzą rady z przeciwnościami losu.

- Nie należy mylić zawodów sportowych z normalnym życiem.

- A mnie zawsze uczono, że sport kształtuje charakter? - wtrącił Banasik.

- Czy w tym roku też się pan wybiera na zawody? - Lewicka spytała Grzegorka.

- W lipcu, do Frankfurtu. Trwa odliczanie - krzywy uśmiech uniósł najpierw lewy kącik, a dopiero potem dołączył do niego prawy.

- W takim razie życzę powodzenia. Jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać.

Grzegorek szeroko odwzajemnił uśmiech.

- Mam pytanie.

Zatrzymali się w progu.

- Dlaczego stróż odnalazł Jurka dopiero rano? Pewnie już z nim rozmawialiście, to wiecie. Ekhm... - odchrząknął znacząco. - Interesuje mnie to jako pracodawcę.

- Pan wybaczy, ale nie ujawniamy szczegółów śledztwa przed jego zakończeniem. - Gdyby mógł, Banasik zmroziłby głosem nawet hawajską tancerkę.

- Przepraszam, wygłupiłem się, oczywiście ma pan rację. Do widzenia pani - posłał Lewickiej ostatni czarujący uśmiech.

- Myślisz, że powiedział nam prawdę? - Banasik głośno wątpił

- Na pewno nie. Ale nieźle mu idzie. Naprawdę nieźle.

- Wiem jedno, gdybym miał obstawiać, kto jest zdolny wnieść ciało Marciniaka na wieżę, faworytem zostałby Grzegorek.

Przez chwilę szli w milczeniu w stronę recepcji.

- Nie uważasz, że to trochę dziwne. Obaj, Grzegorek i Sobieraj, bez żadnych oporów pokazują nam swoje telefony - zastanawiała się głośno Lewicka.

- A co w tym dziwnego? Zabito ich przyjaciela, chcą nam pomóc.

- Umówili się?

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie wiem, tak mi przyszło do głowy. Te zapisy rozmów telefonicznych to dowód, że Marciniak żył do godziny dwudziestej trzeciej...

- Zgodnie z tym co już wiemy, to pewnie tak było.

- Tam było coś jeszcze...

Banasik nie zwrócił jednak uwagi na jej słowa.

Rozdział trzynasty

- Tak naprawdę z nich dwóch to tylko Grzegorek ma alibi - powiedziała Lewicka.

- Właściwie to masz rację - przyznał Banasik. - Zmieniłaś szpilki na sportowe buty - zauważył obojętnie.

- Wręcz wymarzone alibi na czas krytyczny. Czy to źle, że zmieniłam? - spytała poważnie, ale jej roześmiane oczy przeczyły minie.

- Teraz nie potrzebujesz mojego ramienia - uśmiechnął się do niej i westchnął z udawanym smutkiem. - Wątpisz w to alibi? Ja też, zbyt dobrze się składa.

- Nie wątpię w jego alibi, jestem pewna, że jest bez zarzutu i to mnie właśnie martwi. - Odwzajemniła uśmiech i wzięła go pod ramię. - Pomicka już jest?

- Tak. Kazałem jej zaczekać u siebie, to znaczy w siłowni. Podobno awanturowała się, że chce wejść do mieszkania. Nalewajko jej nie wpuścił. Może to niepotrzebne - wzruszył ramionami, lecz zaraz na powrót przywarł do jej boku. - Wolałbym jednak rozmawiać z nią gdzie indziej, niż w eremie denata.

Przeszli pod bramą wjazdową, minęli parking dla autobusów i wyleciały po zimie trawnik. Wspięli się po drewnianych schodach z grubych desek. Drzwi do siłowni były otwarte. W głębi, na zapleczu sali paliło się światło. By tam dotrzeć musieli przedrzeć się przez las metalowych urządzeń do wyciskania siódmych potów z udręczonych ciał. Łukowate sklepienie nad salą i stłumione światło przywodziło na myśl izbę tortur, z jedną różnicą, nigdzie nie było śladów krwi, a ofiary poddawały się torturom na własne życzenie.

Za uchylonymi drzwiami w małym pokoiku dostrzegli młodą kobietę. Na ich widok podniosła się i odgarnęła z czoła długie, jasne włosy. Miękki gest smukłego nadgarstka i wdzięczne odchylenie głowy w jednej chwili uświadomiło Lewickiej dlaczego mężczyźni tracili dla Martyny wszelki rozsądek. Bo bez wątpienia to była Martyna Pomicka, dziewczyna ze zdjęcia w pokoju Marciniaka.

- Słucham - powiedziała niechętnie. Była wysoka, wyższa od Bana-

sika o pół głowy. Jej idealną figurę klepsydry podkreślała dzianinowa sukienka w kolorze gorzkiej czekolady. Z gładkiej twarzy dojrzałej kobiety patrzyły na nich pełne bólu oczy. Subtelne rysy, szerokie czoło, wystające kości policzkowe i mocno zarysowane szczęki upodobniały ją do bogini polskiego kina - Grażyny Szapołowskiej - ikony idealnej urody i nieprzemijającej klasy. Cóż, mężczyznom trudno spokojnie rozmawiać z taką kobietą, przyznała w myślach policjantka.

- Rozmawialiśmy przed chwilą przez telefon. Nazywam się komisarz Banasik, a to inspektor Lewicka. Chcielibyśmy zadać kilka pytań. - powiedział zgnębionym głosem i zaraz dodał ponuro. - To niezbędne

- Dlaczego nie mogę wejść do mieszkania? - spytała.

- Zaraz po naszej rozmowie wydam polecenie, aby usunięto policyjną plombę.

- Czy to tam... Czy tam zginął? - oczy Pomickiej były bez wyrazu.

- Prawdopodobnie nie. - Banasik zamilkł nagle, jakby ugryzł się w język i zaraz powiedział ostro. - Skąd to pytanie?

- Wszyscy o tym mówią... - Przerwała nagle, jakby zmagająca się z szalejącymi wewnątrz emocjami. Banasik myślał, że się rozplacze, ale nie, nabrała powietrza i dokończyła. - Że Jurka zepchnięto z wieży, gdy już nie żył...

- Wszyscy? - szybko wszedł w zdanie.

W odpowiedzi Pomicka wrzuciła tylko ramionami. Banasik zacisnął szczęki i sapnął jak rozjuszony byk. Kłykcie jego dłoni pobiegały w gniewie na tych „wszystkich”, dobrze mu znanych winowajców. Nalewajko znowu przekroczył swoje uprawnienia. Tym razem aspirantowi sztabowemu nie ujdzie to na sucho, obiecał sobie komisarz.

- Czy możemy usiąść? - spytał.

- Proszę - powiedziała obojętnie i pierwsza usiadła na krześle przy mikroskopijnym biurczku. Spokojnie założyła nogę na nogę,

- Czy pani narzeczony miał wrogów?

Pomicka obrzuciła Banasika zimnym wzrokiem i tylko wrzuciła ramionami.

- Może wspominał o swoich problemach? Obawiał się kogoś?

Nie odpowiedziała. Usiłowała wyglądać swobodnie, lecz jej zastygła, skurczona twarz zdradzała najwyższy niepokój.

- Czy pan Marciniak skarżył się na kogoś?

Ponownie zignorowała jego pytanie, oglądając w milczeniu swoje smukłe dłonie. Zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem dziewczyny Banasik znowu spytał.

- Czy ktoś groził Marciniakowi?
- Dlaczego mnie pan pyta? - wybuchnęła nagle, stawiając mocny akcent na słowie „mnie”.
- Była pani najbliższą mu osobą. Kogo innego mielibyśmy pytać?
- powiedział nieco zbity z tropu Banasik.
- Bogusia się spytajcie - warknęła. - Albo Grzegorka.
- Rozumiemy pani ból i irytację naszymi pytaniami, ale proszę nas także zrozumieć - Lewicka starała się załagodzić sytuację. - Proszę nam pomóc odnaleźć zabójcę.

Pomicka obrzuciła ją złym spojrzeniem i zacisnęła mocniej wargi. Banasik poruszył się zniecierpliwiony. Już otwierał usta, ale Lewicka powstrzymała go spojrzeniem. Komisarz był coraz bardziej rozdrażniony postawą dziewczyny. Żeby chociaż otwarcie wyrażała swoje emocje, rozpląkała się, dostała spazmów lub nawet zemdląła, ale nie, pomyślał, wciąż zachowywała pozory opanowania i to najbardziej irytowało Banasika. Pomicka była zbyt spokojna i zbyt piękna, aby mógł pozostać wobec niej obojętny.

- Dobrze - zgodziła się po chwili dziewczyna. - Pytajcie.
- Wczoraj późnym wieczorem wróciła pani do klasztoru. Szukała Marciniaka - Lewicka zaczęła przedstawiać fakty, które zdążyli ustalić wcześniej. Dziewczyna tylko kiwała głową na znak potwierdzenia.
- Czy pani widziała się z nim?
- Nie.
- A może pani z nim rozmawiała?
- Nie odbierał telefonów - powiedziała twardo.
- Czy był jakiś powód, dla którego unikał z panią kontaktu? Może się pokłóciliście?
- Dlaczego mielibyśmy się kłócić?
- Nie wiem, tylko pytam - Lewicka nie chciała wywoływać niepotrzebnego napięcia, przynajmniej nie teraz.
- Dlaczego nie szukacie mordercy?! Dlaczego mnie dręczycie?!
- podniosła głos. - Tak, miałam pretensje o Ankę. Rozstaliśmy się w nie najlepszej atmosferze. Ale wczoraj ten problem załatwił ostatecznie Olejnik! Dlaczego jeszcze go nie zamknęliście? - powiedziała z pretensją w głosie.
- Olejnik pobił pani narzeczonego i będzie... - czasami Banasik myślał zbyt wolno.
- Wczoraj w nocy? - wpadła mu w słowo.

- Po południu... - zaczął ponownie, lecz nie zdążył dokończyć, bo mu przerwała.

- To co tu robił w nocy? Lepiej zainteresujcie się nim - wtrąciła z jawdowitym przekąsem.

Banasik zeszywniał, wreszcie dotarła do niego waga słów wypowiedzianych przez dziewczynę, nim ponownie zadał pytanie, przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Słucham? Pani go wczoraj widziała? Tutaj?

- Widziałam, jak się czaił - triumfalna nutka zagościła w jej głosie.

- Gdzie?

- Przy furcie zamykającej górny taras.

- O której?

- Koło w pół do jedenastej. Szłam od recepcji, minęłam narożnik plebanii i omal na niego nie wpadłam. Stał tam, przytulony do muru, jakby kogoś podglądał. Pomyślałam, że z niego konkursowy idiota jednak, niepotrzebnie obserwuje nasz erem, gdy Jurek jest w biurze.

- Skąd pani wiedziała, że jest w biurze?

- Widziałam światło w gabinecie - wyraz jej twarzy nie najlepiej świadczył o zdolnościach umysłowych Banasika. Nie kryła swojego rozczarowania ilorazem inteligencji komisarza.

- Aha. I co było dalej?

- Wycofałam się. Przeszłam przez furtę pod Domem Papieskim, była już zamknięta, ale ja mam klucz. Jednak w biurze nikogo nie było - przyznała ze smutkiem.

- Czy nadal paliło się tam światło?

- Nie. Było ciemno i dlatego stamtąd poszłam prosto do eremu. Ale mieszkanie było zamknięte, a światła wygaszone.

-Tak?

- Poszłam do restauracji. - Kiedy mówiła, rozedrgane powieki osłaniały jej na wpół przymknięte oczy, jakby unikała kontaktu wzrokowego lub chciała zachować część spraw tylko dla siebie. A może bała się, że ich natarczywe spojrzenia rozproszą ją i będzie musiała się rozplakać. - Po drodze żałowałam, że tego nie zrobiłam od razu, mogliśmy się przecież rozminąć. Gdy ja okrążałam klasztor, Jurek pewnie zamknął biuro i poszedł do restauracji. W każdym razie tak wtedy uważałam. Na dole okazało się, że tam też go nie ma. Marek nie chciał mi powiedzieć gdzie go znajdzie. Odesłał mnie do Sobieraja.

- Marek?

- Pan Grzegorek. Ściemniał coś i kręcił. Wkurzył mnie tym swoim współczuciem. Nie potrzebuję współczucia - powiedziała gniewnie i zacisnęła usta w grymasie bólu.

- Gdy zeszła pani do restauracji, Grzegorek tam był? Od razu go pani zapytała o Marciniaka?

- Nie. Zszedł do piwnicy po wino. Musiałam na niego zaczekać.

- A potem poszła pani do Sobieraja?

- Grał w brydża w eremie numer jeden. Kelnerka wypuściła mnie kuchennym wyjściem. Miałam blisko.

- Czy coś pani wtedy zauważyła?

- Niby co?

- Coś dziwnego?

- Nie. Nikogo oprócz Olejnika nie widziałam.

- Jest pani pewna, że to był on?

- Tak. Dobrze go znam. Kilka razy z nim rozmawiałam.

- Furta jest oświetlona, ale on chyba stał w cieniu, była noc, jak pani mogła go dostrzec? - zauważyła Lewicka.

- Wychylił się i wtedy go zobaczyłam. Dobrze widziałam jego twarz, padało na nią światło z latarni nad bramą.

- Czy Wieża Zegarowa była oświetlona?

- Nie przypominam sobie.

- Proszę sobie przypomnieć. Czy jak jechała pani samochodem, wieża była oświetlona?

- Zegarowa?

- Czy była oświetlona?

Zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie przypomnieć. Spazm bólu wykrzywił twarz, na moment przycisnęła dłoń do brzucha.

- Chyba nie. Tak, światła były uszkodzone. Teraz - skrzywiła się - przypominam sobie, wieża nie była oświetlona. Przy zacinających deszczach to się często zdarza.

Sięgnęła po butelkę i nalała sobie do szklanki niegazowanej wody.

- A co wczoraj w nocy powiedział pani Sobieraj?

- Nic. Twierdził, że nie wie gdzie jest Jurek. Kłamca jeden! - Nie wiadomo pod którym adresem, Sobieraja czy Marciniaka, skierowane były te ostre słowa. - Widziałam na parkingu samochód Jurka, więc musiał być gdzieś tutaj. Mam jednak na tyle godności, że w poszukiwaniu Jurka nie poszłam sprawdzać wszystkich pokoi. Wróciłam w nocy do Białegostoku. Rano miałam kolokwium - wyjaśniła.

- Przepraszam na chwilę. - Banasik podniósł się. - Muszę wykonać kilka telefonów.

Pomicka wyjęła dużą skórzaną torbę i zaczęła w niej czegoś szukać, robiąc w środku jeszcze większy bałagan.

- Czemu pani tak nagle wróciła do Wigier? Coś się stało? - spytała Lewicka.

- Po prostu wróciłam. - Na moment zamarła, nie podniosła jednak głowy, zajęta przetrząsaniem zawartości torby. Jej twarz znowu zastygła w bezruchu. - Nie wolno już wrócić do domu? - rzuciła zaczepnie.

Z pogniecionego opakowania wyłuskała dużą białą tabletkę, którą z trudem połknęła. Dołała wody do szklanki i łapczywie popiła uwięzione w przelyku lekarstwo.

- To czemu chciała pani szukać narzeczonego po pokojach?

- Martwiłam się o niego. Został przecież pobity - nie zabrzmiało zbyt przekonująco.

-I dlatego ukrył się w pokoju hotelowym? A może chciał pani oszczędzić widoku podrapanej twarzy? Dlaczego Grzegorek współczuł pani, a nie jemu?

- Czego pani ode mnie chce? - tym razem złość wykrzywiła idealne proporcje twarzy. - Zdradzał mnie! Rozumie pani? Szalałam z zazdrości! Z niepewności! Niby zerwał z Anką. Może jednak nie zerwał, myślałam, może kłamał. Przecież była z nim w ciąży. Wie pani, jak się czułam, gdy się o tym dowiedziałam? Pani to nie dotyczy, pani nie wie jak to jest.

Lewicka słuchała z kamienną twarzą tego nagłego wybuchu goryczy. Nie miała zamiaru tłumaczyć, że doskonale zna to uczucie. Zastanawiała się raczej, dlaczego ładna, wykształcona i niegłupia dziewczyna pozwalała się tak poniżać. Lewicka była już mężatką, gdy dowiedziała się o zdradzie swojego męża, ale ona?

-I jeszcze dzwoni do mnie ta poczwara z recepcji, ta nasza Kasiunia - powiedziała z mocą, przedrzeźniając imię dziewczyny - mówi mi jadowitym głosikiem, od którego niedobrze się robi, że Jurek zamknął się u siebie i nie daje znaku życia. No tak, myślę sobie, zerwał z Anką, bo po prostu jest inna.

- To było wstrętne z jej strony - zgodziła się Lewicka.

- Głupia cipa! - Martyna wybuchnęła na nowo. - Gdyby tylko Jurek skinął na nią palcem, pierwsza rozłożyłaby przed nim nogi. Znam je wszystkie, harpie jedne! Tylko czyhały, aż mi się noga powinie! Och, jaka Kasiunia była szczęśliwa, jaka słodka, że może mi dopiec, informując

mnie o tym. Cóż za życzliwa osóbką z tej naszej Kasieńki! Cholera jasna!

- Nie łatwo ci przyszło wywalczyć trochę miejsca w jego życiu.

- Skąd pani wie?

- Widziałam jego - dostrzegła grymas gniewu na twarzy Martyny i poprawiła się szybko - wasze mieszkanie. Niewiele tam twoich rzeczy. Nie dopuszczał cię zbyt blisko.

- Tak to jest ze starymi kawalerami - stwierdziła dziewczyna.

- Warto było?

- Co warto?

- Warto tak zaciekle walczyć o prawo do wyłączności?

- No chyba nie oczekuje pani, że będę się zwierzać, tu i teraz!

- Nie, nie oczekuję. Chciałabym dowiedzieć się jakim był człowiekiem.

Dziewczyna wpatrywała się z napięciem w twarz Lewickiej.

- Z jednej strony słyszę na jego temat pochwalne hymny. Miły, wykształcony, odczytany, interesujący, no i przystojny...

- Bo taki był!

- A z drugiej strony - ciągnęła nieporuszona Lewicka - widzę, że sprawiał ból. Krzywdził.

- Chyba mnie pani nie oskarża? - W jej głosie zadźwięczała podejrzliwość. - Przecież ja go kochałam.

- Nie wątpię - zgodziła się Lewicka. - Czasem jednak miłość jest tak wielka, że przesłania nam cały świat. Gdyby przyszło nam ten świat utracić, walczyłybyśmy do ostatniego tchu...

- Nie zabiłam go - powiedziała z naciskiem.

- Nie twierdzę tego.

- Należał do mnie, a ja do niego. Kochał mnie na swój popapwany sposób i nie miał zamiaru wiązać się z jakąś głupią suką, tylko dlatego, że przez przypadek albo z nudów skorzystał z jej usług. Wyżył się i starczy. Dla niego to był sport. Podrywał, bo lubił, gdy zaczynały wodzić za nim psim wzrokiem. Chciał być pożądanym i kochanym. To wszystko. Chciał być dla nich całym światem. Pławił się w uczuciach, które wzbudzał i tylko to go kręciło. Ale tak naprawdę gardził tymi wszystkimi babami, tak łatwo było je zdobyć.

- A ty odkryłaś tę jego słabość i wykorzystałaś.

- Od razu go rozpoznałam. Był taki naiwny, potrzebował opieki.

- Martyna nie dosłyszała uwagi policjantki i kontynuowała dalej. - Wszystkie myślą, że polecałam na jego pieniądze. To nieprawda.

Ciekawe, zastanawiała się policjantka, dlaczego na obiekt swych niewyżytych uczuć opiekuńczych kobiety, dziwnym trafem, rzadko wybierają mężczyzn na starcie, bez dorobku. Jakoś nie dochowaliśmy się pokoleń pionerek, gotowych razem budować przyszłość, stanąć u boku mężczyzny i wspólnie przeciwstawiać się trudom życia. A może, rozważała, może te wojowniczkę przyszłości wyjechały do Londynu?

- Zobaczyłam kogoś innego, kogoś wrażliwego. Dostrzegłam w nim dziecko złaknione miłości. Potrzebował zainteresowania, jak nikt inny. Bo on był takim porzuconym, niekochanym małym chłopcem pragnącym bezwarunkowej miłości - mówiła Martyna.

Osobiście Lewicka była przeświadczona, że nie ma nic gorszego niż traktowanie mężczyzny jak dziecko, którym nie był i usprawiedliwianie jego występków dziecięcą wrażliwością. „Ach to ślepe przeświadczenie kobiece, że miłość zbawi ukochanego mężczyznę, że zbawi cały świat”, pomyślała gorzko. „Każdego dnia jakaś naiwna dziewczyna myśli, że jej miłość uleczy, zmieni, ocali... jednak”, zastanawiała się. I nagle uświadomiła sobie okrutną lecz oczywistą prawdę, „dobrze, że tak się dzieje, inaczej ten świat nie miałby szans, a tak wszystko wciąż się kręci napędzane niespełnionymi nadziejami kobiet, a czasem pewnie i mężczyzn”. Tutaj uśmiechnęła się do siebie, bo przecież mężczyźni napędzali przede wszystkim testosteron. „Ach te ludzkie namiętności”, westchnęła Lewicka. No cóż, kobiety jak nikt inny umieją dobrze umotywować swoje decyzje, jakie by one nie były i czego by nie dotyczyły.

- Wcześniej stracił rodziców, wychowywała go ciotka - dodała Martyna i zamilkła. Ostatnie zdanie trąciło niezamierzonym banałem.

Lewicka nie wierzyła w altruizm i czyste intencje. Świat jest tak zbudowany, że kobiety zawsze przyciągać będą pieniądze, nic nie szkodzi, że majątki należeć będą do dużo starszych od nich mężczyzn. Ich uroda ma znaczenie drugorzędne, jeśli nie trzeciorzędne. Przynajmniej taka jest ogólnoludzka tendencja. Pewnie lżej wejść w gotowe, skorzystać z czyjegoś trudu, pomyślała z goryczą o zdobywcach Marka.

- Dlatego na temat ewentualnych kłopotów Jurka powinniśmy rozmawiać z Sobierajem? Co on może wiedzieć, czego nie wiesz ty? - Lewicka płynnie przeszła do następnego pytania.

- Boguś wie o Jurku wszystko. Nie odstępował go na krok. Wcześniej też ze sobą pracowali. I razem studiowali. Jurek wszystko lub prawie wszystko z nim konsultował. Ufał mu - dodała gorzko.

- A tobie nie ufał. Co to znaczy nie odstępował?

- Był jego cieniem. - Zamilkła na chwilę i dodała. - Na początku strasznie mnie to śmieszyło, potem zaczęło denerwować. Gdy zostawałam na noc, Boguś, jakby specjalnie, wpadał do Jurka posłuchać płyt albo porozmawiać o Bardzo Ważnych Sprawach, albo rozstrzygnąć nieistniejące Problemy Współczesnego Społeczeństwa Konsumpcyjnego. Prosiłam Jurka, by dał Bogusiowi do zrozumienia, że w takim momencie nie jest mile widziany, że może prowadzić z nim te dyskusje w inne wieczory...

- I co Jurek na to?

- Bawiło go, że jestem zazdrosna o Bogusia. Tłumaczyłam, że nie chodzi o Sobieraja, tylko o czas, który spędza z tą niedojdą. Gdy chciał mi dokuczyć, specjalnie zapraszał Bogusia do siebie i prowadzili do samego rana Nocne Polaków Rozmowy. Miał przecież biuro, salę konferencyjną, kawiarnię, nie musiał spraszać go do mieszkania. Mógł też iść do niego

- dodała z wyrzutem. - Wścibiński pokurcz na krzywych nóżkach!

- Nie lubi go pani?

- Nie mam za co go lubić!

- A zniełubić jest za co?

- Znalazłoby się. Kilka razy wyraźnie pokazał mi gdzie moje miejsce. Ostatecznie to on był moim bezpośrednim szefem. Gdy okazało się, że jednak nie jestem kolejnym kaprysem Jurka, zaczął obnosić się ze swoją niechęcią do mnie. Niby w pracy nasze stosunki były poprawne, ale jak tylko mógł, to mi dogryzał, robił takie małe złośliwości. Na przykład w ostatniej chwili powiadomił o programie pobytu grupy turystów, czym mnie skutecznie uziemił. „Przypadkowo” zapomniał powiedzieć mi, że ludzie zrezygnowali z rezerwacji zajęć, a ja zamiast jechać na uczelnię, czy po prostu odpocząć, kibluję w pracy! No same takie dziwne zbiegi okoliczności, ale wszystko oczywiście w pewnych granicach, żeby nie było wpadki na niekorzyść firmy.

Upiła łyk wody i kontynuowała.

- Był wściekły, gdy wyznaczyliśmy datę ślubu. Założył się, że to on namówił Jurka, by przelożyć termin.

- Dlaczego?

- Bo jest wstrętą, złośliwą małpą! - powiedziała z mocą. - Planowaliśmy zaraz po ślubie wyjechać z kraju. Jurek dostał propozycję objęcia posady menedżera hotelu na jednej z wysp greckich, od tego sezonu. Powinniśmy już być na walizkach i wyjechać najpóźniej na początku kwietnia. Wreszcie byśmy uwolnili się od tego pokurcza! Ale on ciągle coś wynajdywał, że jeszcze jest coś do zrobienia. Jurek zakończył już kontrakt,

ale na prośbę tego imbecyla przedłużył go o kilka miesięcy.

- Uwolnili?

- Na szczęście nie ma tam dla niego pracy - złośliwy uśmiezek wykrzywił regularny kształt ust Martynty. - Zresztą nie zna dobrze angielskiego, więc wreszcie bylibyśmy sami.

Zamilkła nagle, jakby dopiero teraz docierało do niej to, co się wczoraj wydarzyło. Jej twarz znowu zastygła w cierpieniu.

- Więc nie wchodziłaś do gabinetu? - Lewicka przerwała ciszę. Nie chciała, by Martyna teraz wybuchła płaczem.

- Wczoraj? Nie - odpowiedziała z roztargnieniem.

- A do mieszkania?

- Jurek nigdy nie zamykał drzwi do domku. Wystarczyło, że zamknięte były drzwi patio. W oknach nie było śladu światła. Wzięłam za klamkę, drzwi zamknięte, więc poszłam do restauracji.

- To nieprawda.

- Dlaczego miałabym kłamać? - naszożyła się.

- Chcę się tego dowiedzieć.

- Mówię prawdę.

- To do ciebie nie pasuje, więc nie mów mi, że nie kłamiesz, bo ubliżasz mojej inteligencji - Lewicka wypowiadała słowa twardo, jak ktoś pewny siebie, lecz znużony zabawą w kotka i myszkę. - Byłaś w jego mieszkaniu, jestem tego pewna. Nie mogłaś wytrzymać tej niepewności, która cię dręczyła. Może do biura i nie zajrzałaś, ale pod domkiem wszystko w tobie pękło. Ty tam nie weszłaś, ty tam wpadłaś jak furia.

- To nieprawda! - krzyknęła desperacko.

- Jednak go tam nie było. Stałaś więc bezradna i zastanawiałaś się co dalej, co myśleć, jak postąpić. I wtedy coś zauważyłaś, coś ważnego. Skrętnie omijasz ten fakt. Może chcesz to wykorzystać. Ale wtedy oznaczałoby, że jesteś głupia. Powiedz mi, nim będzie za późno, co to było?

- Nie byłaś tam! - tym razem okrzyk zabrzmiał histerycznie.

- Twoje kłamstwa mnie nudzą. Zostawiłaś ślad, nie pamiętasz? Znalazłam w koszu opakowanie po tamponie. Po twoim wyjeździe do Białegostoku sprzątaczką opróżniła śmietniki. Pytanie: kto inny mógł zostawić resztki opakowania?

- Akurat! - zachnęła się Martyna. Nie przekonał ją Argument Lewickiej i znowu poczuła się pewniej. - Dlaczego niby ja?

- Miałaś klucze, to po pierwsze. Przed chwilą wzięłaś środek rozkurczający. Jesteś za młoda na inne dolegliwości, więc to zapewne bóle mie-

ściączkowe. W twojej torebce zauważyłam nowe opakowanie tamponów, identycznych z tymi w łazience Marciniaka. Kobiety też mają swoje przyzwyczajenia, szczególnie jeśli chodzi o środki higieniczne. To ty wczoraj dostałaś miesięczkę i to ty skorzystałaś z łazienki. - Patrzyła jak twarz Martynty zmienia się od niedowierzania do złości. - Aha, jeszcze jedno, na pasku folii z opakowania jest śliczny odcisk palca. Nietrudno będzie ustalić, do kogo należy ten odcisk.

Pomicka demonstracyjnie odwróciła głowę i nie odezwała się. Zacięte usta i rozbiegany wzrok świadczyły o najwyższym wzburzeniu, gorączkowo rozważała, co ma teraz zrobić.

Lewickiej nie podobało się przedłużające się milczenie dziewczyny. Doświadczenie podpowiadało jej, że zbyt długie wahanie świadka zwiastuje nadciągające kłopoty. To nie egzamin w szkole, tu nie ma nad czym się zastanawiać, nie ma czego rozważać. Chyba że chce się skłamać.

- Byłam tam - przyznała cicho Martyna.

-I coś zauważyłaś.

- Raczej poczułam.

- Co to było?

- Obcy zapach.

- Rozpoznałaś go?

- To był zapach męskiego potu - nabrała powietrza - zmieszany z wodą kolońską.

Lewicka zastygła w oczekiwaniu, intensywnie wpatrując się w twarz Martynty.

- Niezbyt wyszukana. Takiej samej używa Olejnik - padło oskarżenie.

Rozdział czternasty

- Coś mi tu nie gra - powiedział Banasik, opuszczając ponurą sałę ćwiczeń.

Lewicka zatrzymała się w połowie schodów i czekała na ciąg dalszy wątpliwości komisarza.

- To żaden dowód. Nie jest przecież psem policyjnym - parsknął.

- Prokurator mnie wyśmiej, powie: komisarzu, spadłeś pan z byka!

- To tylko poszlaka.

- I do tego bardzo niepewna. Zapach! - zachnął się. - Co o tym myślisz? Mogła skojarzyć zapach?

- To niewykluczone, ale według mnie nie zachowuje się dość przekonująco. Uważam, że albo kogoś osłania, albo domyśla się kim jest morderca.

- Wkrótce spróbuje skontaktować się z nim?

- Tak. Trzeba mieć ją na oku. A co z Olejnikiem? - spytała.

- No właśnie. Nie wydaje ci się, że Grzegorek starał się zainteresować nas chłopakiem? Wiesz, te rzucane mimochodem uwagi o niezwykłej sile, o technikach walki.

- Widziałam jak uderzył Marciniaka i... - Lewicka zamyśliła się, jakby jeszcze raz w jej umyśle wyświetlał się film ze scenami zapamiętanymi z restauracji.

- I... - ponaglił ją zniecierpliwiony Banasik - No, powiedz coś.

- I nie wydaje mi się, żeby umiał w pełni wykorzystać te umiejętności. Na pewno nie wtedy, gdy poniosą go emocje. Bił mocno, na oślep. Może gdyby Marciniak się bronił... Nie, Olejnik tłukł go z bezsilnej złości. Nie mówię, że nie był w stanie go uszkodzić, niewątpliwie ich następne spotkanie mogło się źle skończyć. Wiesz, wystarczy jeden niefortunny cios. Wiemy już jednak, że Marciniaka zabiło celne uderzenie w głowę. Roboczo przyjęliśmy, że narzędziem zbrodni był świecznik z gabinetu. To mi w ogóle nie pasuje do Olejnika, już ci to mówiłam

Banasik próbował uporządkować w myślach to, co usłyszał.

- Zdaje się, że patolog miał dostarczyć wyniki sekcji - zakończyła.

Komisarz nie odpowiedział, ściągnął brwi i skupił uwagę na tym, co widział przed sobą. Inspektorka spojrzała w tym samym kierunku.

- Patrz! Przyjechał Olejnik - wskazał ruchem głowy samochód parkujący na podjeździe.

Wysiadła z niego Anka Świtła, a zaraz za nią Norbert Olejnik. Zatrzasnął z hukiem drzwi sfatygowanego „malucha”, wziął dziewczynę za rękę i oboje skierowali się w stronę bramy.

Banasik przyspieszył kroku i po chwili dogonił ich na wysokości Domku Furtiana.

- Przepraszam, czy moglibyśmy zamienić kilka słów? - pytanie skierował do szerokich pleców Olejnika.

Chłopak odwrócił się raptownie, spojrzął na otwartą legitymację i w mgnieniu oka ocenił swoje szanse. Jeszcze w półobfocie z całych sił pchnął dziewczynę na komisarza. Banasik zatoczył się pod nagłym ciężarem, złapał Ankę za ramiona i odsunął na bok. Stracił jednak kilka drogocennych sekund.

Olejniki chciał zawrócić, ale drogę do samochodu odcinała mu Lewicka, szybko się wycofał. Ciężkie buty zadudniły na brukowanym dziedzińcu i chłopak zniknął za węglem.

- Zaczekaj tu! - krzyknął Banasik i rzucił się w pogon.

Z recepcji wypadł Nalewajko z nadgryzioną bułką w rękę. Spojrzał nieprzytomnie na Lewicką.

- Olejniku! Tam! Odetnij mi drogę przy Zegarowej! Już! - poleciła.

Nalewajko spojrzawszy w lewo, zdążył tylko kiwnąć głową, że zrozumiał i już biegł wzdłuż muru okalającego górny taras.

Dotarł teraz do Lewickiej dotarło, że Anka wciąż krzyczy.

- Przestań! - powiedziała szorstko. - Koniec!

Dziewczyźnie zabrakło tchu i wrzask przeszedł w jękliwe zawodzenie.

- O matko! O jedyna! O rany! Co teraz będzie? Co to będzie?

- Nic nie będzie - stwierdziła krótko Lewicka.

Anka przyciskała rozdygotane ręce do twarzy. Inspektorka podniosła z ziemi należącą do dziewczyny torebkę i pobierała drobniaki, które się z niej wysypały. Zawahała się, czy nie skorzystać z pokoju na zapleczu recepcji, ale zobaczyła przyklejoną do szyby twarz i szybko zrezygnowała.

- Chodźmy stąd. Dadzą sobie radę bez nas - powiedziała do Anki i wzięła ją pod ramię, prowadząc jak ślepca.

Szły w milczeniu przerywanym szlochami dziewczyny. Co chwilę jej ciałem wstrząsał niekontrolowany spazm.

Zatrzymały się przed kawiarnią. Lewicka otworzyła szeroko drzwi i dosłownie wepchnęła Ankę do środka.

Oprócz barmanki była tam tylko jedna osoba. Otyła dama w barwnym wdzianku zatopiona w lekturze kolorowego pisma. Lewicka wybrała najbliższy stolik i siłą posadziła przy nim lękającą Ankę. Podeszła do baru i zamówiła dwie herbaty z cytryną. Fiołkowe oczy barmanki zaokrągliły się zdziwione, ale odpowiedziała jedynie:

- Zaraz podam.

Lewicka wróciła do stolika i usiadła naprzeciwko Anki. Wyjęła z torebki dziewczyny paczkę chusteczek i wcisnęła je zdecydowanym ruchem w drżące dłonie.

- Wytrzyj oczy i nos. Napijemy się gorącej herbaty. Uspokoisz się.

Anka posłusznie otarła twarz, rozmazując resztki tandetnego makijażu. Przez otwarte usta spazmatycznie wciągnęła powietrze i jęknęła chrapliwie, wylewając kolejne łzy.

- Już po wszystkim. Zimno ci?

Pokiwała głową i kolejna seria dreszczy przeszła jej szczupłe ciało. Lewicka zdjęła z siebie szal i okryła nim drobne plecy dziewczyny.

- Tak lepiej? Napij się herbaty, dobrze ci zrobi.

Anka umoczyła usta i zachłysnęła się napojem. W ataku kaszlu rozlała trochę gorącej herbaty na kolana. Kobieta pod oknem przyglądała się im z niemą troską. Wymieniły z Lewicką spojrzenia i uprzejme skinienia głowy, i kobieta wróciła do lektury.

Wreszcie dziewczyna odetchnęła, wyraźnie się uspokajając. W milczeniu piły herbatę. Inspektorce nie spieszyło się, wiedziała, że wcześniej czy później i tak zada dziewczynie nurtujące ją pytania. Długo nie musiała czekać.

Anka uniosła głowę i po raz pierwszy odkąd tu usiadły, spojrzała Lewickiej w oczy.

- Co z nim teraz będzie?

- Ucieczka stawia go w złym świetle. - nie chciała ukrywać przed Anką prawdy i nie miała zamiaru jej pocieszać.

- Myśli pani, że zdołał uciec?

- Lepiej dla niego, by zeznawał.

- Aż tak źle? Proszę pani, przecież on go nie zabił. - Zamrugała nerwowo niebieskimi powiekami. - Może uderzył za mocno, ale przecież w gniewie - przekonywała. - Miał powód. To moja wina...

Na szczycie lewego policzka Anka miała świeży ślad po uderzeniu. Gruba warstwa pudru skryła zasinienie, ale ciągnąca się po skroń opuchlizna zdradzała niedawną tragedię.

- Czy to też twoja wina? - Lewicka wymownie spojrzała na siniec.

Dziewczyna odruchowo dotknęła policzka.

- Uderzyłam się o drzwi - powiedziała zmieszana.

- Myślałam, że spadłaś ze schodów? - ironizowała policjantka.

Jednak Anka najwyraźniej nie zrozumiała, bo jej oczy stały się okrągłe ze zdziwienia.

- Uderzył cię. Nie zaprzeczaj - Lewicka powiedziała twardo.

- To nie tak, jak pani myśli. - Szybko spuściła oczy.

- Nikt nie ma prawa podnosić ręki na drugiego człowieka. Nikt, rozumiesz?!

Świłała pokiwała głową, że rozumie. Spod przymkniętych powiek opływały niczym niehamowane łzy.

Policjantka przyjrzała się jej twarzy : „Niebrzydka, choć pospolitej urody”. Gruba warstwa pudru czyniła z twarzy Anki martwą maskę. Gdy-

by nie przesadny makijaż, mogłaby uchodzić za naprawdę ładną dziewczynę. Ale nawet z dobrym makijażem, lepiej ubrana i uczesana, nawet wtedy, w niczym nie dorównałaby Martynie. Różnica nie zawierała się w wyglądzie, ale w zachowaniu. Anka była tylko naiwną gąską, gdy Martyna świadomą swych atutów kobietą.

- Nie wiem, jaki był powód, cokolwiek to było, nie miał prawa cię uderzyć -Lewicka powiedziała z mocą. - Nikt nie ma prawa tak cię traktować.

- On się zdenerwował - Anka próbowała tłumaczyć chłopaka. - Nie chciał, naprawdę.

Spojrzenie policjantki mówiło więcej niż mogły wypowiedzieć słowa. Nie zareagowała na żalosne wyjaśnienia Anki. Przed oczami stanęły jej setki protokołów przesłuchań pełnych żarliwych zapewnień, że „niechcący”, „niespecjalnie”, „ostatni raz...”

- Zazwyczaj Bercik jest taki spokojny. Dobry. Sprowokowałam go.

- To twój chłopak?

- Tak - przyznała cicho. - To moja wina, popłakiwałam po kątach. Dopytywał się dlaczego jestem smutna. Przyznałam, że z powodu szefa. Że się zakochałam... To go zdenerwowało. Wybiegł z domu jak szalony.

Dotknęła skroni.

- Ale to nie wtedy mnie uderzył - wyjaśniła szybko. - Potem tu wpadł. Rzucił się na Jurka. Chciał mnie bronić. Tak mówił i ja mu wierzę. To dobry chłopak. Naprawdę dobry chłopak z niego - powtórzyła jak zaklęcie.

„Nigdy nie chciałabym, zderzyć się tą dobrocią, o której mówiła Anka”, pomyślała Lewicka. Wyobraziła sobie podobną scenę i zadała pytanie, co by zrobiła na miejscu Świwały. Nieznacznie uśmiechnęła się do swoich myśli. Dobrze wiedziała, co by się stało, najpierw by oddała z nawiązką, a potem wyrzuciła właściciela ciężkich pięści za drzwi. Po chwili jednak zrewidowała swoje poglądy. Przecież nie uderzy śmiecia, żeby później odpowiadać za człowieka. Wystarczy wyrzucić go ze swojego życia. Tak powinna postąpić mądra kobieta. „Tylko czy ja jestem mądra?”, zastanowiła się.

- Wczoraj wieczorem, och - Anka chlipnęła niepokojąco. - Po co ja to powiedziałam! - Zaszlochała rozpaczliwie.

Lewicka cierpliwie czekała, aż się wypłacze. Łzy były najlepszym ujściem dla targających dziewczęcym sercem wątpliwości.

- Powiedziałam mu - głośno wysmarkała nos w pogniecioną chus-

teczkę - że ojcem dziecka jest Jurek. I wtedy dopiero się wściekł. Uderzył mnie... Ale zaraz, proszę pani, tego żałował - dodała żarliwie. - Przeprosił i ja... Ja mu wybaczyłam.

- Wczoraj wieczorem? O której?

- Nie pamiętam... Zaraz... Było już po wiadomościach.

- I co dalej?

- No... - Spuściła oczy i dodała z westchnieniem. - Uderzył mnie.

- Tak, to wiem. Co było po tym jak cię przeprosił?

- Wyszedł. Powiedział, że ma robotę. - Zamilkła, miętosząc w dłoni wystarczająco już pogniecioną chusteczkę.

- Co ja teraz zrobię? - spytała żałośnie.

- Z czym?

- Z tym wszystkim - Spojrzenie Anki wyrażało niemą prośbę. - Jurek nie żyje, a co z Bercikiem? Co ja zrobię sama? Co z dzieckiem?

- Zrobisz to, co zrobiły setki kobiet. Urodzisz i wychowasz. Masz pracę, więc nie jest tak źle. Inne nawet tego nie mają. Po co ci facet, który cię uderzył nie zważając na to, że jesteś w ciąży. Myślisz, że będzie dla ciebie dobry? Dobry dla dziecka?

- Myśmy się pogodzili. Obiecał, że się mną zaopiekuje... - wyszeptaly zszarzałe usta. - I dzieckiem też...

- Wątpię. Chociażby dlatego, że go skrzywdziłaś. On jest o tym przekonany. Nie wiem, co jeszcze zrobił, ale na moich oczach rzucił się na dyrektora i gdyby nie jego śmierć, odpowiadałby za pobicie.

- Matka Bercika mi nie daruje - zaszemrała.

- A co ci powiedział ojciec dziecka? - spytała Lewicka

- Jurek? Ale przecież on nie żyje... - Anka była wyraźnie zdezorientowana.

- Tak, wiem. Pytam się, co ci powiedział, gdy mu oświadczyłaś, że jesteś w ciąży?

- Roześmiał mi się w nos - kruchym ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz. - Powiedział, że za stary jest na takie sztuczki. Mówił, że dobrze wiedziałam co robię. Że to nie jego problem. - Wzdrygnęła się. - I że nie był pierwszy. A jak robiłam to z nim, to pewnie z innymi też. I w ogóle dużo strasznych słów mówił.

Lewicka mogła to sobie doskonale wyobrazić. W swym życiu słyszała setki, jeśli nie tysiące takich relacji. Zmieniały się w nich jedynie imiona, czas i miejsce. Jednak dramat zawsze był ten sam.

Ciekawiło ją, jak na ciążę zareagowali inni.

- Pomicka o tym wie?
- O dziecku? Tak. Nie wiem, jak się dowiedziała. Może się domyśliła.
- Pewnie komuś się zwierzyłaś?
- Nikomu! - oburzyła się. - Tylko Kasi, ale ona pary z gęby nie puści.

To moja przyjaciółka.

Lewicka przypomniała sobie, jak obie żywo konferowały i jak Kasia skwapliwie przytakiwała kierownicze restauracji. To, że ktoś się z nimi zgadza lub tylko zgodę udaje, jeszcze nie oznacza, że mamy w nim przyjaciela. Anka była podręcznikowym przykładem łatwości. Taką osobę łatwo zmanipulować. „W pracy, w innych sytuacjach, pewnie doskonale sobie radzi, ale jeśli chodzi o bliskie relacje z ludźmi, to w teście na inteligencję emocjonalną wypada cholernie blado”, uznała Lewicka.

- Pomicka to wariatka, wie pani? Przyszła do mnie w piątek, uśmiechnięta, nowe buty miała - wtrąciła nagle bez sensu - usiadła przy moim biurku i mówi z tym uśmiechem przyklejonym do ust, tak od niechcenia, jakby wcale nie do mnie, że jak nie dam spokoju Jurkowi, to ona osobiście nożyczkami oczy mi wydlubie. Wyobraża sobie pani! Wystraszyłam się.

„Czego ta dziewczyna się spodziewała? Współczucia, okłasków, becikowego?” - gorzka ironia towarzyszyła spojrzeniu policjantki.

- Ona straszna jest, ta Martyna. Niby taka grzeczna, a nieobliczalna. Wie pani silna jest i wysportowana, może zrobić krzywdę - powiedziała z absolutnym przekonaniem Anka.

- Który to tydzień?
- Jedenasty.
- Kiedy dyrektor zaręczył się z Pomicką?
- Chyba we wrześniu.
- Wcześniej często się spotykaliście?
- Tak.
- Czy ich zaręczyny były dla ciebie zaskoczeniem?
- Właściwie to nie - powiedziała z ociąganiem.
- Zerwał z tobą przed, czy po zaręczynach?
- Tak jakoś w ogóle nie zerwał. Może rzadziej się spotykaliśmy tylko.
- Robił ci nadzieje? Mówił, że zaręczyny z Martyną to pomyłka i nie

potrwa to długo?

- Tak było. Skąd pani wie? - zaskoczona rozdziawiła usta.

Lewicka pominęła pytanie milczeniem.

- I wtedy zrezygnowałaś z zabezpieczenia?
- No, właściwie tak...

Lewicka pokiwała głową. Gdyby głupota mogła krzepić, wszyscy byliby krzepcy, a Anka najbardziej w całej okolicy. Kolejna mała kombinatorka, która myślała, że dziecko przyspieszy bieg zdarzeń i rozwiąże wszystkie problemy.

- Byłaś z Jurkiem blisko. Dlatego chciałam cię o coś spytać - zaczęła Lewicka. - Czy dyrektorowi ktoś groził? Może miał się kogo obawiać? Nie pytam o Norberta i Martynę, ciekawią mnie inni.

- No właśnie miałam pani powiedzieć, że chyba czegoś się bał, bo ostatnio to był taki podenerwowany jakby bardziej.

- A czym się to objawiało?

- No różnie...

- Czyli?

- Kiedyś, jak byliśmy razem... - przerwała zażenowana. - Nie zdążyłam wyjść z biura, więc schowałam się w łazience. Przyszedł Grzegorek. Nie wiem o czym mówili, ale widziałam przez szparę w drzwiach, jak nagle nachylił się nad Jurkiem i coś mu szepnął do ucha. Jurek roześmiał się, a wtedy pan Grzegorek z taką dziwną miną powiedział: „kiedyś łeb ci ktoś ukreć”. Czy jakoś tak to było. I potem Jurek strasznie się na mnie wściekł, bo spytałam go o co chodzi. Był taki niemily, jak się zdenerwował.

- Może przypominasz sobie coś jeszcze?

Anka zmarszczyła czoło i z roztargnieniem podrapała się po głowie, mierzwiąc posklejaną lakierem grzywkę.

- Słyszałam, jak kiedyś pan Sobieraj... - zaczęła ostrożnie. - Wykrzykiwał, że nie wie, co robi, jak do „tego” dojdzie.

- Do czego miało dojść?

- Nie wiem. Nie słyszałam. Ale był bardzo roztrzęsiony. Jak coś się nie udaje, to on zawsze jest taki. Przemęczony może. Mówił jeszcze: „nigdy do tego nie dopuszczę” i „nie lekceważ mnie”.

- Ale w związku z czym? - Anka w odpowiedzi tylko pokręciła głową, więc Lewicka spytała. - Może coś jeszcze sobie przypominasz?

- No, nie wiem, o co chodziło. Mieli swoje sprawy. Ale przypominam sobie...

Lewicka zamieniła się w słuch.

- To było chyba z miesiąc temu. Jurek wrócił z urlopu i zobaczył, że urwała się rynna. Akurat rano się urwała. Lało się z dachu i kałuża taka jak ocean powstała. Strasznie skrzyczał Sołtysika. Pani wie, to nasz kierownik administracyjny?

Lewicka potwierdziła skinieniem głowy, że wie o kogo chodzi.

- A jak dyrektor się odwrócił i poszedł, to Sołtysik powiedział, że chętnie by mu wsadził te lakierowane buty do gardła i przyglądał jak się nimi dławi. A innym razem...

- Słyszałam, jak twój chłopak przy świadkach obiecywał Jurkowi, że mu wytnie „nabiał” - przerwała jej inspektorka. Uważała, że wyartykułowana agresja zawsze jest lepsza od skrytej. Ci, co dużo mówią, rzadko wyrządzają krzywdę, zazwyczaj na gadaniu się kończy, a słuchanie plotek to teraz dla Lewickiej tylko niepotrzebna strata czasu.

- Muszę iść do pracy. - Anka wyraźnie się zmieszała. - Och, to wszystko tak mnie rozstroiło - powiedziała płacliwie i dodała bardziej stanowczo. - Pójdę już.

Lewicka nie zatrzymywała jej, obiecała, że zajrzy później do restauracji.

Anka minęła się na progu z Zawadą. Mężczyzna miał pochmurny wygląd, ale na widok Lewickiej ściągnięta twarz mężczyzny rozjaśniła się.

- O, dobrze panią widzieć - powiedział. - Może kawy?

- A może tak - odpowiedziała uśmiechem.

Lekarz zamówił kawę i zajął miejsce opuszczone przed chwilą przez Ankę.

- Jestem zmęczony. Naprawdę zmęczony - powiedział znużonym głosem.

Pogrzyżył się w zadumie, patrząc przez niewielkie okienko na placyk pod Zegarową i gałęzie drzew poruszane leniwym wiatrem.

- Panie profesorze, czy pan jest żonaty?

Pytanie Lewickiej zaskoczyło go, popatrzył na nią dziwnie.

- Jestem.

- Od dawna?

- Wydaje mi się, że całe życie - wypił łyk kawy i skrzywił usta w cierpieniu. Nie wiadomo, czy to reakcja na zawartość filizanki, czy też powodem grymasu był tak długi staż małżeński.

- I jest panu dobrze w małżeństwie?

- Ani dobrze, ani źle - powiedział z ociąganiem. - Przywykłem. Nie wyobrażam sobie innego stanu poza małżeństwem. - Zamilkł, dosypał cukru do kawy i spojrzął Lewickiej prosto w oczy. - Po latach mogę powiedzieć, że jedyne, co udało mi się w życiu, to żona i dzieci. Pewność, że są, dodaje mi sił. Chociaż nic tego nie zapowiadało. Moje małżeństwo jest takie „zwyczajowe”, w końcu ktoś mnie wybrał - uśmiechnął się blade.

- Jasne. - Lewicka pokiwała głową. - Czy Sobieraj powiedział coś panu?

Zawada przez chwilę mierzył ją wzrokiem. Mimika jego twarz przechodziła wszystkie fazy od stanu pełnego zaskoczenia do niepoahamowanej złości.

- Co pani sobie wyobraża? Ma mnie pani za głupca! - wysyczał.

Lewicka przeczekała atak, nie reagując na jego słowa.

- Proszę wybaczyć, ale odmawiam odpowiedzi na to pytanie. - Na-
dal był wzbudzony i trochę rozczarowany inspektorką. - Miałem panią za
znacznie inteligentniejszą. Uderza pani poniżej pasa.

- Nie, to ja przepraszam. Nie mogłam nie zaryzykować.

- Zaryzykować? - zdziwił się i przyjrzał jej uważnie. - Ach, rozu-
miem, to był sprawdzian - ton jego głosu wyrażał zawód i smutek.

- Wiem, to nie w porządku wobec pana, ale proszę mnie zrozumieć.

- Nikomu pani nie wierzy?

- Wierzę, ale sprawdzam. Czasem po kilka razy.

- Czy to nie słowa Dzierżyńskiego? „Czerwonego kata”?

- Tak - przyznała.

- Pani mnie ciągle zaskakuje - powiedział zdumiony.

- Panie profesorze, taki mam zawód.

Rozdział piętnasty

- Jak on się czuję? Pytam jako śledczy - zaznaczyła Lewicka.

Zawada przygryzł wargi, w skupieniu mieszając kolejną kawę.

- Sobieraj? Śpi teraz. Jest przy nim pielęgniarka. Lepiej, żeby nie był
sam - zauważył.

- Czy będziemy mogli z nim ponownie porozmawiać? - spytała.

- Myślę, że tak - odpowiedział sucho.

Lewicka przyglądała się ziemistej twarzy lekarza, rozważając w my-
ślach następne pytanie.

- Podobno ma taką egzaltowaną naturę, zawsze we wszystkim prze-
sadza.

- Kto? - Zawada podniósł na nią oczy.

- Sobieraj - odparła.

- Nie wydaje mi się, żeby udawał - powiedział ostro. - Jeśli to chciała
pani usłyszeć.

- Z mojego powodu znowu poczuł się pan wykorzystany - powie-
działa niezmiészana, wcale nie czuła się winna. Miała dużo ważniejszy

problem do rozwiązania, niż cackanie się z subtelnymi uczuciami świadków. - Rzeczywiście cierpi pan na niską samoocenę. W sprawach niedotyczących zbrodni, ma pan we mnie przyjaciela, ale proszę nie wymagać zbyt wiele.

- Też coś! - sapnął. - Muszę już iść. Obiecałem Larsowi spacer.

- Spacer dobrze panu zrobi - powiedziała miękko.

Zawada wstał, zapłacił za kawę i wyszedł bez słowa pożegnania.

Lewicka znowu pogрузzyła się w rozmyślaniach, z których nagle wyrwał ją wysoki, modulowany głos kobiety przy stoliku obok.

- Słyszałam, jak pani rozmawia. Przepraszam, to było nieuniknione.

- Uśmiechnęła się wdzięcznie. - Pani prowadzi śledztwo, prawda?

- Podinspektor Ewa Lewicka - przedstawiła się. - A pani to zapewne Magda Mineyko - odwzajemniła uśmiech. - Słyszałam o pani sukcesach scenicznych - szybko uprzedziła ewentualne pytanie.

Miłą twarz kobiety rozpromienił uśmiech. Rozmiary jej ciała świadczyły zarówno o folgowaniu kulinarnym namiętnościom, jak i o silnych stresach, które towarzyszyły jej występom. Długie ciemne włosy miała gładko zaczesane. Na ciemną suknię, szczelnie okrywającą obszerną figurę, narzuciła bajecznie kolorowy żakiet, wyszywany złotymi nićmi i miniaturowymi lusterkami.

Lewicka pozostawiła swój stół i przysiadła się do diwy operowej.

- Przyjechała pani na odpoczynek? - spytała.

- Mam za sobą męczące *tournee* - westchnęła madame Mineyko.

- Jesteśmy blisko miejsca, gdzie się urodziłam. Bo ja jestem Litwinką, wie pani? Atmosfera klasztoru bardzo dobrze na mnie wpływa. Właściwie to powinnam powiedzieć, że wpływała - przyznała ze smutkiem.

- Zetknięcie ze zbrodnią zawsze zostawia ślad - powiedziała Lewicka i zaraz spytała. - Podobno graliście wczoraj w brydża z panem Sobierajem?

- Owszem - przyznała Mineyko. - Ale nie bawiłam się zbyt dobrze. Może coś przeczuwałam...

- Źle się pani czuła w jego towarzystwie?

- Nie, nie o to chodzi. Choć muszę przyznać, że to marny gracz i bardzo nerwowy. Nie lubię takich partnerów. Leos żartował sobie nawet, że pewnie zakochany - spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Panią coś zaniepokoiło, tak?

- Nie wiem. Pewnie to bez związku. Ale ja wyczuwam takie rzeczy.

Wczoraj po obiedzie atmosfera wyraźnie się popsowała. Siedziałam na ławce, na skwerku obok kościoła. Lubię obserwować przechodni. Ludzie mnie ciekawią - wyjaśniła. - I widziałam jak wszyscy szamotali się bez sensu wokół kościoła.

- Szamotali?

- Najpierw pan Sobieraj krążył i krążył. Nawet nie zauważył mnie, a przecież to zawsze taki grzeczny człowiek. Pomyślałam sobie, że coś go niepokoi. Że coś się stało - dodała rzewnie. - Potem przyjechał dyrektor Marciniak i wyglądało, że Sobieraj czekał na niego, bo zaraz obaj zniknęli w biurze. Potem wszedł tam także pan Grzegorek, pewnie mieli naradę. I nie minęło pięć minut, jak wyleciał stamtąd pan Sobieraj. Dosłownie wyleciał jak z procy i zaraz zniknął w kościele.

Lewicka przysłuchiwała się madame Mineyko z narastającym skupieniem.

- I co było dalej?

- Nic. Potem poszliśmy zagrać w brydża. W restauracji miał być jakiś wieczór winny, nie chcieliśmy więc schodzić na kolację, a głupio tak jeść każdy sam u siebie. Zjedliśmy więc u mnie, zamówiliśmy też kanapki na później. To miał być miły wieczór.

- Nie zauważyła pani, kiedy Grzegorek opuścił biuro?

Pani Mineyko zamyśliła się głęboko.

- Kilka minut po Sobieraju.

- Dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

- Naprawdę? - Ucieszyła się i zaraz dodała ze smutkiem. - Trochę podsłuchałam rozmowę z tą dziewczyną. Nie umie pani współczuć.

To nagle stwierdzenie zaskoczyło Lewicką. Popatrzyła kobiecie prosto w oczy i powiedziała wolno, z rozmysłem dobierając słowa.

- Byłam świadkiem zbyt wielu łez. Może to dlatego nie umiem okazać współczucia. Ale rozumiem powód tych łez, rozumiem aż za dobrze.

- Jest w pani wiele goryczy - stwierdziła Mineyko.

- To tylko pozory. Jestem jak krytyk teatralny, tylko że mój teatr to prawdziwe życie. Widziałam tak wiele przedstawień tego samego dramatu, że kolejne wcielenia „pierwszej naiwnej” nie robią już na mnie wrażenia. A na pewno nie takie, jakiego oczekuje odtwórczyni głównej roli.

- Rozumiem. Doświadczenie - powiedziała bardziej do siebie niż do swojej rozmówczyni.

Trzasnęły drzwi i obok ich stolika stanął uśmiechnięty Leon Kwieciński.

- Witam, piękne panie - powiedział. - Przynoszę sensacyjne wiadomości - zawiesił głos. - Zabójca został schwytany. Na moich oczach odbył się pościg i zakucie w kajdanki.

- Kogo?! - Mineyko w przestraszu zakryła dłonią usta.

- To ten młody osiłek. Ten sam, co wczoraj rzucił się z pięściami na dyrektora - obwieścił triumfalnie Kwieciński.

- Coś ty, Leoś?! To niemożliwe. Nie wyglądał na takiego - pani Madzia miała własne zdanie na temat bohaterów wczorajszych scen dramatycznych.

- A jednak na moich oczach skuto go i odprowadzono - muzykolog uparcie obstawał przy swoim.

- Czyli to zbrodnia z namietności, mówiłam ci - obwieściła pani Mineyko.

- Miałaś rację - przyznał niechętnie Kwieciński. - Ludzkie namietności są takie interesujące - dodał bez związku.

- Raczej kłopotliwe - zauważyła Lewicka.

- Dlaczego kłopotliwe? - zdziwił się.

- A co? Nie wynikły z nich same kłopoty? - Mineyko poparła policjantkę.

Kwieciński dał znak barmance, że chce kawy i dostawił sobie krzesło, na którym się rozsiadł.

-Ludzie się spotykają, kochają, nienawidzą, schodzą i rozchodzą, przecież miłość to główny motyw naszego życia. Tak, właśnie namietna miłość. Prawda, że czasem emocje wymykają się spod kontroli. Jesteśmy przecież tak romantycznym narodem - zakończył z dumą w głosie.

- Świat jest bardziej skomplikowany niż pan to przedstawia - powiedziała Lewicka. - Polska to nie Francja, ani nawet Rosja. W naszej mentalności, a tym bardziej w ustawodawstwie nie istnieje zbrodnia z miłości.

- Afekt! Przecież jest zbrodnia w afekcie! - zauważył muzykolog.

- Tak, najwyższe wzburzenie jest brane pod uwagę przy ocenie czynu, ale nigdy nie słyszałam, by kogoś usprawiedliwiła miłość. Nie, w potocznym rozumieniu zbrodni.

- Przecież wciąż rozmawiamy o miłości, miłość jest tematem wierszy, książek, filmów, muzyki, w ogóle sztuki.

- Obawiam się, że istnieje ogromna przepaść między mówieniem o miłości a usprawiedliwieniem nią czynów karalnych - zawahała się.

- Nawet w sprawach mniej skandalicznych. Nie słyszałam, by ktoś wybaczył ukochanemu, że ten odszedł, bo po prostu zakochał się w innej ko-

biecie. Nigdy. Zawsze przypisujemy zdrajcy najniższe pobudki, jakbyśmy odrzucali najprostsze rozwiązanie: zakochał się i tyle.

- W tym przypadku ma pani rację - Mineyko ze smutkiem pokiywała głową.

- Nie chodzi tu o rację lub jej brak - powiedziała Lewicka. - Codziennie spotykam się z przejawami ludzkiej namiętności. Wszyscy czegoś pragną, najczęściej są to rzeczy, przedmioty, gadzety, rzadko uczucia, chodzi jedynie o zawłaszczenie kimś. Gdy się kocha prawdziwie, namiętnie, jak to państwo nazwaliście, to chce się dobra drugiej osoby, a nie podporządkowania i egzekucji prawa do własności. Patrzę na świat przez lupę i widzę, że ludzie rzadko kochają, za to są szalenie interesowni.

- Pani mnie przeraża - Kwieciński próbował się uśmiechnąć.

- W realnym życiu Kopcuszek nie spotka Księcia, bo nawet nie dotrze na bal. Śpiąca Królewna nie doczeka pobudki, zwiędnie i zaśnie na zawsze. Leśniczy ratuje Czerwonego Kapturka, by go niecnie wykorzystać i wysłać do lasu, do pracy. Małgosia sprzedaje narkotyki, bo nie może i nie chce odnaleźć drogi do rodzinnego domu. A Jaś na gigancie kupczy własnym ciałem na Dworcu Centralnym. Calineczka za szminkę i tusz do rzęs obsługuje obcych mężczyzn na klatce ewakuacyjnej centrum handlowego - przerwała nagle wyliczankę, by po chwili dokończyć cicho. - Tak wygląda życie z bliska.

- Nie, to niemożliwe. Pani mówi o marginesie - Kwieciński bronił się przed wizją obrazów, jakie podsuwała mu Lewicka.

- To nie jest margines. To jaskrawe przykłady prawdziwego życia.

- O! Jest nasz poeta! - muzykolog z ulgą powitał wysokiego młodzieńca w okularach. - Pani pozwoli, Arkadiusz Binkowski - przedstawił go.

- O czym tak żywo rozprawiacie? - spytał.

- O ludzkich namiętnościach - wyjaśniła Mineyko i uśmiechnęła się, jakby nieco skrępowana.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Lewicka. - Mam pytanie w związku z wczorajszym wieczorem.

- Nareszcie ktoś mnie o to spyta - powiedział wesoło mężczyzna z udawanym westchnieniem ulgi.

Miał twarz chłopca, w najlepszym wypadku mógł uchodzić za studenta pierwszych lat studiów. Jego inteligentna nieco zatroskana twarz wyrażała ciche zamyślenie nad naturą świata. W brązowych oczach czaiły się iskierki nieposkromionej ciekawości zmieszane z radosnym podniece-

niem. „Takie oczy miał kiedyś Marek”, pomyślała Lewicka i zrobiło się jej bardzo smutno.

- Słucham, co to za pytanie?

Kwieciński przesunął się bliżej pani Madzi i poeta usiadł naprzeciwko inspektorki.

- Podobno wychodził pan w trakcie brydża?

Chłopak gorliwie przytaknął.

- Czy widział pan kogoś po drodze do swego pokoju? A może zauważył pan coś dziwnego?

- Wychodziłem dwa razy - poprawił okulary. - Pierwszy raz po nowe talie kart. Spotkałem tylko recepcjonistkę. Tę jasnowłosą. Nie pamiętam, jak się nazywa. Wchodziła do biur dyrektorskich.

- Która to mogła być godzina?

- Za kwadrans siódma lub coś koło tego - powiedział zdecydowanie. - A potem okazało się, że zostawiłem telefon w pokoju, więc znowu pomaszerowałem do siebie. To było chyba kwadrans po siódmej. I wtedy zobaczyłem, jak od drzwi biura odchodzi wysoki, starszawy mężczyzna. On tu kręcił się już wcześniej. Taki łysy.

- Areczku, to profesor Zawada, psychiatra - wtrącił z naganą Kwieciński.

- Bardzo możliwe - powiedział niczym niezrażony poeta. - Pani pyta kogo widziałem, więc mówię jak było. To wszystko - zakończył i zanurzył łyżeczkę w bitej śmietanie dryfującej po powierzchni kawy

- Czy w oknach biura widać było światło?

- Tak. Ktoś był w środku - odpowiedział Binkowski.

- Widział go pan?

- No nie - uśmiechnął się pod nosem. - Ale pali się światło, więc ktoś musi być w środku, prawda?

Lewicka nie odpowiedziała. Zorientowała się, że każdy z potencjalnych świadków na podstawie światła w oknach biura przekonany jest o tym, że Marciniak urzędował w swoim gabinecie od szóstej do wpół do jedenastej wieczorem.

Wstała i pożegnała się uprzejmie z trójką artystów, jak ich nazwała w myślach.

Na schodach górnego tarasu spojrzała na zegarek, najwyższa pora na obiad, pomyślała i od razu poczuła się przeraźliwie głodna. Rażnym krokiem przecięła placyk i poszła prosto do restauracji.

Przy stylowym biureczku, na stałym stanowisku siedziała Anka Swi-

tała. Na widok Lewickiej zerwała się i uśmiechnęła niepewnie.

- Jak się czujesz? - Spytała inspektorka, podchodząc do dziewczyny.

- Dziękuję, już mi lepiej. - Błady uśmiech pierzchnął, ustępując miejsca zatroskaniu. - Proszę pani, czy go zamkną? Czy oskarżą?

- Jeśli będzie mówił prawdę, nic mu nie grozi - odpowiedziała wymijająco.

Zostawiła dziewczynę przy wejściu, ominęła hałaśliwą grupę turystów oczekujących na obiad i rozejrzała się za odpowiednim stolikiem. Pod oknem przodem do sali siedział Grzegorek.

- Mogę się przysiąść? Nie lubię jeść sama - wyjaśniła.

- Oczywiście, proszę - Grzegorek zerwał się, żeby odsunąć krzesło.

- A gdzie mąż?

- Błąka się po lesie.

- Sam?

- Czasem mężczyzna musi być sam.

- Przerwa na przemyślenia - sarkastyczny uśmiech wykrzywił usta Grzegorka. - Dokuczyła mu pani.

- Nie. Podsunęłam rozwiązanie, jedyne z możliwych. Ale to zbyt trudne dla niego.

- Tak pani myśli. - Brwi Grzegorka uniosły się w zdziwieniu.

- Lepiej dla niego, żebym nie myślała - rzuciła od niechcenia i spytała. - Co mi pan poleci na obiad?

- Zupę borowikową, jest przepyszna. A jeśli lubi pani mięso...

- Bez mięsa nie da się żyć.

- W takim razie schab. W schabie nacinają kieszeń i faszeryją fantastyczną w smaku zasmażaną kapustą. Do tego pieczone ziemniaki. Będzie pani zachwycona.

Obok stolika pojawiła się sympatyczna dziewczyna w okularach.

- Czy mogę przyjąć zamówienie? - spytała.

Lewicka wyraziła swoje życzenia i zamówiła duże piwo.

- Na służbie? - zdziwił się Grzegorek.

- Pan mnie pomylił z komisarzem. To on pości, ja nie muszę. Jestem na urlopie.

Wymienili szczere uśmiechy i Lewicka spróbowała zimnego, cudownie orzeźwiającego piwa o kwaskowym posmaku. *

- Tutejsze - wyjaśnił Grzegorek.

- Słyszałam, że jest pan świetnie zorientowany w historii klasztoru.

- Bo to fascynująca historia.

- Jakieś zbrodnie? Ofiary? Zakopane skarby?

- Wszystkiego po trochu - uśmiechnął się tajemniczo. - O bogactwach zakonników krążyły legendy. Byli rzeczywiście bardzo obrotli. W szybkim tempie powiększyli swój majątek, przede wszystkim obszar ziemi należącej do nich. Założyli tu smolarnie, huty i cegielnie. Prowadzili intensywną, jeśli nie ekstensywną gospodarkę, co doprowadziło do wyniszczenia okolicznych lasów, ale o tym może kiedy indziej.

- Dlaczego? Słucham z uwagą - powiedziała.

- Dobrze - skapitulował. - Pod koniec siedemnastego wieku zastąpiono dawne drewniane zabudowania murowanymi. To było wkrótce po pożarze, który strawił większość założenia klasztornego. Wtedy to powstał kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Wybudowano siedemnaście eremów, refektarz, Wieżę Zegarową, Domek Furtiana i Dom Królewski, w którym teraz się znajdujemy - przerwał na chwilę i dołał sobie wina. - Obok zabudowań klasztornych stanął dom dla możnych, jak go nazwano. W tym domu pod opieką zakonników znęكاني życiem bogaci obywatele Rzeczypospolitej Obojga Narodów spędzali ostatnie lata życia. Taka jest przynajmniej wersja oficjalna. Całość zespołu została otoczona murem obronnym. Nawet teraz widać, że to prawdziwa twierdza, zbudowana zgodnie z zasadami inżynierii wojskowej. Z każdego narożnika można się dobrze i długo bronić. Do tego otoczenie. W czasie roztopów praktycznie niedostępny teren - uśmiechnął się znacząco. - U podnóża założono ogród warzywny, sad, zwierzyńiec i niewielki staw, w którym hodowano ryby: sieje, sielawy i węgorze. A mówię cały czas o wieku siedemnastym.

Grzegorek upił tyk wina i spojrzał na Lewicką. Na jego ustach błąkał się ironiczny uśmieszek.

- Nie wydaje się to pani dziwne? Na co tyle tak skromnym braciszkom? No i kto tak naprawdę tym zarządzał? Kameduli to bardzo surowa reguła. Od jedenastego wieku, czyli od czasu założenia zakonu przez świętego Romualda słyneły z odludnego, pełnego wyrzeczeń życia. Nie spotykali się jak benedyktyni czy bernardyni na wspólnych modłach, nie prowadzili działalności edukacyjnej. Każdy zakonnik mieszkał we własnym domku pustelnicznym, zwanym eremem, uprawiał w ogródek, czas spędzał w samotności na kontemplacji i szukaniu sensu w życiu.

Zaśmiał się krótko, jakby do siebie, oparł ramionami o blat stołu i nachylił w stronę Lewickiej, zbliżając do niej twarz. Zatopił wzrok w jej oczach i mówił.

- Słyszała pani o prawie azylu? - spytał ciepłym barytonem. Był tak blisko, że poczuła jego oddech na policzku. - W zamierzczłych czasach azyl obejmował teren kościoła i cmentarza przykościelnego. Ci, którym ziemia paliła się pod nogami, chętnie korzystali z tego kościelnego przywileju. Ówczesne prawo cywilne traktowało teren kościoła tak jak my dzisiaj teren ambasady. A trzeba tu dodać, że Kościół bronił tego prawa, dlatego ci bardziej zdesperowani, ale także zasobni w majątek, nie opuszczali takich miejsc latami. Szczególne wzięcie miały klasztory, które obejmowały dużo większy obszar niż sam budynek kościoła i cmentarz. Zdarzało się w Polsce, że zakonnicy stawali w obronie azylantów i zbrojnie odpierali przedstawicieli świeckiej władzy, domagających się wydania zbirów. Tak było w 1706 roku w klasztorze w Kętach.

Przerwał i z westchnieniem się wyprostował, jego spojrzenie, czymś zaniepokojone, powędrowało w głąb sali. Przez twarz przemknął cień, przynajmniej takie wrażenie odniosła Lewicka.

- Teraz pani rozumie, po co wybudowano Dom Możnych. Po co re-fektarz i pokoje gościnne - złożył na talerzu sztucce i wysączył resztki wina z kieliszka. - Przepraszam, ale obowiązki - usprawiedliwił się i wstał od stołu.

Lewicka patrzyła za nim, jak odchodzi. Zatrzymał się przy barze, gdzie siedziała Martyna. Poszarzała z przejęcia Anka, rzucała w jej stronę spłoszone spojrzenia.

- Jestem na rozkaz - młody męski głos wyrwał Lewicką z zamyślenia. Przed nią stał, szczerzący w uśmiechu zęby, Krystian Adamczyk.

- Szybciej się nie dało - wyjaśnił.

- Siadaj - powiedziała krótko. Nie znosiła niepotrzebnych ceremonii.

- Najpierw coś zjedz. Na mój rachunek - dodała.

Zamówiła dla niego ten sam zestaw, który zasugerował Grzegorek, z wyjątkiem piwa. Przed Adamczykiem stało trudne zadanie, z powodu którego będzie musiał zarwać noc, więc poprosiła o dużą kawę i podwójną porcję sernika.

- Myśli pani, że to zdołam pochłonąć? - Głos młodszego aspiranta wyrażał ciche powątpiewanie, ale jego oczy mówiły coś zgoła innego.

- Myślę, że tak. Masz potencjał - uśmiechnęła się do niego.

Adamczyka nie trzeba było dwa razy namawiać. Zdmuchnął ciasto, wypił kawę i już był gotów do pracy. W tym czasie inspektorka uprzedziła Banasika, że wybiera się do gabinetu dyrektora.

W sekretariacie zastali policjanta na warcie, który na ich widok ode-

tchnął i zameldował, że nikt nie przychodził, nikt nie dzwonił i w ogóle spokój był. Lewicka zwolniła go, by poszedł coś zjeść i weszła z Adamczykiem do gabinetu.

- Zimno tu - zauważył.

- Właśnie - potwierdziła. - Tu jest ten komputer i reszta sprzętu, telefon, kamera. Spróbuj coś z tego odzyskać - poleciła.

Adamczyk położył na biurku metalową walizkę i rozsiadł się wygodnie. Jęknął włączony do sieci komputer, zaszeleścił jękliwie monitor.

Lewicka podeszła do kaloryfera i dotknęła go, był zimny. Sprawdziła pokrętko regulatora. Ktoś starannie odciął dopływ gorącej wody. Zmarszczyła brwi i sprawdziła kolejny grzejnik, to samo.

- Eee, coś mi się widzi, że to stary dobry novellowski „bi trajw” - powiedział Adamczyk zza monitora, szybko klikając w klawisze.

- Są całe fragmenty danych. Będzie dobrze - dodał.

Inspektorka usiadła w klubowym fotelu, patrząc intensywnie na Adamczyka.

- Ktoś wyłączył ogrzewanie - powiedziała. - Co to „bi trajw”, Krystianku?

- System baz danych. Wersja na pojedynczy komputer - wyjaśniał nie odrywając wzroku od monitora. - Pozwala na trzymanie baz danych na „rozproszonych nośnikach”. Aby się włamać - zaśmiał się zjadliwie - trzeba mieć narzędzia i umiejętności, ale ja je mam - znowu zachichotał.

- Mam prośbę - oderwał się od pracy i spojrzał na Lewicką, ale nim poprosił, spytał, zaskoczony jej miną. - Czy coś się stało?

Lewicka nie odpowiedziała, czuła, że coś przeoczyła i właśnie teraz usiłowała to uczucie straty przyporządkować czemuś, co widziała lub słyszała.

- Mam prośbę, czy może pani nie nazywać mnie Krystiankiem. Nie lubię swojego imienia.

- To jak mam się do ciebie zwracać? - spytała odruchowo.

- Bury. - Jeśli Adamczyk miał zamiar ją zaskoczyć, to właśnie mu się udało.

- Dobrze - odpowiedziała zdumiona i dodała z wahaniem - Bury.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Pójdę do samochodu po „eks trajw” to może coś pooglądamy - wyjaśnił. - Muszę to przekopiować po kawałku na DOS-a. Czy tu można podjechać samochodem? - spytał.

- Chyba tak, dam ci numer do Banasika i załatw to z nim.

- O właśnie, telefon. Zaraz pójde, tylko rzucę okiem na to cacko.

Adamczyk wziął do ręki lśniący aparat i szybko wcisnął kilka przycisków.

- No proszę! - krzyknął. - Ha, ktoś sobie programował telefony, spryciulek!

- Programował?

- Tak, proszę spojrzeć - podszedł szybko do niej i pokazał przesuwa-
jące się zapisy na miniaturowym ekranie telefonu. - Na przykład wczoraj,
o godzinie siedemnastej pięćdziesiąt pięć zaprogramowano trzy rozmowy
telefoniczne, to znaczy takie automatyczne wybieranie. Rozumie pani?
Żeby nie zapomnieć o ważnym telefonie, może pani zapisać w notatniku
przypomnienie, ale ten aparat jest sprytniejszy, może pani w nim zapro-
gramować wybieranie i powiadomienie sygnałem o połączeniu. Fajne,
nie? No i wczoraj zaprogramowano trzy takie rozmowy. O osiemnastej
zero dwie, osiemnastej zero sześć i dwudziestej trzeciej zero jeden. Pani
mnie słyszy?

Lewicka zdała sobie sprawę, że oto ma w ręku brakujący element
układanki. Teraz wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

- No to idę po sprzęt - powiedział Adamczyk i wyszedł.

Inspektorka przyjrzała się raz jeszcze wyświetlonym na ekranie go-
dzinom połączeń. Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer. Po chwili
usłyszała tubalny męski głos.

- Wieczorek, słucham?

- Lewicka z tej strony - przedstawiła się. - Chciałam zapytać, panie
doktorze, czy gdyby ciało Marciniaka umieścić zaraz po zgonie w zim-
nym pomieszczeniu, to czy zmiany pośmiertne zostałyby spowolnione?

Ciszę w słuchawce wypełniło sapanie.

- Co pani ma na myśli mówiąc zimne pomieszczenie? - spytał wresz-
cie.

- Gdyby zakręcono kaloryfery i otwarto okna...

- Wczoraj w nocy temperatura spadła poniżej zera, na krótko, ale
było nawet trochę szronu - zastanawiał się głośno. - Tak to możliwe. Do-
brze pani wie, że temperatura otoczenia ma ogromny wpływ na wystąpie-
nie cech pośmiertnych.

- W tej sytuacji jak określiłby pan czas zgonu?

- Musiałbym przesunąć godzinę - zawahał się. - Tak, możliwe, że
gdy rano zobaczyłem ciało, denat nie żył od dwunastu do osiemna-
stu godzin. Ale gdy nie mamy strzaskanego zegarka ofiary, zegarka ze

wskazówkami oczywiście - wyjaśnił - ustalenie czasu zgonu to tylko domniemanie.

- Rozumiem, dziękuję - powiedziała Lewicka i rozłączyła się.

Rozdział szesnasty

Po kwadransie Adamczyk wrócił w towarzystwie komisarza Banasika. Taszczyli przed sobą pudła wyładowane wnętrznościami komputerów. Górą wystawały płaskie pudełka dysków, pod zimnym blaskiem pokryw kryły się złote tarcze krzemowe. Obok nich piętrzyły się zadrukowane i najeżone kolcami nieodłączne obwody scalone, karty sieciowe, graficzne i inne akcesoria.

Młodszy aspirant postawił ładunek niezbędnego sprzętu obok biurka. Zdjął pokrywę, odsłaniając bezwstydnie wnętrze dyrektorskiego komputera. Wyszarpnął ze swojego pudła kaleki kadłub jednostki centralnej i ustawił obok obnażonego delikwenta. Podłączył go kilkoma kablami i zajął miejsce przed monitorem.

Na dźwięk głosu komisarza Lewicka otrząsnęła się z zamyślenia.

- Dzięki, że zadzwoniłaś - usiadł na przeciwko i założył nogę na nogę. - Spytałem go o okna. Miałaś rację, były otwarte - sapnął. - Gdy Olejnik zaparkował na podjeździe, spojrział w górę, w oknach paliło się światło i wszystkie były otwarte. Nie na oścież, ale jednak otwarte. To go nawet zastanowiło, bo w nocy zrobiło się cholernie zimno, jak to w marcu, a Marciniak nie zważając na mróz tak się wietrzy. A gdy Olejnik wrócił do samochodu, znowu spojrział i okna były zamknięte, a światła wygaszone. Jest tego pewien.

- A stróż? - spytała.

- Powiedział tak, cytuję z pamięci: „Dubelty na pewno były zamknięte”. Jest tego pewien, bo wielokrotnie przykazywano mu, by zwracał uwagę na okna. Czasem pracownicy zapominają zamknąć i potem hula przeciąg.

- Czyli wszystko jasne - pokiwała głową.

- No, ja to sobie chyba nie pośpię dzisiaj - zazgrzytał zębami Adamczyk.

- A co? - Lewicka odwróciła się w jego stronę i obrzuciła bystrym spojrzeniem.

- Ech, w mordę jeża, trzeba będzie posłędzieć nad tym.

- Mówiłeś, że dasz radę - Lewicka mrugnęła znacząco do Banasika.

- Bo dam, tylko... - pochylił się nad klawiaturą. - Momencik, momencik...

- Umiesz budować napięcie - zauważyła.

- Szlag mnie trafi, tu są rekordy o zmiennej długości - warknął.

- Chwilunia...

Wstał i zajrzał do wnętrza komputera.

- Tak czułem! - zawołał triumfalnie. - Trzeba poszukać drugiego dysku. Przenośnego - dodał dla wyjaśnienia.

Schylił się i wygrzebał z pudła płaski prostopadłościan zamknięty z jednej strony szarą plakieta, wyglądał jak szufladka z zagłębieniem zamiast uchwytu.

- Potrzebne mi coś takiego.

- A co to jest? - Banasik przyglądał się urządzeniu podobnemu do napędu dyskietek.

- Dysk wymienny. Tu był taki sam. Właściciel wyjmuje go bez potrzeby rozmontowywania sprzętu i chowa, choćby do kasy pancernej. Sprytnie zamaskował wejście tą zaślepką, ale to tylko atrapa.

- Ale myśmy tu już wszystko przekopali i niczego takiego tu nie ma. Tu nawet nie ma złamanej dyskietki. A kasa jest pusta - powiedział komisarz.

- Sprawdziliście meble? Błaty? - Adamczyk nie ustępował. - Dobra, w takim razie zacznijmy od tego pomieszczenia. Przecież nie latał z tą skrzynką otwarcie.

- Ma rację - przyznała Lewicka. - Dysk potrzebny był mu tutaj. Nie jest to duże, ale do kieszeni się nie zmieści. Trzeba poszukać. Możliwe, że zabójca nie znalazł tego, bo nie wiedział, że coś takiego istnieje.

Adamczyk położył się na podłodze, wsunął dłoń pod biurko i obmacał uważnie spód mebla. Potem zrobił to samo z pomocnikiem stojącym przy ścianie zaraz za fotelem.

Banasik zajrzał pod meble i zanurkował pod bibliotekę. Przejechał dłonią pod każdą półką. Zaczął wyjmować książkę za książką i przetrząsać metodycznie księgozbiór, zaglądając między okładki.

Inspektorka zostawiła ich w gabinecie i przeszła do ciasnego pomieszczenia, oddzielającego prywatnej łazienkę od pomieszczeń oficjalnych. Nie było tu wiele sprzętów: wieszak, stojak rfa parasole i wielka niszczarka. Spróbowała ją przesunąć, urządzenie było wyposażone w kółka, więc cicho wyjechało na środek. Odwróciła niszczarkę plecami do siebie i zmarszczyła brwi. Do obudowy przyklejono plastrem czarne

pudełko wielkości dłoni, grube na dwa palce. Szarpnęła i taśma ustąpiła. Na dźwięk rozdieranego plastiku obaj mężczyźni zastygli w bezruchu.

- Masz? - spytał Banasik.

- Mam. - Lewicka stanęła w drzwiach z pudełkiem w dłoni.

- O to się właśnie rozchodziło - powiedział uradowany Adamczyk.

- No to teraz to twój problem - stwierdził komisarz i zwrócił się do Lewickiej. - Zapraszam na obiad. Przy okazji opowiem ci, co zeznał Olejnik. A potem w kwestii tych okien popytamy innych.

- Chętnie, co prawda obiad już jadłam, ale mam ochotę na coś słodkiego. Mój mózg potrzebuje cukru i kofeiny. I to zaraz! - uśmiechnęła się szeroko. - Bury, pracuj sobie pomalutku. Przynieść ci coś?

- Nie, dzięki. Wszystko, co potrzebne, mam tu - pokazał na gigantyczną butlę coli.

Zostawili pochłoniętego pracą Adamczyka, mrużącego pod nosem monotonne przekleństwa.

Za drzwiami Banasik spytał:

-Bury?!

- Taką ma ksywkę - potwierdziła.

- Jakieś inklinacje?

- Nie, po prostu nie lubi swojego imienia.

Zamiast skomentować, Banasik uniósł brwi i otworzył ciężkie drzwi, przepuszczając inspektorkę przodem.

Zeszli do restauracji. Na widok komisarza Anka zbladła i przestała oddychać, zamieniając się w skamieniały posąg za biurkiem. Banasik nachylił się nad nią i szepnął jej kilka słów. Policzki dziewczyny zaróżowiły się, wymamrotała coś w podzięce. Przez chwilę Lewicka miała wrażenie, że rzucił się na komisarza i go wyczuł.

- Co jej powiedziałaś? - spytała.

- Po złożeniu wyjaśnień zwolniliśmy go do domu.

- Widziałaś jej twarz? - Spojrzała wymownie w kierunku Anki.

- Czy to jego dzieło?

Lewicka przytaknęła.

- Skurwysyn - zaklął Banasik i zmieszał się. - Mogłem go zostawić w areszcie, wiesz, stawianie oporu w trakcie zatrzymania, ale nie jestem przekonany o jego winie, więc... - nie dokończył, przyglądając się Ance gorączkowo tłumaczącej coś w telefon.

- Sami niech się dogadują. Mam nadzieję, że kiedyś nie przyjdzie do mnie ze złamaną szczęką - powiedział głucho.

- Przyjdzie, dobrze o tym wiesz. To nigdy nie ma końca.
- Wiem, dlatego mówię, że mam nadzieję - powiedział i nagle oznajmił wściekle. - Cholera, wciąż mam tę głupią nadzieję!
- To nie nasza wina - zauważyła. - Może weźmiesz borowikową albo kołduny w rosole? - spytała Banasika, patrzącego tępo w restauracyjne menu.

- Słucham?! - spytał z roztargnieniem, był czymś wyraźnie zatroskany. - Nie, zupy tuczą - uśmiechnął się z przekąsem. - Wezmę pstrąga w ziołach i bukiet jarzyn - zwrócił się do kelnerki - a na deser jabłka w sosie karmelowym.

Jałł w milczeniu, pochłaniając w zawrotnym tempie rybę i gotowane warzywa. Dopiero zwolnił przy deserze.

- Według Olejnika wczorajszy wieczór wyglądał tak. Po kłótni z Anką nie mógł sobie znaleźć miejsca. Bił się z myślami i jeździł bez celu po Suwałkach. Wreszcie postanowił rozmówić się ostatecznie z Marciniakiem. Jak twierdzi, nie miał zamiaru go zabić ani nawet tknąć palcem. Chciał tylko potwierdzenia, że dyrektor naprawdę jest ojcem jej dziecka. Tłumaczył, że mimo wszystko miał nadzieję, że to on jest ojcem, a nie ten, cytując „wszarz” - westchnął i przełknął trochę pieczonych owoców.

- Pyszny sos - zauważył i mówił dalej. - Koło wpół do jedenastej przyjechał do klasztoru. Zaparkował samochód i upewnił się, czy w oknach gabinetu pali się światło. Prosto stamtąd ruszył do biura, przekonany, że Marciniak jest u siebie.

- Którędy szedł?

- Też go o to zapytałem. Szedł od północy. Gdy znalazł się pod biurem, drzwi były zamknięte, a światła wygaszone.

- Ciekawe ile czasu zajmuje przejście z parkingu na górny taras i omińnięcie kościoła?

- Sprawdźmy - krótko powiedział Banasik, dołał sobie kawy i z bólem spojrzął na pusty talerz.

- Weź sobie naleśniki z makiem i serem, są pyszne.

Komisarz dał znak kelnerce i mimo jej zapewnień, że nie da rady zjeść takiej ilości po sutym obiedzie, zamówił podwójną porcję.

- Nie doszedł jednak do mieszkania Marciniaka - powiedział do Lewickiej.

- A co go powstrzymało?

- Poczekaj, to będzie najlepsze. - Złożony na cztery, nafaszerowany po brzegi naleśnik zniknął w dwóch potężnych kęsach w przetyku komi-

sarza. Otarł usta i powiedział: - Olejnik już miał przekroczyć furkę prowadzącą na taras, gdy ktoś otworzył drzwi na wieżę. Nasz mały podglądacz cofnął się szybko i ostrożnie wyjrzał zza węgła.

Banasik rzucił się z jeszcze większym apetytem na następny naleśnik, milknąc na dłuższą chwilę. Lewicka pomyślała, że komisarza należy izolować od słodczy, bo bardzo go rozprasza.

- Od wieży nadchodził Grzegorek. Minał Olejnika i poszedł w kierunku Domu Królewskiego. My już wiemy, że poszedł wtedy do restauracji. To spotkanie wytrąciło Olejnika z równowagi i postanowił pojechać do domu, a do klasztoru wrócić następnego dnia i wtedy się rozmówić z dyrektorem. To mniej więcej wszystko. Według niego w Wigrach był zaledwie kilka minut, może dziesięć, nie dłużej.

Lewicka zatopila się we własnych myślach. Rozważała następne posunięcie i usiłowała dopasować nowe elementy do tego, co już ustaliła.

- Widzę przy barze Zawadę, spytajmy go o te okna, jeśli oczywiście skończyłeś już jeść - popatrzyła wymownie na puste talerze otaczające Banasika.

- Dobra. Potem przyciśniemy do muru tę wyniosłą instruktorkę, nie podoba mi się, że coś przed nami ukrywa. A na koniec spytamy Grzegorka co robił o w pół do jedenastej pod wieżą. Ciekawy jestem, czym nas tym razem uraczy.

Komisarz rażno wstał od stołu i podszedł z Lewicką do Zawady, który w towarzystwie norweskiego przyjaciela sączył powoli koktajl. Na widok znajomych twarzy, usta Larsa Jorstada rozciągnęły się w przyjaznym uśmiechu. Nim jednak zdążył się odezwać, jak spod ziemi wyrosła niewysoka postać brodatego muzykologa i wśród ochów i achów Norweg został siłą zaciągnięty do stolika, przy którym siedziała madame Mineyko. Zawada nie zaszczycił nowo przybyłych nawet spojrzeniem.

- W czym mogę pomóc? - spytał znad szklanki.

- Jedno pytanie - wyjaśnił Banasik. - Czy wczoraj wieczorem okna w gabinecie Marciniaka były uchylone?

Zawada obrzucił go niechętnym spojrzeniem, jak namolnego akwizytora wciskającego tandetny towar.

- Otwarte.

- Nie zdziwiło to pana? - spytała Lewicka, sadowiąc się na wysokim stołku obok profesora i posyłając mu ciepły uśmiech. Z daleka mogło się здаwać, że prowadzą towarzyską rozmowę, jak przypadkowo spotkani ludzie, którzy chcą miło spędzić czas.

- Zdziwiło - Zawada nabrał powietrza i wyprostował się. - Było dość zimno.

- Przyjacielowi podoba się apartament? - znieacka spytał komisarz.

- Bardzo panu dziękuję. - Twarz lekarza przybrała wyraz wdzięczności. Nawet spróbował się uśmiechnąć przyjaźnie. - Czego się państwo napijecie? - dodał mniej naburmuszony.

- A co pan proponuje? - policjantka spytała zalotnie.

- Może „szarlotkę”? To specjal regionalny na bazie zubrówki i soku jabłkowego.

- Jeśli można, to tylko sok jabłkowy - zastrzegł się Banasik.

- Dla mnie „chilli vodkałini” - poprosiła inspektorka.

- Jakoś to mnie nie dziwi - mruknął Zawada.

Wyglądało, że atmosfera wyraźnie się ociepliła. Kiedyś zawsze przychodził taki moment, ludzie chcą zapomnieć, że zbliżyła ich do siebie brutalna śmierć.

- Przepraszam, ale nie znam tej receptury, czy mógłbym prosić o podpowiedź? - Młody barman zgiął się w oczekiwaniu.

- W oddzielnej szklance mieszać kieliszek wódki chilli z pokruszonym lodem. Kieliszek koktajłowy opłukać kroplą wermutu i wylać. Przechodzić do niego wódkę i dodać oliwkę z papryczką. Gotowe - uśmiechnęła się szeroko.

- Zmieszany, a nie wstrząśnięty? - spytał Banasik, mrużąc oczy w powstrzymywanym śmiechu. - Myślałem, że to odwrotnie...

- Czy mogę „chilli” zastąpić „pieprzówką”? - Barman miał już w ręku odpowiednią butelkę.

- Będzie pysznie - przytaknęła z entuzjazmem.

- No, no, lód i pieprz - cmoknął Zawada. - To chyba panią najlepiej charakteryzuje.

- Więcej pieprzu niż lodu - wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. Wyglądało, że naprawdę dobrze się bawi. - Dużo więcej.

- Ma pani uroczy uśmiech - zauważył lekarz. - Gdy się pani śmieje, człowiek ma wrażenie, że obcuje z całkiem inną kobietą.

- Czy jeszcze się pan na mnie boczysz? - spytała, filuternie spoglądając mu prosto w oczy. - Szkoda na to czasu profesorze.

- Czy wydarzyło się coś, o czym nie wiem? - zainteresował się Banasik.

- Rozmawialiśmy po południu o zaufaniu i szczerości - wyjaśnił Zawada. - Myślę jednak, że mamy zbieżne poglądy.

- Cóż mogę powiedzieć - Lewicka promieniała. - Nie da się ukryć, że przesłuchując oskarżonego, podejrzanego czy też świadka zawsze zakładam, że może on mieć jakieś ukryte powody, by mnie...

Zawiesiła głos i rzuciła im ukradkowe spojrzenia.

- Po prostu mnie okłamać. Możliwe, że wiele osób odbiera to założenie jako bardzo krzywdzące. Niestety moją rolą nie jest dbać o dobre samopoczucie świadka. To znaczy tyle o ile, zachęcić do współpracy, to wszystko. Jednak zasada numer jeden mówi: nigdy, przenigdy, nie ufaj drugiemu człowiekowi.

Westchnęła z udawanym smutkiem, ale jej oczy błyszczały zadowolone.

- Zawsze największy kłopot jest ze zwykłymi świadkami, bo oni wcale nie skupiają się na zadawanych im pytaniach, tylko kombinują, jak ukryć przede mną okoliczności nie mające znaczenia w sprawie, a istotne tylko dla nich. Często motywem nieszczerych zeznań jest lęk przed kompromitacją w oczach rodziny, współpracowników, obcych obserwatorów, takich jak ja. Jeszcze gorzej, gdy wydaje im się, że w ten sposób chronią bliskich lub przyjaciół. Tacy najbardziej zaciemniają obraz. Kłamstwo ma zawsze bardzo złożone przyczyny - zakończyła nagle i szybko przechyliła kieliszek.

- Podobno ma pan już mordercę? - rzucił przez ramię Zawada.

- Jeszcze nie zakończyliśmy śledztwa - wyjaśnił Banasik.

- Właśnie, śledztwo - Lewicka odstawiła kieliszek i zeskoczyła ze stołka. - Dziękujemy i lecimy, prawda komisarzu?

Pożegnali się w pośpiechu i skierowali do wyjścia.

- Wydawało mi się, że nie mamy czasu na drinki - powiedział z przekąsem Banasik.

- Nie mamy - przyznała. - Nie mogłam jednak odmówić. Już dzisiaj podpadłam Zawadzie. Wszystko bierze do siebie. Odmowę potraktowałby jak kolejny afront. Chciałam tego uniknąć - wyjaśniła, wspinając się po granitowych schodach.

Banasik szedł kilka kroków za nią i Lewicka czuła na sobie oliwkowy wzrok komisarza.

- Zostawiłem chłopaka na podjeździe. Mówi, że od szesnastej Marty na nie ruszała się z siłowni.

- Bardzo mądrze, Darku - powiedziała miękko i rzuciła mu zaczepne spojrzenie. - Nad czym tak myślisz? - spytała.

- Nad tym, jak smakuje chilli - odstłonił zęby w uśmiechu.

- Piekielnie gorzko - roześmiała się i spytała. - Masz klucze Marciniaka?

- Mam.

- No to chodźmy na skróty, przez bramę pod Kaplicą Papieską.

- Im bardziej komplementuje cię ten Zawada, tym mniej go lubię - powiedział niespodziewanie.

- Czyżbym dała ci prawo do scen zazdrości? - Obdarzyła go zalotnym spojrzeniem spod rzęs.

- Prawo nie, ale powód tak - wymruczał do siebie.

Przecieli placyk, otworzyli furtę i szybko zeszli w dół. Zaczynało zmierzchać, ale z podestu wyraźnie było widać samotny samochód na podjeździe. W środku siedziała skulona postać.

- Twój chłopak - zauważyła Lewicka. Komisarz potwierdził skinieniem głowy.

Drzwi były otwarte, weszli do sali ledwie oświetlonej resztkami promieni zachodzącego słońca. W głębi, w pokoiku, który odwiedzili po południu, nadal paliła się lampa. Przez niedomknięte drzwi wąski pas światła wyłuskiwał z półmroku piekielne maszyny. Panowała śmiertelna cisza. Ruszyli między metalowymi totemami sprawności po wygłuszającej krotki wykładzinie. Nagle Lewicka złapała komisarza za ramię i pociągnęła w stronę katowskiej maszyny pod ścianą.

Na poprzecznej belce podtrzymującej konstrukcję atlasu wisiał smukły ciężar. Bose stopy zawisły kilka centymetrów nad podłogą. Jasne, rozpuszczone włosy zakrywały twarz. Ciało Marty, niczym upiorne wahadło monotonie kołysało się w lewą stronę.

Banasik rzucił się w desperacji, objął ramionami szczupłe biodra i uniósł z wysiłkiem bezwładne ciało. Chciał jak najszybciej odciążyć zaciskające się tętnice.

- Tnij! - krzyknął. - W kieszeni mam scyzoryk.

Lewicka jednym ruchem otworzyła nóż i przejechała krótkim brzeszczotem po kablu. Ostrze zazgrzytało o metalowy rdzeń. Z furią nacisnęła mocniej i nóż zsunął się, raniąc ją w dłoń.

- Stalowa linka - rzuciła przez zaciśnięte zęby i szarpnęła węzeł.

- Unieś ją wyżej. To cholerny węzeł zaciskowy.

Po krótkiej szamotaninie udało się rozluźnić pętlę i złożyć ciało na podłodze.

Banasik sprawdził tętno.

- Nie żyje - powiedział krótko.

W ciszy która zapadła, Lewicka odszukała włącznik i salę zaalało upiorne światło świetlówek.

- Samobójstwo? - spytała. - Niemożliwe - sama udzieliła sobie odpowiedzi.

- To nie było samobójstwo. - Twarz Banasika stężała, lecz w jego głosie zabrzmiał tłumiony gniew. - Kurwa, jak on się tu dostał?

Wyszarpnął z kieszeni telefon.

- Nalewajko, do mnie! I sprowadź ekipę. Mamy drugiego trupa - warknął.

- Myślisz, że to ktoś jej pomógł - stwierdziła inspektorka.

- Wiesz, nie mam zbyt dużego doświadczenia w przypadku zabójstw, ale jestem ekspertem, jeśli można to tak nazwać, w kwestii samobójstw.

- Usiadł ciężko na ławeczce obok ciała. - Mam własną teorię, która sprawdza się w realu. Gdy człowiek wiesza się sam, ciało zawsze zatacza kręgi zgodnie z ruchem wskazówek zegara. A ona... Zauważyłaś? Obracała się w odwrotną stronę. - Opuścił głowę i zaklął w bezsilnej złości. - Kurwa, kurwa, kurwa, moja wina!

Lewicka klękła obok ciała i przyjrzała się szyi ofiary. Gładką skórę przecinały dwie krwawo podbiegnięte pręgi. Jedna przez sam środek grydki i druga wyżej, tuż pod linią szczęki.

- Zaskoczył ją od tyłu. Stąd ten pierwszy ślad. Widzisz? - Odgarnęła włosy i uniosła ciało, odwracając je tak, by Banasik mógł zobaczyć tył głowy i plecy dziewczyny. - Na karku ślad nakłada się na siebie. Linia biegnąca z prawej strony idzie trochę w górę i mija się o milimetry z tą niżej. - Dotknęła skóry i powiedziała z przekonaniem. - Był praworęczny. Uduślił ją, stojąc za nią. Jest wysoka jak na kobietę, nie mógł dobrze wymierzyć. - Rozejrzała się i wyciągnęła spod steppera damski pantofel.

- Tutaj ją zaatakował, a potem podciągnął na belce, zawiesił i zostawił. Stąd drugi ślad wyżej, pod szczęką. Być może tylko pozbawił ją przytomności, reszta dokonała się sama.

Przytrzymała jeszcze ciepłą dłoń dziewczyny, odwróciła i obejrzała długie, nienaruszone paznokcie.

- Nie bronila się. Nie, Darku, to nie twoja wina. Nie powinnam była jej odpuścić - pokręciła głową w niedowierzaniu. - Nie doceniłam mordery.

Podeszła do ściany, na haku wisiały identyczne linki, jak ta zdjęta z szyi dziewczyny. Stalowe plecionki w otulinie z tworzywa, z wygodnymi uchwytami, cały pęk bokserskich skakanek.

- Użył tego, co miał pod ręką. Nie był przygotowany. Chyba nie spodziewał się, że go rozpoznała lub skojarzyła. Działał impulsywnie. Szybko i skutecznie. Ale nic nie zostawia przypadkowi. Bardzo niebezpieczny człowiek - dodała głucho.

- Ale jak on się tu dostał? - Banasik spytał ponownie, tym razem z większym ładunkiem rozpaczy w głosie. - Gdyby ktoś tu wchodził, natychmiast by mi zameldowano? Przecież jej pilnowałem - dodał z rozpaczą.

Po przeciwnej stronie sali były drzwi, których wcześniej nie zauważyli. Lewicka podeszła do nich i spróbowała je otworzyć kluczem Marciniaka. Zamek ustąpił bezszelestnie. Za drzwiami drewniane schody prowadziły na górę. Weszła po ich skrzypiących stopniach i stanęła przed drugimi drzwiami. Klucz znowu zadziałał i znalazła się na korytarzu prowadzącym do pokoi gościnnych Kaplicy Kanclerskiej. Podeszła do okna i wyjrzała. Była na poziomie biur dyrektorskich i apartamentu papieskiego. Za oknem mrok zacierał kontury paradnych schodów prowadzących do głównych drzwi kościoła.

Zamknęła za sobą drzwi i zeszła na dół.

- Tajemne przejście? - spytał z kiepsko maskowaną ironią.

- Wręcz przeciwnie. Jawne i często używane. Po prostu nikomu nie przyszło do głowy powiadomić nas o tym przejściu. Jak zwykle - zakończyła z wymówką.

Banasik skierował swój wzrok najpierw na martwe ciało, a potem zatopił go w twarzy inspektorki. Skinęła głową na znak zgody.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i stanął w nich Nalewajko. Niesforny kołnierzyk miał jak zwykle zgnieciony i krzywo utknięty pod swetrem. Grubymi palcami szybko upychał w ustach pączek rozmiarów małej piłki.

- Melduję się na rozkaz - wybełkotał. - „Zimny chirurg” już jedzie. Technicy też.

- Nalewajko, dajcie mi tu kogoś do pilnowania, niech stanie na zewnątrz i zaczeka na patologa i ekipę techniczną. Potem weź ludzi i zaczynajcie szukać Grzegorka. Przeczysz, przesiej, przekop to wzgórze, ale mi go znajdź. Zrozumiano?

- Tak jest, panie komisarzu! - Aspirant sztabowy wyprężył w przepiśnawej postawie całe półtora metra swego wzrostu.

Rozdział siedemnasty

Lewicka wróciła do siebie. Ekipa techniczna i patolog doskonale dawali sobie radę bez niej. Zresztą Wieczorek wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że nie życzy sobie, by mu stali nad głową.

W pokoju zastała męża pochylonego nad rozbebeszoną torbę. Pakowało swoje ubrania.

- Poprosiłem o drugi pokój - powiedział z tajoną pretensją w głosie i zaraz dodał bardziej obojętnie. - Pewnie przyjmiesz to z ulgą.

Zmierzyła go nieczułym wzrokiem. Widziała, że to ostatnie podrygi, końcowe pokazy siły, które pozwolą mu odejść w mniemaniu, że to on kończy. Czowała, że z ulgą przyjął jej decyzję, teraz zawsze będzie mógł zrzucić winę na złą, starą żonę. Uświadomiła sobie, że życie ukarze go wkrótce bardziej, niż się spodziewał. I nawet poczuła litość dla niego. Bo czym innym jest podbudowywać nadszarpnięte męskie ego w towarzystwie młodej kobiety i wracać do dobrze znanych, domowych pieleszy, a czymś całkiem innym mierzyć się z pełną pretensji młodością i stawać na wysokości zadania każdego dnia.

- Po co ta pokazówka? Na jedną noc? Przecież zaraz wyjeżdżamy - powiedziała znużonym głosem. - Proszę, nie bądź żaloszny

- Staram się nie być. - Na chwilę w jego głosie zagościło zakłopotanie. Nagle się wyprostował i spytał z wyrzutem. - Dlaczego tak mówisz? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Zabrzmiało to histerycznie i obco w jego ustach.

- Słyszę, ale nie słucham. Nie chcę już nic usłyszeć - odpowiedziała.

Usiadła na łóżku, odsuwając na bok skotłowaną pościel i zaczęła składać rozrzucone w nieładzie ubrania.

- Właściwie to ten weekend trzeba uznać za zmarnowany. - Powiedział, jakby stwierdzał oczywisty i wszystkim znany fakt, a potem dodał, rozjaśniając ewentualne wątpliwości co do swojej winy. - Ty go zmarnowałaś.

Nie odpowiedziała, zajęta zbieraniem drobiazgów pozostawionych na nocnym stoliku. Nie chciała się kłócić, umysł miała zaabsorbowany tym, co się wydarzyło pół godziny temu. Skupienie nad pętłącymi się domysłami i mnożącymi się domniemaniami przynosiło ulgę, nie dopuszczając do myśli bolesnych rozważań nad własnym życiem.

- Spacerowałem, wiesz? I dużo rozmyślałem o nas. - Miał minę, jakby rzeczywiście myślał o ich małżeństwie należąca do konkurencji siłowych.

- A ty co robiłaś?

- Znalazłam nowe zwłoki - odpowiedziała zmęczonym głosem.

- Słucham?

- Tym razem będziesz usatysfakcjonowany. Kobieta - spojrzała mu w oczy. - Zbyt ładna i zbyt mądra, by żyć długo i szczęśliwie.

- O kim mówisz?

- O pięknej instruktorce fitness, której nie miałeś okazji poznać.

- Niemożliwe! - z impetem usiadł na łóżku.

Przez chwilę siedział z ustami otwartymi w niemym okrzyku grozy. Potem zdjął torbę i przysunął się do żony. Lewicka oparła łokcie o kolana i opuściła głowę. Czuła się wypompowana, jakby uszło z niej całe życie. Zamiast energii, wypełniała ją tylko bolesna pustka.

Poczuła dotknięcie i uniosła głowę.

- Zastanawiałem się... - Patrzył z napięciem w oczy żony.

- Zastanawiałem się - powtórzył. - Czy wiesz, kiedy umarła... nasza miłość?

- Czy to teraz ważne? - Przymknęła powieki. - Nie chcę do tego wracać.

- To chyba powinna być moja kwestia - powiedział urażony.

- Możliwe, kochanie, ale wszystko się zmieniło. Nie ma już „nas” i nie będzie.

- Może jednak...?

- Nie będzie żadnego może. Skończyłam tę farsę i oszczędź mi, proszę, rozdrapywania ran.

- Chciałbym tylko wiedzieć - zawahał się na moment, by zaraz spytać szybko. - Czy ty mnie kiedyś zdradziłaś?

Lewicka odwróciła powoli głowę i popatrzyła na niego z politowaniem. „Nigdy nie przestanę mnie zadziwiać”, podsumowała w myślach swojego męża.

- A co? Będzie ci lżej, gdy się dowiesz, że nie byłam ci dłużna? - spytała z ironicznym uśmieszkiem.

Zmieszał się na moment.

- Nie, no, nie chciałem, by tak to zabrzmiało - mówiły zakłopotane usta, gdy zmrużone oczy kłamały.

Objęła dłońmi jego twarz i spojrzała mu głęboko w ciemne źrenice.

- Nigdy cię nie zdradziłam. Miałam setki okazji, miałam ochotę, miałam możliwość, ale nigdy nie skorzystałam - puściła jego głowę i wzruszyła ramionami. - Nie mówię tego, by ci dokuczyć. Po prostu jestem

inaczej skonstruowana. Kochałam cię, wypełniłeś moje serce, byłeś moim życiem, tylko to się liczyło.

Zastygli ramię w ramię, jak podróżni na dworcowej ławce, udający obojętność, lecz bacznie obserwujący się spod przykniętych powiek.

- Chcę zachować w pamięci tylko dobre chwile. Dałeś mi z siebie wszystko, co najlepsze, zawsze będę o tym pamiętać.

Objęła go ramieniem i przytuliła.

- Dziękuję ci, Marku, naprawdę dziękuję ci za wszystkie cudowne lata, jakie przyszło nam razem przeżyć. - Pocałowała go w policzek. - Wcale nie było ich mało.

- To dlaczego chcesz to teraz skończyć? - W jego głosie wyczuwało się żal i smutek.

- Jestem zmęczona tobą. - Zasepiła się. - Zmęczona chorą miłością do ciebie. Muszę się ratować. Po prostu muszę.

Przycisnęła usta do szorstkiego policzka.

- Nie zatrzymuj mnie - wyszeptwała.

- Nie będę - ucałował jej skroń. - Jutro wracam do Warszawy. A ty?

- Musiałam wezwać jednego z moich chłopaków. Wrócę razem z nim służbowym samochodem. Nie wiem, czy jutro, czy pojutrze. Wszystko zależy od wyników śledztwa. - Pogląskała go po włosach. - Ale do naszego domu już nie wrócę.

- Co zrobisz? - Przytrzymał jej dłoń, obejrzał uważnie z bliska i powiedział. - Skaleczyłaś się i to głęboko.

- Tak. Rzeczywiście. Zaraz opatrzę - spojrzała zdumiona na rozciętą dłoń.

Podniosła się i przeszła do łazienki. Na dnie kosmetyczki znalazła plaster z opatrunkiem. Odkorkowała butelkę z wodą kolońską i polała ranę. Niewielkie pomieszczenie wypełnił świeży zapach korzeni i cierpkiej kory. Łapczywie wciągnęła w płuca czysty zapach, jak ktoś, kto zaraz się udusi.

W drzwiach stanął Marek

- Ojciec wyniósł się na wieś, więc zamieszkał na Puławskiej. Później wpadnę do domu po swoje rzeczy. Umówię się z tobą - powiedziała do odbicia w lustrze.

- Masz już wszystko zaplanowane - westchnął ze smutkiem.

- W planie mam tylko fryzjera. W piątek - odpowiedziała spokojnie.

- Zamknij drzwi, muszę wziąć prysznic.

Gotowa do wyjścia, stanęła przed lustrem i poprawiła spódnicę.

- Wychodzisz? - zainteresował się.

- Proszono mnie o pomoc.

Pokiwał głową, wymownie milcząc.

- Może zjemy razem kolację? - spytał.

Nie odpowiedziała i po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się wolna i bez winy.

Wróciła do gabinetu Marciniaka, gdzie nadal tkwił Adamczyk wygodnie rozparty w dyrektorskim fotelu. Na widok szefowej szybko zdjął nogi z biurka.

- Uważaj na meble - zwróciła mu uwagę i spytała. - Napijesz się kawy?

- Dziękuję, z przyjemnością. - Usiadł sztywno, a jego głos przybrał służbowy ton.

-To dobrze, bo już zamówiłam. Kolację też - dodała, nim zdążył zapytać.

Stanęła obok niego i spojrzała na przesuwane się w zawrotnym tempie szeregi znaków.

- Jak leci?

- Odzyskałem wszystko, co było do odzyskania. Może z małymi wyjątkami, ale to nieuniknione. Teraz to sortuję. - Odwrócił się do niej i powiedział z nieskrywaną satysfakcją. - „Eks-trajw” to bardzo sprytne narzędzie.

Lewicka wzięła do ręki jeden z albumów, porzuconych przy przeszkaniu przez Banasika i usiadła w klubowym fotelu naprzeciwko.

- A jak będzie z kamerą? - spytała, przerzucając barwne stronicę.

- Mhm, to trochę dłuższa dłubanina, ale na dysku jest mnóstwo materiału filmowego, więc chciałem najpierw to uporządkować. - Wyprostował się i dodał ostrożnie. - Słyszałem, że są nowe zwłoki. Coś ten Banasik się nie popisał.

Nie odezwała się, jedynie podniosła wolno wzrok znad książki i spojrzała obojętnie na podwładnego.

- Stary piernik z niego - dodał pewny siebie.

Przekonanie Adamczyka o niedołęstwie mrukliwego komisarza rozbawiło ją. Wywołało przelotny uśmiezek, błąkający się na wargach. Zazwyczaj są dwa scenariusze stosunków między żółtodziobami i starymi wyjadaczami: albo sarkastyczne negowanie wszystkiego, albo pełne za-

chwytu uwielbienie. „Przywilej młodości, pomyślała, też taka byłam”.

- Młodszy aspirant Adamczyk - powiedziała swobodnie, wracając do przeglądania albumu. - Przywołuję pana do porządku. Nie wypada krytykować oficera ani podważać jego autorytetu w obecności własnego szefa, a w obecności szefowej szczególnie - uśmiechnęła się pod nosem.

- Nie, no ja nic takiego nie chciałem powiedzieć - wydukał zakłopotany. - Tylko policji tu od metra, a trup ściele się gęsto.

Odłożyła album i westchnęła.

- Oj, Bury, Bury, pożyjesz trochę, to nie takie rzeczy zobaczysz.

- Mam taką nadzieję, - Widząc rozbawioną minę szefowej, nabrał pewności siebie. - Bardzo się cieszę, że dostałem przydział do pani zespołu.

Lewicka obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Z bolesnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że taktuje go nie jak równego sobie partnera, ale jak dużo młodszego brata, za którego czuła się odpowiedzialna. Było w tym coś z macierzyńskich uczuć, za które zaraz skarciła się w myślach. Adamczyk nigdy nie powinien tego odczuć, zdecydowała. Mógłby źle odebrać protekcjonalne traktowanie.

Młodszy aspirant ponownie zmieszał się, zawstydzony przedłużającym się milczeniem szefowej. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy, więc powiedział bardziej do monitora, niż do Lewickiej.

- Widziałem panią w akcji i jestem pod wrażeniem. Jak pani to robi?

- zwrócił się do niej. - Jak pani odgaduje te poszlaki, dowody, odnajduje ślady? Intuicja?

- Nie ma czegoś takiego jak intuicja - powiedziała z mocą.

- Jak to? Przecież jest pani kobietą!

- No to co?

- Szósty zmysł?

- Zmysł? Nie istnieje. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że ludzie obdarzeni są słuchem, wzrokiem, węchem, smakiem i dotykiem, ale nie intuicją. Czyżby wszyscy byli głusi i ślepi na przeczucie, a tylko nieliczni zostali wybrani? Bzdura!

- Więc co to jest? - spytał z powątpiewaniem.

- Wiedza i doświadczenie. Jakoś dziwnym trafem intuicją obdarzeni są zawsze ludzie dojrzały, którzy mają za sobą setki, jeśli nie tysiące podobnych doświadczeń. A młodym tak zwanej intuicji brakuje. Z czasem, jeśli są tylko dość bystrzy, nadrabiają zaległości. Wiem, rozczarowałam cię - dodała, widząc, jak w grymasie zawodu wyciąga mu się twarz. - Jeśli

to prawda, co o tobie mówią, to wkrótce też będziesz posiadał intuicję.

- Doświadczenie - powtórzył jak echo. - Ale Witula mówił, że pani zawsze taka była.

- Czesio ma skłonność do przesady. Wszystkiego uczyłam się krok po kroku. Także od niego.

Twarz Adamczyka wyrażała zwątpienie, pomieszane z niewiarą w słowa szefowej.

- Ludzki umysł ma skłonność do porządkowania, segregowania i systematyzowania wszelkich informacji - z westchnieniem podjęła Lewicka.

- Lubimy schematy, nie ma w tym nic złego. Dzięki tym schematom możemy szybko szufladkować otrzymane informacje, przymierzyć je do zapamiętanych wzorców zachowania i zareagować adekwatnie do sytuacji.

Wstała, bo ktoś zapukał do drzwi sekretariatu i po chwili wróciła z tacą nakrytą serwetą. Pod nią były talerze z wędliną, koszyczki z Chlebem, filiżanki i termos kawy.

Postawiła tacę na stole i rozstawiła filiżanki.

- Ta szczególna cecha naszego umysłu bardzo się przydaje w procesie uczenia. Im szybciej twój umysł segreguje dane i przypisuje im odpowiednie znaczenie, tym więcej jesteś w stanie przyswoić i się nauczyć. A potem wykorzystać.

Rozlała kawę do filiżanek i zabrała się za smarowanie chleba. Kromkę obłożyła wędliną i zaprosiła Adamczyka do stołu.

- Ludzie działają według wyuczonych schematów. Pierwsze wrażenie buduje jego podstawy. Potem na niepewny jeszcze szkielet schematu nakładają się następne doświadczenia. Z każdym nowym przeżyciem dochodzi do korekty schematu reakcji. Po którymś razie działasz już automatycznie, nie zastanawiając się skąd to wiesz i jak do tego doszedłeś. Takie są skutki procesu uczenia.

Zamyśliła się na chwilę, by znowu podjąć temat. Adamczyk usiadł na brzeжку fotela i chłonał każde słowo jej słowo.

- Jeśli coś się wyłamuje ze schematu, to budzi niepokój. Możesz go nazwać również ciekawością - uśmiechnęła się. - Uczyli cię przecież prowadzenia obserwacji. Co jest najważniejsze podczas śledzenia obiektu?

- Wtopić się w rytm ulicy - szybko odpowiedział.

- Właśnie. Podążając za śledzonym, musisz dostosować swój krok do rytmu kroków ludzi obok ciebie. To ważniejsze niż kamuflaż, przebranie i ciemne okulary - mrugnęła znacząco.

- Obserwowanemu wystarczy jedno spojrzenie, by z tłumu wyłowić

tych, co nie zachowują się tak, jak wszyscy. Każdy przejaw odmienności odbierze jak sygnał alarmowy.

- Wracając do intuicji, najlepiej będzie wyjaśnić to na przykładzie. Wyobraź sobie, że przywożą do szpitala dziecko. Ma gorączkę i wysypkę. Zajmuje się nim dwóch lekarzy, jeden jest starym wyjadaczem, a drugi młodym i niedoświadczonym stażystą. Badają dziecko. Młody usiłuje dopasować uzyskane dane do tego, co wie o chorobach wieku dziecięcego. Gorączka wyklucza ileś tam chorób. Wysypka eliminuje kolejne. Ale zbyt krótki staż młodego lekarza nie pozwolił mu na własne oczy zobaczyć wszystkich rodzajów możliwych zmian skórnych. Niektóre choroby zakaźne występują teraz tak rzadko, że mógł nigdy nie zetknąć się z nimi. Ale drogą eliminacji i kolejnych przybliżeń nieśmiało stawia diagnozę. Patrzy na starszego lekarza, a ten bez żadnych wątpliwości mówi: odra. Byłby w wielkim kłopotcie, gdybyś go spytał, jak do tego doszedł. Wreszcie z trudem by ci wyjaśnił, że wystarczyło jedno spojrzenie, by zyskać pewność, a badanie w tym kierunku tylko tę pewność potwierdziło. Mózg działa szybciej niż najszybszy komputer. W tempie, o jakim nie śniło się producentom procesorów. W tych ułamkach sekund między oceną obrazu a głośnym stwierdzeniem: „To odra”, trwa intensywna praca mózgu. Obraz zarejestrowany okiem przyporządkowywany jest obrazom wcześniej zapamiętanym, można by je przyrównać do szablonów. Intuicja to po prostu doświadczenie, sygnał alarmowy, że coś odbiega od schematu - zakończyła.

Adamczyk siedział jak zaczarowany, widelec w jego dłoni zawisł w przestrzeni dzielącej go od talerza.

- Jeszcze jedną kanapkę? - spytała.

- Nie, dziękuję - z trudem się otrząsnął z zamyślenia. - Trzeba luknąć na monitor. Może już da się coś zobaczyć.

Raptownie odstawił talerz i szybko podszedł do biurka. Przysunął drugie krzesło. Zajął miejsce przed komputerem i stuknął w klawisze.

- O, jakiś chłam mi się tu trafił - mruknął zza ekranu. - Ale nie wszystko to śmieci. Ten mój programik jest koszmarnie trudny i potrzebuje czasu, ale rozwali każdą bazę danych „bi-trajwa”. Posortowałem to w dwóch porządkach, według dat utworzenia pliku i alfabetycznie. Wygląda to jak wielka kartoteka.

Lewicka dopiła kawę i usiadła obok niego.

- Są tu pliki tekstowe i sporo zdjęć, filmów oraz nagrań dźwiękowych.

Przypomina to archiwum. Miana plików utworzono od nazwisk ludzi. Bo to wszystko dotyczy konkretnych osób - zawahał się. Tak mi się zdaje - dodał ostrożnie. - Uporządkowałem to w drzewa i teraz po kliknięciu, na przykład w Adamski, można przeglądać pliki zgromadzone pod tym nazwiskiem.

- Pokaż - powiedziała.

Na monitorze powoli przesuwiał się szereg nazwisk. Bardzo długa lista osób, którymi interesował się Marciniak, a obok niej daty założenia pliku. Na widok niektórych nazwisk Lewicka uniosła brwi w zdziwieniu.

- Daj tego Adamskiego - poleciła.

Przed ich oczami rozwinął się krótki spis plików. Bury wybrał jeden z nich i w nowym oknie rozwinęło się wyraźne zdjęcie. Otyły mężczyzna z radosnym uśmiechem pozował nad wielkim łbem martwego łosia.

- Kto to? - spytał zaciekawiony.

- Działacz ruchu ekologicznego. Zagorzały zwolennik ochrony dziewiczej przyrody - powiedziała cicho. - Dawaj dalej.

Młody policjant posłusznie wklepał polecenie i kolejne zdjęcie wypełniło ekran. Na tle drewnianych ścian siedział łysy facet w otoczeniu równie jak on rozneglizowanych kobiet.

- Nie wyglądają na jego córki - skomentował Bury.

- Bo nimi nie są. Znam go, to prezes dużego banku.

- Ładnie, ładnie - zagwizdał cicho.

- Dalej - poleciła Lewicka.

Tym razem zdjęcie wyparły ruchome obrazy. Młoda kobieta, najwyraźniej pijana, uwieszona partnera, usiłowała stawiać taneczne kroki w takt wolnej muzyki. Na następnym ujęciu ta sama roześmiana para śpiewała przebój ludycznych zabaw o zakropkowanych majtkach. Na jeszcze innym kobieta całowała się z mężczyzną, poczynając sobie bardzo śmiało z jego rozporkiem.

- Ja ją chyba gdzieś widziałem - bąknął Adamczyk.

- Już nie jest prokuratorem - powiedziała Lewicka przez zaciśnięte szczęki. - A jego znasz?

- Nie, ale wygląda na bandytę. Kto normalny ma trzy sygnety na dłoni. - Adamczyk zatrzymał film i powiększył kadr, na którym wyraźnie było widać upierścienione palce obejmujące obfite pośladki kobiety.

- To Baleron - wyjaśniła.

- Niby boss mafijny? - spytał. - Kim był ten Marciniak?! Domorosłym archiwistą?! - parskał. - Hobbista maniak teczek? Na co mu to było?

- Lubił manipulować ludźmi. Myślał, że znając ich tajemnice będzie miał nad nimi władzę. Pokaż, czy miał coś na Grzegorka.

Pod nazwiskiem specjalisty od reklamy był tylko jeden skromny plik tekstowy. Kilka nic nie mówiących laikom zdań i dwa nazwiska.

- No, nie - powiedział zaskoczony Adamczyk.

- A jednak - potwierdziła.

Odetchnęła głęboko i wyluskała z kieszeni telefon. Wstała zza biurka i podeszła do okien, za którymi zdążył już zgęstnieć mrok.

- Tu Ewa - powiedziała do mrukiwego „słucham”. - Mam do ciebie bardzo ważne pytanie. Nie muszę znać szczegółów. Potwierdź tylko lub zaprzecz.

Ciszę w telefonie wypełniło pełne napięcia milczenie, żadnej reakcji, więc Lewicka spytała.

- Grzegorek. Do 1996 roku był twoim podwładnym. Chcę wiedzieć, czy został zwolniony ze służby, bo kogoś ochraniał?

Czuła, jak pod drugiej stronie gęstnieje cisza, wreszcie głos się odezwał.

- Zadzwoń do ciebie za piętnaście minut.

Schowała telefon i naląła sobie kawy. Adamczyk obserwował ją zza monitora, wreszcie się odezwał.

- Stary znajomy?

- Gorzej - odpowiedziała. - Przyjaciel i niedoszły szef.

Uśmiechnęła się na widok zdziwionej miny Burego.

- Podam ci nazwiska podejrzanych, a ty poszukaj ich w tym archiwum, może Marciniak zgromadził coś na nich.

Adamczyk bez szemrania i zbędnych komentarzy zapisał sobie krótką listę, dopiero przy nazwisku Pomickiej podniósł na szefową zdziwiony wzrok.

- Chcę wiedzieć, czy miała więcej niż jeden powód, by życzyć mu śmierci.

- A jaki był ten pierwszy?

- Zazdrość - zawahała się. - I niepewność. Zaborcze uczucie, które nazywała miłością, nie pozwalało jej myśleć o nim inaczej jak o własności. I na pewno nie pogodziłaby się z myślą, że chce ją porzucić. Mógł tylko należeć do niej lub być martwy. Przy jej charakterze i braku pewności był to wystarczający motyw

- Ale to nie ona go zabiła?

- Jestem pewna, że nie. Zresztą nie było jej tu w krytycznym czasie.

Rozmowę przerwał telefon. Oddzwaniał wcześniej, niż zapowiedział.

- Teraz mogę rozmawiać. O co chodzi z tym Grzegorkiem? - głęboki, przepalony papierosami baryton zadudnił w słuchawce.

- Jest zamieszany w zabójstwo. Podejrzewam, że denat wiedział o nim coś, co Grzegorek wolałby ukryć. Chcę wiedzieć dlaczego odszedł ze służby? Jeśli odszedł?

- Odszedł ze względów zdrowotnych. Taka jest oficjalna wersja. Przychyliliśmy się do jego prośby. Podejrzewaliśmy go o kontakty, powiedzmy, z podziemiem gospodarczym. Prowadził kilka spraw dotyczących nielegalnego obrotu paliwami i mimo drobnych sukcesów nie posuwał się do przodu. Przez rok toczyło się wewnętrzne postępowanie, ale dostał postrzał i jakoś to się rozmyło. Prawdopodobnie kogoś chronił, ale nie mamy dowodów.

- Ja je mam - powiedziała i zapadła długa cisza.

- Słucham. - Baryton rozkaszał się sucho.

- Mówi ci coś nazwisko Kowalski?

- Możliwe - powiedział ostrożnie.

- A Zielińska?

- Nie kojarzę.

- Jest archiwistką w waszej kartotece - padło wyjaśnienie.

Ciszę wypełnił odgłos wypuszczanego nosem dymu, cichym szelestem zderzającego się z mikrofonem słuchawki.

- Teraz wszystko jasne - mroczny głos przerwał milczenie. - Gratuluję. Marnujesz się - dodał z uznaniem. - Zawsze ci to powtarzam. Jakbyś co, to masz moje poparcie. Możesz liczyć na pełną współpracę.

Zamilkł, zaciągając się dymem. Ogrzane papierosowym żarem słowa przybrały cieplejszą barwę.

- A poza tym - głos namyślał się, nim spytał - co u ciebie?

- Dziękuję, wszystko dobrze.

- A jak Marek? Czy nadeszła pora, by go wykastrować? - padło pytanie przyprawione odrobiną ironii.

- To już nie będzie potrzebne.

- O - głos się zaciekawił. - Ktoś się tym zajął?

- Niestety nie. Rozstaliśmy się - wyjaśniła i widząc, jak Adamczyk zamienia się w sluch, zakończyła szybko. - Jak będziesz w Warszawie, spotkamy się i wszystko ci opowiem. Dzięki i do zobaczenia.

Do zobaczenia, Mała - zachrypiał miękko baryton.

Rozdział osiemnasty

Nie zdążyła schować telefonu do kieszeni, gdy ten znowu się rozświergotał. Uśmiechnęła się na widok znajomego numeru.

- Zdaje się, że mamy motyw - powiedziała rażno.

- Czy możesz przyjść na przystań? Chciałbym ci coś pokazać. - Zimny, obcy głos Banasika wzbudził w Lewickiej niepokój.

- Będę tam za chwilę - rzuciła w słuchawkę.

Wybiegła tak jak stała, zostawiając w biurze zaskoczonego Adamczyka. Ominęła budynek kościoła i skręciła w prawo w dół, by szybko przeciąć dolny taras i dostać się do wieży schodowej. Mijając erem Sobieraja kątem oka zauważyła światła w szczelnie zasłoniętym oknie. Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi klatki schodowej łączącej klasztor z budynkami gospodarczymi na dole. Zachrząściła pod stopami żwirowa alejka. Na wysokości kortów zobaczyła, że na przystani oświetlonej bladymi latarniami kręcą się ciemne postaci. Długie snopy reflektorów śmigają po powierzchni wody. Zaczęła biec na przełaj przez wilgotną łąkę, potykając się na nierównościach.

Jednym tchem dopadła kładki, zadudniły obcasy o deskowanie przystani. Banasik odwrócił się na ich dźwięk, rozpoznał Lewicką i podszedł do niej.

Kilka metrów dalej, pod pomostem zalany teraz jaskrawym światłem lamp, widać było podłużny zarys przedmiotu łagodnie dryfującego w ciemnej wodzie. Dwaj policjanci spróbowali ostrożnie zaczepić go bosakami i po chwili na otwartą wodę wypłynęło ciało mężczyzny. Jasnożółty sweter, mokry i brudny, przylgnął szczelnie do potężnych pleców właściciela. W sztucznym zimnym świetle neonowych lamp widać było, jak połyskuje obmywany zielonkawą wodą kark mężczyzny. Ciemne, zlepione włosy niknęły w mrocznej wodzie, zasłaniając twarz. Szeroko rozrzucone ramiona w geście powitania ginęły w głębinie.

Policjanci zgięli się i z wysiłkiem wciągnęli ciało na pomost. Głowa topielca zachwiała się i opadła pod nienaturalnym kątem. Nad zwłokami pochylił się policyjny lekarz.

Podeszła z Banasikiem bliżej, stając kilka kroków od ciała. Zbutwiałe liście przylepiły się do wyrazistej twarzy Grzegorka, teraz zimnej i pozbawionej życia. Przesunęła wzrokiem po asymetrycznych ustach i mocnym podbródku mężczyzny. Wzdrygnęła się na dźwięk wody młaszczącej o pomost. Gniewny plusk zabrzmiał, jakby jezioro upominało się o swoją własność.

- O czym chciałaś mi powiedzieć? - spytał glucho komisarz.

- Później - odpowiedziała i znowu zadrżała. - Teraz nie ma to znaczenia

- Dlaczego się nie ubrałaś? - spojrzął na ramiona okryte jedynie bluzką. - Zimno jest.

Zdjął z siebie kurtkę i podał jej bez słowa. Lewicką otuliło ciepło ogrzanego ciała okrycia. Kołnierz pachniał zwietrzałą goryczą zielonej limony i poczuła się dużo lepiej.

- Niesamowite - zdumiał się lekarz.

Policjanci wymienili zdziwione spojrzenia. W ich zgodnej opinii pora i miejsce oraz towarzystwo martwego mężczyzny wystarczająco wpływały na atmosferę niesamowitości. Jeśli patologa coś tu zaciekało, oni także powinni tym się zainteresować. Banasik podszedł bliżej.

- Złamanie Le Forta, jak babcię Kocham, drugie w tym miesiącu. Jeden cios w podbródek. O, tutaj, widzicie? - pokazał im ślad na brodzie mężczyzny. Niewielkie wgniecenie wyglądało jak brud. Lekarz obmacał drobiazgowo twarz denata, chwilę zatrzymując się przy szczęce. Spróbował poruszyć głowę.

- W zależności od mocy ciosu mogą wystąpić trzy typy. Złamanie żuchwy - mówił badając ciało mężczyzny. - Ale jestem prawie pewien, że tym razem nie. Złamanie przez kość jarzmową. Ale to też nie to. I trzeci, złamanie *podstawy czaszki z praktyczną amputacją* twarzoczaszki. Zdaje się, że właśnie z tym mamy do czynienia.

- Amputacja? - jęknął zaskoczony Banasik, patrząc na nienaruszoną twarz Grzegorka.

- Z zewnątrz tego nie widać. Dokładnie będę wiedział po autopsji. Ale złamanie podstawy czaszki na sto procent i to ze złamaniem zęba kręgu obrotowego. Myślę, że nie żyje od kilku godzin, ale pewnie wicie to lepiej ode mnie. Co?!

- Cztery godziny temu jadłam z nim obiad - wyjaśniła ponuro Lewicka.

- No to przynajmniej tyle wiadomo. Ale na wyniki jego i tej dziewczyny to musicie poczekać do jutra.

- Mówisz, że to był jeden cios - komisarz starał się nadać swym wątpliwościom jak najłagodniejszą formę, by nie urazić lekarza. - Ale jaki cios? Czym?

- Wystarczy kopniak. Mocny kopniak pod odpowiednim kątem. Niedawno zetknąłem się z podobnym przypadkiem w Białymstoku. Mówiłem wam, robię tam doktorat. Nielegalne walki bokserskie, chłopak dostał z wykopu, może by i przeżył, ale nim się zdecydowali go odtransportować do szpitala, zmarł na skutek szoku pourazowego. Ale...

- rozejrzał się wokół siebie. - To równie dobrze mógł być cios choćby wiosłem.

Banasik wymienił z Lewicką porozumiewawcze spojrzenia i komisarz bez słowa sięgnął po telefon.

- Dyżurny? Powiedźcie mi co z tym Olejnikiem? Tak. Czekam.

- Znowu był czujny i spięty. - Dzięki. - Rozejrzał się po obecnych i zakomunikował. - To nie on. Właśnie kończą spisywać zeznania. To jeszcze potrwa z pół godziny, nim go wypuszczą.

W słabym świetle latarni dostrzegł w oczach inspektorki błysk niedowierzania zmieszany ze szczerym zaciekawieniem.

- No co? - bąknął. - Powiedziałem chłopakom, żeby się nie spieszyli. Parę godzin na komisariacie dobrze mu zrobi.

Lewicka uniosła brwi i pokręciła głową w podziwie nad zmyślną i skrytą naturą Banasika.

- A to co? - przykucnął i dotknął mokrych spodni denata. Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął stamtąd zwiniętą linkę. Przyświecił sobie latarką i przyjrzał się z bliska znalezisku.

- Skakanka - powiedział na głos.

- Nie wygląda, żeby chciał na niej poskakać - próbował zażartować lekarz.

- Bo nie chciał - włożył zwinięty przewód do foliowej torebki na do wody.

- Skąd wiesz, że to skakanka? Nie ma przecież tych, tych, jak im tam, rączek - zauważył.

- To prawda, ale to ta sama linka, zobacz - uniosł torebkę pod światło latarni. - Uciął kawałek i z każdej strony zawiązał pętle dla lepszego uchwytu. To profesjonalna garota, stary. Myślisz o tym samym co i ja?

- zwrócił się do Lewickiej.

- Umówił się z kimś, ale niedoszła ofiara okazała się szybsza od niego. To, że tym razem przygotował sobie narzędzie, świadczy tylko o jego determinacji. Być może postanowił zrezygnować z poprzednich planów.

- Planów?

- Był długodystansowcem, nic nie pozostawiał przypadkowi. Do wszystkiego długo się przygotowywał. Co nie zmienia faktu, że umiał reagować szybko w skrajnych warunkach. A to były warunki skrajne. Czy możesz iść ze mną do jego mieszkania?

- Masz klucze i weź ze sobą posterunkowego. Zaraz tam dojdę.

Pożegnała się z rubasznym patologiem i w towarzystwie zasapanego

policjanta ruszyła w drogę powrotną. Po kilku minutach otworzyli drzwi eremu Grzegorka.

Zapaliła światło i rozejrzała się uważnie po przedpokoju. Tak jak przednio zwróciła uwagę, że nie było tu rzeczy zbędnych. Było sterylne i oszczędnie jak w szpitalu. Ze względu na sosnowe meble i nieliczne akcenty dekoratorskie, pomyślała, że mieszkanie przypomina wnętrza sanatoryjnych pokoi.

Weszła do kuchni i bacznie przyjrzała się wyposażeniu. Oprócz elektrycznego czajnika była tu tylko kuchenka mikrofalowa. Widać „pan od reklamy” nie lubił gotować. Ograniczał się do robienia kawy i odgrzewania gotowych dań.

Zajrzała do lodówki. Nie było w niej nic oprócz owoców i wody mineralnej. Otworzyła górną szafkę i skrzywiła usta w gorzkim uśmiechu. Grzegorek miał słabość do czekolady deserowej z orzechami. Kilkanaście tabliczek leżało w równych stosikach. Pomyślała, że taka ilość zabiłaby Banasika, ale facetowi, który codziennie przebiegał kilka kilometrów uchodziła bezkarnie. Obróciła w palcach jedno z opakowań. „Nie byle jaka, pomyślała, belgijska, w najlepszym gatunku.”

Obok czajnika stała puszka z dobrą gatunkowo kawą rozpuszczalną. Na suszarce było tylko jedno nakrycie. Białą filiżankę z czarnym podwójnym pasem miękko otulał falisty uchwyt. Odwróciła naczynie dnem do góry, skrzyżowane szpady i korona nie budziły żadnych wątpliwości. Delikatnie odstawiła filiżankę i otworzyła kolejną szafkę. Stało tam drugie, identyczne naczynie i chiński komplet terakotowy do parzenia zielonej herbaty.

W przedpokoju ominęła przyglądającego się jej spode łba funkcjonariusza i weszła do pokoju, w którym dzisiaj po południu rozmawiali z Grzegorkiem. Nic tu się nie zmieniło. Podeszła do małego biurka w rogu i otworzyła szufladę. Na blacie był tylko czarny wazonik w roli pojemnika na długopisy, ale na widok zawartości szuflady zaświeciły się jej oczy.

Ostrożnie wyjęła pachnącego nowością laptopa z charakterystycznym jabłuszkiem na pokrywie. Uruchomiła sprzęt i odszukała „ostatnio otwierane aplikacje”. Kliknęła w wyskakujące ikonki, ale komputer ogłosił, że pliku źródłowego brak i zamilkł.

Zajrzała do poczty, wśród setek maili trudno byłoby jej teraz szukać tego właściwego. Większość, z ostatnich dwóch dób, przyszła od jakiegoś Rafała. „Pewnie to syn”, uznała w myślach. Tylko jeden mail przyszedł dzisiaj, dotyczył kwestii alibi Grzegorka na wczorajszy wieczór, dla spr-

wy był teraz bez znaczenia. „Dziękuję za miłą kolację. Może spotkamy się w przyszłym tygodniu?” Podpisano: „Całuję, Monia”.

Lewicka potarła czoło i wbiła nieobecny wzrok w literki składające się na imię obcej kobiety. Czowała, jak wzbiera w niej gniew sprzeciwu wobec wszystkich niegodziwości, z jakimi przyszło jej się zetknąć. Nie powinna jednak ulegać zbędnym emocjom, stwierdziła, to nigdy nie pomagało. Nie mogła rozpraszać teraz energii.

Poszła do łazienki. W drzwiach odwróciła się do towarzyszącego jej policjanta.

- Chciałabym skorzystać - powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Usiadła na ubikacji i rozejrzała się po skromnym pomieszczeniu. Nic tu się nie zmieniło od ostatniej wizyty, z wyjątkiem ręcznika, który zdążył wyschnąć.

W myślach segregowała fakty i zdarzenia, szukając czegoś, co być może jej umknęło. „Trzeba będzie dokładnie wszystko przeszukać, stwierdziła, nie będzie dużo pracy, bo wiele to tu nie ma.”

Zastanawiała ją, gdzie ktoś taki jak Grzegorek mógł chować swoje tajemnice. Była pewna, że coś takiego istniało i że nie powierzyłby tego żadnemu systemowi szyfrowania danych, żadnym nowoczesnym technikom, niczemu, co zostawiałoby jakikolwiek ślad ukrycia dowodów. Taki facet jak on albo nadałby tajemnicom znamiona prawdy i oczywistych faktów, albo ukrył tak, by nikomu nie przyszło do głowy tam szukać. Ale tu niczego takiego nie znajdowała. Podłoga była jednolita, żadnych ruchomych desek, tajnych skrytek. To był tylko pokój hotelowy odwiedzany przez sprzątaczkę i Grzegorek nie zaryzykowałby ukrywania tutaj czegokolwiek.

Możliwe, że tajną skrytkę ma gdzieś w terenie. I na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo, odtworzenie jego codziennej trasy biegacza i przeszukiwanie lasu należało uznać za niewykonalne w tych warunkach.

Musiąo jednak być coś, co rozwścieczyło niedoszłą ofiarę Grzegorka do tego stopnia, że posunęła się znów o krok za daleko.

Nagle Lewicka znieruchomiała zaskoczona. Właśnie zdała sobie sprawę, że przed chwilą przez jej głowę przemknęła bardzo ważna myśl, na którą w ogóle nie zwróciła uwagi. Mimo wysiłków nie mogła sobie jednak przypomnieć, o co jej chodziło.

Westchnęła z rezygnacją, trudno, kiedyś to wróci, trzeba mu dać tylko szansę. „Może jego mieszkanie jest zimne, ale łazienkę ma dużo cieplejszą niż ta w moim eremie, pomyślała”. I nagle doznała olśnienia.

Zerwała się szybko, opuściła deskę i wskoczyła na ubikację. Nad nią

był otwór wentylacyjny. Przyłożyła dłoń i stwierdziła, że nie odczuwa najmniejszego podmuchu. Przyjrzała się uważnie ramce z siatką, zabezpieczającej otwór.

Wyrzwała z łazienki i zwróciła się do znudzonego już funkcjonariusza.

- Macie szczyryk?

Policjant bez słowa sięgnął do kieszeni i wyjął składany nóż w solidnej drewnianej oprawie.

Z powrotem wskoczyła na ubikację i podważyła kratkę wentylacyjną, która lekko odskoczyła. Zdjęła ją i stając na palcach zajrzała w otwór. W środku była paczka zawinięta w foliowy worek. Włożyła lateksową rękawiczkę i sięgnęła po pakunek. Zawierał kilkanaście okładek kompaktowych dysków. Otworzyła jedną. Na srebrnej płytce ktoś napisał „Bogus”. Obejrzała pobieżnie resztę płyt opisanych równie lapidarnie imionami lub skrótami, utworzonymi prawdopodobnie od nazwisk.

- Zaczekajcie tu na komisarza Banasika i powiedzcie mu, że poszłam do gabinetu denata obejrzeć znalezione tu płyty.

Oddała mu kozik i szybko opuściła pustelnię Grzegorka, mocno zaciśkając w dłoni drogocenny pakunek.

Adamczyk siedział jak zwykle z nogami na blacie i klawiaturą na brzuchu. Na widok szefowej zerwał się z miejsca, upuszczając z hukiem mysz uwiązaną przewodem do komputera. Spadając, kabelek myszy zmiatał skutecznie całą resztę drobiazgów rozrzuconych na biurku.

- Rany, co ja tu wyszperałem! Ten popapraniec ma tu niezłe filmiki i bardzo fikuśne zdjęcia.

Lewicka popatrzyła na niego z naganą. Głośno westchnęła z pełnym wyrzutem spojrzeniem i zrzuciła kurtkę Banasika, w którą cały czas była ubrana.

- A co się tam stało, szefowo? Tam, gdzie pani pobiegła?

- Grzegorek nie żyje - oznajmiła krótko.

- O kurwa! - wyrwało się Adamczykowi. - No ja nie mogę! Ktoś go załatwił?

- Na to wygląda.

- Niemożliwe! - powiedział osłupiały ze zdziwienia. - Takiego faceta załatwili?!

- A jednak.

Nalała sobie letniej kawy i powoli zamieszała cukier.

- Powiedz, co tam ustaliłeś.

- Nie wiem, czy to będzie potrzebne, ale ten sukinynek miał kolekcję

porno - zawiesił głos dla lepszego efektu, ale się przeliczył, bo na Lewickiej nie robiło to wrażenia, więc szybko dodał. - Ze sobą w roli głównej. Wygląda na to, że lubił powspominać. Narcyz taki...

- A z listy, którą ci podałam? - niecierpliwie przerwała dywagacje Burego.

- Też coś się znajdzie. Na każdego pokażny zbiór ciekawych informacji, najczęściej, jak mi się zdaje, kompromitujących.

- Na Sobieraja?

Adamczyk spojrział na swoje notatki.

- Tylko uwagi i jakieś zapiski.

- Fajnie. To na razie może poczekać - odsunęła zdecydowanym gestem zabazgrołone kartki i usiadła na krześle obok niego. - Zobacz, co jest na tych płytach. Zacznij od tej z napisem „Bogus”.

- O, jeszcze jedno archiwum - zagwizdał przeciągle Bury.

- Bardzo możliwe... - przerwała, widząc, że Adamczyk przygląda się jej beczynn timer. - Na co czekasz? Na zachętę?

- Już się robi, szefowo - powiedział, rzucając się na przyniesione przez nią płytki.

Ekran najpierw zapełniły szeregi wyskakujących po sobie okienek, by po chwili ustąpić miejsca ziarnistemu i niewyraźnemu obrazowi.

- Coś kiepsko widać - powiedział Bury. - Nie mam tu odpowiednich narzędzi, ale w naszym laboratorium zrobią z tego gites filmik.

Chciał już zwinąć obraz, gdy Lewicka powstrzymała go, przytrzymując dłoń opartą o mysz.

- Zaczekaj - poleciła.

Wśród rozmywających się plam można było dostrzec dwa ruchome kształty.

- To chyba jakaś parka się migdali - skomentował Adamczyk, któremu zrobiło się głupio, że ogląda intymne sceny w towarzystwie obcej kobiety, do tego szefowej. Może nie odczuwałby tak silnie dyskomfortu naocznego'wizda, gdyby nie podległość służbowa.

Nagle mglista sylwetka wyciągnęła rękę i parę kochanków załało światło z lampy zawieszanej nad kanapą. Jakość obrazu poprawiła się znacznie. Długowłosa postać powoli zsunęła się z siedzenia i ukłękła między nogami partnera.

- Jakaś duża ta kobita, nie? - zauważył zażenowany chłopak.

- Bo to nie jest kobieta, to Marciniak, denat, na którego natknęłam się rano. Zatrzymaj i daj zbliżenie tego drugiego - poleciła Lewicka.

Na ekranie zagościła twarz dyrektora marketingu w ekstatycznym

grymasie. Nawet brak okularów nie budził wątpliwości do kogo należy pokażna łysina.

- Zabezpiecz materiał, dość już widzieliśmy - rozkazała. - Zaczerwieniłeś się - zauważyła.

- Przepraszam - wybąkał.

Nie przepraszaj - powiedziała. - Za mało ci płacą, żebyś miał przeproszać.

Rozdział dziewiętnasty

- I tak drogą eliminacji, mamy coraz mniej podejrzanych i świadków - warknął Banasik. Był wściekły, z rękami w kieszeniach miotał się między sekretariatem a gabinetem dyrektora. Po chwili dodał z sarkazmem.

- Tylko to nie my dokonujemy skreśleń z tej listy.

To ostatnie zdanie rzucił w kierunku Adamczyka, który nadal trzymał się nad uporządkowaniem archiwum.

Przy oknie w sekretariacie stała Lewicka. Nie odzywała się, dobrze wiedząc, że wybuch usprawiedliwionego gniewu należy przeczekać. Znała ludzi pokroju Banasika, nie gromadzili w sobie zbyt długo negatywnych emocji. Szybko rozprawiali się z nimi, a gdy opadło wzburzenie, z jeszcze większą energią przystępowali do dzieła. „Zaraz ochłonie i z determinacją podejmie śledztwo, które tylko pozornie utknęło w miejscu”, stwierdziła.

Wieczorna mgła ustąpiła i ściany kościoła znowu jaśniały w blasku reflektorów. Zmęczony Banasik oparł się o parapet obok Lewickiej i powiedział z cichą satysfakcją:

- Mnie się ten Grzegorek od początku nie podobał.

Na dźwięk jego głosu odwróciła głowę.

- Myślę, że bardzo by ci się spodobał. W innych okolicznościach - powiedziała z przekonaniem.

- Trudno polubić kogoś, kto tak otwarcie leci na ciebie - stwierdził niespodzianie.

Obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem.

- Wbrew pozorom wiele was łączyło. Byliście bardzo podobni do siebie.

Uznając jej słowa za miłe pochlebstwo, uśmiechnął się pod nosem, by zaraz znowu się nachmurzyć.

- Grzegorek idealnie pasował do portretu mordercy. Miał motyw,

miał fizyczne możliwości i zbyt dobre alibi. Właściwie to on jeden miał najlepsze alibi ze wszystkich - odezwał się z naganą w głosie.

- I to właśnie jest podejrzane. Mógł o to specjalnie zadbać. Zabezpieczyć się. Znał procedury, wiedział jak zatrzeć ślady, by wszystko wskazywało na innych. Założę się, że gdyby nadal żył, w jakiś sprytny sposób podsunąłby nam informacje o Pomickiej, które jasno by wskazywały, że popełniła samobójstwo.

- Ale ten ślad na szyi...

- Wypadek przy pracy. Bez znaczenia. Na skakance na pewno nie znajdziesz jego odcisków palców.

- A propos odcisków. Mój technik stanął na wysokości zadania i sprawdził ten świecznik. Na powierzchni znalazł odciski tylko Marciniaka i Sobieraja, pod spodem są jakieś zatarte, jeszcze niezidentyfikowane ślady. Należą pewnie do sprzątaczkii.

- Spytaj go, czy można odtworzyć z tych odcisków uchwyt? - zwróciła się do niego. - Grzegorek nie był maniakałnym zabójcą. Nie sprawiało mu przyjemności mordowanie.

- Masz o nim wysokie mniemanie - wycedził przez zęby Banasik.

Lewicka pominęła jego uwagę milczeniem i mówiła dalej.

- Myślę, że Pomicka mu groziła. A może powiedziała coś, co go zaniepokoiło i dlatego ją usunął.

- Więc jednak skojarzyła ten tajemniczy zapach z Grzegorkiem - Banasik pokiwał głową na znak, że rozumie. - Jestem przekonany, że to on zabił dyrektora. Pytanie tylko, kto zabił Grzegorka?

- Uważasz, że zabicie Marciniaka było w jego stylu?

- Sama zobacz, te zabójstwa są pod pewnymi względami podobne do siebie. Weźmy przypadek Marciniaka. Jedno celne uderzenie w głowę, może ciut przedobrzył, może kości czaszki denata były cieńsze niż norma przewiduje, nieważne, śmiertelny cios i zrzucenie ciała z wieży dla upozorowania samobójstwa. Drugi przypadek - Pomicka. Dusi ją, a potem wie-sza, znowu pozorując samobójstwo. Wszystko układa się w logiczną całość.

Lewicka bez słowa odwróciła głowę i zapatrzyła się przed siebie. Ściany kościoła, w dzień intensywnie różowe, nocą za sprawą oświetlenia promieniowały tajemniczym blaskiem, załamującym się na zwielokrotnionych pilastrach i piętrzących się gzymsach. Elementy, których w starożytności i renesansie używano z umiarem, dążąc do harmonijnej, spokojnej kompozycji, tutaj wyrażały ruch i niepokój swojej epoki. Zmysłowy barok ani na chwilę nie pozwalał zapomnieć o szalejących w umyśle człowieka wichrach namiętności.

- Nie przesłuchaliśmy jeszcze jednej osoby - powiedziała. - Być może najważniejszej.

- Myślisz?

- Po naszej rozmowie z Grzegorkiem powiedziałam ci, że jego telefon zawierał jeszcze jedną interesującą informację.

- Mówiłaś, że zapisy rozmów świadczą o jego alibi - przerwał i spojrzał na nią z natężeniem. - Mówiłaś, że wyłącznie jego alibi.

- Sprawdziłam nie tylko kto do niego dzwonił, ale także do kogo dzwonił sam Grzegorek. Pamiętasz pierwszy telefon do Sobieraja, ten, który odebrał na schodach kościoła?

- Zaczynam rozumieć - nieokreślony uśmiech uniósł kąciki ust komisarza.

- To był Grzegorek. Ważniejsze jest jednak to, że tuż przed tym telefonem ktoś zaprogramował w aparacie Marciniaka trzy rozmowy. Dwie tuż po szóstej i trzecią na godziną jedenastą. Myślę, że te trzy rozmowy, tak istotne dla alibi podejrzanych osób, nigdy nie miały miejsca.

- Ale co to ma do rzeczy? - spytał Banasik, do którego powoli docierała waga słów inspektorki. - I dlaczego twierdzisz, że tych rozmów nigdy nie było. Przecież mógł je zaprogramować sam Marciniak.

- W ten zimny wieczór otwarte okna zostawił morderca lub ten kto uprzętnął dokumenty i archiwum, albo to jedna i ta sama osoba. Wychłodzenie ciała, które opóźniło zmiany pośmiertne, przesuwają czas zgonu na okres między godziną siedemnastą a dziewiętnastą - wyjaśniła. - W tym czasie do biura weszły tylko dwie osoby, mamy na to świadków, Sobieraj i pół godziny po nim Grzegorek.

- Działali razem?

- Niewykluczone.

- Ale współpraca chyba coś się nie układała i jeden sprzątnął drugiego? - spytał z przekąsem.

- Być może jeden ubiegł drugiego, Darku - powiedziała z naciskiem.

- Widziałeś film. Widziałeś Sobieraja. Jestem pewna, że on go kochał. To stąd ta histeryczna rozpacz. Jeśli więc współpracował z Grzegorkiem, to na pewno nie z własnej woli, został do tego zmuszony. Jest ostatnią osobą, która może nam nieco rozjaśnić ten obraz.

- W takim razie nie ma na co czekać. Zaraz się okaże, że następny świadek zamilkł na zawsze. Bez względu na opinię lekarza, Sobieraj odpowie mi na wszystkie pytania. Mam gdzieś jego fatalne samopoczucie - zgrzytnął zębami.

Lewicka przywołała Adamczyka, zamknęli biuro i we trójkę poszli prosto do eremu numer siedem.

W domku zastali profesora Zawadę i uprzejmie uśmiechniętą kobietę w bliżej nieokreślonym wieku. Nie miała na sobie uniformu, ale z protekcyjnego sposobu w jaki ich potraktowała, domyślili się, że jest pielęgniarką wezwaną przez psychiatrę.

- Chcielibyśmy porozmawiać z Sobierajem - Banasik zwrócił się bezceremonialnie do Zawady.

- Pacjent jest bardzo pobudzony. Nie jest to najlepszy moment - zaproponował lekarz.

- To jest bardzo dobry moment, profesorze - wpadł mu w słowo komisarz. - Trzy kwadransy temu znaleźliśmy kolejne zwłoki. Tym razem to Grzegorek.

Twarz Zawady stężała, obrzucił przybyłych czujnym spojrzeniem, szukając w ich twarzach śladu zaprzeczenia.

- Rozumie pan, że nie stać nas na wyrozumiałość - komisarz dodał sucho. - Proszę jednak zostać, być może będzie pan potrzebny... - na moment zawahał się, szukając odpowiedniego słowa na określenie Sobieraja, lecz szybko dokończył. - Potrzebny pacjentowi.

- Będziemy z siostrą w kuchni. Zrobimy sobie przerwę na herbatę - powiedział smutno Zawada.

- Chwileczkę - zatrzymał go komisarz. - Chciałbym zadać jedno pytanie. Czy dzisiaj wieczorem Sobieraj opuszczał erem?

- Nie wiem. Nie było mnie tutaj. Przyszedłem dosłownie przed chwilą, po pana telefonie. Ale zaraz zapytam. Siostró - zwrócił się do kobiety.

- Czy pacjent gdzieś wychodził?

- Wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Na patio - szybko wyjaśniła pielęgniarka. - Nie było przeciwwskazań, więc się zgodziłam - powiedziała z pełnym przekonaniem.

- Kiedy to było? - spytał Banasik.

- Z godzinę temu, albo więcej.

- I cały czas był tam? - dążył.

- Był - odpowiedziała i zaraz dodała już mniej pewnym siebie głosem. - Wyjrzałam raz, czy dwa i widziałam go, jak spaceruje w kółko.

Banasik zbierał się już do kolejnego pytania, gdy Lewicka z rozbijającym uśmiechem spytała pielęgniarkę:

- A jak tam Leszek, ożeni się wreszcie z tą Anką?

Mężczyźni na moment zbaranieli. Twarz kobiety rozświetlił ten szcze-

gólny uśmiech zrozumienia dla wspólnoty doświadczeń, jakim mogą obdarzyć się tylko kobiety lub maniacy motoryzacji.

- Wcale nie ma zamiaru się żenić, ale Ewa go wygoniła i bardzo dobrze. Jakoś mi tej Anki nie żal. Ale widziała pani, jak ta Nowicka zaraz go przejrzała? Wiadomo, doświadczona kobieta.

- Przepraszam, o czym panie mówicie? - pierwszy odezwał się Zawada.

- O perypetiach bohaterów serialu „M jak miłość”, profesorze - wyjaśniła Lewicka i ponownie zwróciła się do pielęgniarki, tym razem z tonem żalu w głosie. - Niestety ominęła mnie niedzielna porcja wrażeń.

- Będą jeszcze powtarzać jutro rano, to pani zdąży obejrzeć - pocieszyła ją pielęgniarka.

Zawada przynaglił ją karcącym wzrokiem, kobieta w usprawiedliwieniu uśmiechnęła się i zniknęła w kuchni obok. Po chwili szczęknęły filiżanki i zaszumiał czajnik.

- Coś takiego - Banasik wytrzeszczył na Lewicką oczy. - Jesteś zadziwiająco dobrze poinformowana.

- Skąd - zaśmiała się. - Podśluchałam w pociągu, w drodze do Suwałk, rozmowę dwóch kobiet. W pierwszej chwili myślałam, że mówią o swoich bliskich. Dopiero za Białymstokiem wyjaśniło się, że rozprawiają nad losami fikcyjnych bohaterów. To był strzał na oślep, ale trafiłam.

- Zdaje się, że jej świadectwa nie można brać zbyt dosłownie - Banasik pokręcił głową.

Zawada wszedł do sypialni Sobieraja, pozostawiając za sobą niezamknięte drzwi. W środku panował półmrok. Zastali gospodarza w rozmęczonej pościeli. Skrył się pod kołdrą, szczelnie okryty po czubek głowy wzorzystym nakryciem.

Lekarz nachylił się i dotknął ramienia mężczyzny. Spokojnym, cichym głosem tłumaczył, wskazując ruchem głowy przybyłych policjantów.

Sobieraj podniósł się powoli i ruszył na drżących nogach do pokoju. Bez słowa usiadł w fotelu pod oknem, mrużąc oczy porażone światłem lampy. Wbił wzrok w podłogę przed sobą. Wyglądał na przygnębionego. Spadziste ramiona były opuszczone jespze bardziej niż zwykle. Przygniecione ciężarem barki mocniej się pochylały, pociągając za sobą i tak zaokrąglone plecy. Ubrany był w te same, co rano, sweter i spodnie.

- Słucham - powiedział głucho, nie podnosząc na nich wzroku.

- Wczoraj, kilkanaście minut po siedemnastej wszedł pan do biura dyrektora Marciniaka - stwierdził Banasik.

Minimalne skinienie głowy i zaciśnięcie powiek przez Sobieraja musiało wystarczyć komisarzowi za potwierdzenie jego słów.

- O czym pan z nim rozmawiał? - spytał komisarz.

- Już mówiłem. Rano wam mówiłem - odpowiedział znużonym głosem.

- Czy mógłby pan nam przypomnieć? - Banasik był nieustępliwy.

- O pracy, o remontach, o nadchodzącym sezonie - powiedział zrezygnowany.

- Czy rozmawialiście o tym, co zaszło podczas obiadu?

- Nie chciał mnie słuchać.

Na dźwięk tej stłumionej uwagi Banasik mimowolnie zastrzygł uszami. To było coś nowego w zeznaniach Sobieraja. Przedtem zapierał się, że jako człowiek dobrze wychowany nie poruszał tak delikatnego tematu.

- Czy o to się pokłóciliście? - spytał komisarz.

- O to? - zdziwił się i spojrzał na Banasika, jakby nie rozumiał pytania.

- A o co spierał się pan z Marciniakiem? - drażył dalej.

- O nic się nie spierałem, ja tylko prosiłem - zaszemrały wyschnięte wargi.

- Świadkowie mówią co innego. Panowie się kłócili. Doszło do awantury, tak?

- Awantury? - znowu się zdziwił.

- Skomentował pan wydarzenia w restauracji i to mu się nie spodobało? - dopytywał się Banasik.

- Nie spodobało - powtórzył jak echo.

Żył wyglądał, zmęczona twarz przybrała ziemistoszary odcień, jakby miał zaraz zemdleć lub zwymiotować.

- Po co dzwonił do pana Grzegorek? Koło osiemnastej?

- Grzegorek - potwierdził mechanicznie.

- Tak, Grzegorek. Zadzwonił, gdy rozmawiał pan z proboszczem na progu kościoła. Czego od pana chciał? - Banasik ze wszystkich sił próbował nie stracić panowania nad sobą. Mimowolnie zacisnął szczęki, co przydało jego twarzy groźny wygląd.

- On... Nie... Nic nie chciał.

- Dlaczego pan mu pomagał?

- Komu?

- Niech pan przestanie się wygłupiać. Proszę odpowiadać na pytania.

Zamordowano już trzy osoby - warknął zniecierpliwiony komisarz.

W odpowiedzi Sobieraj skulił się w sobie i wbił tępy wzrok w podłogę. Banasik poprawił się, odchrząknął i dodał nieco łagodniej.

- Dzisiaj po południu znaleźliśmy zwłoki Marty Pomickiej i Marka Grzegorka. Proszę nam pomóc.

Sobieraj zignorował prośbę komisarza. Zapatrzony w jeden punkt zmarł w bezruchu. Zobjętniały na zewnętrzne bodźce, zasluchany tylko w głosy spierające się w jego głowie.

- Dlaczego pan pomagał Grzegorkowi? Co takiego powiedział, że pan go krył?

- Pomagał... - Drgnął, jakby coś do niego dotarło. Ciągłe powtarzanie pojedynczych słów mogło każdego doprowadzić do szewskiej pasji

- Dlaczego, pan i Grzegorek, udawaliście, że dyrektor Marciniak żyje, skoro nie żył od godziny szóstej. Po co ten cyrk z telefonami od niego?

- naciskał Banasik.

Sobieraj zapadając się w sobie, znowu pogрузił się w niemym odrętwieniu. Martwą ciszę przerwała Lewicka.

- Czy Grzegorek panu groził? - spytała cicho.

Sobieraj spojrział na nią nieprzytomnie i apatycznie pokręcił głową w zaprzeczeniu.

- Nie, on mi pomógł. On chciał... Przynajmniej tak mi wtedy powiedział - wyszeptaly zbiełale wargi.

Lewicka nabrała powietrza i spokojnym, kojącym głosem spytała:

- Dlaczego nie jest pan z nami szczerzy? Powiedział pan, że wczoraj w nocy wieża i placyk pod nią były oświedone. Sprawdziliśmy to. Od dziesiątej wieczorem do samego rana reflektory nie działały. Skąd pan wiedział, że pod wieżą leży Marciniak? Był pan o tym przekonany, nim podszedł do zwłok. Skąd miał pan pewność, że to pański przyjaciel?

Sobieraj obrzucił ją szybkim spojrzeniem. W ciemnych źrenicach czał się lęk.

- Czy Marciniak pana szantażował? - spytała łagodnie.

Poruszył się i w jałowym geście samoobrony objął ramionami ciało, przyciągając kolana do brzucha.

- Jurek? - wargi poruszyły się bezdźwięcznie. - Nje, Jurek nie. To Grzegorek.

- Grzegorek pana szantażował? - zadała pytanie.

- Można to tak nazwać - zaszemrał.

- Co miał na pana?

- On...

- Czy chodzi o ten film? - szybko wtrącił Banasik.

- Film? O czym wy mówicie? - Z przestachem popatrzył na nich.

- Mówię o filmie, na którym jest pan z Marciniakiem - tłumaczył komisarz.

- Nie wiem nic o żadnym filmie - odrzekł zaskoczony, ale widząc nieustępliwą minę Banasika, prędko dodał: - Chciałbym wam pomóc, ale nie wiem o czym mówicie.

Zakołysał się miarowo w fotelu, jak w kołysce.

- Mówię o filmie, na którym zarejestrowano intymne zbliżenie między panem i dyrektorem Marciniakiem - wyjaśnił cierpliwie policjant.

Sobieraj opuścił nagle ramiona, jakby w jednej chwili ich zwielokrotniona waga zaciążyła mu stukrotnie. Wbił osłupiały wzrok w twarz Banasika i otworzył usta w zdziwieniu.

- Nie wnikamy w pańskie upodobania. Nie interesuje nas pańska orientacja seksualna. Musimy odkryć zabójcę trzech osób i tylko to się liczy. Czy pan mnie rozumie?

Nie odezwał się, wciąż tępo wpatrzony w twarz policjanta. Jednak wyraz jego twarzy powoli się zmieniał. Rysy rozluźniły się, zaskoczenie powoli ustępowało, torującej drogę uldze.

- Czy o to chodziło? Tym pana szantażował? - ponowił pytanie komisarz.

Sobieraj nabrał powoli powietrza, wyprostował się i oparł dłonie o uda. Okulary starym zwyczajem zsunęły się z nosa, ale nie poprawił ich, widać był do głębi poruszony tym, co usłyszał i co chciał powiedzieć.

- Nie, nie chodziło o szantaż. - Odetchnął głęboko. - Spotkaliśmy się dzisiaj na przystani.

Spojrzał z wyrzutem na Lewicką i dodał.

- A mieliśmy się przecież nie kontaktować, tak mówił.

Na poWrót wbił wzrok w podłogę, przewiercając ją oczami na wylot.

- Bałem się, ale poszedłem. Kazał mi - mówił monotonnym głosem.

- Czekał tam na mnie. Zaczął coś bredzić o nieuniknionych ofiarach.

O tym, że ja sam jestem ofiarą... To mnie - zająknął się i dodał z chrapliwym westchnieniem. - To mnie wytrąciło z równowagi. Nie lubię, jak się o mnie tak mówi. Powiedział, że jestem jak plastelina w jego dłoni.... Szydził, że ma mnie w rękę i może zrobić z moim życiem co zechce.

Przerwał, jakby oczekiwał ze strony policjantów zachęty do dalszych zwierzeń. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem ciemnych oczu i szybko opuścił wzrok.

- Nikt nie ma takiego prawa, a jeśli już, to na pewno nie on. I tak głośno śmiał się... - Grymas odrazy wykrzywił jego usta. - Stał tam, taki duży i silny. I zanosił się od śmiechu. „Cudownie układają się sprawy”, powiedział.

Na moment przyklnął oczy, zbierając w sobie siły i dalej kontynuował pozbawionym uczuć głosem.

- Latarnie nierówno oświetlają pomost. Gdy wyjdzie się z kręgu światła, wchodzi się w martwe pola, w których nic nie widać. Ja już dawno wyszedłem z kręgu... Nie wiem, kiedy podniosłem wiosło. Stał bokiem, trochę tyłem do mnie i nie zauważył, jak schylałam się po nie.

Mimowolnie, odtwarzając w pamięci zdarzenie, napiął mięśnie. Mówił powoli, dokładnie wymawiając wszystkie głoski.

- Dobrze się bawił. Bardzo dobrze się bawił moim kosztem... Uderzyłem go. Dawno powinienem to zrobić. Od razu zamilkł... Zachwiał się i upadł w wodę. Przestraszyłem się, ale było za późno. Uciekłem stamtąd, nie oglądając się za siebie.

Zapadła gęsta od emocji cisza. Policjanci siedzieli nieporuszeni, czekając na dalszy ciąg, który nie nastąpił. Sobieraj westchnął ciężko i utkwiał błagalne spojrzenie w suficie. Pomoc jednak stamtąd nie nadchodziła.

- Jeśli nie o ten film, to o co chodziło? - spytał cicho Banasik. - Dlaczego powiedział, że ma pana w **reku**?

- Bo on wiedział - przyznał zmęczonym głosem Sobieraj.

- O czym? O archiwum Marciniaka? - drążył temat komisarz.

- Archiwum? - głos pozostał nadal obojętny, ale brwi nieco się uniosły w bezsilnym zdziwieniu.

- Tak, archiwum, galeria fotografii i zajmująca filmoteka na wymiennym dysku komputera, a także kilkanaście luźnych płytek. Należały do Marciniaka. Były tam dokumenty dotyczące niechlubnej przeszłości wielu osób. W tym Grzegorka i pana.

- To niemożliwe... Ten film... To nieprawda... To sprawka Grzegorka.

Z niedowierzaniem pokręcił głową i obdarzył ich pełnym wyższości spojrzeniem. Lewicka pomyślała, że wszyscy działający w afekcie mordercy są do siebie podobni. Męczą się ze swoją zbrodnią, nie dlatego, że żałują, ale dlatego, że nie mogą o tym powiedzieć. Jak się już przyznają, odczuwają ulgę i może nawet radość, że jednak udało im się zaskoczyć wszystkich. Nie spuszczać oczu z Sobieraja spytała:

- Dlaczego pan broni Marciniaka? Nawet teraz? Przecież film, o którym mówimy, nagrał pański przyjaciel. Uwiódł pana i wykorzystał. Wszystko zarejestrował i trzymał na wszelki wypadek, gdyby zaczął pan

podskakiwać. Grzegorek, po śmierci Marciniaka, tylko przejął to archiwum.

Oczy Sobieraja rozpały się wewnętrznym szaleństwem. Przez chwilę mierzył policjantkę nienawistnym wzrokiem, a potem wysyczał:

- Niech pani tak nie mówi. Niech pani nawet nie śmie tak o nim mówić. - Zacisnęła powieki, w strachu, że natrętne myśli policjantów wedrą się do jego mózgu i spustoszą resztki godności. - Jurek nie mógł tego zrobić. Jurek był cudownym człowiekiem - powtarzał z zamkniętymi oczami, jak w transie. - To nieprawda, to wszystko nieprawda.

Niespodziewanym gestem zasłonił uszy i skulił się na fotelu, osłaniając ramionami głowę.

Lewicka głosem, w którym czaił się jad, powiedziała.

- Jurek był podłym kłamcą i krętaczem. Bawił się pańskim kosztem. Chce pan wiedzieć, co napisał o panu w swoim archiwum? Za jakiego głupka i niedojdę pana uważał? Już pan nie pamięta, jak sobie okrutnie żartował z pana? Jak mało nie zrzucił z wieży?

Sobieraj zerwał się z fotela na równe nogi, dygocząc wykrzyczał spieniony:

- Zamknij się! Nie waż się tak o nim mówić. Nie znałaś go tak, jak ja go znałem!

Komisarz Banasik podszedł do niego i zdecydowanym gestem usadził na powrót w fotelu. Stał obok i spozjrzał na mężczyznę z góry. Lewicka spokojnie mówiła dalej.

- Wczoraj wieczorem powiedział panu, że podpisał grecki kontrakt. Że zostawi tu pana. Że wszystko skończone, prawda?

Sobieraj chciał się poderwać, ale komisarz oparł ciężką dłoń na jego ramieniu i powstrzymał go. Łagodna perswazja komisarza odniosła skutek, mężczyzna opadł na fotel. Ściśnięta bólem i odrazą twarz Sobieraja ziała nienawiścią. Gdyby wzrok mógł zabijać, Lewicka byłaby już trupem.

- Czy to prawda? - powtórzyła twardo.

Pod naciskiem jej pytania zwiesił bezwładnie głowę i na powrót jego ciało przybrało zboląłą pozę. Znękanym głosem wyszeptał:

- Powiedział, że ma dość... Że jestem nudny... Że przestałem go bawić...

- A pan go przecież kochał... - dopowiedziała łagodnie.

Podniósł na nią wzrok, ale nie było już w nim żalu ani urazy. Na ich dnie czaił się jedynie niewyobrażalny smutek.

- Czy ja go kochałem? - spytał żałośnie i zaraz sam sobie odpowiedział. - Tak, kochałem go. Kochałem jak nikt nigdy dotąd nie kochał. Do bólu, do zatracenia, do końca.

Dwie ogromne łzy spłynęły po zszarzałych policzkach.

- Ubóstwiałem go, wielbiłem go jak... Boga...

Zamilkł zawstydzony bluźnierstwem, które padło z jego ust.

- Był dla mnie wszystkim. Był światłem moich oczu. Żyłem tylko dla niego. Żyłem przez niego - mówił jednostajnie, obojętnym tonem, tylko mokre policzki świadczyły o udreżonej duszy. - Kochałem go miłością bezwarunkową i absolutną. Nic nie chciałem w zamian. Wystarczyło, że był. Nie wiecie, jak to jest płynąć pod prąd swoich pragnień. Nic nie wiecie o tym, ile trzeba odwagi, by tak żyć.

Otarł twarz gestem bezbronnego dziecka. Lewicka pomyślała, że nikt tak jak ona nie wie, ile odwagi trzeba, by żyć i jak mało brakuje, by odważyć się zamienić się w pychę.

- Próbowałem się leczyć. Bez skutku. Ale czy istnieje lek na miłość, jakaś uniwersalna terapia? - rozejrzał się w poszukiwaniu potwierdzenia. - Nie miałem odwagi tego przerwać. Naprawdę starałem się, przecież chciałem, ale to mnie przerosło. Przerósł mnie chaos, który trawi mnie od środka.

Zakrył twarz dłońmi i trwał tak przez dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

- Pocięchą była jego przyjaźń. I wtedy on... Ja... My... - z trudem przychodziło mu o tym mówić. - Nie zniósłbym rozstania. Nie po tym, co się stało między nami - wyszeptał, by dodać z mocą. - Brzydzę się sobą.

Wzdrygnął się, jakby chciał strząsnąć z siebie cały brud oblepiający ciało.

- Próbowałem czytać Pismo, próbowałem czytać brewiarz, próbowałem odmawiać litanie, siłą Bóg wybrał sobie inną drogę na spotkanie ze mną. Wybrał to miejsce. Gdy Jurek zaproponował mi pracę w Wigrach, wiedziałem, że to znak od Niego. Tutaj w ciszy i skupieniu mogłem być bliżej źródła moich cierpień.

Znowu się zamyślił, twarz mu stężała w bólu, ściągnął brwi i powiedział:

- Jestem słaby, wiem, jestem obrzydliwy, myślałem. Ale te wszystkie upokorzenia są karą za moją skłonność. Moim odkupieniem. Więc znosiłem obelgi Jurka w pokorze, tolerowałem setki bab, wybaczałem mu męskie słabości, przecież on był inny, był doskonały. Erzebolałem nawet tę całą Martynę, która mi go ukradła, a wtedy on... Nic mi nie mówiąc, podpisał kontrakt.

- I dlatego pan go zabił? - spytała Lewicka.

- Nie chciałem - jęknął. - Uwierzcie mi, nie chciałem. Od tamtej

strasznej godziny żałuję tego w każdej sekundzie trwania. Nie chciałem, nie chciałem go zabić - zaprzeczał żarliwie, tłumacząc się. - Sprowokował mnie. Przestałem myśleć. A potem chciałem, by tylko przestał mówić te świństwa. Nie chciałem tego słyszeć. Nie, nie, nie - zajączał niepokojąco, szarpiąc na sobie ubranie.

- Wtedy chwycił pan świecznik? - spytała.

Objął ją udęczonym wzrokiem pełnym bolesnego wyrzutu.

- To był moment. Powiedział, że po tym... Śmiał się ze mnie, że to był tylko żart, a ja dałem się nabrać - wystękał z trudem. - Tak, wiecznie dawałem się nabierać, miał rację. Złapałem za świecznik i uderzyłem. Upadł na biurko. Myślałem, że udaje. - Zacisnął powieki, jakby chciał oszczędzić sobie powracającego wciąż we wspomnieniach widoku martwego kochanka. - Wtedy zobaczyłem, że ma otwarte oczy. Wybiegłem.

- A potem zadzwonił do pana Grzegorek? Powiedział, że znalazł zwłoki Marciniaka i pomoże panu ukryć tę zbrodnię - stwierdziła beznamiętnie.

- Tak było - przyznał pokornie, potem spojrzał błagalnie na Banasika i spytał. - Co teraz ze mną będzie?

Komisarz przybrał oficjalną minę urzędnika w służbie państwa.

- Jest pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora. Proszę się ubrać - powiedział sucho.

Sobieraj z trudem podniósł się z fotela. Był teraz znowu tylko śmiertelnie przerażonym człowiekiem. W powietrzu czuć było ten specyficzny zapach zwierzęcego strachu. Chwiejnym krokiem przeszedł do sypialni. Adamczyk zapobiegawczo stanął na drodze do wyjścia. Jednak niepotrzebnie, bo aresztant szurając kapturami szedł prosto do swojego pokoju.

- Drzwi muszą pozostać otwarte - powiedział młody policjant, przytrzymując dłoń Sobieraja opartą o klamkę.

Lewicka nie lubiła czasu, jaki nadchodził po przyznaniu się sprawcy do popełnionych przestępstw. Nie lubiła uczuć, jakie ją ogarniały. Przez krótką chwilę odczuwała satysfakcję z dobrze wykonanej roboty, ale potem przychodziło śmiertelne znużenie, którego chciała się jak najszybciej pozbyć. „Zwycięstwo w moim zawodzie zawsze ma smak goryczy”, pomyślała.

Usiadła w fotelu i czuła jak wolno, zbyt wolno tętno wraca do normy.

Banasik usiadł naprzeciwko. Nadal był czujny, służbowo skrepowany kompetencjami. Dla niego dzień jeszcze nie skończył. Czekala go roz-

mowa z prokuratorem, która pewnie nie będzie należała do przyjemnych. Jutro rano wezwie go na dywanik szef, a całe popołudnie i następne dni wypełni żmudna praca opisywania zdarzeń i sporządzania protokołów.

Adamczyk stanął tyłem do sypialni, wymienił znużone spojrzenia z Lewicką i Banasikiem, ciężko opierając się o framugę drzwi.

Na dźwięk uderzających o siebie skrzydeł okna obrócił się pierwszy. Jednym szarpnięciem rzucił się w kierunku sypialni Sobieraja. Dopadł do otwartego okna i wychylił się w ciemność. Nie zastanawiając się, co robi, jednym susem przesadził parapet i spadł w czeluść nocy, potknął się i przeokoziółkował po zboczu.

Banasik doskoczył do okna zaraz za nim. Wyrżał w ciemność prześiąkniętą odgłosami jeziora. W świetle nielicznych latarni zobaczył, jak aleją u podnóża klasztoru biegnie Sobieraj, a za nim, szybko pokonując dzielący go od uciekiniera dystans, wielkimi susami gna Bury.

Komisarz chwycił się oburącz ramy okiennej i wyskoczył w mrok. Do szczytu skarpy nie było więcej niż trzy metry. Spadając na pochyłość wzgórza był już przygotowany na zetknięcie z nim i zręcznie przeokoziółkował. Szybko się podniósł i pobiegł w ślad za Burym, w stronę przystani.

Lewicka dopadła drzwi, w trzech krokach minęła patio i szarpnęła za klamkę. Wybiegła na kocie łby śliskie od wilgoci naniesionej wiatrem. Zadudniły kroki w wieży schodowej, odbijając się zwielokrotnionym echem od pustych ścian. Z hukiem otworzyła drzwi na dole i nie zważając na okrzyki, ruszyła w pościg.

Uciekinier przeciął błonia, minął przystań, na której wciąż kręcili się policjanci i nadal gnał w kierunku czarnego olsu zamykającego łąkę. Mimo że potykał się i przewracał, zaraz podnosił się i biegł wciąż przed siebie. Kilka razy wydawało się, że Bury już, już go pochwyci, ale Sobieraj kluczył, zręcznie unikając długich rąk policjanta. Zresztą był u siebie, wiedział gdzie przebiegają ścieżki ograniczone niskimi krawężnikami, a gdzie rozciągnięto druty dzielące łąkę na sektory. Jeden z takich płotków podciął nogi Burego, rozpaczliwie zamachał w powietrzu ramionami i padł jak długi. Zaraz się poderwał i zataczając się, znów podążył za Sobierajem.

Banasik szybko ocenił sytuację. Zrozumiał, że zabójca nie ucieka w stronę szosy ani w stronę przystani, gdzie mógł skorzystać z łodzi. Sobieraj uciekał na bagna. Czarne pnie olch, stojące dość rzadko, sprawiały wrażenie, że pod ich konarami rozciąga się miękkie i przyjazny podszyt, a duże odstepy między drzewami zachęcają do spacerów. Nic bardziej mylnego. Wiosną, gdy woda przybierała, ols zamieniał się w zdradziec-

ką pułapkę, tak jak bagno, na którym wyrósł, tutaj każdy krok mógł być tym ostatnim. Gdzieniegdzie, w świetle księżycy, widać było połyskujące zdradliwie lusterka wody.

Sobieraj z rozpedu wskoczył na kępę, z której wyrastało smukłe drzewo. Poruszone nagle rośliny zakolysały się i zachlupotała woda wokół. Przytrzymał się pnia i wysunął nogę, żeby ostrożnie stanąć na sąsiedniej, równie niepewnej wysepce. Obejrzał się i kątem oka zobaczył, że Bury dogania go i za moment złapie za kołnierz. Nadludzkiem wysiłkiem rzucił się do przodu i bezpiecznie wylądował dwie kępy dalej.

Nie zważając na okrzyki Banasika, Bury skoczył do przodu i wylądował po kolana w wodzie. Z trudem wyciągnął nogi z grzęzawiska i stanął na jednej z kęp.

- Stój, idioto! - ryczał za nim Banasik. - Utopisz się!

Ale Bury już przymierzał się do kolejnego skoku.

Oszałały ze strachu Sobieraj, na dźwięk głosów próbował po omacku wybadać stopą grunt, by stanąć na kolejnej kępie, oddalającej go od pogoni. Rozpaczliwie wyciągnął się cały, wyrzucił do przodu nogę i jednocześnie puścił się drzewa. Przez moment wyglądało, że znowu udało mu się bezpiecznie stanąć na stałym gruncie, gdy powoli kępa zaczęła się osuwać w dół. Nim zdążył złapać się cienkich gałązek krzaka wyrastającego opodal, zdradziecka kępa zabulgotała chciwie i zniknęła pod czarną wodą. Upadł twarzą w błoto, zachłysnął się i rozpaczliwie uderzył rękoma w poszukiwaniu oparcia.

Widząc to, Adamczyk opuścił chwiejącą się pod nim kępę i dwoma skokami znalazł się bliżej małego bajorka, z którego wystawała głowa zbiega. Objął jednym ramieniem pień, a drugie wyciągnął się, by pochwycić dłoń mężczyzny. Nie sięgał, więc pochylił się jeszcze bardziej, prawie dotykając ciałem powierzchni bagna. Tę kępę nie wytrzymała i nagle poczuł, jak obejmuje go mroczny chłód.

- Połóż się płasko na wodzie - krzyknął Banasik. - Złap konar!

Komisarz zdążył już przywlec spod rozłożystej wierzby gałąź i próbował podać ją Buremu. Był jednak za daleko. Zwabieni ruchem i krzykami policjanci zbili się wokół Banasika ciasną grupą. Bez słowa rzucili się na pomoc. Ktoś wrócił po linę, ktoś inny ciągnął za sobą kolejne gałęzie.

Każdy nierozważny, zbyt nagły ruch pograżał coraz głębiej Adamczyka, więc przestał nawet oddychać. Zrozumiał, że im bardziej się szarpie, tym bagno chętniej go wsysa. Nadal jednak zaciskał dłoń na zimnych palcach Sobieraja, który biernie poddawał się sile smolistego blocka.

Na pierwszej prowizorycznej macie szybko ułożonej z gałęzi poło-

żył się Banasik. Policjanci podawali mu kolejne, w pośpiechu łamane konary. Powoli, tworząc łańcuch z ciał, przesuwali się w stronę Adamczyka.

- Złap ten konar! - wysapał komisarz.
- Nie utrzymam go - jęknął Bury.
- Złap, mówię!

Adamczyk obejrzał się rozpaczliwie za siebie, na czarną toń, gdzie jeszcze przed chwilą widać było czubek głowy Sobieraja. Kragłe bańki powietrza zabulgotały na powierzchni. Czuł, jak powoli nieubłagana siła wyrывa z jego skostniałej dłoni zimne palce mężczyzny.

Rozdział dwudziesty

Słońce stało już wysoko, gdy usiedli we czwórkę przy stole w restauracji: Lewicka, komisarz Banasik, aspirant Adamczyk i kierownik administracyjny Genio Sołtysik, dawny znajomy inspektorki. Sołtysik, który właśnie wrócił z weekendu spędzonego w domu, bezmyślnie rozmazywał widelcem jajecnicę. Nadal nie mógł uwierzyć w wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wyglądał na przygnębionego i prawdziwie zasmuconego tym, co zaszło w hotelu pod jego nieobecność.

Adamczyk również czuł się nieswojo, wołał jednak milczeć z nimi, aniżeli siedzieć teraz samotnie. Lewicka skubała bułeczkę, wpatrzona w przestrzeń za oknem. Jedynie Banasik, niczym niezrażony, zjadał śniadanie z ogromnym apetytem.

- Co powiedziałaś mamie, Bury? - przerwała ciszę Lewicka, zwracając się wprost do Adamczyka.

Młodszy aspirant otrząsnął się z odrętwienia i rozejrzał po twarzach obecnych przy stole.

- Ja? Nic, nie miała czasu. Rada pedagogiczna właśnie miała się zająć, czy inne zebranie - odpowiedział zmieszany.

Lewicka uśmiechnęła się kącikiem ust. Adamczyk rozkulił ją telefonem do matki, chciał jej pewnie wszystko opowiedzieć, a w każdym razie oswoić to, co było jego udziałem.

- Nie mogę, po prostu nie mogę w to uwierzyć. Jal; do tego doszło?
- Sołtysik nadal był w szoku. - Przecież to się w głowie nie mieści!

Banasik przełknął ogromny kęs maślanego rogalika i odchrząknął.

- Zapewniam pana, że dla mnie to też zaskoczenie. Nie przywykłem do hekatomby w niedzielne popołudnia. Suwalskie to nie angielskie hrab-

stwo Midsomer, tutaj za każdym krzakiem nie czają się mordercy.

Nałożył sobie porcję jajek w majonezie i skinął głową w stronę Adamczyka.

- Niewiele brakowało, a wczoraj mielibyśmy jeszcze jedną ofiarę. Najedliśmy się strachu przez ciebie, Bury - pogroził mu palcem.

- Ale dlaczego? Powiedźcie mi dlaczego - dopytywał się z rozpaczą w głosie Sołtysik. - Pomóżcie, mnie staremu, ogarnąć to umysłem. Co tu się działo?

Jego wzrok wbity kolejno w twarze policjantów wyrażał troskę i zakłopotanie.

- Że też ja byłem taki ślepy - powiedział z wyrzutem. - Nic nie zauważyłem.

- Proszę nie mieć pretensji do siebie. - Lewicka spojrzała przelotnie na Banasika, który zdążył się rozprawić z jajkami i zabrać do grubych serdelków, które właśnie podano. Pod naciskiem noża z trzaskiem pękała na nich skórka, uwalniając apetyczne soki. Raz za razem grube plastry starannie pokryte piekielnie ostrym sosem chrzanowym ginęły w czeluściach jego ust.

- Nikt nie jest w stanie przeniknąć umysłu mordercy, bo nikt nie podejrzuje drugiego człowieka o zdolność do popełnienia tak strasznych czynów. Poprosimy panią inspektor, to zaraz nam wszystko wyjaśni. Czy widzieliście tu jakieś ciasto? - zakończył nieoczekiwanie pytaniem.

Adamczyk obejrzał się w stronę bufetu.

- Zdaje się, że coś tam widziałem. Chyba czekoladowe - wyjaśnił.

- Ktoś chce? - spytał Banasik w drodze do długiego stołu zastawionego śniadaniowym bufetem. - Przyniosę - zaferował się usłużnie.

Wszyscy zaprzeczyli energicznie. Komisarz skwitował ich brak apetytu pobłażliwym uśmiechem i nałożył sobie podwójną porcję lśniącego od czekoladowej polewy czarnego ciasta. Dobre jedzenie było jego sposobem radzenia sobie ze stresem. Słodycze - lekarstwem na niepokój.

- Pani Ewo, niech mnie pani oświeci, o co w tym wszystkim chodzi?

- ponowił swoją prośbę Sołtysik.

Lewicka poprawiła się, dołała sobie kawy i głęboko odetchnęła.

- Odkrycie zabójstwa zawsze rodzi setki pytań, w tym tych kilka najważniejszych: kto, co, gdzie, w jaki sposób i dlaczego. Nie chodzi tu tylko i wyłącznie o odkrycie zabójcy, ale, co ważniejsze, o udowodnienie mu winy - zasępiła się, mieszając jednostajnie kawę. Po czym podjęła watek na nowo. - Na samym wstępie zastanowiły nas dwie sprawy. Dlaczego martwe ciało denata zostało zrzucone z wieży? I druga kwestia: czemu

porzucono w gabinecie narzędzie zbrodni, za to wyczyszczono starannie wszelkie dokumenty, tak jakby to w nich znajdował się ślad mogący zaprowadzić nas do sprawcy? Prowadząc śledztwo, nie skupialiśmy się wyłącznie na zabójstwie jako takim, czyli na tym, jak to technicznie zostało wykonane, ale również na jego przygotowaniu oraz tym, co nastąpiło później. Zastanawialiśmy się, czy morderstwo było zaplanowane, a jeśli tak, to w jakim stopniu. Wiele wskazywało na to, że zabójca działał według ściśle określonego planu, ale wkradały się w to elementy zaskoczenia i nagłego spontanicznego działania. Rozważaliśmy, czy sprawca znał ofiarę. Może zrobił rozpoznanie miejsca zdarzenia? Może rozmawiał z osobami znającymi ofiarę? Czy zapewnił sobie alibi? Czym tu się dostał? Czy miał współników? - Lewicka upiła łyk kawy i spojrzała ze smutkiem na Sołtysika. Z westchnieniem kontynuowała. - Rozważaliśmy jak zabójstwo zostało przeprowadzone. Braliśmy pod uwagę sposób dotarcia sprawcy na miejsce przestępstwa. Wbrew pozorom dostać się na teren klasztoru nie jest tak trudno. Mając klucz, można wejść przez Wieżę Schodową. Ale brak klucza nie przekreśla szans i wcale nie trzeba wyważać zamków. Pracownicy bowiem blokują drzwi na dole zwykłym kamieniem. Tymczasem nikt obcy nie pytał w sobotę o Marciniaka, szukać więc należało wśród znajomych i współpracowników. Odkryte przez nas uszkodzenie instalacji elektrycznej zasilającej oświetlenie wieży i brak śladów włamania w splądrowanym biurze i mieszkaniu dyrektora jasno wskazywały, że zrobił to ktoś z jego otoczenia, ktoś, kto dobrze znał tutejsze obyczaje, no i teren.

Jeszcze wczoraj rano nie wiedzieliśmy, czy zabójca przyszedł uzbrojony. Wkrótce okazało się, że narzędziem zbrodni był świecznik z gabinetu denata. Przeszukując miejsce zabójstwa zastanawialiśmy się, dlaczego część śladów została zatarta, a część nie, na przykład porzucony kandelabr ze śladami palców. Dlaczego morderca pozostawił go tak ostentacyjnie? Jeśli w ogóle zrobił to morderca. Usiłowaliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie: jak zabójca reagował na niespodziewane sytuacje?

Musieliśmy też udzielić odpowiedzi na ważne pytanie: czemu chce nas zmylić, mistyfikując, i to nieudolnie, samobójstwo? I może najważniejsze ze wszystkich: czy wracał na miejsce zbrodni, a jeśli tak, to dlaczego? Wszystkie odpowiedzi na pytanie dotyczące planowania i zachowania *post factum* miały ścisły związek z samym morderstwem.

Jak już powiedziałam wcześniej, zastanawiające było, dlaczego ciało zrzucano z wieży. Czyżby zacieranie śladów? Czy morderca był tak naiwny? Myślał, że uda mu się zamaskować zbrodnię? A może tylko chciał,

byśmy uważali go za naiwnego? I wtedy po raz pierwszy pojawiła się myśl, że z jakichś nieokreślonych na razie powodów ktoś, być może morderca, chciał, by odkryto zwłoki, ale nie w miejscu zbrodni i nie o tej godzinie, kiedy została popełniona naprawdę.

Pierwszy denat, czyli Marciniak, zginął od uderzenia w głowę. Patolog stwierdził, że narzędzie było na tyle ciężkie, iż wystarczył szybki zamach pod odpowiednim kątem. Świecznik pasował do tego idealnie. Przy czym trzeba zaznaczyć, było to dość nietypowe uderzenie. Wszelkie urazy poniżej tak zwanej linii kapelusza powstają na skutek nieszczęśliwego upadku. Istnieje jednak szansa, że morderca był wyjątkowo niski albo ofiara nadzwyczaj wysoka, i wtedy mogło dojść do takiego urazu.

Ustaliliśmy, że prawdopodobnie denat spokojnie siedział za biurkiem, a zabójca zaszedł go od tyłu i zadał cios z backhandu. Analiza pozostawionych na uchwycie odcisków palców to potwierdziła. Ale to właśnie te pozostawione odciski palców na świeczniku były najbardziej zagadkowe, ponieważ wszystkie inne, jak już wspomniałam wcześniej, starannie wytarto. Ktoś chciał, żebyśmy znaleźli te odciski. Czyżby morderca?

Gdybyśmy mieli do czynienia ze zwykłym zabójstwem pod wpływem silnego wzburzenia, zwłoki zapewne zostałyby porzucone. I w tej sytuacji mogły spokojnie czekać do następnego dnia, aż ktoś je odkryje, lub nawet do poniedziałku. Jednak nie. Ktoś postanowił, z dużym trudem i bardzo ryzykując, przenieść ciało na wieżę. Nie dość, że to po przeciwnej stronie klasztornego wzgórza, to jeszcze trzeba przejść dwa place, gdzie w każdej chwili można się natknąć na spóźnionych gości czy zbłąkanych turystów. Wreszcie trzeba dotrzeć z jakże makabrycznym ciężarem na wysokość czwartego piętra i mieć dość siły, by ciało przerzucić przez barierkę, samemu przy tym nie wypadając. To było trudne, wymagało siły i zręczności.

No i trzecia sprawa: staranne uprzątnięcie jakichkolwiek dokumentów, wyczyszczenie dysku w komputerze denata, pozbycie się zapisów elektronicznych, z wyjątkiem ostatnich rozmów telefonicznych i pozornie nic nieznaczących zdjęć z kamery.

Wciąż kłóciły się ze sobą dwa modele zabójcy, z jednej strony impulsywne działanie, z drugiej przemyślane zacieranie śladów i mylenie tropów.

W pierwszym etapie śledztwa przyjęliśmy roboczo, że morderca musiał być dobrze znany Marciniakowi. Przecież ten zdrowy i sprawny mężczyzna nie dopuściłby nikogo obcego tak blisko. A już na pewno nie siedziałby spokojnie, gdy ktoś nieznajomy staje mu za plecami w jego

własnym gabinecie. Hipotetycznie mógł zostać odurzony, ale patolog stanowczo to wykluczył. Tak więc sprawca musiał wywodzić się z kręgu bliskich współpracowników lub znajomych denata. Musiał także być dość silny, by po zabiciu przetaszczyć ciało taki kawał i wdrapać się z nim na wieżę.

Zastanawialiśmy się, kto odpowiada takiemu rysopisowi. Były cztery osoby: Norbert Olejnik, Henryk Zawada, Marek Grzegorek i Martyna Pomicka. - Uprzedzając pytania, podniosła dłoń na znak ciszy i dodała:

- Nie myślałam o niej, dopóki jej nie zobaczyłam. Była wystarczająco silna i wysoka, by sobie poradzić. Może sprawiłyby jej to niemały trud, ale nie było niemożliwe. Jednak nie pasowała do psychologicznego portretu zabójcy, który morduje pod wpływem silnego impulsu, a potem nosi zwłoki wokół klasztoru. Miała co prawda motyw: obłądana zazdrość momentami odbierała jej zdolność logicznego myślenia i mogła ją doprowadzić do gwałtownych reakcji. Lecz mimo to uważałam, że zabójstwo tego typu nie było w jej stylu.

Wróćmy na chwilę do Norberta Olejnika. Warunki fizyczne miał, ale czy miał motyw? Owszem, Marciniak uwiódł jego narzeczoną, a nawet gorzej, był ojcem jej nienarodzonego dziecka. W zaślepieniu gniewem Olejnik, nie zważając na obecność innych ludzi, napadł na dyrektora tutaj, w biały dzień, podczas obiadu w restauracji. Czy ktoś taki mógł zaplanować upozorowanie samobójstwa? Wątpię. Czy zależało mu na usunięciu archiwum dyrektora? Czy w ogóle wiedział o jego istnieniu? Również wątpię. Jednak tamtego tragicznego wieczoru pojawił się tutaj. Widziano go, a on sam też się tego nie wyparł. Przyznał się szczerze, że chciał się ostatecznie, jak to sam określił, rozmówić z denatem.

Kolejnym podejrzanym był profesor Zawada. Nie jest już młody, a,, nadal wystarczająco sprawny i co ważne, na tyle wysoki, by dać sobie radę ze zwłokami Marciniaka. Był tu w feralnym czasie, no i miał powód. Nasz psychiatra przedstawił mało wiarygodną, choć rozczulającą historię o przyjaźni i chorobie. Bardzo zależało mu na wynajęciu apartamentu papieskiego dla chorego przyjaciela. Jednak cena za tę przysługę, której zażądał od niego Marciniak, był dla profesora zbyt wygórowana. Ponieważ nie wierzyłam mu, przeprowadziłam na nim niezbyt przyjemny dla nas obojga, aczkolwiek bardzo pożyteczny test. Zrozumiałam, że ten facet naprawdę wierzy w ideały, które wyznaje, i - o dziwo - nawet stosuje je w życiu. Dzisiaj wiemy już, że Marciniak nie miał nic istotnego na profesora, dlatego kurczowo trzymał się sprawy apartamentu. Gdyby profesor uległ, dyrektor już zawsze miałby go w garści. Wiemy też, że krewki

Zawada podczas swojej wieczornej wizyty nie mógł zamordować Marciniaka z tej prostej przyczyny, że ten już nie żył.

Grzegorek był niewątpliwie pierwszą osobą, którzy przychodziła nam na myśl. Miał odpowiednie warunki fizyczne, by przenieść zwłoki. Ale miał też alibi. O dwudziestej trzeciej odbył rozmowę telefoniczną z Marciniakiem. Mieliśmy na to dowód w postaci zarejestrowanego połączenia. Potem widziało go ze czterdzieści osób. Wychodził co prawda na krótko, ale miał zbyt mało czasu, by zabić, uprzątnąć archiwum i przenieść ciało. Był też szalenie uprzejmy i skory do współpracy, to zawsze wzbudza moją nieufność. Miał coś jeszcze, coś, co mnie zaintrygowało, a raczej powinienam powiedzieć, że nie miał tego czegoś. Nie odnosił się do nas z wyższością typową dla funkcjonariuszy tajnych służb. Z całych sił starał się być zwyczajnym facetem, a to do niego wcale nie pasowało.

- Mów za siebie - powiedział cicho Banasik. - Dla mnie był typowym przedstawicielem tej... Tej służby. Taki cwany goguś i tyle - powiedział wyraźnie zniesmaczony i dodał mocno zaciskając szczęki: - Było to widać, słyhać i czuć, chociaż nasz lalusz niby od dawna poza „firmą”.

- Tak, oczywiście, mówię o moich osobistych odczuciach - zgodziła się Lewicka. - Nie znaleźliśmy jednak powodu, dla którego chciałby zabić Marciniaka. Motyw zrozumieliśmy dopiero wtedy, gdy odkryliśmy krótką notatkę na jego temat w archiwum dyrektora. Przy nazwisku Grzegorka przeczytaliśmy: „*krysha* dla Kowalskiego, paliwowego barona” oraz „potwierdzone przez Zielińską z kartoteki” i numer telefonu. Swoją drogą, w dyrektorskim archiwum były bardzo ciekawe dokumenty i nagrania na temat Kowalskiego. - Zamyśliła się na moment, by po dłuższej chwili dalej kontynuować. - Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać skłonność niektórych do manipulowania ludźmi i gromadzenia na ich temat informacji, których i tak nie umieją wykorzystać. Ten typ zbieraczy lubi jej posiadać dla samej przyjemności posiadania, a nuż się przyda. Taki był Marciniak, kolekcjoner, który najcenniejsze eksponaty ma schowane głęboko w piwnicy, bo posiada je nielegalnie i nie może się nimi pochwalić wszystkim. - Znowu przerwała, sięgając po dzbanek z kawą, ale ubiegł ją Adamczyk i usłużnie napełnił filiżankę. Lewicka z wdziękiem uśmiechnęła się do niego. - Wtedy rozumiałam sens słów wcześniej wypowiedzianych przez Grzegorka. Powiedział mi to dwa razy, a ja nie mogłam skojarzyć o co mu chodzi. - Powiodła triumfalnym wzrokiem po zaciekawionych twarzach mężczyzn. - Grzegorek wyraźnie dał mi do zrozumienia, że hotel był dla niego azylem. Pierwszy raz przyznał się do tego podczas rozmowy w jego eremie, za drugim razem opowiedział mi historię ko-

ścielnego prawa azylu dla złoczyńców. Prawa, jakie przysługiwało im tak długo, jak długo przebywali na terenie kościoła, cmentarza lub klasztoru, na ziemi wyjętej spod prawa ziemskiego. Oczywiście prawo to nie ma już dzisiaj zastosowania, to była tylko przenośnia. Nie zwróciłam na to uwagi od razu, ale po odczytaniu archiwum stało się dla mnie jasne, że wszystko, co mi powiedział, miało ukryty sens. Grzegorek chował się przed odpowiedzialnością, a może i przed swoimi „przyjaciółmi” z mafii paliwowej też... Zabezpieczył się i zaszły z dala od centrum zdarzeń.

- Nie bardzo rozumiem... Co to znaczy *kry sza*? - wtrącił nieśmiało Sołtysik.

- Krysza po rosyjsku znaczy tyle co klosz, czyli ochrona. Grzegorek chronił przestępcę. A jak to robił? Od kilkudziesięciu lat działa wciąż ten system i on go wykorzystał. Zresztą nie był w tym ani pierwszy, ani ostatni. Wykorzystał swoje uprawnienia funkcjonariusza UOP, zarejestrował Kowalskiego jako tajnego współpracownika, potocznie nazywa się to TW. Jeśli przeciwko komukolwiek i gdziekolwiek toczy się śledztwo, to zgodnie z procedurą oficer prowadzący sprawę wysyła zapytanie do centralnego rejestru, czy taki a taki nie jest tam ewidencjonowany. Jeśli jest, w odpowiedzi przychodzi informacja, że „należy się kontaktować z... pod numerem telefonu...” Robiąc z Kowalskiego współpracownika, wiedział wcześniej o każdym toczącym się przeciwko niemu postępowaniu, miał wgląd w akta sprawy, w ważnych kwestiach mógł interweniować i nawet żądać przeciągnięcia postępowania, szczególnie jeśli TW groziło więzienie. Pozbawienie tajnego współpracownika wolności wyklucza go przecież z gry. Cenny agent zawsze jest ochraniający. Tylko że Kowalski nie był cennym agentem, nie pracował dla UOP, był zwykłym przestępcą.

Myślę, że Marciniak szachował Grzegorka tymi danymi, a Grzegorek pozwalał wierzyć dyrektorowi, że daje się prowadzić na pasku. Marciniak posiadacz i kolekcjoner wiedzy, w niczym mu nie zagrażał. Był nawet przydatny. Grzegorek wiedział, że póki był potrzebny również Marciniakowi, mógł spać spokojnie, gorzej, gdy Marciniak znieacka opuścił nasz padół łez, tego Grzegorek nie przewidział i musiał działać szybko. Bo mimo wszystko Grzegorek nie zabił Marciniaka. Sama zbrodnia nie była w jego stylu. To człowiek niezwykle opanowany, z góry planujący kolejne posunięcia. Nie pasował do profilu zabójcy działającego w afekcie. Afekt dla Grzegorka po prostu nie istniał. Nasuwa się tu od razu pytanie, po co właściwie Marciniakowi był potrzebny Grzegorek, dlaczego tak go hołubił. Myślę, że zwolniony ze służby funkcjonariusz był dla dyrektora, „wielkiego człowieka skazanego przez zbieg okoliczności na małe inte-

resy”, końcowym argumentem w rozmowach z ludźmi. Kimś w rodzaju straszaka, ostatnią instancją odwoławczą.

To Sobieraj od początku budził najwięcej kontrowersji. Wyglądał na osobę, która niedawno przeżyła wstrząs i złe emocje w nim narastały. Był wystarczająco niezrównoważony, popędliwy, by zabić „pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami”. Ale nie znaliśmy tych okoliczności. Długo nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że ktoś tak otwarcie wyrażające swoje absolutne uwielbienie dla Marciniaka jest zdolny zabić obiekt uczuć. Myliliśmy się, mimo że doświadczenie podpowiadało nam setki podobnych przypadków. Raczej podejrzewaliśmy Sobieraja o współudział... Dopiero odnaleziony film rozwiał wszelkie wątpliwości. W tym związku nie chodziło o przyjaźń ani o przywiązanie, Boguś kochał Jurka namiętnie i zachłannie miłością beznadziejną, bo nieodwzajemnioną. - Przerwała na chwilę, by zaraz dodać ze smutkiem:

- Zdarza się w związkach opartych na relacji kat-ofiara, że któregoś dnia ofiara nie wytrzymuje poniżenia i dochodzi do tragedii. Chociaż najczęściej to kat jest górą. Niewątpliwie tutaj mieliśmy do czynienia z takim układem.

„Ofiara rzadko ma w sobie tyle mocy, by się sprzeciwić swojemu oprawcy, szczególnie gdy jest z nim w silnym związku emocjonalnym i głęboko wierzy, że wszystko, co jej się przytrafia, jest działaniem dla jej dobra, a nie przeciwko niemu” - pomyślała Lewicka.

- Spróbujmy zrekonstruować wydarzenia weekendu - podjęła po dłuższej chwili w przyływie nowej energii. - W sobotę kwadras po siedemnastej z Suwałk wraca Marciniak. Jest jak najbardziej żywy, świadkowie widzą go wchodzącego do biura. Zaraz za nim podąża Sobieraj, który jest mocno przejęty sytuacją. Troska coraz bardziej uciążliwego Bogusia zaczyna drażnić zmęczonego i obolałego Marciniaka. Ma rozbity nos i posiniaczoną twarz. Pod wpływem chwili ze złośliwą satysfakcją oznajmia przyjacielowi, że ma go serdecznie dość i że podjął już decyzję o zmianie pracy. Kpi sobie z uczuć Sobieraja. Wcale nie obawia się jego reakcji, wydaje mu się, że wciąż kontroluje sytuację. Od dawna przecież igrza z jego uczuciami i przywykł, że Boguś daje sobie ciosać kołki na głowie bez żadnych reakcji.

Sobieraj staje za jego plecami, może chciał go dotknąć lub objąć, gdy pada jedno złe słowo za dużo. W złości chwytą oburącz świecznik, jest dobrym tenisistą, więc cios jest precyzyjny i odpowiednio silny. To był impuls, chwyt i cios jak wyuczony odruch, możliwe, że nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Marciniak pada na biurko. Jednak So-

beriaj myśli, że tylko udaje. Szarpie go za ramię. Zagląda w oczy, krzyczy, grozi, błaga. Zagląda wreszcie w martwe oczy i wtedy dopiero do niego dociera. Opuszcza biuro przerażony. Chce tylko być jak najdalej, jak najszybciej. Możliwe, że nawet nie zamknął za sobą drzwi. Nie ma to jednak znaczenia, bo obok jest Grzegorek, a on ma klucze do gabinetu szefa.

Zaintrygowany hałasami, a potem nagłą ciszą, Grzegorek idzie do gabinetu dyrektora. Zastaje martwego szefa. I zaczyna myśleć. Ta śmierć nie jest mu na rękę. Na pewno nie teraz. Wie, że Marciniak ma tu gdzieś tajne archiwum. Musi je odnaleźć, nim ktoś odkryje zwłoki, i zniszczyć zawartość. Domyśla się, co się stało. Ani przez chwilę nie ma zamiaru chronić Sobieraja. Jest mu potrzebny tylko do pewnego czasu. Programuje fikcyjne połączenia w telefonie denata. Otwiera okna, zakręca grzejniki, zapala światło, pozostawia włączone radio, szybko zamyka biuro na klucz i wychodzi. Jest sobotni wieczór i nikt nie ośmieli się niepokoić pana dyrektora. Sekretarka i sprzątaczką dotrą tu dopiero w poniedziałek. Dzwoni więc do Sobieraja i uprzedza go. Mówi mu, że wie, co się stało, i zapewnia, że będzie go chronił. Zleca mu organizację alibi do dwudziestej trzeciej. Już wtedy wszystko ma zaplanowane. Spokojnie odjeżdża na spotkanie w Suwałkach.

Sobieraj wywiązuje się doskonale ze swojej roli. Mimo że jest w szkole, a może właśnie dlatego. Organizuje sobie partię brydża, ale jest niespokojny, co zauważają jego partnerzy. Kładą to jednak na karb niskich umiejętności szefa marketingu.

W czasie gdy Sobieraj gra w karty, a Grzegorek je kolację w Suwałkach, do drzwi Marciniaka w krótkich odstępach czasu dobijają się recepcjonistka i profesor Zawada. Oboje czują się obrażeni brakiem reakcji, ale nie wzbudza to w nich najmniejszego niepokoju. Dlaczego? Ponieważ wielokrotnie dyrektor zamykał się wieczorami w gabinecie i nie reagował na pukanie. Recepcjonistka uznaje, że jest tam z kobietą, tak jak to bywało wcześniej. Czym prędzej z mściwą satysfakcją informuje o tym narzeczoną dyrektora. Zawada zaś odbiera to jako kolejny afront i odjeżdża jak niepyszny.

Kilka minut po dwudziestej pierwszej wraca Grzegorek. Idzie do magazynu technicznego po foliowe worki na śmieci. Zauważa go kelnerka wychylona przez drzwi kawiarni.

Grzegorek idzie do biura. Korzystając z kluczy denata, otwiera kasę i pakuje wszystkie dokumenty, czyści dysk. Nie wie, że Marciniak się zabezpieczył i ukrył dysk wymienny. Zabiera worki do eremu, tam pakuje resztę papierów. Robi to sumiennie i metodycznie, nie pozostawiając

najmniejszego papierka. Nie ma przecież czasu na przeglądanie, woli się zabezpieczyć i pozbyć wszystkiego, co mogłoby go obciążać. Zachowuje tylko kilka płyt, które znalazł w biurku Marciniaka. Jeszcze nie wie, co na nich jest i do czego będą mu przydatne. Cały pakunek, dobrze obciążony, łąduje w jeziorze. To ostatnie jest hipotezą, ale bardzo prawdopodobną, tak byłoby przecież najprościej. Wraca do gabinetu po raz ostatni. Ziąb na zewnątrz przy otwartych oknach i nieczynne grzejniki zrobiły swoje, wszelkie zmiany pośmiertne zostały spowolnione, przez co trudno będzie patologowi ustalić czas śmierci dyrektora. Pakuje wychłodzone ciało Marciniaka do wielkiego worka na śmieci. Doskonale wie, że zdradzić go może najmniejszy pyłek z ubrania. Jest ostrożny. Wynosi zwłoki. W sumie ryzykował tylko wtedy, gdy przechodził głównym tarasem, obok kościoła. Ktoś mógł iść do restauracji lub z niej wyjść i go zauważyć. Gdy znalazł się na dolnym tarasie i szedł wzdłuż eremów, był już spokojny. Jedyńi goście, którzy go mogli niepokoić, siedzieli przy karcianym stole. Stróż był w recepcji. Na tarasie pod Wieżą Zegarową nikt mu nie przeszkadzał. Uszkodził przełączniki reflektorów oświetlających wieżę i latarni na placu pod nią. W jednej chwili wszystko ogarnął mrok. Wspiał się po schodach na sam szczyt bez żadnych utrudnień. Może nawet uważał, że to niezły trening. I tu zbliżamy się do kulminacyjnego pytania, dlaczego Grzegorek chciał zrzucić ciało z wieży. Po pierwsze, zależało mu na odkryciu zwłok przed poniedziałkiem. Po drugie, wieża ma ścisły związek z osobą Sobieraja. Z okrutnym żartem, na jaki kiedyś pozwolił sobie wobec niego dyrektor. Grzegorek był pewien, że wcześniej, czy później dowiemy się o tym incydencie i powiązemy fakty. Nasz specjalista od reklamy i budowania wizerunku postanowił naprowadzić policję na ślad Sobieraja. I robił to konsekwentnie. Wiedział, że następny obchód stróża wypada po północy. Liczył, że stróż znajdzie ciało i go zaalarmuje. Wdrapał się więc na wieżę i złożył zwłoki Marciniaka na tarasie widokowym. Widziałam tam nikłą smugę zgarniętego kurzu. Zastanawiało mnie, czemu to zrobił, przecież łatwiej byłoby od razu podejść do barierki ograniczającej taras i przerzucić ciało przez nią. Musiał jednak najpierw zdjąć worki, dlatego buty i ubranie denata nie były zakurzone. Zatem zrzuca martwego Marciniaka z wieży i spokojnie idzie do restauracji. To właśnie wtedy zobaczył go Olejnik.

O dwudziestej trzeciej Grzegorek jakby nigdy nic udaje, że rozmawia z Marciniakiem przez telefon. Jest pewien, że ciało wkrótce zostanie odkryte. Potem przyjeżdża Pomicka. Grzegorek w napięciu czeka na wieści o zwłokach, ale nadal nic się nie dzieje. Nie wie, że stróż po raz pierwszy,

odkąd jest tu zatrudniony, po prostu zasnął ze zmęczenia. Jednak Grzegorek nie przejmuje się tym, ma świetne alibi. Po pierwszej idzie do siebie, wie, że może spać spokojnie. Podczas gdy prawdziwy zabójca siedzi właśnie w swoim eremie i nie wie, co ze sobą począć.

Jednak Grzegorek nie przewidział paru rzeczy, tych kilku zmiennych, które decydują o sukcesie lub porażce. Na przykład przybycia Pomickiej, która zaalarmowana telefonem recepcjonistki przyjechała gnana zazdrością. Ta wizyta nie była mu na rękę. Początkowo nie przejął się tym bardzo. Ale Pomicka coś zauważyła w mieszkaniu Marciniaka lub rzeczywiście poczuła zapach pozostawiony przez Grzegorka, który dosłownie kilkanaście minut wcześniej odwiedził erem dyrektora. Nie skojarzyła tego od razu, ale przecież rozmawiała z naszym ironmanem tamtej nocy. Dopiero na drugi dzień, już po odnalezieniu zwłok Marciniaka, kojarzy ten fakt z Grzegorkiem. Wyznacza mu spotkanie, być może coś sugeruje. Sama nie może uwierzyć w to, co podpowiada jej wyobraźnia. Uważała Grzegorka za zrównoważonego faceta, nigdy nie dostrzegła wrogości w jego zachowaniu, była więc zaskoczona.

Grzegorek od razu pojął, jakie zagrożenie stanowi dla niego Pomicka. Nie waha się nawet przez moment. To nie było działanie w afekcie, to był wytrenowany odruch samoobrony. Zdejmuje skakankę z wieszaka i dusi kobietę. Potem martwe ciało wiesza na ramie jednego z urządzeń treningowych. Grzegorek przyszedł i wyszedł, korzystając z wewnętrznego przejścia między częścią hotelową tego budynku a piwnicami, w których mieściła się siłownia. Świadkowie zeznaliby co najwyżej, że był u siebie w biurze.

W zaistniałej sytuacji Grzegorek postanawia zmodyfikować swój plan. Nie ma zbyt wiele czasu. Wzywa Sobieraja na spotkania na przystani. Zabiera za sobą skakankę, ma zamiar zabić marketingowca i upozorować jego samobójstwo... A może tylko obciążyć zwłoki i utopić w jeziorze... Zniknięcie Sobieraja było mu na rękę.

Nieważne. Zamiar się nie udaje. Sobieraj już się nie kontroluje, jest przerażony jak osaczone zwierzę i tak też reaguje. Instynkt samozachowawczy każe mu działać. Uderza Grzegorka wiosłem. Daje już sami wiecie...

Przerwała swoją opowieść i sięgnęła po kawałek sękacza. Adamczyk zwiesił głowę i kręcił nią miarowo w głuchym sprzeciwie.

- Nie, nie popisałem się - powiedział. - Postawiono mnie na straży prawa, a ja zawiodłem. Zawiodłem na całej linii. Jestem zły na siebie. Powinienem nie dać mu uciec, złapać, doprowadzić, osadzić. Niechby go potem sądzili i skazali. Za taką zbrodnię powinna być kara.

Nikt się nie odezwał. Banasik w milczeniu kontemlował widok za oknem. Wreszcie Sołtysik westchnął ciężko:

- Dostałby piętnaście lat, może dwadzieścia pięć...

- Kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat ośmiu, karze dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego więzienia - wyrecytował mechanicznie Bury.

- A jeśli uznano by to za zabójstwo w afekcie, to od roku do dziesięciu lat więzienia.

- Nie zapominaj, że zabił dwie osoby. I nie więzienia, Bury, tylko prawdziwego piekła. Każdego dnia i każdej nocy umierałby tam na nowo i to po kilka razy, dobrze o tym wiesz. Tak facet nie dałby sobie rady za kratami - zauważył gorzko Banasik.

- A co mnie to obchodzi - zachnął się Bury - prawo mówi wyraźnie: kto zabija, ten... I w ogóle - mniej pewnie wymamrotał pod nosem.

- Niechby i umierał tysiąc razy za to, co zrobił.

- Bury, nie unoś się - uspokajała go Lewicka. - To już się stało, nie zmienisz tego. To nauka, jaką dostałeś od życia, wykorzystaj ją dobrze.

- Ale wściekły na siebie chyba mogę być? - spytał zaczepnie i zaraz dodał spokojniej: - Po prostu mnie wkurza, że dałem płamę, że nie wypełniłem obowiązku. Nikogo nie ochroniłem.

Lewicka zmarszczyła brwi, chciała coś powiedzieć, ale szybko zamknęła usta. Ciszę wypełniło szczerkaniem sztućców i odgłosy nalewania kolejnej kawy. Wreszcie się odezwała.

- Musisz spojrzeć na to z innej perspektywy albo przyjdzie ci zwariować. Policja nie jest w stanie ochronić każdego życia. Nie postawisz przy każdej potencjalnej ofierze strażnika. Nie skontrolujesz każdego potencjalnego zabójcy. To mrzonki. Codziennie rodzą się w czyjeś głowie mordercze myśli, ale nie wszystkie zamiary przekuwane są w czyny. Jesteśmy po to, by tych, którzy urzeczywistniają swoje zabójcze fantazje, wykryć i ukarać. Istniejemy po to, by nikt nie myślał, że może stać ponad prawem, że właśnie jemu się upieczce. Gdyby ludzie mieli pewność, że kara za ich złe czyny jest nieuchronna, niespodziewana i adekwatna do ich winy, nie czyniliby tyle zła. Jestem tego pewna. Bury, jesteśmy strażnikami prawa, ale nie życia i sumienia.

Adamczyk wbił w nią bolesne spojrzenie, ale się nie odezwał.

- Panowie, było miło, ale my musimy się zbierać - Lewicka odstawiła pustą filiżankę.

Mężczyźni z ociąganiem podnieśli się zza stołu. Banasik chciał płacić za śniadanie, ale Sołtysik gwałtownie zaprotestował.

- Wszystko na mój koszt. Zapraszam, panie komisarzu, częściej. Wi-
dzą, że jest pan prawdziwym smakoszem. Właśnie dla takich jak pan stara
się nasza kuchnia - uśmiechnął się ciepło.

Wyszli na zewnątrz spacerowym krokiem, niczym zwykli, zadowole-
ni z pobytu turyści. Sołtysik szedł przodem, wymachiwał rękami, pokazu-
jąc Adamczykowi co ciekawsze detale architektoniczne,

- Skąd znasz Sołtysika? - spytał półgłosem Banasik, nachylając się do
ucha Lewickiej. - Adamczyk mówił mi, że kierownik administracyjny też
ma swój mały kącik w dyrektorskim archiwum. Był zamieszany w jakąś
sprawę? Czyżby i on miał coś na sumieniu?

Lewicka spojrzała badawczo na komisarza, ale dostrzegła w oliwko-
wych oczach tylko złote błyski rozbawienia. Powoli zbliżyli się do parkin-
gu, gdzie czekał na nią służbowy samochód.

- Był ofiarą - powiedziała spokojnie.

- On? - Banasik uniósł brwi ze zdziwienia.

- Właśnie on - pokiwała głową, zatrzymując się. - To dawne dzieje.
Zresztą - zawahała się - zbrodnia zatacza o wiele szerszy krąg, niż nam
się wydaje. Dotyka boleśnie wielu osób, zmienia ich życie raz na zawsze.
Po śmierci denatowi jest już wszystko jedna, ale żywym nigdy.

Lewicka nagle objęła Banasika i mocno się przytuliła. Stał przez chwi-
lę niezdecydowany i zaskoczony jej spontanicznym zachowaniem, a po-
tem z mocą odwzajemnił uścisk.

- Odezwij się czasem - wyszeptła mu w kłapę.

Nie patrząc mu w oczy, odwróciła się i wsiadła do samochodu. Od-
jechała pozostawiając komisarza z wyrazem kompletnego zaskoczenia na
twarzy.

Copyright © by Adrianna Ewa Stawska

Copyright for this edition © by wydawnictwopi.pl

AU rights reserved

Wydawca: Pi, Warszawa 2012, wydawnictwopi.pl

Redaktor serii: Grzegorz Godlewski

Konsultant serii: Tadeusz Warec

Skład i łamanie: Wojtek Puchniarz

Koncepcja graficzna serii: Artur Gosiewski, signature.pl

Zdjęcie na okładce: 8081.pl

Druk: Opolgraf S.A.

ISBN 978-83-62781-77-5 dla tomu 14

ISBN 978-83-62781-80-5 dla serii

Nr indeksu: 279951

Wszelkie podobieństwa do osób oraz zdarzeń istniejących w rzeczywistości są niezamierzone i przypadkowe.

ŚMIERĆ W KLASZTORZE

krótki utwór w tytułowym klasztorze (a raczej w luksusowym pensjonacie w poklasztornych zabudowaniach) przekształca się niespodziewanie w intensywne śledztwo. Zamiast zajmować się naprawianiem własnego życia, pani inspektor musi ustalić powody zaskakującej śmierci dyrektora hotelu, zagłębić się w świat przedziwnych ludzkich zależności i namiętności. A wszystko to w przepięknie przedstawionej scenerii starego pokamedulskiego klasztoru; w dodatku okraszone aromatycznymi miejscowymi specjałami.

 superkryminal.pl

Nowa seria kryminałów. Najciekawsze klasyki gatunku. Polskie i zagraniczne nowości, debiuty i wznowienia.

PATRONI MEDIALNI

 nakanapie.pl

*Zbrodnia
w Bibliotece*

KOSTNICA
PRZEJAZD ŚMIERTWA STRĘBA
www.kostnica.com.pl

sprzedaż internetowa:

LITERIA.pl

www.superkryminal.pl

ISBN 978-83-62781-77-5



9 788362 781775

lesiojot

indeks: 27995 I
cena: 14,99 zł (w tym 5% VAT)
tom nr 14